

MACIEJ
LIZINIEWICZ



Mroczny
zew!



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

M A C I E J
L I Z I N I E W I C Z

Mroczny
zew!

POLECAMY CYKL O NADOLSKIM

Czas
pomsty

Mroczny
zewr

Zapraszamy na www.publicat.pl

Logo serii
WALDEMAR KORALEWSKI

Metryczka serii
WALDEMAR KORALEWSKI
MAŁGORZATA WIATR

Projekt okładki
www.designpartners.pl

Koordinacja projektu
PATRYK MŁYNEK

Redakcja
„BALTAZAR” RING JACEK, WOJCIECHOWSKA-RING DOROTA

Korekta
IWONA HUCHLA

Skład
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Publicat S.A., Maciej Liziniewicz MMXX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-245-8456-7

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział I. Spotkanie

Rozdział II. Jeremi Winnicki

Rozdział III. Kacper Zatwarnicki

Rozdział IV. Czuwanie

Rozdział V. Anusia Rudyłowska

Rozdział VI. Wygnanka

Rozdział VII. Narodziny

Rozdział VIII. Przekleństwo

Rozdział IX. Pocztowy

Rozdział X. Bacza

Rozdział XI. Przed burzą

Rozdział XII. Versipellis

Rozdział XIII. Łowy

Rozdział XIV. Trup

Rozdział XV. Jegomość Herburt

Rozdział XVI. Łotr

Rozdział XVII. Spowiedź

Rozdział XVIII. Śmierć

Epilog

Przypisy

Moim Najbliższym, Patrycji i Ignacemu

Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj.

William Shakespeare, *Burza*

ROZDZIAŁ I

SPOTKANIE

Roku Pańskiego 1632 grudzień przyszedł nad wyraz mroźny. Napadało przy tym śniegu i nawiało go od pól tyle, że miejscami zaspy były na dwóch chłopów głębokie. Nie dziwiło to nikogo w tych stronach, albowiem tutaj zawsze zima taka bywała. Dlatego na jesieni należało się odpowiednio do niej przygotować, tak aby w chłody jak najmniej z chałup wychodzić. Ot, tyle tylko, żeby bydłeta oporządzić, strawę sobie przygotować i drewna do pieca przynieść. Dalej rzadko się ktoś wypuszczał, a i to nie w pojedynkę, z racji znanych wszystkim historii, jak to wygłodniałe wilki nieraz konia z woźnicą dopadły, albo też na kość w drodze zamarzę. Zresztą trakty na Odrzechową i Bukowsko zasypało, a śnieg był miękki i głęboki. Tylko zwierzę można by umęczyć, samemu celu nie osiągnąwszy.

Siedzieli tedy chłopci z Wygnanki po chałupach, paląc w kominach, grzejąc się na zapieckach i żyjąc wedle ustalonego rytmu, który najwięcej właśnie zimą jest widoczny. Nie narzekali jednak na ową beczynność, na którą mogli sobie pozwolić. Jeszcze dwa lata wcześniej, kiedy folwark Wygnanka dzierżawił Trofan Sulatycki, głód zaglądał zimą do chłopskich chat. Wielu włościan nocą musiało się wymykać, by wnyki zastawiać albo kraść. Od czasu jednak, kiedy na swoje powrócił pan Żegota Nadolski, wiele się poprawiło. Najwięcej zaś staremu Fiodorowi, któremu i pańska łaska, i syn, co z wojen powrócił, na równi pomagali. Inni też nie mogli narzekać, zważywszy na zdjęcie przez szlachcica nałożonych uprzednio ciężarów i powrót do dawnych, jeszcze z minionego wieku, ustaleń. Całkiem odwrotnie pod tym względem pan Żegota czynił niż większość herbowych, ale też trudno byłoby nie przyznać, że nie tylko w tym imię Nadolski różni się od reszty swego stanu.

Rzadko dom swój nowo wybudowany opuszczał, woląc czas ze swą piękną żoną Agnieszką, rezydentem Wawrzyńcem Sulatyckim i sługami

spędzać, niż po sąsiadach się włóczyć. Do niego także mało przyjeżdżano, raz z racji tego, że gościnnością pan Żegota nie grzeszył, a dwa, iż wszystkim w okolicy znany był jego spór z chorążym sanockim Jerzym Stano^[1]. Nikt przeto nie chciał zbytnią wylewnością w stosunku do sąsiada narażać się na niechęć albo też gniew możnego pana, który wielokrotnie już posłował na sejm i nieliczne miał koneksje. Nie zważał na to szczególnie właściciel Wygnanki, ani o względy okolicznych panów braci nie zamierzając zabiegać, ani też lęku przed starostą sądeckim i doradcą królewskim nie czując. Cieszył się tym, co ma, dobrze już wiedząc, jak łatwo utracić można szczęście, którego się nie upilnuje. Złagodniał, szablę w kąć odstawił, zamiast niej wziął w dłonie pióro i księgi rachunkowe, aby swą ojcowizną jak najlepiej zarządzać.

Majątek z wojny niemały przywiózł, lecz nie myślał pożytkować go na spłatę rzekomego długu wobec magnata z Nowotańca. Potem i nowa fortunka się zdarzyła, kiedy ożenił się z panną Agnieszką, której sam jegomość biskup Próchnicki^[2] pochodzenie poświadczył, wydając potrzebne dokumenty. Oświadczał w nich jednoznacznie, iż jest ostatnią ocalałą po tatarskim zagonie, urodzoną z rodu Strzetelskich, właścicieli Kadobnej położonej pomiędzy Stryjem a Kałuszem, co i zaprzysiężeni świadkowie potwierdzili. Jak było naprawdę, mało osób wiedziało^[3]. A arcybiskup wszystkim tym, co mieli swój udział w owej sprawie, udzielił odpustu, aby poczucia jakowegoś grzechu w sobie nie nosili.

Poszła tedy Kadobna w dzierzawę, przynosząc kolejny grosz, z którego dla spokoju sumienia obecna pani Agnieszka Nadolska oddawała dziesiątą część na rzecz sanockiego kościoła pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła, aby co niedziela modlono się tam za spokój dusz wygasłej rodziny Strzetelskich. Raz w miesiącu jechali więc Semko z bezrękim i ciężkawym na umyśle Fedkiem do tamtejszego proboszcza, wożąc mu datki, które też ów ksiądz zawsze wdzięcznie przyjmował, by tym bardziej rzetelnie wywiązać się z nałożonego obowiązku.

Tak też w spokoju mijały kolejne miesiące Żegocie od czasu, kiedy zakończyła się nieszczęsna sprawa z panem Krasickim. Sycił się owym

bezruchem, ciesząc oczy nowym życiem, które go otaczało, i Bogu dziękując za to, co od niego otrzymał. Mówił czasem, że niczego więcej do szczęścia nie potrzebuje. Ale latem, kiedy pani Agnieszka oznajmiła mu, że jest brzemienna, mało nie oszalał z radości. Bo też jak nikt inny pragnął Nadolski potomstwa, choć przyznać się do tego byłoby mu trudno. Zadrą w sercu było mu bowiem wspomnienie dawnej rodziny, szczególnie zaś tego, iż nie potrafił należycie docenić, co wtenczas posiadał. Drugi raz takiego błędu popełniać nie zamierzał. Za tą myślą przyszedł na Nadolskiego strach, iż znów mógłby zły los odebrać mu to, co najwięcej miłuje. Nerwowo stał się więc nad wyraz, tylko patrzył na swoją Agnieszkę, coby się gdzie nie podźwignęła, albo też jakiejś innej krzywdy sobie i dziecku nie uczyniła. Sam ją we wszystkim starał się wyręczać, spoglądając na jej rosnący brzuch. Bywało nawet i tak, na co sarkał niezmiennie pan Sulatycki, że do babskich zajęć się Żegota brał dla ulżenia małżonce, co przecież wbrew prawom boskim i ustalonym ludzkim regułom było.

Śmiała się z tej troskliwości pani Agnieszka, przeganiając męża z kuchni czy spiżarni, ale też widać było, iż owa opiekuńczość jest jej miła. Bo także ona pierwszy raz od lat zaznawała szczęścia, które dać może ludziom przez zły los doświadczonym właśnie takie zwyczajne, proste życie.

Siedzieli tedy w ów grudniowy wieczór w ciepłej izbie, milczący, ale i weseli. Każdy swojemu zajęciu oddany. Pani Nadolska cerowała znoszony mężowski żupan, z uśmiechem myśląc o tym, że za skarby świata nie może namówić Żegoty na kupno nowego. Tak jakby stare odzienie stanowiło dla niego jakowyś talizman, w co zresztą szlachcic chyba naprawdę wierzył.

Nadolski, pochylony nisko, kończył czyścić szablę, oddając się mimowolnemu wspomnieniu o Wołochu Bardzie, ostatnim, którego nią położył. Z wdzięcznością pogładził stalowe pióro, lecz nie było w nim tęsknoty, aby znów użyć owego ostrza przeciw komukolwiek. Skończył się dla niego czas wojenny, a zaczęło życie, jak sam zwykł żartować, hreczkosieja^[4], co zresztą w smak mu było.

Wawrzyniec Sulatycki, z nieodłącznym w zimie kuflem grzanego piwa, studiował rozłożone na stole papiery sądowe. Już będąc rękodajnym u pana Dereśniaka z Rokietnicy, nabył biegłości jako jurysta. Pożytkował ją teraz w sporze z panem chorążym sanockim. Gmatwał i przedłużał sprawę, doprowadzając do tego, iż nijak pan Stano nie mógł dojść do egzekucji rzekomego długu. Bo też ani Żegota, ani też pan Wawrzyniec nie wierzyli, że istotnie Zośka Nadolska pod nieobecność męża zaciągnęła jakoweś zobowiązania. Jak było naprawdę, nie mogła jednak uprzednia żona Żegoty powiedzieć, jako że już od lat nie żyła. Wraz z dziećmi spoczywała teraz w kryptach bukowskiego kościoła, tak jak obiecał biskup Próchnicki.

Cmokał tedy Sulatycki, popijając piwo, mruzczał coś pod nosem i uśmiechał się do siebie, czytając kolejne pisma. Już w głowie układał złośliwe odpowiedzi, za których przyczyną tak sprawę wykreści, że aż w pięty najętym przez starostę sądeckiego prawnikom pójdzie. Radował się z tego, że jest potrzebny, a czasem, zerkając na zaokrąglony brzuch pani Agnieszki, wzruszał się tym, że już niedługo jeszcze bardziej się przyda. Samotny i bezdzietny, w duchu myślał o sobie jak o przyszłym dziadku, bo też i jak krewniaka najbliższego traktowano go w tym skromnym, szczęśliwym domu. Dlatego właśnie bez żalu porzucił Rokietnicę, wypowiadając służbę panu Dereśniakowi. Po tym, co przeżył i widział, niełatwo byłoby mu tam zostać.

Ogień w kominie strzelał wesoło, przyjemnie grzejąc izbę. Migotały płomienie ustawionych na stole kaganków. Chciał Żegota dać świece, aby widniej było pani Agnieszce, ale ofuknięty przez nią zdrowo na takie marnotrawstwo, prędko poniechał swojego zamiaru. Przyznać w duchu musiał, iż zapobiegliwą i oszczędną miał żonę, czego mało się spodziewał, mając w pamięci bogaty ród, z jakiego pochodziła. Czasem jednak daleko pada jabłko od jabłoni, za co w tym akurat wypadku można było Bogu dziękować. Prawdziwy ojciec pani Nadolskiej słynął bowiem z tego, iż ducha miał niespokojnego, charakter burzliwy i rękę ciężką, na co dowodem były głośne sądowe spory, w jakie wdawał się ustawicznie. Teraz

jednak pozostał dla córki odległym wspomnieniem, wcale niewzbudzającym w niej jakiegokolwiek tęsknoty.

Wolno i przyjemnie upływał czas przedwieczery, kiedy za oknem zmrok już zapadł, a księżycowe światło jasno odbijało się od śnieżnego bezkresu. Można by tak siedzieć w ciszy i do końca świata, ciesząc się ciepłem nie tylko od ognia bijącym, lecz także z serc tej milczącej trójki. Nie taki jednak plan zapisał dla nich los w księgach żywota na ów wieczór. A zaczęło się tym, iż do izby, dźwigając naręcze drewna, wszedł zasypany śniegiem Semko.

Żegota ponaglił go, by rychlej drzwi zamykał, patrząc przy tym z niepokojem na ciężarną żonę i myśląc, żeby też jej mrozem nie zawiąło. Pocztowy skwapliwie rozkaz wykonał, tupnął kilkakrotnie, otrzepując śnieg z butów, aż wreszcie ruszył ku kamiennemu kominowi. Rzucając kłody na podłogę, nawet nie spoglądając ku swemu panu, mruknął:

– Psy od Nadolan ujadają.

Wzruszywszy obojętnie ramionami, szlachcic wycedził niechętnie:

– Ujadają, to i ujadają. Noc idzie. Pewnie wilcy podchodzą.

– Na wilki to skowyczą bardziej – odpowiedział ze znawstwem i dosyć bezczelnie Semko.

Mógł sobie pozwolić na to z racji lat spędzonych z panem na wojnach i wspólne przeżycia, które wciąż jeszcze świeże miał w pamięci, a w szczególności te sprzed zaledwie dwóch lat, kiedy doszli pana Krasickiego na Sobieniu.

Nadolski machnął tylko ręką, nawet nie zamierzając wdawać się w zbędną dyskusję z pacholkiem. Ten jednak był uparty.

– Bejda wziął kozuch i poszedł popatrzeć, czy aby kto nie idzie.

Sulatycki, uniósłszy oczy znad papierów, prychnął:

– A kto by iść miał na taki zamróz? Toż sobie pohaniec umyślił! Na coś go posyłał?! W stajni mu siedzieć, a nie się szwendać Bóg wie gdzie!

Siedząc w kucki i podrzucając drwa, Semko, urażony widąc słowami starego, odburknął:

– Anim go posyłał, anim cokolwiek kazał. Sam polazł. Siłą trzymać miałem?

– Że w nim rozumu mało, to pojmuję, bo Tatar, ale żeś ty... – Pan Wawrzyniec nie dokończył, tylko upił piwa. Westchnął, wracając do leżących przed nim dokumentów.

Znów zapadła cisza. Pocztowny, skończywszy z paleniskiem, przysiadł na zydelku przy kominie. Rozpiął kozuch, zza pazuchy wyjął kozik i kawał patyka, a potem obojętnie zajął się struganiem. Miał dryg do tego, a z jego rąk wychodziły postacie zwierząt jak żywe albo też najprzeróżniejsze gwizdki i fujarki, które potem za nic dzieciom rozdawał.

Zerknęła na niego pani Agnieszka i uśmiechnęła się, pomyślawszy, że już niedługo jej własny syn albo też córka bawić się będzie owymi łątkami^[5]. Rozczuliło ją to tak, że aż dłoń z igłą złożyła na podołku, przerywając pracę. Zastygła, obserwując precyzyjne ruchy kozika, odsłaniającego w drewnie zająca. Przypomniała sobie, jak kiedyś Semko, objaśniając Sulatyckiemu, jakim sposobem tak zgrabnie potrafi strugać, zapytany odrzekł mu, iż on po prostu bierze gałąź i usuwa z niej to, co zbędne. Bo tylko dotknąwszy jej, wie już, co skrywa w środku. Zaiste była jakaś magia w talencie owego pachółka.

Pokiwawszy głową, pani Nadolska znów pochyliła się nad żupanem. Ciepło jej było i przytulnie tutaj pośród ludzi życzliwych, a Żegotę kochała prawdziwą miłością, jakiej dawniej zdało się jej, że już nigdy nie przeżyje. Zaiste dziwnie ułożył się jej los, który kiedyś przewidziała spalona w Sanoku wiedźma. Złe na dobre się odwróciło, a rozpacz zamieniła w nadzieję.

Tak niespodziewane i nagłe było gwałtowne szczekanie psów na podwórzu, aż ciężarna szlachcianka wzdrygnęła się przestraszona. Z ukłutego igłą palca pociekła drobna kropla krwi. Zaraz też pani Agnieszka przytknęła ranione miejsce do ust. Wtenczas jakieś dziwne uczucie niepokoju ją ogarnęło, tak jakby ów wypadek był zapowiedzią nieszczęścia. Było to nedorzeczne wręcz, lecz tak silne, iż odruchowo uniosła oczy, wbijając je w drzwi wiodące do izby. Tak samo zastygli

w bezruchu inni siedzący w przytulnej komnacie. Żegota mimowolnie ścisnął rękojeść swej czarnej szabli, a Sulatycki odsunął od siebie na wprost opróżniony kufel.

Wejście otwarło się, zawirowały płatki śniegu wpadające przez sień do izby, a pod niską framugą, schylając się, przeszła przez próg opatulona futrem postać. Za nią druga, barczysta i krępa, na koniec zaś Bejda, łatwy do poznania po spiczastej tatarskiej czapie.

Zatupotały ośnieżone buciory, zabrzmiały głębokie westchnienia ulgi, a kaptury opadły z głów niespodziewanych gości.

Uśmiechnął się Żegota radośnie na ten widok, prędko odłożył szablę, natychmiast powstając. Zabłyśły mu oczy wesoło. Pani Nadolska aż zerwała się z krzesła, zrzucając na podłogę całą swoją robotę. Jedynie Sulatycki pozostał za stołem, podkreścając węża i ruszając głową z niedowierzania.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zakrzyknął wesoło Werner Stiller, bo to on był jednym z niespodziewanych gości, a zaraz zawtórował mu William Murray, także wypowiadając pozdrowienie.

– Na wieki wieków! – odpowiedzieli chórem gospodarz z żoną, rzucając się, by witać przybyszów.

Uściskał Żegota oficerów serdecznie, poklepał wylewnie po ramionach, Semkowi zaraz kazał do wsi bieć, żeby baby do gotowania stawy sprowadził, sam zaś jął pomagać wędrowcom w zrzuceniu ciężkiego wierzchniego odzienia.

Dwornie przywitali się słudzy biskupa Próchnickiego z panią domu, komplementując ją, objęli po męsku starego pana Wawrzyńca, przygadując mu żartobliwie, iż coraz młodszym się zdaje, a potem, zarzuceni pytaniami, poprowadzeni do stołu, zasiedli wreszcie na honorowych miejscach. Zaiste w snach nawet państwo Nadolscy nie spodziewaliby się tej wizyty.

Bejda pobiegł prędko na podwórze, do piwniczki, do której klucze przekazał mu Sulatycki, nakazując jasno, co i skąd ma przynieść. A wskazał pan Wawrzyniec na najlepsze wina, tak rad był ze spotkania i wiedział, że Żegota za złe miałby mu, gdyby czym innym gości uraczył. Semkowi może

i wzdragałby się dawny rękodajny dać dostęp do loszku, lecz Tatar, jako że muzułmanin wierny, trzymał się od trunków z daleka. Nawet lata, jakie spędził w Rzeczypospolitej w służbie u Żegoty, nie wyplenily z niego owego pohańskiego obyczaju, który mało że i wbrew naturze, to i niezdrowy był przecie.

Zaraz też na stole zjawiły się dzbany i butle, otyły szlachcic w mig przyniósł kielichy z kredensu, a pani domu dała chleb i mięsiwa ze spizarki. W sam raz tyle, by na początek było, zanim zjawią się kucharki i przygotowują coś ciepłego.

Rozglądając się po izbie, Saksończyk uśmiechnął się lekko. Zerkając na gospodarza, zauważył:

– Urzędziłeś się tu, mości Żegota, jak u Pana Boga za piecem. Znać gospodarską rękę.

Nadolski skłonił się, odpowiadając:

– Waćpan nadmiernie łaskawy. Ot, dworek niewiele większy niż chałupa. Ale nie chwalc się, jeśli potrzeba zajdzie, to i dwakroć gotów jestem go powiększyć. Na razie starczy na naszą trójkę.

– Oj, zajdzie chyba potrzeba powiększyć niebawem – zauważył wesoło Murray, spoglądając wymownie na panią domu.

Kobieta pokraśniała zawstydzona. Odwróciła się, niby to wyglądając, czy Semko nie wraca już z kucharkami. Za to Żegota podkreślił dumnie wąsa. Wyraźnie zadowolony rzekł:

– I waszmościom przydałoby się już może usatkwować. Wszak mówiłeś waćpan... – popatrzył w kierunku Niemca – ...iż Jego Eminencja biskup Próchnicki stara się dla was o indygenaty. Teraz, po wyborze nowego króla, sprawa chyba łatwiejsza będzie? A potem jedynie jaki majątek wziąć w dzierżawę, żonę znaleźć...

Saksończyk pokręcił głową.

– Duży jest opór wśród szlachty przed poszerzaniem stanu. Są nawet głosy, aby tylko sejmową uchwałą można było to czynić, odbierając królowi ową prerogatywę. Nawet i jegomość arcybiskup na to zaradzić nie

może. Poza tym... – machnął ręką – ...król tyle co powołany, a sejm koronacyjny dopiero na styczeń wyznaczony. Inne sprawy i teraz, i później będzie miał na głowie.

– Król już *pacta conventa*^[6] zaprzysiągł, więc rychło założy koronę na skronie. A wówczas z pewnością będzie chciał nagrodzić zasłużonych, do których przecie wy, mości panowie, należycie – wtrącił Sulatycki.

Murray machnął na to tylko prawą dłonią.

– Nie ma o czym gadać, bo co ma być, to będzie. – Uśmiechnął się lekko. – Ani mnie, ani też Wernerowi nie w głowie jeszcze stateczne życie. Gdzie nam na wsi osiąść i żon szukać, szczególnie że i on, i ja dość niekompletni jesteśmy... – wymownie wskazał na zgrabnie wystruganą protezę lewej ręki – ...a i młodości nie pierwszej.

– Niejeden waszmościom i wigoru, i rozumu by mógł pozazdrościć – zaoponował pan Wawrzyniec.

– Aaa tam... – Saksończyk pokiwał zdawkowo głową.

By zmienić temat, zerknął na nieotwarte dotąd dzbany. Biorąc jeden z nich, stwierdził:

– Zamiast nas swatać, mości panie Sulatycki, nalalibyście wina, bo zdaje mi się, że przedniego węgrzyna tu wasz pacholek przyniósł. Męczy się zacny napój uwięziony w naczyniach. Pooddychać by chciał.

Zawstydzony pan Wawrzyniec jął natychmiast usprawiedliwiać swoją opieszłość a to wiekiem, a to zaćmieniem umysłu wynikłym z niespodziewanej wizyty.

Nalał solidnie, nie żałując też pani Agnieszce. W jej stanie dobry węgrzyn uważany był bowiem niemal za lekarstwo, które i krążenie krwi przyspiesza, i zdrowie wzmacnia.

Gwarno się zrobiło, kiedy goście zaczęli przekomarzać się z gospodarzem o toasty. W końcu Żegota wzniósł zdrowie oficerów, a ci w podzięcie przepili do niego, podnosząc kielichy za szczęście pani i pana domu.

Zaiste, przyznać musieli słudzy lwowskiego biskupa, że tak doskonałego tokaju dawno nie pili. Czas bowiem był taki, iż kupcy na potęgę fałszowali sprowadzane z Węgier wina, rozwadniając je. Celowali w tym zwłaszcza Żydzi. Im dalej od granicy, tym trunku w beczce przybywało, zamiast ubywać, a jego kolor zmieniał się z głębokiej miodowej barwy w zwyczajną słomianą żółć. Było to niczym odwrócenie cudu w Kanie Galilejskiej, co też bardzo sierdziło szlachtę, żądającą surowych kar dla fałszerzy.

Ocierając usta, Stiller zerknął na Żegotę. Pochylając się ku niemu, zagadnął:

– Pewnie zdziwiła waćpana nasza wizyta. Bo też zupełnie niezapowiedziani się zjawiliśmy.

– Uradowała mnie bardziej, niż zaskoczyła. Gdybym dowiedział się, że będąc w okolicy, poniechaliście odwiedzin moich skromnych progów, srodze byśmy się i ja, i moja żona zagniewali.

Niemiec skłonił w podzięce głowę.

– I nam, mości Żegota, przez myśl by nie przeszło nie odwiedzić starego przyjaciela, jeśli tylko jest ku temu okazja. A że posłał nas biskup Próchnicki w te strony, nie omieszkaliśmy się zjawić.

– W ręce waszmościów! – Nadolski uniósł puchar, stukając się ze Stillerm i z Murrayem. Tak samo uczynił też Sulatycki.

Wypiwszy, odstawili kielichy. Saksończyk otarł wierzchem dłoni sterczące wąsiki. Pokiwawszy głową nad smakiem przedniego wina, popatrzył na gospodarza. Westchnawszy, rzekł:

– Nie tylko jednak atencja przywiodła nas do waszmości. – Zmrużył lekko oczy. – Pamiętam wszakże o obietnicy, którą waćpanu dałem na Sobieniu.

Nalewając gościom węgryna, Żegota odpowiedział:

– Wiem, bo przecie dostałem jesienią list od waćpana, który mi Kozak pana stolnika lwowskiego Jakuba Fredry^[2] przywiózł.

– Niewiele w tym liście wszakże było, z którego to powodu wstyd mi niezmiernie. Tyle tylko, że ów Murtaza zmarł kilka lat temu. Ale też w listopadzie dowiedziałem się więcej, tedy skorzystałem z okazji, by samemu waszmości nowiny przywieźć.

Pochylił się w stronę Nadolskiego, lekko mrużąc oczy.

– Zdarzyło się bowiem tak, iż do biskupa Próchnickiego przybył zakonnik trynitarzski z Włoch, który właśnie powracał był z Krymu. Słyszałeś może waszmość o tym zgromadzeniu?

Szlachcic pokręcił głową. Niemiec, widząc to, wyjaśnił:

– To zakon, który jeszcze od czasów wypraw krzyżowych zajmuje się wykupem jeńców z rąk pogan. Ów braciszek, leciwy już, lecz wciąż żwawy, o imieniu Jan, będąc wśród Turków, spotkał wielu niewolników z Rzeczypospolitej pochodzących. Zebrał wieści o nich, czasem listy, a potem wyruszył do Polski. Wszystko to złożył na ręce Jego Eminencji biskupa, dużo mu też opowiadając o niedoli, jaka jest udziałem owych nieszczęśników. Nalegał, aby czym prędzej ruszyć im z pomocą, zbierając niezbędne dla wykupu środki. – Saksończyk zamyślił się na chwilę. Pokręciwszy głową, dodał: – Przydałby się i w Rzeczypospolitej takowy zakon. Bo teraz to tylko przez kupców ormiańskich albo też Żydów szuka się naszych ludzi u pohańców, co sam wiesz waszmość, jak się często kończy. Rodzina pieniądze na wykup daje, a oszust przechera znika z nimi bez śladu. Ileż razy to widziałem. Gdyby zaś trynitarzy do nas sprowadzić, to inaczej pewnie by to wszystko było.

Machnął dłonią, uśmiechając się smutno.

– Może kiedyś ktoś do nas owych braciszków zaprosi. Ale nie o tym chciałem mówić, bo nie od nas to rzecz zależna. Jak rzekłem, dużo ów zakonnik o swoich peregrynacjach opowiadał, a wśród nich i o wizycie, jaką złożył przed laty w domu owego Murtazy z domu Argynów, do którego, wedle słów waćpana, owa mała Miriam miała trafić.

Skupione spojrzenia Żegoty oraz pani Agnieszki wbiły się w Saksończyka. Zamarli, niecierpliwi dalszych słów gościa.

– Powiadał więc ten mnich, że parę lat temu, gdy był na Krymie, dostał pewną wiadomość, iż możny murza za bezcen wyprzedaje wszystkich swoich niewolników, wśród których są i dzieci chrześcijańskie. Udał się więc natychmiast do jego pałacu, aby misję swą spełnić i w ten właśnie sposób poznał Murtazę.

Żegota, przełknąwszy ślinę, zbladł. Odruchowo sięgnąwszy po kielich, wypił kilka łyków, a potem ponaglił:

– Mów waćpan.

– Posłuchaj więc dalej, panie Żegota. Braciszek Jan rzekł mi, iż kiedy ujrzał pohańca, ten we włosiennicę był odziany, sznurem przepasany i jak dziad proszalny wyglądał. A przy tym od jego sług się dowiedział, że mimo majętności o chlebie i wodzie wyłącznie żyje, od święta tylko pozwalając sobie na jaki owoc. Jedzenie mięs w ogóle zarzucił. Przy tym modlił się cały czas, w palcach obracając tamtejszy różaniec, co go subha^[8] zwą. Niestety, braciszek Jan usłyszał także, że Murtaza już wszystkich swoich niewolników wysprzedał albo też i wolno puścił. Na niczym więc skończyła się zbożna misja, którą zakonnik zamierzał wykonać.

Schwyciwszy Saksończyka za rękę, Nadolski zapytał gwałtownie:

– A co z dziećmi?

– Tego niestety nie wiedział ów trynitarz. Za to co innego, wypytany przeze mnie, powiedział. Otóż, jak rzekł, zaciekawiony tym, jak to się stało, że tak nabożnie, niczym asceta jaki chrześcijański, żyje możny tatarski pan, podpytał jego pachołków. Niewiele chcieli mówić, ale z tego, co mu rzekli, zrozumiał, iż doszło do jakowegoś nadprzyrodzonego zjawiska, które całkiem odmieniło folgującego sobie dotąd murzę. Sługi twierdziły, że pewnego razu, kiedy ich pan udał się z wieczora do swojego seraju, objawił mu się anioł Malik^[9] i oznajmił o czekających go po śmierci mękach, o ile nie zaprzestanie swych lubieżnych i sprzecznych z naturą uczynków. Nakazał także rozpuszczenie niewolników i pokutę, którą odbywać miał do końca swych dni. Tak przeraził murzę wizją palącego go po śmierci ognia, że ten trzy dni przychodził do zmysłów. A potem oddał się umartwianiu, błagając ichniejszego Boga o wybaczenie mu wszelkich złych uczynków.

– Nie może być! – Pani Agnieszka aż przysiadła na krześle.

– Mówię, co sam słyszałem, mości pani Nadolska. Murtaza oddał wszystkich swoich niewolnych, w tym także owe dzieci, które trzymał w seraju. Jest więc nadzieja, że wśród nich mogła być i ta Miriam, której poszukiwania zlecił nam jegomość Żegota.

– Co robić w takim razie? – Kobieta rozłożyła ręce.

– Już powiadam. – Stiller odwrócił się w jej stronę. – Jak tylko powziąłem wieści o tym, natychmiast znalazłem we Lwowie kupców ormiańskich, którzy szykowali się do drogi na wschód. Z polecenia biskupa, jego złotem ich opłacając, nakazałem, żeby jeszcze raz rozpytali na Krymie, a szczególnie poszukali dawnych sług Murtazy i od nich jakoweś wiadomości pozyskali. Nie wiem, na ile się to zda, ale jest nadzieja, że dziewczka żyje gdzieś i może uda się ją odnaleźć.

– Bogu niech będą dzięki! – Żegota wzniosł oczy. – Tyle tylko dla jej nieboszczki matki zrobić możemy. Bo chociaż Żydówka i wiedźma, to przecież życie mi uratowała, a bez jej pomocy to i sprawa z panem Krasickim różnie mogłaby się zakończyć.

Niemiec skinął głową.

– Wiem, waszmość. Bo chociaż sam mało w nadprzyrodzone rzeczy wierzę, bardziej uznając, iż zawsze za nimi jakiś człowiek stoi, to muszę w tym razie przyznać ci rację. Nie zapominam o danym ci, mości Nadolski, słowie i co mogę, robię, by je wypełnić.

– Oby Bóg dał! – rzekł, westchnąwszy, Sulatycki.

Zamilkli wszyscy, wążąc w głowach to, co opowiedział Saksończyk. Dawało nikłą nadzieję na odnalezienie zaginionej córki Ryty, choć dalej było to niczym szukanie igły w stogu siana.

Dłuższa chwila minęła, nim odezwał się Murray, zmieniając przywołujący złe wspomnienia, ciężki dla wszystkich temat:

– Jak tam wiedzie się waszmości w procesach z panem chorążym sanockim? Kiedy Jego Eminencja arcybiskup rozmawiał z prowincjałem paulińskim Marcinem Gruszkiewiczem^[10], ten opowiedział mu, jak to pan

Jerzy Stano żalił mu się na niemożność odzyskania długu od waćpana. Prawda li to?

Żegota machnął obojętnie ręką. Zamiast niego odpowiedział pan Wawrzyniec:

– Najpierw musiałyby dowieść, że jest jakowyś dług, bo dokumentów na to żadnych nie ma. Jedynie zeznania świadków kupionych.

– To czemu taki zajadły?

– Bo Wygnanka mu się marzy jako część Nadolan. Wziął w dziele sprzed ośmiu lat Jędrzyzkowiec^[11] i Nadolany właśnie. Mało mu jeszcze, łykowi krakowskiemu^[12].

– Widzę, że waszmość *Liber chamorum*^[13] czytujesz. – Stiller się uśmiechnął.

– Broń Panie Boże! – Sulatycki uniósł ręce. – Więcej szkody niż pożytku z owej księgi, a pan Trepka zacnych ludzi w swym dziele spotwarzył.

Od razu pojawił Saksończyk, iż nie zamierza stary rękodajny podważać pochodzenia chorążego sanockiego, co mogłoby być karkołomne i przynieść oplakane skutki. Niemniej złośliwe sugestie wiele zdziałać mogły pośród panów braci, szczególnie tych biedniejszych, którzy za zły los winili właśnie takich oszustów, nieprawnie się herbami pieczętujących. Prędko też pan Wawrzyniec zmienił temat, pytając:

– A waszmościom to dokąd droga, skoro jejmość Stiller powiedział, że z rozkazu biskupa Próchnickiego jedziecie w te strony?

Oficerowie popatrzyli się po sobie, a miny zrzedły im nieco. Wreszcie Niemiec wyjaśnił:

– Do Zatwarnicy^[14] jedziemy.

– A czemu to Bóg was prowadzi na takie odludzie?

Saksończyk westchnął ciężko. Nie zaczął jednak, gdyż właśnie w tej chwili do izby Semko wprowadził dwie baby, które natychmiast pani Nadolska zabrała do kuchni, wyjaśniając prędko, co mają czynić.

Zrobiło się pewne zamieszanie, na czym skorzystał Sulatycki, dolewając wszystkim tokaju. Krzyknął przy tym na Bejdę, aby nie siedział

bezczyinnie, jeno po drewno poszedł i do komina dołożył. Kilka dobrych chwil i kielichów minęło, nim pani Agnieszka powróciła wreszcie do stołu. Niemiec nie zaczął swej opowieści, wiedząc, że pewnie i gospodyni będzie jej ciekawa. Kiedy wreszcie zasiadła, Stiller umoczył usta w węgrzynie i rzekł:

– Zacząć muszę od tego, co ogólnie teraz się dzieje w naszym województwie i co kamieniem ciąży na sercu Jego Eminencji. Wybaczcie mi ten przydługi wstęp, ale bez niego niełatwo byłoby mi objaśnić charakter naszej misji. Otóż, jak pewnie wiecie, patriarcha jerozolimski Teofan^[15], wracając z Moskwy, wyświęcił potajemnie w Kijowie nowych biskupów prawosławnych, odnawiając tym samym wschodnią hierarchię duchowną w Rzeczypospolitej. Jednym z powołanych w roku 1620 biskupów został Izajasz, co na nazwisko mu jest Kopiński-Borysowicz^[16]. Zaraz też nowi biskupi z Moskwą zaczęli się układać, a szczególnie ów Izajasz, wołając o wsparcie przed rzekomymi prześladowaniami. By nie jątrzyć sprawy, długo przymykano oko na jego działania. Aż wreszcie w zeszłym roku, kiedy zmarł metropolita Hiob^[17], Izajasz obwołał się bez zgody króla jego następcą. Tego było za wiele, bo jawnie już prawie rozpoczął z carem i moskiewskim patriarchą pertraktować, przeciw ustalonemu w Rzeczypospolitej porządkowi działając. Postanowiono więc na sejmie w Warszawie, że owych wyświęconych przez Teofana biskupów prawosławnych należy odwołać, a król wskaże nowych. Metropolitą kijowskim został Piotr Mohyła^[18], człek stateczny, wyważony, do spokoju dążący, nie zaś do sporów pomiędzy unitami i tymi, co unii nie uznają. Król zdjął z urzędu Izajasza, co też władcyce nie w smak wcale, dlatego podburza jak może Rusinów, szczególnie zaś Kozaków i drobną szlachtę, aby mu wierności dochowali i nie dopuścili do objęcia przez Mohylę urzędu.

– W rzeczy samej – przyznał Nadolski, kiwając głową – burzą się Rusini, szczególnie zaś na to, że nowych cerkwi nie mogą stawiać, a także za sprawą władzyki przemyskiego Anastazego Krupeckiego^[19], który prawem i lewem sobie poczyna, zgarniając dla siebie majątności klasztorne.

– Ale też i dlatego, że mu prawosławni otwarcie posłuszeństwo wypowiedzieli i nieraz zbrojnie napadali! – zaoponował Sulatycki.

– Prawda, że trudno którejś ze stron rację przyznać – skwitował Żegota.

Stiller pokiwał głową, jako że znane mu były wszystkie te sprawy.

– Od lat spierają się pomiędzy sobą Rusini, a rzymscy katolicy z prawosławnymi. Rzeczpospolita tylko traci na tym, że brak jest jakiegoś stałego zamysłu, co z owym problemem uczynić. Raz uległość, raz surowość. A przy tym coraz więcej rodów ruskich na rzymską religię przechodzi, jak choćby w tym roku kniaź Jarema Wiśniowiecki^[20]. Szlachta prawosławna widzi, że nie ma już swoich możnych patronów, a po nich pozostaje pustka. Nie dziwota więc, że ku Moskwie się ogląda. Powiada jegomość arcybiskup Próchnicki, iż marnie się to dla Rzeczypospolitej skończy, albowiem pojedyncze bunty są oznaką tego, że zbliża się nieszczęście, które zatrzęsie posadami naszego kraju. Jeśli nikt temu nie zapobiegnie, mówi, biada naszej nieszczęsnej ojczyźnie.

– Zaiste święte słowa – zgodził się Nadolski. – Lecz tu senatorskich głów trzeba, a nam cokolwiek zaradzić trudno.

– Prawda – wtrącił Murray. – Ale też od drobnych spraw duże się zaczynają. Każdy bunt ma swoją długotrwałą przyczynę, lecz zapłonem bywa jedna iskra, która ludzi ku szablom i rusznicom skłania. Weźmy na ten przykład Semena Nalewajkę^[21], który za śmierć ojca się mszcząc, Kozaków podburzył. Dlatego gasząc małe spory, czasem i wielkim można zapobiec.

– I to waszmościów zadanie? – zaciekawiała się pani Agnieszka.

Stiller lekko się uśmiechnął.

– Naszą rolą jest jedynie dowiedzieć się, o co chodzi i kto stoi za zdarzeniami opisanymi w liście proboszcza z Leska Magnusa Nijowskiego do arcybiskupa lwowskiego. A jeśli Bóg da, to nastroje ludzkie nieco uspokoić.

– Ten sam Nijowski, co się z Janem Balem o najazd na kościół w Hoczwi procesował^[22]? – Sulatycki zerknął z zainteresowaniem.

– Tak, tenże jezuita. A przy tym człowiek mocno po ziemi stąpający, tym więcej więc jego list tyżący nadprzyrodzonych zdarzeń był interesujący.

– Opowiadaj waszmość! – ponagliła, nie mogąc się doczekać, pani Nadolska – Co w owym liście stało?

– Jest owa wieś, którą zwą Zatwarnicą, majątnością pana Eryka Herburtu. Ale też nie do końca całą rządzi, są bowiem przy niej przysiółki wypuszczone innym na własność albo w dzierżawę. I tak za Sanem jest niewielki folwarczek Sikawiec^[23], trzymany jako własny przez trzech braci, którzy zwą się Zatwarniccy. Wszyscy prawosławni, co zresztą nieraz pokazali, występując w buntach przeciw Krupeckiemu. Obok samej Zatwarnicy jest inny przysiółek, puszczone w dzierżawę, który zwie się Bałwańskie^[24]. Tam znów gospodarzy niejaki Rudyłowski. Ważne, że wieś z przysiółkami jest ruska i prawosławna, a chłopci w niej żyjący jak jeden słuchają dyzunickich popów z tamtejszej cerkwi. Ci zaś są zwolennikami dawnego metropolity kijowskiego Izajasza, a także wspieranego przez niego władcyki przemyskiego Wawrzyńca Terleckiego^[25]. Nic w tym nie byłoby dziwnego w tych stronach, gdyby ów wspomniany przeze mnie Hieronim Rudyłowski nie przechrzczył się na rzymski katolicyzm. Solą w oku stoi więc Zatwarnickim, tym bardziej że sami mieli ochotę Bałwańskie w dzierżawę wziąć, mając już Sikawiec na własność.

– Zwyczajna na razie rzecz – skwitował Żegota.

– To słuchaj waszmość dalej. – Na ustach Stillera pojawił się tajemniczy półuśmieszek. – Ów Rudyłowski trzy lata temu przeniósł się z innego dzierżawionego od Herburtów majątku, nieważne gdzie, kiedy odumarła go żona. Miał tylko jedną córkę, także ochrzczoną już w rzymskim obrządku, która jednak, jak pisał Nijowski, niemotą jakowąś była, co ani mówić składnie nie potrafiła, ani też zajęć jakichś się nie miała. Ale była ojca oczkiem w głowie. Wszystko, zdałoby się, gotów byłby dla niej uczynić. Zresztą zwykle tak bywa, kiedy kto późno ojcem zostaje... – Mimowolnie zerknął na panią Nadolską, co nie uszło uwagi Żegoty. – W każdym razie żył sobie pan Rudyłowski i gospodarzył spokojnie przez pierwszy rok w Bałwańskim. Za nic miał złościwości, które mu prawosławni na początku

czynili, później zaś zyskał względy chłopów ze swego majątku, bo też uczciwie ich traktował, nie wyzyskiwał nadmiernie, ani też ciężarów niepotrzebnych nie nakładał. Drugi to już był powód do gniewu ze strony braci Zatwarnickich, którzy swoich włościan srodze uciskali. Nie dziwota tedy, że chłopci z Sikawca z zazdrością spoglądali na swoich sąsiadów zza rzeki, a niejednemu do głowy przychodziło, że chociaż rzymski katolik tam rządzi, to przecież uczciwszy i łaskawszy od tych panów, z którymi co niedziela w cerkwi się spotykali. A jak przyszło jeszcze następnego lata do tego, że potok Sikawka wylał, niszcząc część pól Zatwarnickich, to jawnie zaczęła się czerń^[26] oglądać, czy aby jakaś niełaska boska trzech braci nie dotknęła za jakoweś grzechy. Łatwo bowiem prostym ludziom w głowach rodzą się najróżniejsze bajki, kiedy ich nieszczęście dotyka. Wtedy też, puszczane najpewniej przez Zatwarnickich i ich sługi, pojawiły się pierwsze plotki o tym, jakoby Rudyłowski zaprzedał duszę diabłu i dlatego wiarę przodków porzucił. Czart zaś, służąc mu w zamian, ochronił jego grunta przed powodzią. A cała jego pozorna dobroć to jeno wodzenie ludzi na pokuszenie. Prawda o apostazji, jak pisał jezuita Nijowski, inna była, a słyszał ją od samego Rudyłowskiego. Przez lata szlachcic nie mógł dochować się potomstwa, choć pościł i modlił się, na msze dawał, pielgrzymował. Aż kiedyś wyczytał, jakoby to za sprawą Świętego Idziego narodził się królowi Hermanowi syn, Bolesław, zwany później Krzywoustym^[27]. Pomyślał, że i jemu święty łaski udzieli. Ale że rzymskokatolicki to był patron, więc przechrzczył się pan Rudyłowski, zanim poszedł na pielgrzymkę do Krakowa, gdzie się kościół przez Władysława Hermana ufundowany znajduje. Modlił się tam żarliwie, a kiedy do domu wrócił, niewiele dalej jak dziewięć miesięcy później żona powiła mu córkę.

– Prawda to, że Święty Idzi na takie sprawy najlepszy. – Sulatycki pokiwał głową.

Niemiec jednak nie wrócił już do tego tematu. Mówił natomiast dalej o wypadkach, jakie zaszły w Zatwarnicy.

– Jak rzekłem już, ta córka, Anna Rudyłowska, dziwna była. Napisał ksiądz Nijowski, że pewnie niespełna rozumu, ale w Sikawcu zaczęto

opowiadać, że to czarownica. Ponoć widziano ją, jak z rana biegała w koszuli samej po rosie albo też do drzew się tuliła. Od ludzi stroniła, jakby się ich bała. Za to do lasu jak do siebie chadzała, a wszelkie, nawet najdziksze stworzenie garnęło się do niej. Kiedy znalazła jakieś ranione zwierzątko, do domu brała i leczyła, aż całkiem ozdrowiało i wypuścić je mogła. Zdało się, że ludzkiej mowy nie znając, z każdym innym stworzeniem potrafi gadać.

– Dobrze musi być dziecko – stwierdziła pani Agnieszka, gładząc się przy tym z obawą po brzuchu.

W duchu pomodliła się, by na nią nie przyszedł jakowyś dopust boży za kłamstwo, w którym żyła. Nawet pamięć o udzielonym przez biskupa Próchnickiego odpuście niewiele pomogła na ten lęk.

Murray popatrzył na nią, westchnął i wycedził ciężkim głosem:

– Nie darmo Werner mówi, mości pani Nadolska, że była.

– O Jezu! – zająknęła się ciężarna kobieta i przeżegnała nabożnie. – Skrzywdzili ją?

Niemiec pokręcił głową.

– Nie za sprawą ludzi, a wyrokiem Opatrzności to się stało. Zaraza w tym roku wiosną przyszła. W czerwcu jej się umarło, świeć Panie nad jej duszą.

– Takie nieszczęście! – załkała gospodyni, znów chwytając się za krągły brzuch.

Żegota z niepokojem popatrzył na żonę, niekontent z emocji, jakie przeżywa. Bał się, iż dziecku mogą zaszkodzić. Przesunął się bliżej, kładąc jej rękę na ramieniu. Tymczasem Stiller znów zaczął opowieść.

– Zmarło jej się, jak rzekłem, w czerwcu. Niby zwyczajna rzecz, że jak morowe powietrze przyjdzie, to dzieciom najbardziej szkodzi. Na nic jednak takie rozumowanie zrozpaczonemu rodzicielowi było. Napisał ksiądz Nijowski do biskupa, że całkiem z tej żałości oszalał pan Rudyłowski. Szatę pokutną przywdział, gospodarstwo zarzucił, w domu się zamknął. To jeszcze ludzie może potrafiliby zrozumieć. Ale tego, iż córkę pochować kazał nie na cmentarzu, lecz za wsią, na górce, na której krzyż

stoi, tego nikt pojąć nie mógł. Nasiliły się więc plotki, iż jej ciała ziemia święcona pewnie by nie przyjęła. A Zatwarniccy tylko je podsycali. Jezuita w swym piśmie do Jego Eminencji wyjaśniał, że ów pagórek widoczny jest z domostwa, gdzie mieszkała zmarła, i stąd jej rodzic dał taki rozkaz, ale dla wieśniaków żadne to było wytłumaczenie. Grób poza cmentarzem był dla nich widomym znakiem, iż Anna Rudyłowska z nieczystym miała do czynienia. Rozpacz zaś ojca opętaniem jakowymś poczęli sobie tłumaczyć.

– Tfu! – splunął Sulatycki. – Hołota bezrozumna!

Saksończyk wzruszył ramionami.

– Może i tak. Słuchaj jednak waszmość dalej. Nie minęły dwa tygodnie od pogrzebu nieszczęsnej dziewczynki, kiedy wieść po wsi i przysiółkach się rozniosła, iż panienka z grobu powstaje i nocą pomiędzy chałupami chadza. Bydło kaleczy, ludzi straszy, jęczy i płacze, nieszczęście przynosząc. Niektórzy nawet powiadali, że do swego domu się zakrada, gdzie ojca nawiedza, który wiedząc przecie, że martwa, za nic ma boskie prawa i gości ją u siebie.

Pani Nadolska odruchowo się przeżegnała. Cisza zapadła taka, że tylko płonące drwa w kominku słyhać było. Stiller zamilkł na moment, wpatrując się w ogień. Zimowy wieczór sprzyjał wszelakim lękom, pobudzając wyobraźnię do najstraszliwszych nawet rojeń. Popatrzwszy po siedzących, Murray chrząknął, zawiercił się na krześle, aż wreszcie rzekł:

– Zabobony to przecie, bo chociaż sam niejedno na oczy widziałem, jednak ta historia od razu zdała mi się z gruntu niedorzeczna. Ale ludzie tutaj podatni na przesady wszelakie. Choćby w Niebocku znana sprawa, że tak chłopi poszaleli, iż każdego zmarłego traktowali jak upiora, który miałby z grobu powstać. Proboszcz tamtejszy do tego stopnia się z tego powodu rozsierdził, iż sakramentów im wszystkim odmówił i pokutę surową na nich nałożył. Bo jakże na to mógł się godzić, że nocą na cmentarzu groby rozkopywali, kołki trupom w piersi wbijali lub głowy odrąbywali? Albo też praktykom heretyckim się oddawali, żeby strzygi odegnąć^[28].

– Daj pokój, waszmość – przerwał pobladły nagle Żegota.

Łatwo przyszło mu wspomnienie, jak potraktowali chłopci ciała Zośki i jego dzieci. Ciężkie to były myśli, do których nie chciał wracać, taki ból mu wciąż jeszcze sprawiał. Od razu zrozumiał to Stiller i ciągnął swą opowieść.

– Strach padł na Rusinów z Zatwarnicy. Popa wezwali z Dwernika, który ze świętobliwości słynie, żeby im chałupy, obejścia i pola pobłogosławił, od złego broniąc. Sami bracia Zatwarnicy go przywieźli, szepcząc do ucha swoje opowieści. Może nawet złotem go trochę podjudzili, ale tego to już ksiądz Nijowski nie pisał. W każdym razie przyjechał ów pop, zrobił, co miał zrobić, a potem do ludzi w cerkwi przemówił. A że znany to zwolennik Izajasza, zaraz w małą rzecz dużą zaplątał. Ogłosił więc, że wszystko to za sprawą złych duchów, które tu z rzymskimi katolikami przysły. Stwierdził, iż gdyby wszyscy trzymali się swej prawosławnej wiary, nigdy złe nie miałyby do wsi przystępu. Na koniec zaś wezwał, aby słowem i czynem każdy prawowierny Rusin wspierał najświętszą Cerkiew, nie bacząc na nic, albowiem miłe jest Bogu, kiedy heretykom daje się odpór. Bardziej jasno wezwać do buntu ich nie mógł.

– I pewnie dwór Rudyłowskiemu spalili, a jego przegnali? – ni to zapytał, ni to podsumował Sulatycki.

Niemiec pokręcił głową.

– Tak łatwo im nie poszło. Wzięli co prawda Zatwarnicy parobków z pochodniami i widłami, żeby to uczynić, ale też sprzeciw napotkali. Raz, że sługi Rudyłowskiego odpór dały, strzelając z okien, a dwa, natychmiast przyszedł mu w sukurs ów administrator herburtowy, pomny pańskiego rozkazu, w którym mu właściciel pilnować porządku polecił. Zebrał swoich pacholków i chłopstwo rozegnał. Widząc, że sprawa się nie powiodła, bracia Zatwarnicy za rzekę do siebie uszli.

– Chwała Bogu! – wysapał pan Wawrzyniec.

Stwierdziwszy, że doskonała to okazja, aby przepić do gości, wzniosł kielich. Ci także przechylili swoje puchary, bardziej niż wilżąc tylko usta.

Ocierając wąsy, Saksończyk cmoknął z zadowolenia nad smakowitym napojem. Prędko też dolał mu Sulatycki, ale tym razem oficer nie skorzystał

już, tylko wrócił do opowieści.

– Prawda, że na chwilę przyszło uspokojenie na ludzi. Ale nie na długo. Sprawa zaś coraz głośniejsza się stawać poczęła, tak że już w innych miejscach prawosławni się na nią powoływali, mówiąc, jaką też szkodę przynosi na ruskich ziemiach rzymskokatolicka religia. Ba! Dowodzili popi nawet, iż przez to właśnie i wśród Rusinów wiernych upiory się przytrafiają, albowiem to rzymscy chrześcijanie klątwy na nich rzucają. Tak też i Zatwarniccy na szlacheckich zjazdach powiadali, zyskując poklask Chłopeckich, Turzańskich, Lityńskich, Winnickich, Błażowskich, Ustrzyckich, Jasienickich, Kobyłańskich, a nawet i pozostających wiernym prawosławiu Rudyłowskich^[29]. Przyjechał ksiądz z Leska do Zatwarnicy dla uspokojenia sytuacji, ale tylko bardziej ją zaognił, samemu pognanym zostawszy. Nawet zresztą z Rudyłowskim pomówić nie zdołał, bo go do dworu w Bałwańskim nie wpuszczono, wyjaśniając, że pan wciąż chory i gości nie przyjmuje. Popi z miejscowej cerkwi głosić z kolei zaczęli, że tylko dla wzmocnienia klątwy przybył i upiór przez niego jeszcze większą moc zyskał.

– A niech ich, heretyków, diabli wezmą! – zaklął stary rękodajny, zaraz też oglądając się, czy aby pani Nadolskiej nie uraził zapalczywym słowem. Ta jednak w ciszy czekała na dalszą część historii.

Przyglądając sterczące wąsiki, Stiller pokręcił głową.

– Nie tak prędko, mości Sulatycki, gdyż, jak prawi biskup Próchnicki, w czym trudno mu racji nie przyznać, na wspólne mieszkanie na tej ziemi skazani są ludzie różnej wiary. Wzajemne wyklinanie nikomu dobrego nic nie przyniesie, a tylko ze szkodą może być dla Rzeczypospolitej. Uładzić trzeba sprawę, nie zaś rozjątrzać. Może i nawet czasem ustąpić. Wszak już Zygmunt August powiadał do posłów na sejmie, iż nie jest królem ludzkich sumień^[30]. Zmieniło się wiele od tych czasów, lecz nie na lepsze. Tam zaś, gdzie przymusem próbuje się działać, łatwo też opór wywołać. Odmienna wiara zawsze podsycyca nienawiść inną przyczyną wywołaną. Bo przecie nawet i w tej historii chodzi Zatwarnickim o dzierżawę Bałwańskiego. Dla

własnej korzyści są jednak gotowi ludzi pomiędzy sobą poróżnić, na religię się powołując.

– To niech im Herbut da ową dzierzawę, a Rudyłowskiego gdzie indziej przeniesie.

– Nie nam radzić panu Erykowi Herburtowi, co ze swoją własnością ma czynić. To już głowa arcybiskupa ze Lwowa. Pozwólcie jednak mości państwo, że skończę wam całą historię, to jeszcze bowiem nie jest jej finał.

Żegota, pani Agnieszka i pan Wawrzyniec mocniej pochylił się nad stołem, a Semko i Bejda, niby obojętnie przed kominkiem siedzący, nadstawili uszu.

– Chłopi dalej skarżyli się wszem wobec, że upiór wieś nawiedza i szkody czyni. Aż w końcu do takiej desperacji przyszli, iż baczów^[31] wezwali...

– Zawsze tak się to kończy! – Nadolski zazgrzytał zębami, przerywając Saksończykowi.

Odczekawszy chwilę, oficer podjął opowieść.

– Do tej chwili wszystko zdaje się jasne. Ktoś plotki rozsiewa, aby innemu zaszkodzić, a lud ogłupiały chwyta je i za prawdę uważa. Sprawa może by przyschła po jakim czasie, jak to zwykle bywa. Ale posłuchajcie, co jezuita Nijowski na koniec biskupowi Próchnickiemu napisał. Otóż przybyło dwóch baczów zza węgierskiej granicy, znanych ze swych umiejętności. Chłopów w sile wieku, postawnych, odważnych. Dali im miejscowi poczęstunek, lecz nie skorzystali z zaproszenia. Zamiast tego świece zapalili i modlili się do późna. Przed samą zaś północą ruszyli z łopatami na górkę, gdzie pochowana była dziewczynka.

– Przenajświętsza panienko! – wyrwało się pani Agnieszce, która przestraszona położyła dłonie na policzkach.

Pokiwawszy głową i westchnąwszy, Stiller mówił dalej:

– Wieśniacy otoczyli dworek Rudyłowskiego, aby ani on, ani jego sługi przeszkody żadnej czarownikom nie czynili. Czekali, sądząc, że baczowie sprawę z upiorem rychło zakończą. Z czernią zaś byli i wszyscy trzej

Zatwarniccy, co pamiętać należy. Nadeszła północ. Jak pisał ksiądz Nijowski, ciemna tak, że od dworu człek nie widział, co dzieje się na górcie pod krzyżem. Tylko pochodnie baczów były znakiem, gdzie są. Potem zaś z tego miejsca rozległ się przeraźliwy krzyk, który zmroził wszystkim krew w żyłach. Kilka chwil trwał zaledwie. Żagwie czarowników zgasły i nastąpiła cisza. Ludzie zaś zamarli, czekając w przerażeniu, co będzie dalej...

Od drzwi kuchennych pojawiły się baby, które niosły gorącą misę z gęstą polewką odgrzaną naprędce. W pół słowa przerwały tym Stillerowi. Przez chwilę zrobił się rozgardiasz za sprawą ustawiania na stole naczyń, rozdawania łyżek i dzielenia chleba. Dopiero kiedy kucharki zniknęły, pochylony nad strawą Saksończyk zapytał:

– Nie wiem, czy mam teraz kończyć historię, czy też chcecie, aby się w spokoju posilić. Jak sobie życzycie, mości pani Nadolska?

Równie przerażona, jak zaciekawiona gospodyni zachęciła:

– Jeśli to waćpanu nie będzie przeszkodą w posiłku, to mów waszmość.

– Zgoda. – Niemiec uniósł kąciki ust. – Rozwodzić się długo już nie zamierzam.

Zaczerpnął łyżką zupy, pochwalił jej smak i sytość, a potem zaczął:

– Do świtu chłopstwo z Zatwarnickimi czekało, bojąc się iść na górkę. O brzasku dopiero poszli najodważniejsi pod wodzą jednego z braci z Sikawca. Ujrzeni to, co się nocą wydarzyło. Grób nieszczęsnej Anny Rudyłowskiej był ledwie łopata tknięty. Prawie nienaruszony. Krzyż stał, tak jak i wcześniej. Obok zaś leżał pierwszy martwy bacza.

Niemiec, jak gdyby nigdy nic, przełknął kolejną porcję stawy. Podobnie i Murray niewiele się przejmował znaną mu już opowieścią, żwawo pałaszując zupę. Łyżki pozostałej, znieruchomiałej trójki zawisły nad miskami.

Nabierając kolejny łyk polewki, Saksończyk objaśniał rzeczowo:

– Sprawa dokładnie została opisana przez woźnego^[32]. Tak tedy jeden z baczów głowę miał całkowicie od korpusu oderwaną, zaznaczam, nie

odciętą, lecz oderwaną, brzuch rozpruty, aż trzewia mu wyszły, ręce i nogi poszarpane do kości.

– Panie Boże Wszchemogący! – Pani Nadolska, odłożywszy łyżkę, przeżegnała się po raz kolejny.

– Oszczędzić jejmości szczegółów? – zapytał Saksończyk.

– Mów waszmość dalej – odparła pani Agnieszka zdecydowanie mimo wymownego spojrzenia męża.

– Drugiego pod lasem znaleźli jakieś dwieście kroków dalej. Po ziemi był ciągnięty, o czym świadczyły ślady. Tak samo poszarpany, ale z głową na miejscu. Kark jednakowoż miał skręcony, jakby zabawką jaką był, a nie postawnym mężem. Na piersi zaś widniał mu krzyż świeżo wycięty.

– Tropu żadnego nie odkryto? – Sulatycki przechylił się ku mówiącemu.

– Nie. – Stiller pokręcił głową. – Ziemia już lekko przymarznięta była, bo to w końcu października się działo. Wszędzie tylko krew porozbryzgiwana, świadcząca, że baczowie w jednej chwili zginąć musieli.

– Wszelki duch... – skwitował pan Wawrzyniec.

– Ano właśnie – rzekł Szkot, na chwilę odrywając się od stawy. – Zważcie bowiem na wszystko. Primo, chłopci z Zatwarnickimi byli przy dworze w Bałwańskim. Secundo, Rudyłowski siedział zamknięty ze sługami w owym domostwie. Tertio wreszcie, nikogo, kogo można by o zabójstwo posądzić, nie widziano ani przed owymi zdarzeniami, ani po nich. Nadto rany, jakie mieli baczowie, o czym pisał ksiądz Nijowski, nie mogły być ludzką ręką zadane, bardziej na ślady jakiego olbrzymiego potwora wyglądały.

– Może niedźwiedź? – zasugerował Żegota, dodając: – Przed zimą stawy szukał.

Wysoki Saksończyk pokręcił głową.

– Nie może być, mości Nadolski. Pół nocy miał, aby się posilić, a ciała nie były nadgryzione. Zważ też na ów krzyż wycięty na piersi drugiego z baczów. To, co ich zabiło, musiało być rozumne.

– W rzeczy samej – zgodził się Sulatycki. – Krzyża by zwierz nie zrobił.

– O ile go Zatwarnicki nie wykonał, żeby większy strach na ludzi przyszedł. Wszak mówiłeś waszmość, że to jeden z braci wraz z chłopami pierwszy poszedł sprawdzić, co się zdarzyło.

– Też o tym pomyślałem, kiedy mi to pierwszy raz jegomość Próchnicki opowiedział, ale w liście księdza Nijowskiego stało, że to włościanie drugiego baczę pierwsi naszli, a symbol krzyża nie był świeży, lecz znaczone już krwią skrzepłą, która pociekła z przeciętej skóry. Znakiem tego dychającym jeszcze czarownikowi był zrobiony.

– Prawda – przyznał Nadolski, znając się na rzeczy. Niejedną ranę widział już bowiem w swoim życiu.

Na chwilę zapadła cisza. Tylko oficerowie ze Lwowa pożywiali się spokojnie. Reszta odłożyła sztucce, nagle tracąc jakoś ochotę na jedzenie. Nawet surowy Żegota, na wojnach bywały, przestał czuć głód, jeno wspominał własny ciężki los sprzed dwóch lat i straconych bliskich.

Stiller, kiedy wreszcie opróżnił miskę, podziękował pani domu ukłonem, otarł usta chusteczką wyjętą z rękawa i rozparł się wygodnie w krześle. Wyciągnął pod stołem nogi, głośno stukając o deski drewnianą protezę. Popatrzył po innych, uznając, że pora zakończyć opowieść.

– Tak tedy skończyła się wizyta baczów w Zatwarnicy. Chłopi rozeszli się do chałup, trzech braci do siebie za San odjechało. Wszyscy jednak o przerażeni zaszły mi niewytłumaczalnymi wypadkami. Każdy też myślał, co dalej się zdarzy, jako że dotąd upiór jedynie zwierzęta kaleczył, przemykał z jękiem pomiędzy chałupami albo też stukał w drzwi i okna, ale krzywdy ludziom nie czynił. A tu masz, dwa trupy naraz. Strach był taki, że wieśniacy po kilka dni z domostw nie wychodzili. Ale nie działo się nic. Ludzie zaczęli więc przemykać po wsi, spotykać się ze sobą, gadać i radzić, co czynić. Przy tym wszyscy do jednego wniosku, jak pisał jezuita, dochodzili, że to za sprawą rzymskich katolików stać się musiało, albowiem ich krzyż, nie prawosławny, na piersi zabity bacz miał wyrzezany. Jawny to był znak dla dyzunitów, skąd diabeł przyszedł. Przy tym i pop lokalny w tym zdaniu ich utwierdzał, przeciw papistom perorując. Ale że pana Rudyłowskiego bali się chłopci ponownie napaść,

najwięcej dostało się okolicznym Żydom, arendarzom w karczmach. Tak to bowiem jest – zauważył filozoficznie Saksończyk – że jak dwóch się w Rzeczypospolitej wadzi, to najczęściej starozakonny po łbie bierze.

– W istocie – potwierdził Żegota. – Ale mów waszmość, co dalej?

– Dalej? List jezuita Nijowski z Leska do Jego Eminencji arcybiskupa Próchnickiego napisał, że chłopci i szlachta prawosławna wzburzeni są zaszłymi wypadkami i tylko iskrę na ten proch rzucić, aby co złego się stało. Przy tym czas nerwowy, w związku ze sporem pomiędzy Izajaszem a nowo powołanym metropolitą kijowskim Piotrem Mohyłą. Nadto tu, na miejscu ciężka jest sprawa z Krupeckim, który jak może przeszkadza władcy przemyskiemu Terleckiemu, tym bardziej iż mówi się, że król chce oddać władcy prawosławnemu część dóbr kościelnych i trzy monastery pod zarząd^[33]. Wezwał tedy mnie i Williama arcybiskup i nakazał do Zatwarnicy jechać, aby wywieść się o wspomnianych wypadkach, ustalić, co zaszło naprawdę i kto za tym stać może, a przy tym nastroje wybadać, starając się je mitygować. Służba nie družba, wsiedliśmy więc na konie mimo zimy i tak oto w drodze jesteśmy. Wystarał się wcześniej Jego Eminencja Próchnicki u pana hetmana Koniecpolskiego^[34], aby ten do Eryka Herburta napisał, że latem popasy dla jednej chorągwi lekkiej jazdy w Zatwarnicy i okolicach chce zrobić, za wynagrodzeniem ze skarbu. Zgodził się na to właściciel, więc jako oficerowie hetmańscy dla ustalenia sprawy jedziemy, mając też pisma odpowiednie. Potem zaś wrócić mamy i raport arcybiskupowi złożyć.

– Pora nie najlepsza na peregrynacje. – Pan Wawrzyniec pokiwał głową.

– Ale też dobra dla rozwikłania sprawy, bo przez śniegi ludzie po chałupach siedzą i nieskorzy są do jakowychś ekscesów. Tyle tylko, że teraz radzą przy kominach o tym, co się zdarzyło. Wiosną, jak śnieg zejdzie, może im się zachcieć najmniej rozumne z pomysłów w życie wcielać. Dlatego im wcześniej rzecz się wyjaśni, tym lepiej.

– O ile się wyjaśni – zwrócił uwagę ponuro Żegota.

– Nasza w tym głowa, mości Nadolski. Szkoda, że z nami jechać nie możesz... – Niemiec wymownie popatrzył na brzemienną panią Agnieszkę

– ...ale wiem, że inne teraz sprawy, ważniejsze, u waszmości na głowie. – Westchnąwszy, przyglądał palcami sterczące wąsy. – Jak mówiłem, z małego obłoczka duży deszcz czasem przychodzi. Pora więc rozwiać ową chmurę przesądów, aby ludziom we łbach nieco rozjaśnić. Da Bóg, szybko się uwiniemy, a wracając, jeśli waszmość zezwolisz, wstąpimy do ciebie, aby opowiedzieć, jak nam się przygoda udała.

– Wielką byście mi przykrość waćpanowie uczynili, gdyby inaczej się stało. Przy tym nalegam, abyście dłużej w gościnie u nas zostali, bo skoro się sprawicie, to przecie list do Jego Eminencji starczy posłać, a wy u mnie przezimować możecie. Miejsca dosyć, a z długu wdzięczności wobec waszmościów nigdy się wypłacić nie zdołam.

– Zbyt łaskaw jesteś, mości Nadolski. To my powinniśmy ci dziękować, że nas przed zdrajcą Kopystyńskim ostrzegłeś, przejście na Sobień odkryłeś, a potem z Bardą sprawę skończyłeś. Gdyby nie to, pewnie już piach byśmy gryzli^[35] – odpowiedział Saksończyk.

– Prawdę mój przyjaciel rzekł – potwierdził Murray, skłaniając się nad stołem. – Bez waszmości nijak byśmy sprawy pana Krasickiego nie zakończyli.

Komplementowali się jeszcze nawzajem przez chwilę, licytując, kto i komu bardziej powinien być wdzięczny, na koniec zaś, zachęceni przez pana Wawrzyńca, przepili solidnie pełnymi kielichami do siebie, ciesząc się ciepłą izbą, winem i smaczną strawą. Tym przyjemniej się zrobiło, iż kucharki naniósłły pieczeni z kaszą, wędlin i wszystkiego dobra, którym bogate było domostwo Żegoty. Tak też nastroje się rozluźniły w lekkiej rozmowie, że w końcu i Bejdę z Semkiem do stołu dopuszczono, co zresztą za przyczyną Murrraya się stało, który wykazał się znawstwem poezji i zakrzyknął w pewnym momencie, wskazując na sługi:

– „Przywileje powieśmy na kołku, a ty wedle pana siądz, pachółku!”^[36]

Nie trzeba też było zachęcać do jedzenia pocztowego ani Tatara. A Semko przy tym i popijał zdrowo, w czym mu jednak pohaniec nie sekundował, wierny swojej dziwacznej religii.

Tak oto już tylko na przyjemnościach i żartach upłynęła reszta wieczoru zimowego we dworze w Wygnance, czemu też sprzyjały wina i miody odganiające złe myśli. Łaskawy Bóg wie, czemu przyszłość pozostawia przed człowiekiem niewiadomą, bo gdyby obecni spodziewali się, jakie wypadki czekają ich w najbliższych miesiącach, zgoła inne mieliby nastroje.

Dopiero przed południem następnego dnia, żegnani serdecznie i sownie zaopatrzeni, ruszali Werner Stiller i William Murray w swą drogę. Wesoło przyświecało zimowe słońce, skrzypiał zmrożony śnieg pod kopytami wypoczętych koni. Uspokajała przyroda myśli wędrowców ciszą, która zwykle zapada przed burzą.

ROZDZIAŁ II

JEREMI WINNICKI

Ciężko wędrowało się oficerom przez zaśnieżone trakty pomiędzy górami. Dobre kilka dni zajęła im podróż, przerywana noclegami albo w karczmach, albo chłopskich chałupach. Szczęściem nie doznali żadnej napaści ani też na zdrowiu nie ucierpieli i w końcu dotarli do wsi Hulskie leżącej opodal Zatwarnicy. Tam postanowili spędzić ostatni nocleg.

Osada nie była duża, a chłopci głównie z hodowli bydła się utrzymywali, wyganiając je wiosną na połoniny. Sami też Rusini w niej mieszkali w kilkunastu zaledwie chałupach. Mimo że potok przez wieś płynął, nie było w niej młyna, co stanowiło widomy znak, że zbóż raczej tu się nie uprawia. Także i karczmy żadnej pielgrzymi nie dostrzegli, więc siłą rzeczy zastukali do lepiej wyglądającej od innych chałupy, aby o miejsce do spoczynku zapytać.

Strudzeni byli tak, iż zadowolić ich mogła byle wiązka siana i lada jaki cieplejszy kąć. Nie stracili jednak czujności, mając w pamięci, że ledwie dwa lata wcześniej namówili się chłopci z Hulskiego wraz z paroma z Zatwarnicy i napadli na dwór kasztelana sanockiego Andrzeja Boguskiego w Krywem^[37]. Poranili srodze sługi szlachcica i majątność złupili. Mówili przy tym niektórzy, opowiadając o tych zdarzeniach, że stało się to z poduszczenia braci Zatwarnickich, ale dowodu na to nikt nie znalazł. Inni prawili, że sam kasztelan był winien, jako że twardą ręką rządził poddanymi, przez co u ludzi słuszny gniew wzbudził. W każdym razie włościanie tutejsi do spokojnych nie należeli, korzystając z odludzia, na jakim im żyć przyszło.

Długo czekać musieli oficerowie, nim otwarły się niskie drzwi domostwa. Wyjrzała zza nich wyraźnie zaspana gęba zarośniętego i skudłanego mężczyzny. Zmrużył ślepią, przekrzywiając głowę i przyglądając się nieznanym z mieszaniną ciekawości, niepokoju

i chłopskiego sprytu. Przytupując nogami z mrozu, Stiller rzucił ku niemu powitanie:

– *Sława Isusu Chrystu!*^[38]

Skinąwszy głową, chłop wymamrotał niewyraźnie:

– *Sława na wiky!*^[39]

– Nocleg się u was jaki znajdzie, gospodarzu?

Włóścianin skrzywił się, wzruszając ramionami.

– *Czom ni?*^[40]

– Zapłacimy – dodał Murray uspokajająco.

Chłop jednak wciąż stał w drzwiach, przyglądając się uważnie wędrowcom. W końcu wycedził przez poszczerbione zęby:

– A kto wy?

– Wojskowi. Do Zatwarnicy jedziemy.

– *Za czom?*^[41]

– Ustalić z administratorem pana Herburta popasy dla jazdy na przyszły rok.

– Aaa! – Skudłany wieśniak pokiwał głową, niby rozumiejąc, o co chodzi.

Odsunął się o krok, wskazując ręką za siebie.

– *Wojdte!*^[42]

– Bóg wam zapłać, gospodarzu – odpowiedział Niemiec, przekraczając próg chałupy.

Od razu zobaczył przestraszoną babę, do której tuliła się dwójka małych dzieci. Rusin mruknął ku niej uspokajająco:

– *Wszystko je w poriadku!*^[43]

Kobieta zawinęła się i skryła w kącie biednej i słabo oświetlonej izby.

Wilgotny, ciepły zaduch aż uderzył w twarz oficerów. Jego przyczyna wyjaśniła się natychmiast, kiedy usłyszeli dochodzące z drugiej części chałupy muczenie.

Rozejrzeli się, a chłop, który zamknął drzwi, wskazał na stojącą przy ścianie ławę i zachęcił:

– *Siadite sobi*^[44].

Mężczyźni spoczęli, oddychając z ulgą. Powoli zaczęli rozpinać ciężkie kożuchy. Rozwiązując rzemyki, Stiller rzucił:

– A konie dacie pod dach?

Chłop westchnął ciężko, pokiwał kosmatym łbem, nacisnął na niego czapę, by wreszcie wyjść bez słowa.

Ciekawskie dzieci wychynęły zza matczynej spódnicy, przyglądając się niespodziewanym gościom. Ubrane w lniane koszuliny, na bosy, stanęły, przebierając nogami po glinianej polepie podłogi. Saksończyk odruchowo się uśmiechnął, tyle tym sprawiając, że znów skryły się za swą matką. Ta, poprawiając chustkę na głowie, zapytała:

– *Może daszto ziste?*^[45]

Szkot, pokręciwszy głową, sięgnął do sakwy i wyjął z niej bochenek chleba i kawał szynki. Podając gospodyni, mruknął:

– To dla was.

– *Diakuju*. – Skłoniła się zmieszana, odbierając jedzenie.

Podeszła do stołu i podzieliła je sprawiedliwie, bo nie godziło się chować podarunku, gdyż tak nakazywał obyczaj gościnności. Zaraz też zapytała:

– *Może daszto wypijete?*^[46]

Tym razem to Stiller wstał, stawiając na stole butelkę nabytej jeszcze w Lesku okowity. Urażona widać w swej dumie, kobieta bez słowa podeszła do kąta i ze skrzyni wyjęła flaszkę mętnawego płynu, który postawiła obok podarowanej wódki. Potem znów wróciła do dzielenia posiłku.

Po jakim kwadransie wrócił gospodarz. Otrzepał buciory ze śniegu, zzuł je, odstawił w kąt, zrzucił baranicę, aż wreszcie przysiadł na zydelku obok pieca. Nie mówiąc nic, niby to grzejąc ręce, długo przyglądał się gościom.

Zmęczony tą lustracją Saksończyk zapytał:

– *Jak sia nazywasz?*^[47]

– Ihor.

Chłop nerwowo potarł spracowanymi, brudnymi dłońmi o siebie. Łypnąwszy spode łba, wycedził:

– *A wy, pane?*^[48]

– Stiller, a to... – wskazał na swego towarzysza – ...pan Murray.

Wieśniak pokręcił głową, usłyszawszy nieznane mu obco brzmiące nazwiska. Drapiąc się po głowie, zapytał:

– *Wy ni Lachy?*^[49]

– Nie.

– Aha – mruknął, tak że nie wiadomo było, czy kontent z tego, czy też nie.

Machnąwszy ręką, wskazał ku stołowi, zachęcając:

– *Proszu*^[50].

Oficerowie wstali, by zasiąść do skromnego posiłku. Chłop szczerze polał gorzałki do glinianych kubków. Łyknął, łypiąc na gości, a kiedy ci przełknęli okowitę bez mrugnięcia okiem, uśmiechnął się, kiwając głową.

W milczeniu sięgnęli po chleb i mięsiwo. Przez chwilę żuli, nim ciszę przerwał Saksończyk:

– A w języku Lachów mówicie, gospodarzu?

Ten znieruchomiał na moment w pół kęsa. Pogładziwszy się po rozczochranej głowie, odpowiedział po dłuższej chwili:

– *Mówię. Doma besidujeme lem po naszomu*^[51].

– A słyszeliście coś, że niby w Zatwarnicy jakaś ruchawka jesienią była?

– Niemiec jakby nie zwrócił uwagi na wyraźną sugestię.

Sięgając po chleb, wieśniak wzruszył ramionami.

– *Ni słyszeł*^[52].

– Rozumiem.

Stiller popatrzył wymownie w kierunku Murraya. Szkot tylko zmarszczył nos, przegryzając kęs mięsiwa. Przepił, otarł usta i rzekł:

– Dziękujemy za jedzenie, ale srodze zmęczeni jesteśmy. Gdzie ułożyć się możemy?

Chłop obojętnie machnął łapskiem w kierunku pieca.

– *De choczete*^[53].

Niższy z wędrowców powstał i przeszedł do kąta. Wziąwszy z ławy futro, rzucił je na leżącą pod ścianą słomę. Położył się z ciężkim westchnieniem na tym prowizorycznym pościeliu.

Saksończyk dopił okowity. Nie mówiąc nic, polał gospodarzowi i sobie resztkę z przywiezionej z Leska butelki. Uniósł i wypił duszkiem. Chłop, widać nie chcąc być gorszy, uczynił to samo. Sapnął, ocierając głowę rękawem koszuli. Zmrużywszy oczy, zapytał:

– *Szto choczete?*^[54] – dodając zaraz po polsku: – Tak po prawdzie, czego?

– Mówiłem, że popasy na lato uszykować.

– Taaa... – mruknął chłop przeciągle. – Popasy. Pewnie wojska pan Herburta sprowadzić kazał, bo chłopów mu strach.

Oficer, machnąwszy ręką, wstał od stołu. Poprawiając pas, rzucił:

– Co chcecie, myślcie. Ja hetmański rozkaz mam, nie pana Herburta.

Wyłuskał z sakiewki kilka monet i rzucił na stół.

– To dla was. Z rana odjedziemy. A teraz spać pora.

Odszedł, kierując się w kąt, gdzie leżał już Szkot. Idąc, poczochrał jeszcze wesoło po głowach stojące przy ławie dzieciaki, a potem ułożył się, nakrywając futrem. Po chwili dał się słyszeć jego równomierny oddech, przerywany chrapaniem.

Chłop godzinę jeszcze siedział przy stole, jedząc, popijając i zerkając uważnie na gości. Kiedy upewnił się, iż śpią, powstał cicho i skierował się do drzwi. Ostrożnie zarzucił na siebie kapotę i czapkę, by wyjść chyłkiem mimo późnej już pory. Nie wiedział, że leżący nieruchomo Stiller go obserwował i uśmiechnął się pod nosem, upewniwszy się w swych przypuszczeniach, iż miejscowi swoje myślą o zaszłych wypadkach, nie bardzo się chyba zjawą przejmując, a pojawienie się w okolicy wojskowych

musiało wzbudzić zaniepokojenie. Domyślił się, iż Ihor poszedł donieść o przybyszach braciom Zatwarnickim.

Nim ostatecznie Niemiec zapadł w czujny sen, dla bezpieczeństwa ułożył przy głowie dwa półhaki^[55], swój długi rapier pozostawiając w zasięgu ręki. Nic złego się jednak nie wydarzyło. Wróciwszy grubo po północy, chłop położył się po prostu na zapiecku obok śpiącej żony i dzieci. Rankiem oficerowie ruszyli traktem nad Sanem wprost do celu swej podróży.

Administratorem u pana Eryka Herburta w Zatwarnicy był starszy już, niewysoki i drobny szlachcic Jeremi Winnicki. Człowiek strachliwy, ale posłuszny pańskim rozkazom z racji tego, że sam majątności żadnej nie posiadał, a dzierżawy, mimo jego starań, nikt mu nie proponował.

Żył w kawalerskim stanie, co też swoim niedostatkiem usprawiedliwiał, lecz po prawdzie nie pociągały go niewiasty. Choć z całych sił próbował tłumić w sobie zapędy nienaturalne, lubował się przyglądać latem silnym, młodym, półnagim parobkom pracującym w polu. Modlitwą tylko i samoudręczeniem powściągał się, aby nie pofolgować diabelskim podszeptom, sięgając zakazanego owocu. Bał się także tego, co ludzie mogliby mu zrobić, gdyby tylko wiedzieli o jego chorobliwej przypadłości. Nosił ją tedy jak przekleństwo jakie, samemu nie rozumiejąc, dlaczego pokarał go tak miłosierny Bóg. Odpowiedzi nie znajdował, nawet u księży przy spowiedzi bojąc się szukać pocieszenia. Pan Herburt trzymał go dlatego, iż jeszcze u jego ojca, Stanisława^[56], jako kilkuletni pacholik służył. Może i nie najlepszy był z niego administrator, ale przynajmniej nie kradł.

Otrzymałszy list od właściciela wsi, w którym uprzedzał go pan Herburt o prośbie hetmana Koniecpolskiego, pobladł i zaniemógł na parę dni. Nikt tak jak on nie lubił zmian i niespodzianek. Lecz cóż było robić? W młodości Eryk Herburt służył jako towarzysz husarski w chorągwi pułkownika Wincentego Woyny^[57], biorąc nawet udział w słynnej potrzebie kircholmskiej. Dlatego dla wojska miał dużo względów, a hetmańska prośba była dla niego niczym wyróżnienie i rozkaz. Słudze wypadło więc

tylko podporządkować się pańskiej woli i czekać, któż to do Zatwarnicy przyjedzie.

Doświadczenie z żołnierzami administrator Winnicki miał złe. Zdarzyło się bowiem, że obili go raz pijanego oficerowie dragońscy w Lesku, a innym razem lisowczycy^[58] rozkradli zboże i żywność wiezioną na targ. Na nic zdały się przy tym skargi, a i pan Herburt niekontent był, że pan Jeremi dóbr nie dopilnował, narażając go na straty. Gdyby o kogo innego chodziło, może nawet posądziłyby o zмовę z rabusiami.

Czekał tedy pan administrator Jeremi Winnicki na przybycie hetmańskich posłańców jak na ścięcie. Już wyobrażał sobie opróżnianą przez nich na biesiadach piwniczkę i żywność, której przecie nie mógł im poskąpić. Bałby się nawet odmówić, bo w łeb już raz, jak się rzekło, wziął i następnego razu nie chciał.

Południe dochodziło, kiedy sługa oznajmił mu, że dwóch jeźdźców od strony Sanu przybywa. Tknięty przecuciem, starszy szlachcic od razu domyślił się, że to zapowiedziani oficerowie. Tym więcej zaczął jęczeć i wzdychać o opiekę świętych, czując, jak już nachodzi go nagła boleść we łbie. Klął przy tym w duchu swojego pryncypała, na co nigdy by się głośno nie odważył, że tylko mu problemów dostarcza. Sama bowiem opieka, jaką miał roztaczać wśród ponurego chłopstwa nad Rudyłowskim, zdawała się przekraczać siły pana Winnickiego. W tym tylko znajdował niejaką pociechę, iż jak wojsko przyjdzie, to i chłopci potulniejsi się staną. Oj, przeżył bowiem swoje pan Jeremi, kiedy tłumaczyć się musiał przed kasztelanem Boguskim za napaść zatwarnickich wieśniaków na Krywe. Gdyby nie pan Herburt, pewnie i zdrowie by stracił, nie mówiąc o lękach, jakich przysporzyli mu szukający winnych Sabaci pana kasztelana, które to strachy administrator odpokutował srogimi przypadłościami żołądkowymi.

Ogarnął się nieco pan Winnicki, podkreślił lichego węża, nałożył na głowę czapę, a na grzbiet futro i wyszedł na ganek, aby odstawić teatr, jakże to rad jest z przybycia gości. Nie mogło też być inaczej, gdyż szlachecka gościnność miała swoje prawa, a choć był tylko administratorem, to przecie herbowym i w imieniu swojego pana

występującym. Tak tedy, gdyby to on czemu uchybił, poczytane by to było, jakby i sam pan Herburt nakazanym zwyczajom nie sprostał.

Zmieszał się, widząc idących ku niemu przez podwórze mężczyzn. Od razu poznał, że muszą być obeznani z wojennym rzemiosłem, co widać było zarówno po kroku, jak i marsowych minach. Pachołkom, ledwie z mruknięciem, wodze rzucili, a teraz zbliżali się ku administratorowi tak, jakby to nie wizyta była, ale najmniej jakiś rankor do niego mieli. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Pomodliwszy się w duchu, rozłożył szeroko ramiona.

– Gość w dom, Bóg w dom! Rad jestem, że na takim odludziu oficerów hetmańskich zaszczyt mi przyszło przyjąć!

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mości panie Winnicki! – rzucił wysoki, wyciągając dłoń na powitanie.

Uściskał rękę gospodarza tak, że zazgrzytały kości mimo rękawicy, którą pan Jeremi zapobiegliwie założył. I drugi z przybyszów nie oszczędził prawicy gospodarza, aż zęby musiał zagryźć drobny szlachcic, by nie dać po sobie poznać bólu. Szerokim gestem pokazał za plecy, oznajmiając:

– Już mi pan Herburt pisał, że tyle co się można spodziewać waszmościów.

Wojskowi minęli administratora i przekroczyli próg niewielkiego dworku. Już zza pleców usłyszeli:

– Nie żebym radził waszmościom, ale przecie starczyłoby zajechać na wiosnę, jak śniegi zejda. Popasy mają być jak trawa dobra wszędzie, to przecie czas jest. A tu tyle trudu, panowie oficerowie, żeby zimą, przez ten śnieg...

Przerwał, wsuwając się do domostwa, skurczony, niby nie do siebie wchodził.

– Gościna gotowa. Kwatera dobra jest i wikt. Wszystko, jak imć pan Eryk Herburt nakazał.

Wielką ulgę odczuł pan Jeremi, kiedy niski, gruby żołnierz odpowiedział mu wreszcie:

– Parę dni tylko będziemy, to i lada kątem się zadowolimy. Ale jako że waszmość tak łaskaw, poczęstunkiem nie wzgardzimy, tym bardziej że ostatnią noc w chłopskiej chałupie spędziliśmy.

– Już, już! Hanka! Każ podawać do izby panom oficerom! Żywo, bo zdrożeni są!

Uśmiechając się przymilnie, prowadził Stillera i Murraya do komnaty, gdzie stał największy stół, przy którym, rzadko bo rzadko, zwykł przyjmować gości.

Mężczyźni rozdziali się, rzucając byle gdzie kozuchy, odpięli broń, ułożyli ją na futrach, cisnęli w kąt czapy i rękawice. Jakby u siebie byli, czego ze złością nie omieszkał w duchu stwierdzić gospodarz. Mimo to nadal kłaniał się kornie, zapraszając oficerów, aby raczyli usiąść. Nie uszło przy tym uwagi pana Winnickiego, że wysoki chudzielec ma jedną nogę drewnianą, choć zgrabnie wystruganą na kształt prawdziwej i w but odzianą, grubasowi zaś brak lewej dłoni. Jeszcze bardziej wystraszyło to administratora, utwierdzając w przekonaniu, iż ze starymi wiarusami ma do czynienia. Przy tym jako esteta pan Jeremi wolał ludzi kompletnych. Jakoweś braki pod tym względem zawsze wzbudzały w nim niepokój. Od razu leży mu się w głowie pytania, jak to się stało, które wypiwszy, mógłby nieopatrznie zadać. Od tego właśnie zaczęła się jego przygoda z oficerami dragońskimi w Lesku, kiedy, wiedziony przeciw współczuciem, zainteresował się okolicznościami utraty małżowiny przez jednego ze srogich wojaków. Mało co wtedy własnego ucha nie stracił.

Zasiadłszy za stołem, żołnierze rozparli się wygodnie w krzesłach, spoglądając wyczekująco. Pan Jeremi pokręcił się trochę, pokrzyczał przez drzwi, ponaglać służbę, aż wreszcie sam spoczął, także przyjmując pozę jak najluźniejszą. Żałośnie przy tym jednakowoż wyglądał, tak z racji postury mizernej, jak i oczu rozbieganych, które co rusz w podłogę wbijał.

Zjawiły się w końcu mięsiwa i wino. Poszły pierwsze toasty, oczywiście za zdrowie gospodarza, pana Herburta najpierw, potem administratora Winnickiego, który krygując się, pił za hetmana Koniecpolskiego, jako ważniejszego w kolejności od niego samego. Z kolei poszło i zdrowie

oficerów, każdego z osobna, którzy też przy tym sprezentowali się wreszcie z nazwisk, aż wreszcie przypomniano sobie o nowym królu jegomości. Za kolejnymi zaś kielichami coraz więcej kołysał się świat panu Jeremiemu, albowiem nie przywykł do prędkiego picia. Odetchnął z ulgą, gdy oficerowie zabrali się w końcu do jedzenia, chwając strawę, kuchnię i wystawność posiłku. Pan Winnicki, patrząc na szynki, kiełbasy i schaby, liczył w duchu, ile to wszystko kosztuje i jak łatwo znika w przepastnych, zdawałoby się, brzuszyskach wojaków.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, oficerowie swobodnie rozpoczęli rozmowę o popasach, oznajmiając, iż w najbliższych dniach chcą pojechać po pastwiskach, szczególnie tych, gdzie była się nie wypasa, niżej położonych. Prosili więc pana Jeremiego o jakiegoś przewodnika, który już z rana by na nich czekał i konia miał do dyspozycji. Z radością przyjęła administrator, że nie oczekują od niego, by sam z nimi jeździł. Co prawda, jak każdy szlachcic, znał się na hippice, ale też wolał od siodła kolebkę^[59] albo sanie. To zaś mogłoby go ośmieszyć w oczach gości.

Długo trwały rozmowy o wszystkim i o niczym. Temat hetmańskiego zlecenia skończył się, potem były opowieści, co też na świecie się dzieje, a szczególnie te dotyczące nowo obranego króla, jakieś tam wspominki lwowskie pana Winnickiego, który zacny gród dawno temu odwiedzał, aż wreszcie zeszło na sprawy lokalne, co też powinno być wdzięcznym tematem dla gospodarza, ale mina jakoś mu zrzędała. Nie uszło to uwagi Murraya, który popijając wina, zapytał o przyczynę frasunku. Machnąwszy ręką, administrator krygował się przez chwilę, ale widać było, że bardziej z grzeczności niż wewnętrznej potrzeby. W końcu pan Jeremi rzekł:

– Aaa... Bo to waszmościowie w szkołach uczeni, a tu ciemnota i koniec świata. Aż wstyd mówić, bo na śmieszność się narazić mogę.

– No! Mówże waćpan! – zaoponował Stiller. – Nie daj się prosić, bo też widać, że strapienie masz jakieś! Może coś zaradzić się uda?!

– Kiedy jak zacząć, nie wiem.

– Najzgrabniej jest od początku zaczynać – mruknął złośliwie Szkot, mrugając szelmowsko do Saksończyka.

Nawet nie zwrócił na to uwagi gospodarz, pochyliwszy się nad stołem. Głos jakby mu osłabł i przycichł.

– Bo to widzicie, waszmościowie, trudna sprawa jest mi tu siedzieć, szczególnie teraz, po tym, co zaszło. Wilkiem na mnie chłopci patrzą, jakbym to ja winien był czemu... – Uniósł wzrok i rozłożył ręce. – A ja co? Plenipotent tylko pana Herburta w Zatwarnicy i jego rozkazów słuchać muszę! Jak w wojsku, panowie oficerowie! Tylko ważyłbym się nie posłuchać, to rozsierzdziłby się pan Eryk, a przecie to były żołnierz. Twardą ma rękę.

– Ale o co chodzi, panie Jeremi? – Stiller pochylił się ku staremu szlachetce.

– Ano o to, że nie zezwoliłem im pana Rudyłowskiego pognać. Pan Herburt kazał go strzec.

– Rudyłowskiego? – Murray odchylił się w krzesło, minę mając skrzywioną, niby to nie pojmując, w czym rzecz.

– Dzierżawcy w Bałwańskim. Przysiółek tutejszy – wyjaśnił administrator, pokazując ręką jakiś kierunek. – Stary to towarzysz pana Eryka Herburta. Jeszcze pod panem Woyną za pocztowego^[60] mu służył. Potem miał dzierżawę w Beniowej^[61], ale jak żona mu umarła, to się tu przeniósł.

– Chłopów gnębi, że pognać go chcą?

– Gdzie tam! Ani tyle, żeby do roboty gonił! Ja teraz muszę pilnować.

– To o co chodzi? – Szkot rozłożył palce jedynej dłoni.

Winnicki zakręcił się nerwowo na krzesło. Zmarszczył nos, skubnął kilka razy rachityczne wąsy. Westchnąwszy ciężko, mruknął:

– Mówiłem, że trudno dać wiarę będzie...

– Na razie trudno pojąć w ogóle, o co idzie – uciął Stiller. – Lepiej zdradź to waćpan, bo może i dla nas to ważne, żeby panu hetmanowi relację zdać. Damy tu przecie ludzi z końmi i nie trzeba nam jakich kłopotów. Prosto mów, mości panie Jeremi! Po żołniersku!

Chwycił pan administrator kielich, jednym haustem dla odwagi wypił resztę wina, otarł usta, by wreszcie wyjaśnić:

– Bo pan Rudyłowski to rzymski katolik!

– No i? – Saksończyk uniósł brwi. – Tak to w Rzeczypospolitej bywa, że jeden rzymski katolik, inny grecki, a jeszcze inny luter.

– Ale on przechrzta z prawosławia!

– Jak i kniaź Jarema. Zwyczajna rzecz. – Szkot machnął kikutem.

– Co wolno księciu, to niekoniecznie zwykłemu szlachcicowi – zaoponował mizerny administrator z nieoczekiwaną odwagą. Zaraz też zmitygował się, dodając: – Ale nie o to tylko idzie.

– No?

– Bo córka mu umarła i z tego cały ambaras.

– Tak waszmość gadasz, że żadnego w tym ładu. Cóż córka nieboszczka ma do rzeczy?

– To ja już powiem wszystko.

– Nareszcie! – Stiller odetchnął z ulgą.

– Chłopi zabobonni twierdzą, że jego córka jako upiór wraca... To znaczy wracała. W ziemi niepoświęconej pochowana.

– Jako upiór wracała? – Stiller zaśmiał się i uderzył dłońmi po udach. – A to dopiero szelma!

– Mówiłem, że śmiać się będziecie, panowie oficerowie? Mówiłem? – zajęczał Winnicki.

Uniósłszy dłoń, Murray niby to uspokoił przyjaciela.

– No, dajże powiedzieć imć panu Jeremiemu, Werner. Nie do śmiechu mu, jak widać.

Administrator spojrzął z wdzięcznością na grubego cudzoziemca. Pochylił się nad stołem i wyraźnie ku Szkotowi, konfidencjonalnie prawie, wyszeptał:

– Powiadali, że z grobu wstawała, bydlę kaleczyła. Dusila nawet! Albo też po wsi chodziła, nieszczęście niosąc!

– A widział ją kto?

– Widział? – Głos pana Jeremiego zadrżał niepewnie. – Noo... Niby mówią, że widzieli... Ot! Choćby karbowy^[62] mój, Gawryło, powiadał, że na własne oczy zobaczył, jak dwa prosiaki z chlewika oknem porwała!

Tym razem nawet stateczny dotąd Murray nie wytrzymał, zanosząc się śmiechem. Przez łzy prawie, wybełkotał:

– Prosiaki... Upiór prosiaki waszmości kradnie?! Do stu piorunów!

– A śmieje się waszmość! Śmieć do woli! Też do śmiechu by mi było, gdyby nie to, że na tym nie koniec!

– A co jeszcze? Ryby ze stawów waści podbiera?! Chłopów łapie za przyrodzenia?! Koniom grzywy i ogony płąta?!

– Aaa! – Obrażony Winnicki oparł się o krzesło i zaplótł ramiona.

Zacisnął wąskie usta, drżąc z ledwie ukrywanego gniewu. Bał się go jednak bardziej okazać, widząc, z jak srogimi wiarusami rozmawia. Tym razem w sukurs przyszedł mu Stiller:

– No, teraz ty dajże już pokój, Williamie. Może tak być, że diabli pomiot po świecie chodzi. – Popatrzył przepraszająco na gospodarza. – Wybaczcie, waszmość, grubość naszych obyczajów. Ale tak to z żołnierzami jest, że nieboszczyki im zwyczajne. Mało to razy zdarzało się, że na polu bitwy z wieczora się człowiek pomiędzy trupami do snu położył, nieraz i głowę na co miększym brzuchu kładąc? I co? Nic! Rano rześko się budzi, rad, że sam żywy.

– Na Boga! – Pan Jeremi aż się przeżegnał, wyobrażając sobie taką poduszkę z zabitego.

– A tak! – dodał rzeczowo Murray, widząc jego zmieszanie. – Baczyć tylko trzeba, aby gorąc nie był, bo wtenczas bandzioch nieboszczykowi puchnie i rano kark boleć może z niewygody.

Aż szczęki zadrżały panu Winnickiemu, nie wiedział już bowiem, czy kpią z niego oficerowie, czy też prawdę mówią. Mimo to znów pochylił się nad stołem.

– Tacyście weseli? To słuchajcie dalej! Baczów chłopci wezwali, którzy mieli porządek z upiorem zrobić. W jednej chwili na sztuki ich poszarpał! Ot co!

Twarz Murraya spoważniała.

– Poszarpał, powiadasz waćpan? A nie był to aby jaki zwierz?

– A gdzie tam zwierz! Krzyż jednemu na piersi wyrył!

Wątpiący wciąż Saksończyk zmarszczył nos. Popiwszy z kielicha, mruknął:

– Pewnego razu na własne oczy widziałem, jak znaleźli chłopca pokąsanego przez wilki. Tak mu pazurami znaki na ciele wydarły, że mogłoby się zdawać, iż to ludzką ręką zrobione... – Uniósł wzrok, twardo patrząc na gospodarza. – A to przecie wilki były, bo ludzie widzieli, jak dopadły owego wieśniaka.

– Klnę się, że to żaden zwierz nie mógł być! Krzyż jak nożem wycięty! Żadnych innych obok zadrapań!

Murray pokiwał głową. Sapnąwszy przez nos, wycedził:

– Dziwne rzeczy waszmość opowiadasz. A kiedy to się zdarzyło?

– Na jesieni.

– I co? – dociekał Szkot. – Pewnie teraz strach nocą chodzić?

– Gdzie tam! – zaprzeczył Winnicki. – Właśnie rzecz w tym, że wszystko jakby nożem uciął! Cicho się zrobiło, nikt już upiora nie widział, ani też była nic nie napastuje.

– To baczowie zdążyli się sprawić?

– W żadnym razie. Grób nawet ruszony nie był. Tyle co łopateę wbili.

– Jakim że wtedy sposobem ucichło? Nawet jeśli jakoweś widziadło było, to przecie teraz, kiedy mu spokój chcieliście zakłócić, tym bardziej powinno się mścić – zawyrokował Saksończyk.

– Prawda – przyznał administrator. – Zważ jednak waćpan, że różnie to z bestiami bywa. Może krwią się na jakiś czas nasyciła? Albo też przez zmarzlinę zimową z grobu wydłubać się nie może?

Zasepił się pozornie Niemiec, niby się zastanawiając nad wnioskami pana Jeremiego. Na koniec pokręcił głową.

– Nie może być. Przecie upiór ludzkim prawom nie podlega. Co mu za przeszkodą zmarzlina?

– Aaa... – Winnicki przysunął się ku wysokiemu oficerowi. – Różnie to ludzie powiadają. Niektórzy na ten przykład, iż przez szparę w grobie taka strzyga wyłazi, który to otwór święconym wiechciem słomy zatkać wystarczy czasami. Może lód i śnieg zatkały?

– Poczekaj, poczekaj, waćpan! – przerwał Murray. – Jednego nie pojmuje. Ile lat miała owa córka pana Rudyłowskiego?

– Z dziesięć.

– Dzieckiem jeszcze była? – upewnił się Szkot.

– Dzieckiem – potwierdził administrator.

– Czyli niewinna jeszcze?

– Noo... – Nuta niepewności zabrzmiała w głosie pana Jeremiego, który poznał, do czego zmierza cudzoziemiec. Oficer zaś ciągnął:

– Odpowiedz mi więc, waćpan, jakim sposobem mogłaby dusza niewinna w upiora się przedzierzgnąć?

– Nie wiem... Chłopi powiadają, że jeśli poczęte zostało dziecko w czasie krwawienia, co je ma kobieta co miesiąc, to i złe z tego się rodzi...^[63] Albo to, co popi mówią, że to za sprawą, iż jej ojciec wiarę starą porzucił... Lub też klątwa jakowaś, czy jak... Dziwna była...

– Dziwna? – zaciekawiał się Szkot.

– Niby o zmarłych źle nie trzeba mówić, ale niespełna rozumu.

– I zaraza ją zmogła?

– Gdzie tam zaraza – zaprzeczył administrator, kręcąc głową. – Ledwie w paru chałupach chrost^[64] dostali. Zmarło nie więcej niż kilku ludzi, a ze szlachty to tylko ona.

Podrapał się po głowie, dodając:

– To jeszcze, że pochówek nie był jak trzeba. Bo raz, że nie na cmentarzu, a dwa, ponoć obyczajów nie dopełniono... – Zawahał się. – Tak ludzie gadali. Ja tam nie wiem, bo sam jestem ruskiego obrządku, a chowali ją tylko Rudyłowski ze sługami i ksiądz na tę okoliczność sprowadzony.

– I waszmość, jako sąsiad najbliższy, nie poszedłeś?

– Eee... – Pan Jeremi się zmieszał. – Jakoś tak się zdarzyło... Znaczy... Zatwarniccy też nie szli... Żeby to na cmentarzu, jak Pan Bóg przykazał, było...

– A ci Zatwarniccy to kto?

Nie musząc się już tłumaczyć, ucieszony ze zmiany tematu, stary szlachcic odpowiedział prędko:

– Bracia trzej. Za Sanem mają przysiółek na własność przez pana Eryka Herburtu nadany, Sikawiec się zowie. Imiona im matka dała po trzech królach, więc najstarszy zowie się Kacper, a potem są Melchior i Baltazar. Zacna szlachta ruska.

– Tak zacna, że na pogrzeb córki sąsiada nie poszli? – zadrwił Szkot, patrząc wprost w oczy administratorowi.

Zgarbił się pan Winnicki, głębę wykrzywił, rękami zamachał. Na koniec, głową pokręciwszy, wysapał żałośnie:

– Sam tu jak palec siedzę! Panu Herburtowi dobrze rozkazywać! A ja co?! Z ludźmi swoimi muszę w zgodzie żyć! Wysłałby jegomość Eryk pana Rudyłowskiego w inne strony! Mało to ma majątków?! Ale nie! Jak drzazgę między prawosławnych wsadził, żeby tylko im jątrzyć! A przecie jakby Bałwańskie Zatwarnickim w dzierzawę puścił, wszystko by się skończyło jak ręką odjął!

– Przecie mówiłeś waszmość, że pan Herburt kazał ci strzec spokoju pana Rudyłowskiego. Jakże to, że chcesz się go pozbyć? – zapytał Niemiec, mrużąc oczy.

Pochlipując prawie, już to z żalości nad sobą oraz wypitego wina, pan Jeremi uniósł wzrok ku niebu.

– Spokoju mi trzeba! Już raz na dwór w Bałwańskim chłopci poszli! Ledwie ich do chałup rozpedzić zdołałem.

– Czyli przyszedłeś mu waszmość w sukurs w potrzebie?

– Ja... Ja kazałem... Karbowy Gawryło pachołków poprowadził... On bardziej zdatny... Młodszy... Na wojnach bywały...

– A kiedy baczowie przyszli?

– Nie chciały już iść sługi! Pokryły się! A Gawryło rzekł tylko, że to dla wszystkich dobra... Że pop kazał!

– Oj! – Stiller sięgnął po dzban i sam polał sobie wina. – Dziwne, zaiste, macie tu stosunki sąsiedzkie, mości Winnicki! Nad wyraz dziwne! Niekontent byłby pewnie pan Herbut, gdyby wiedział... – Nie dokończył, łypiąc znad kielicha.

– Co też waszmość! Ja wszystko... Ja wszystkie siły! Życie całe...

Pan Jeremi rozkleił się już całkowicie. Broda mu drżała, wąs opadł smętnie, oczy się zaszklily.

– Dobrze, dobrze! – uspokoił go Murray. – Wierzymy waszmości, bo trudna to rzecz w takim czasie i sytuacji wszystkim dogodzić. Da Bóg, wiosną ludzie wojskowi przyjdą, to przykażemy im, żeby pomocy w potrzebie ci dali!

– Zbawcy moi! – Tak się administrator Herburtowy szarpnął ku gościom, aż kielich swój potrącił, szczęściem prawie już pusty.

Kilka chwil trwały jego jęklive podziękowania, nim znów jako tako wrócił do zmysłów. Kiedy wreszcie opadł na siedzisko i dopił trunek, Saksończyk zapytał:

– I co teraz ludzie zamierzają z owym upiorem czynić?

Rozradowany myślą o bezpiecznej wiośnie pan Winnicki ochoczo wyjaśnił:

– Mówią, że Zatwarniccy aż po najznamienitszego czarownika, baczę z Łumnej^[65], posłali. On ma sprawę skończyć.

– Czyli? – Stiller rozłożył dłonie.

– Upiora unicestwić. Ma ponoć swoje sposoby.

– Znamy te sposoby. – Murray sięgnął do półmiska z wędlinami. Przegryzając mięso, zaczął wymieniać. – Głowę odciąć, pierś kołkiem przebić, ściągnąć pod kolanami przeciąć, ciało twarzą ku ziemi obrócić. O tym waszmość mówisz?

– Ja tam nie wiem. – Gospodarz nerwowo wzruszył ramionami. – Byle spokój wreszcie był. Jak tego trzeba, by ludzie ostygli, trudno!

– Tak prawosławny Kościół nakazuje? – uderzył celnie Stiller.

Winnicki zamrugnął oczami. Usta chwilę poruszały mu się bezdźwięcznie, aż w końcu, machnąwszy ręką, wycedził zrezygnowany:

– Nic nie pojmujecie, waszmościowie. Tu Ruś jest. Góry. Tu i Kościół święty swoimi się rządzi prawami. Bogu trzeba, co boskie, a ludziom, co ludzkie. Ot co!

Unosząc się, Niemiec dopił resztę wina z kielicha. Odstawiając naczynie, wycedził:

– A martwym spokój się należy.

– Amen. – Szkot pokiwał głową.

Spojrzeli po sobie wymownie oficerowie. Wstając z krzesła, Murray oznajmił pijanemu już gospodarzowi:

– Pora nam spać, mości Winnicki. Jutro pojedziemy miejsca na popasy pooglądać.

Za oknami był już głęboki mrok. Taki, jaki tylko w Bieszczadach nastać potrafi.

KACPER ZATWARNICKI

Śnieg chrząścił pod końskimi kopytami. Było mroźno, ale słonecznie, a rześkie powietrze sprawiało, iż zimowa wędrówka mogła być nawet uznana za przyjemną.

Przodem, prowadząc w kierunku Bałwańskiego nad potokiem Hylaty, jechał wyznaczony przez Winnickiego przewodnik, którym był sam karbowy Gawryło. Chłop niski, krępy i barczysty. Ponoć służył kiedyś w piechocie wybranieckiej^[66], ale też prawdy nikt nie znał, bo czemu by teraz na własnym nie siedział? Gdzieś tam, po chałupach, pletli ludzie, że tak się z nim miała sprawa, jak ongiś z Piotrem Fleszarem ze Szczawnicy^[67], stąd uciekł od złego pana, lecz sam o tym nigdy nie gadał. Przygarnął go pan Herburt i jak swojego poddanego traktował. W zamian miał sługę wiernego, choć po swojemu czasem myślącego. Prawdę powiedziawszy, to on bardziej w Zatwarnicy porządku pilnował niż niemrawy administrator. Zresztą jakby który z wieśniaków karbowego nie posłuchał, łatwo mógłby od niego wziąć po łbie, a rękę Gawryło miał ciężką. Przy tym zwykł był chodzić z tasakiem^[68] przy boku, czym jasno dawał znać, jaka może być z nim sprawa w razie zwady.

Miał w sobie karbowy chłopski spryt i przebiegłość. O swoje potrafił dbać, gromadząc to, co zdołał uszczknąć. Ale też przesadny w tym nie był, bo choć sam czasem kradł, innym nie pozwalał. Jak kogo na takim przestępstwie złapał, to i kija potrafił użyć albo nawet w dyby zakuć dla ukarania. Bali się go tedy chłopci okoliczni, choć swój był, greckiej wiary. Ale też nie swój jakoś, zawieszony pomiędzy stanem włościańskim a lichą szlachtą. W niebycie, gdzie zwykle kończyli nieherbowi żołnierze niskiego pochodzenia.

Z tyłu, w oddaleniu dwudziestu kroków, powoli jechali za przewodnikiem oficerowie ze Lwowa. Rozglądali się ciekawie po

ośnieżonych wzniesieniach, a to na prawo spoglądając ku Średniemu Wierchowi, a to na lewo, gdzie wznosił się niższy Działkowiec. Pomiedzy nimi płynął pod lodem potok Hylaty, nad którym rozciągały się ośnieżone pola. W oddali widać było słabe zarysy chałup Bałwańskiego, znaczone wąskimi nitkami wznoszącego się ku niebu dymu.

Stiller kiwał się miarowo w siodle znudzony jednostajną bielą krajobrazu. Jadący obok Murray w milczeniu dłużył drzazgą w zębach, co rusz spluwając na bok. Zdawali się pozornie obojętni, tak jak obojętni powinni być oficerowie wysłani w sprawie popasów. Gdyby kto się im przyglądał, odniósłby to mylne wrażenie. W rzeczywistości jednak bacznie obserwowali wszystko dokoła, zapamiętując szczegóły, które mogłyby być im pomocne w przyszłości.

Kiedy karbowy był w znacznym oddaleniu, Stiller zagadał:

– Co myślisz?

– O czym? – mruknął niedbale Szkot.

– A choćby o Winnickim.

– O nim? – Murray wzruszył ramionami. – Herburta się boi, Zatwarnickich się boi, nas się boi. Jednym słowem miękkim przyrodzeniem zrobiony.

– Prawda – przyznał Niemiec. – Ale go imć pan Eryk trzyma.

– Trzyma, trzyma! – burknął bezręki grubas. – Dla nas z niego żaden pożytek. Bajania jedynie powtarza, jak choćby te o prosiakach. – Głową wskazał na Gawryłę. – O! To ów upiór, co prosiaki kradnie!

– Ale ważne rzeczy też powiedział.

– Jakie niby?

Saksończyk uśmiechnął się pod nosem.

– A to choćby, że od czasu sprawy z baczami ucichło. Tak mi się zdało, że chłopci jakoś mało bojaźliwi, skoro Ihor z Hulskiego w noc polazł jakby nigdy nic.

– Czyli? – Murray splunął ostatni raz i odrzucił drewnianą drzazgę, spoglądając uważnie na towarzysza.

– Czyli że albo w istocie ucichło, albo też chłopci wiedzą, że nie mają się czego bać.

– To po co niby kolejnego baczę chcą sprowadzić?

– Ot, zagadka. – Chudy cudzoziemiec pokiwał głową. – Chyba tylko po to, aby ostatecznie żywot tutaj panu Hieronimowi Rudyłowskiemu obrzydzić. Bo zważ, Williamie, jeśli mu córkę wygrzebią z grobu i potraktują jak, z przeproszeniem, wapiersza jakiegoś, to będzie chciał się tu ostać?

– Prawda – zgodził się Szkot. – Nie będzie.

– A zatem kto najpewniej czarownika z Łumnej chce sprowadzić?

– Zatwarniccy.

– Właśnie. Oni tu jątrzą i mieszają, byleby na swoim postawić. Nam zaś trzeba tak sprawę ułożyć, żeby powodu nie mieli albo się bali.

– No? – Murray pochylił się w siodle z zainteresowaniem. – I jak niby chcesz to zrobić?

– Na początek może trzeba by z Rudyłowskim pogadać. Może jego łąki najlepsze w Bałwańskim na wypas wojskowych koni?

Szkot pokręcił głową.

– Mało. Raz, że nawet jak hetman da ludzi i konie tutaj, to dopiero wiosną. Dwa, sam pamiętasz, że Rudyłowski z nikim gadać nie chce. Nawet księdza nie wpuścił, a co dopiero nas. Ani chybi Zatwarniccy uwiną się, nim cokolwiek zdołamy tym sposobem uczynić. Nadto ludziom trzeba uświadomić, że żadnego upiora nie ma i nie było. Od tego bym zaczął.

– A jaki masz na to pomysł?

– Parę dni tu będziemy, starczy kilka nocy przy grobie spędzić. Wiadomo, że wieści na miejscu nas już doszły, a skoro na wiosnę mają przyjść tu nasi ludzie, to chcemy sprawdzić, jak ma się rzecz z upiorem, który zwierzęta kaleczy. Ma to sens?

Stiller zmarszczył nos i pogładził się rękawicą po wąsach.

– Może i by miało, ale ja i ty jesteśmy rzymscy katolicy. Od razu posądzą nas, że jakieś czary odprawiamy nad grobem. A wtedy Zatwarnickim

starczy jakąś krowinę nożem smyrnąć i kłopot gotowy.

– To weźmy sobie jakiegoś prawosławnego za towarzysza. – Szkot uśmiechnął się szeroko. – Ooo! Na ten przykład pana Winnickiego! Gwarantuję, że rad będzie!

– Eee! – Saksończyk machnął ręką na niezbyt udany żart. – Bez drwin mów!

Twarz drugiego oficera natychmiast spoważniała. Podjeżdżając bliżej koniem, mruknął:

– Poważnie? Zatwarnickiego jednego weźmy. Albo i dwóch. Nie odmówią, nie chcąc na tchórzy wyjść. A jak co się zdarzy, to i część winy za niedopilnowanie na nich spadnie. No i nas będą mieli na oku. Przecie przy nich nie będziemy czarować.

Zmrużywszy oko, Stiller się zastanowił, a potem pokiwał głową.

– Pomysł dobry – przyznał. – Poprawiwszy kaptur, dorzucił po chwili: – Może i zamiast straszyć, zysk jakiś im zarysować. Ot, że na ich ziemi część popasów moglibyśmy odbyć. Pieniądze ze skarbu otrzymają, to i na chwilę Bałwańskie odpuszczą.

– Tym bardziej na ziemi Rudyłowskiego nie może być wojskowych koni.

– Racja.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Zastanawiali się, jak można jeszcze sprawę uspokoić, zaradzając jej w najprostszy z możliwych sposobów, czyli dając sprawcom to, czego chcą. Bo co do tego, że za wszystkim Zatwarniccy stoją, nie mieli żadnych wątpliwości.

Po jakim kwadransie odezwał się Murray:

– A co z popem?

– Pop pewnie na postronku u braci z Sikawca. Jak mu każą, tak zrobi i co trzeba ogłosi.

– Ech! – westchnął Szkot. – Że też pana Herburta nie ma! Z nim najłatwiej byłoby dojść do ładu!

– Pewnie – potwierdził Stiller. – Lecz tak się kraje, jak materii staje. Gdyby chociaż tu było trochę rzymskich katolików, na których można by

się oprzeć. A tak prawdę powiedział Winnicki, że jak drzazgę wetknął pan Eryk Herburt Rudyłowskiego na dzierżawę. A teraz to już na pewno nie pójdzie, skoro grób córce na tej ziemi zrobił i to tak, żeby z okna mieć widok.

– To może zezwolić owemu baczy swoje wykonać i niech Rudyłowskiego diabli biorą? – rzucił Szkot z przekąsem, zmrużywszy oczy.

– Tylko gorzej się stanie. Na miejscu sprawę rozwiążesz, ale w świat pójdzie, że upiór przez rzymską wiarę się narodził i dopiero go prawosławny chłop kołkiem w pierś wbitym zdusił. Woda byłaby to na młyn popów. W innych miejscach poczną Rusini nastawać na rzymskich katolików, szukając diabła, gdzie go nie ma. Nie po to nas poza tym tutaj posłał arcybiskup, abyśmy na profanowanie grobów się godzili, nawet *pro publico bono*^[69].

– Radzimy, radzimy i nic nie uradziliśmy – skwitował złośliwie niski oficer. Trącił konia, sforując się do przodu.

Już w kierunku jego pleców Niemiec rzucił:

– Dowiedzmy się więcej, to coś wymyślimy. A ty utyskiwać przestań, bo z tego nic nam nie przyjdzie!

– Aaa tam! – Szkot kiwnął kikutem, oddalając się w kierunku Gawryły.

Karbowy przystanął, wskazując dłonią na wprost, gdzie na wzniesieniu obok potoku stało większe od innych domostwo.

– Dworek pana Rudyłowskiego – oznajmił.

Zakręciwszy się na wierzchovcu, Niemiec polecił:

– Podjedźmy z gospodarzem się przywitać.

Gawryło skrzywił się w złośliwym uśmiechu, ale też nic nie odrzekł. Zamiast tego, machnąwszy ręką i kłaniając się unizenie, jakby zaprosił oficerów, by przodem jechali. Spodziewał się bowiem, że przywitania żadnego mieć u Rudyłowskiego nie będą.

Budowla zdawała się stara. Nie dość, że śniegiem, to i wiekiem przyciśnięta do ziemi. Przysadzista, z grubych bali zbudowana, z gankiem tyle co nad grunt podniesionym. Ledwie płot ją otaczał, bez żadnych

obwarowań. Brama w nim była pochylona, na wpół otwarta. Przy tym nienaruszony biały puch pomiędzy skrzywionymi skrzydłami świadczył, że raczej nikt tędy dawno nie chadzał. Okna w domostwie były małe, w sam raz by ich w razie potrzeby za strzelnice używać. Tak samo i drzwi niskie, przez które nawet średniej wielkości mąż przechodząc, musiałby się schylać. Solidnie za to nabite ćwiekami przeciw toporom^[70].

Obejście wokół ni to dworu, ni to chałupy wyglądało niechlujnie. A to rozbite beczki leżały u węgła, a to jakieś koryto opierało się o ścianę. Na lewo wałała się sterta gnijącej już starej słomy. Dalej zaś stał pozbawiony dwóch kół wóz, pewnie od lat nienaprawiony.

Od prawej strony była stajnia, także z drewna zbudowana. Bielona splekanym już i odłazącym wapnem, z dachem wklęsłym pośrodku niczym siodło. Ukośnie do niej, od narożnika, postawiono stodołę, która teraz szczyrzyła się szczyrbami poodrywanych desek.

Za dworem, widoczne pomiędzy zabudowaniami, białe pola, kończące się gwałtownie ścianą wznoszącego się lasu. Pośrodku nich dostrzec można było jakowyś kopiec czy też wzgórek, na którym czarno rysował się krzyż. Od razu poznali oficerowie, iż to właśnie jest najpewniej miejsce spoczynku Anusi Rudyłowskiej. Ani grymasem jednak nie dali po sobie poznać jakiegoś zainteresowania.

Wjechawszy przez bramę, nie zeszli z koni, czekając, aż ktoś wyjdzie im naprzeciw. Nic się jednak takiego nie wydarzyło, więc Gawryło zbliżył się ku gankowi, pokrzykując:

– Hej! Matjas! Panowie oficerzy w gości do gospodarza przyjechały! Wyjdźże ku nam!

Przez długą chwilę odpowiadała mu cisza. Wreszcie zachrobotał zamek, zaskrzypiały zawiasy i schylając się, ze środka wylazł stary już, ale ogromnej postury chłop. Twarz miał suchą, policzki zapadłe, czoło pobrużdżone wiekiem. Łypnąwszy spod krzaczastych brwi, warknął:

– A czego tu?!

– Do pana Rudyłowskiego goście! – wyjaśnił karbowy, wskazując na towarzyszy machnięciem ręki.

Sługa dzierżawcy Bałwańskiego, zmrużywszy oczy, skłonił się nieznacznie. Można byłoby wziąć nawet ten ukłon za lekceważący. Pociągnawszy nosem, splunął, by w końcu oznajmić:

– Pan chory! Gości nie przyjmuje!

Nawet nie czekał odpowiedzi. Odwrócił się na pięcie, by zniknąć za okutymi drzwiami. Zazgrzytało żelazo zamka i to wszystko. Wizyta się skończyła, nim się rozpoczęła.

Oficerowie popatrzyli po sobie, wzruszając ramionami. Choć spodziewali się chłodnego przyjęcia, to jego lakoniczność była dla nich zaskoczeniem. Tymczasem Gawryło zaśmiał się krótko, odwracając konia.

– Ot, mości panowie, gościna w Bałwańskim.

Ruszył w kierunku bramy, bez specjalnych względów na cudzoziemców. Ci, postawszy jeszcze chwilę, pojechali za nim. Dogoniwszy karbowego, Stiller zapytał:

– A ten wielkolud to kto był? Sługa Rudyłowskiego?

Gawryło skinął głową.

– Sługa. Matjas go zwą. Z Węgier pochodzi.

– Chłop?

Karbowy wzruszył ramionami. Nie patrząc w kierunku Saksończyka, wyjaśnił:

– Powiadają, że był w czeladzi u husarzy, jak pan Eryk Herburt towarzyszem w chorągwi stawał, a Rudyłowski w jego poczcie służył. Wolny jest. Razem z trzema innymi domu w Bałwańskim pilnuje. Stary, ale jak tur silny. Jak diabeł z muszkietu strzelać potrafi.

– A ci trzej pozostali?

– Też z panem Rudyłowskim z Beniowej przyszli.

– Rusini? – dociekał Niemiec.

– Czort ich wie. Po naszymu gadają, ale skąd rodem, nikt nie zna. Mało między ludzi chodzą, w cerkwi się ich nie zobaczy. Dawniej, zanim jeszcze

córka dzierżawcy umarła, to chłopów w polach pilnowali. Ale teraz... – Nie skończył, machnąwszy ręką.

– Napaści się boją?

– Boją? – Gawryło odwrócił głowę i uniósł brwi. – Bardziej tutejsi chłopci ich się boją niż oni wieśniaków. Obwiesie ponure jeden w drugiego. Tylko Rudyłowskiego słuchają, za nic mając innych. Nawet Zatwarnickim są gotowi odpór dać, jakby przyszło co do czego.

Murray się uśmiechnął.

– To znaczy siedzi sobie pan Rudyłowski z pachółkami w domostwie jak w twierdzy jakiej.

– Siedzi – przyznał dawny piechur wybraniecki.

– Ale zwady nie szuka? – rzucił dociekliwy Szkot.

Gawryło zmieszał się na moment. Z ociąganiem odpowiedział:

– Nie szuka.

– To czemu chłopci chcą go przepędzić? To pana Herburta majątek i on mu dzierżawę dał.

– Aaa... – parsknął niechętnie przewodnik. – Przecie wam, mości panowie, jegomość Winnicki na pewno rzekł o wszystkim. Co ja będę gadał. Nie chcą go tu, i już. Spokój byłby, gdyby nie on.

– Tak? A skąd pewność, że to od pana Rudyłowskiego, albo też jego córki, złe w te strony przyszło?

– A stąd... – karbowy ściągnął wodze – ...że jak żywa była, to nijakiej strzygi tutaj nie uświadczylimy. Jak tylko pomarła, zaczęło się. To kto niby winien?

– I prosiaki kradła nieboszczka? – wycedził złośliwie Murray.

Speszony Gawryło zamilkł na chwilę. Zadrzały mu szczęki nerwowo. Wreszcie odpowiedział cicho:

– Z prosiętami to insza sprawa była... – Uniósł wzrok. Głos mu stęzał. – Ale prawdę mówię, że straszyla upiorzyca! Od pazurów na chałupach ślady zostawiała. Bydlęta dusiła po stajniach! Znane to objawy diabelskiej

obecności! I pop Iwan to słowem swoim potwierdził! Nie ma przewiny bez kary! Wiarę ojców Rudyłowski porzucił, tedy klątwę na swoją głowę ściągnął! A z tym i nam, sąsiadom swoim! Ot co!

– Czyli że rzymscy katolicy w konszachty z diabłem wchodzą? – upewnił się Stiller.

– Tego, jaśnie panie, nie rzekłem – odparował chłop. – Jak kto się w tym obrządku narodził, to niech w spokoju żyje. Nic do niego nie mam. Ale jeśli kto dobre na lepsze zamienić chce, nie wiadomo, jakie siły mu to podszeptują. Słaby jest ten, kto przy wierze ojców nie potrafi wytrwać. Powiedzcie sami, panie, jakże wyglądałby ten świat, gdyby tak każdy dla swego widzimisie raz do cerkwi chadzał, raz do kościoła, a na koniec może i synagogi? Porządek w świecie Bóg ustanowił i nie nam go zmieniać. Ot co! To tak prawie, jakbym jednego dnia, mężem będąc, suknię nazajutrz przywdział. Nie zgorszyłoby to was, wielmożny panie?

Saksończyk skrzywił się w ironicznym uśmiechu na rzucone przez karbowego porównanie. Nie odpowiadając, ponaglił konia, uderzając mu w boki piętami. Pojął, jak trudne zadanie wyznaczył mu biskup Próchnicki. Tak to bowiem bywa, że wiele zmienić można, lecz ludzkie sądy najmniej są na takie zmiany podatne.

Pojechali dalej w milczeniu skrajem pól w kierunku Działkowca. Tuż pod lasem zawrócili na północny zachód, by potem, wędrując brzegiem potoku Głębokiego, na prawo mieć szczyty Wierchu i Kiczery. Tak też zmierzali niespiesznie w stronę Sanu.

Już widać było rzekę, gdy ujrzeli przejeżdżającego przez nią po lodzie konnego. Stiller zatrzymał wierzchowca. Zmrużył oczy, przykładając otwartą dłoń do czoła. Z odległości nijak jednak nie mógł poznać, kto jedzie. Także Murray z Gawryłą stanęli. Cała trójka się przyglądała zbliżającemu się ku nim mężczyźnie. W końcu karbowy, mruknąwszy pod nosem jakieś ruskie przekleństwo, oznajmił:

– Widzi mi się, że to pan Kacper Zatwarnicki z Sikawca jedzie.

– Najstarszy z trójki? – zainteresował się Stiller.

– No – odparł zwięźle chłop. Znać po nim było, iż ze spotkania zadowolony raczej nie jest.

Zbliżający się konny pewnie siedział w siodle. Dumnie wyprostowany, tylko jedną ręką wodze trzymając, szedł stępą. Czapkę z czaplím piórem na bakier miał zawadiacko przesuniętą, a strój krasny, bogaty, aż w oczy na białym tle kłujący. Futerko lekkie, jakby mrozu nie było, ledwie przewieszało mu się przez plecy. Wierzchowiec zaś był u niego przedni. Smukły, postawny, z małą głową i długimi pęcunami. Pstrokaty, maści karej z białymi plamami. Lekko płynął, zdawałoby się niepomny na śnieg. Murray, widząc go, aż cmoknął z podziwu. Ze dwieście złotych jak nic rumak mógł być warty. Stiller, obojętny na wdzięk zwierzęcia, bardziej ku jeźdźcowi swój wzrok kierował.

Najstarszy z trzech braci Zatwarnickich wysoki był i barczysty. Twarz z jasnym wąsem miał kanciastą, ale też przystojną. Rysowało się w niej coś drapieżnego, jakaś chciwość życia i przygód, która aż z niej przebijała. Nos prosty, wąski, oczy jasnoniebieskie. Brwi i rzęsy ledwie widoczne, w kolorze słomy.

Zbliżając się, wyszczerzył w uśmiechu białe zęby, co tak miłe sprawiło wrażenie, jak miły jest antylopie widok zbliżającego się lwa. Podjeżdżając, nawet nie zwrócił uwagi na Gawryłę, który też się odsunął, kuląc się w siodle. Od razu poznał saksoński oficer, iż charakternego musi mieć przed sobą kawalera, który pewnie równie łatwo ściska się z panami braćmi po biesiadach przy winie i przyjaźń wyznaje, jak im uszy obcina, albo i gorsze rzeczy czyni. Uśmiechnął się Stiller na tę konstatację, wiedząc, że łatwo takiego gorączkę sprowokować, a dla udowodnienia odwagi wszystko będzie gotów uczynić.

Młody szlachcic, skinąwszy głową, przyłożył dłoń do futrzanej czapy, zakrzykując:

– Czołem, panowie oficerowie!

– Czołem! – odpowiedzieli cudzoziemcy zgodnie, choć mniej donośnie.

Jeździec, zakręciwszy się na koniu, przedstawił się:

– Jestem Kacper Zatwarnicki herbu Sas!

Powiedział to takim tonem, jakby co najmniej z Radziwiłłów pochodził.
Niemiec, skłoniwszy głowę, zrewanżował się.

– Ja jestem Werner Stiller, porucznik dragoński u hetmana Koniecpolskiego... – wskazał ręką na Szkota – ...a to pan William Murray, także oficer hetmański. Miło nam poznać waszmości.

– I mnie miło! Za czym to hetmańscy oficerowie na takie pustkowia zjechali?

– Oglądamy miejsca na popasy dla koni lekkiej jazdy, co też nam zlecił jegomość Koniecpolski, umówiwszy się z panem Herburtem. Wiosną przyjąć ma do Zatwarnicy dla odpoczynku lekka chorągiew wołoska, która teraz w Dzikich Polach stoi.

– W zimie stoją? – zaciekawiał się szlachcic.

– W zimie – potwierdził Niemiec. – Od czasu pokoju z Turkami od Tatarów tylko oganiać się trzeba. A ci właśnie zimą rozpoznanie czynią, którym szlakiem iść^[71]. Jak podjazd im się przepłoszy albo wytnie, to mniej skorzy do napaści. Na wiosnę Wołochów Kozacy zmieniają.

– Aaa! – Zatwarnicki ze zrozumieniem pokiwał głową.

Podjechawszy bliżej, ni to zapytał, ni to stwierdził:

– U pana Winnickiego stoicie?

– Tak – odrzekł wysoki oficer, patrząc wprost w oczy mężczyźnie.

– To do nas, do Zatwarnicy, w gości zapraszam! Tu, na odludziu, chętnie wieści posłuchamy, co w wielkim świecie się dzieje!

Skłoniwszy się, Stiller się uśmiechnął.

– Radzi skorzystamy, jak czas i obowiązki pozwolą. Parę dni tylko mamy, żeby z panem Winnickim miejsca i cenę za popasy ustalić. A co do wieści ze świata, to słyszymy, że więcej tu u was ciekawych rzeczy się dzieje, niż mógłbym opowiedzieć.

Szlachcic zmrużył jedno oko. Twarz mu stężała. Odbił się na niej wyraz podejrzliwości. Ściągnąwszy wodze, zatrzymał w miejscu pięknego srokacza.

– O czym mości panie oficerze mówisz?

W jego głosie zabrzmiała jadowita i niepokojąca nuta, lecz Stiller wcale się nie wystraszył. Tym bardziej iż widział, jak Murray sięgnął dyskretnie za kożuch, gdzie trzymał naładowany pistolet. Uśmiechając się, wyjaśnił Zatwarnickiemu:

– O tym, że już wczoraj upiorem nas tu straszono, który jakoby jesienią dwóch ludzi poszarpał.

Zamiast odwzajemnić uśmiech, szlachcic skrzywił się tylko.

– Nie wierzycie?

– Pół życia na wojnach spędziłem, a ze strzygą jeszcze sprawy nie miałem. Wierzyć, że coś ludzi ubiło, to wierzę. Mało tu dzikich stworzeń po lasach?

Młody pan z Sikawca trącił konia, zbliżając się do Stillera, tak że prawie otarli się nogami. Spoglądając spode łba, mruknął:

– Światowi jesteście, to nas tu za zabobonnych dzikusów pewnie macie?

– Broń Panie Boże, mości Zatwarnicki! – zaoponował od razu Saksończyk. – Anim myślał waszmości uchybić! To jedynie mówię, że sam ochotę mam owego upiora spotkać i nieco mu rogów przytrzeć!

– Na waszym miejscu modliłbym się, mości oficerze, żeby w drogę wam strzyga nie weszła. Na własne oczy widziałem tych poszarpanych chłopów. W jednej chwili dwóch silnych i rośłych wieśniaków ubiła jak kurczaki.

Zamiast zamilknąć, oficer ze Lwowa przechylił się ku szlachcicowi, patrząc mu wprost w błyszczące źrenice. Szczerząc zęby pod sterczącymi wąsikami, wycedził:

– Tym większy mi waszmość smak robisz, aby owego potwora spotkać. Tylko się ze sprawami hetmańskimi uporam, to noc albo dwie poszukam go sobie.

Odchylił się, zerkając ku Szkotowi.

– Co ty na to, Williamie? Poigramy z siłą nieczystą?

– Grzechem byłoby diabelskie nasienie bez kary zostawić! – odkrzyknął Murray. Zaraz też dodał złośliwie: – Skoro tutaj nikt bestii rady dać nie

może, to wojskowego trzeba.

Aż zagotował się w środku Kacper Zatwarnicki. Twarz zrobiła mu się czerwona, usta pod jasnym wąsem wykrzywił zły grymas. Szarpnął za wodze, wysyczawszy:

– Tacyście panowie oficerowie odważni?!

– Ano, tacy! – przyznał Stiller, wymownie kładąc dłoń na rękojeści długaśnego rapiera.

Zaraz jednak głos mu złagodniał.

– A może i ty, mości Zatwarnicki, z nami pójdziesz? Wyglądasz mi na dzielnego kawalera, więc miło byłoby nam w tak zacnym towarzystwie łowy sprawować.

Trzymający już rękę przy szabli, szlachcic opuścił ramię. Prostując się w siodle, poprawił czapę, odpowiadając:

– Żebyście wiedzieli, że pójdę! Popatrzę sobie, jak dzielne oficery hetmańskie, na wojnach bywałe, nogi za pas biorą! Pośmieję się!

Pominał jawną złośliwość Stiller. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Wyciągając rękę ku szlachcicowi, zawołał:

– Toś mi druh, mości Zatwarnicki! Nie ma to, jak zabawa i trochę śmiechu! Nie omieszkam wziąć ze sobą zacnego dzbana, aby twoje zdrowie wypić!

Zaskoczony młody mężczyzna odruchowo podał swoją dłoń. Oficer potrząsnął nią kilkakroć, wciąż się śmiejąc. Dłuższą chwilę trwało to dziwaczne zbratanie.

Puściwszy prawicę szlachcica, Niemiec skinął na Gawryłę.

– A ty prowadź dalej!

Skłonił się w stronę Zatwarnickiego, mówiąc:

– Wybaczcie, mości panie, ale w drogę nam czas. Służba nie družba. Im wcześniej się spravimy, tym szybciej polowanie urządzimy.

Trąciwszy konia, już odjeżdżając, dorzucił:

– Każę posłać po was za parę dni, abyśmy się z wieczora umówili. Tymczasem bywaj, panie Zatwarnicki! Do rychłego zobaczenia!

Karbowy już oddalił się na kilkanaście kroków. Także Murray, skinąwszy głową na pożegnanie, pojechał. Został pośrodku pola jedynie zaskoczony szlachcic na pięknym koniu. Pokręcił się jeszcze przez chwilę, szarpiąc wodze. Na koniec zaś zaklął siarczyście pod nosem, twardym ruchem mocniej nacisnął kołpak^[72] na głowę i mocno kłując końskie boki ostrogami, ruszył, aby zerwać się do zmywającego złość galopu.

ROZDZIAŁ IV

CZUWANIE

Trzy dni trwały jeszcze peregrynacje oficerów po łąkach wkoło Zatwarnicy. Szczegółowo wypyтали prowadzącego ich Gawryłę o każdą piędź ziemi, jakby to w istocie było najważniejsze ich zadanie. Na koniec zaś siedli z panem Jeremim Winnickim ustalać szczegóły popasu i kwaterowania koniuchów. Stary administrator w targach okazał się szczwany, aż trudno w nim było poznać owego wystraszonego szlachetkę z pierwszego dnia. Bo też oswoił się w istocie z obecnością wojaków, a nawet stwierdził, iż jego pierwsze lęki na wyrost były. Cudzoziemcy okazali się bowiem grzeczni, wina nie nadużywali, do awantur skorzy nie byli. Nawet jadła prostego tylko chcieli, nie opróżniając zbytnio spiżarni. Pewniej się jakoś czuł pan Jeremi, mając w domu tęgich wojaków. Zwłaszcza że chłopci pokorniej chodzili, co też po trosze i za przyczyną Gawryły było, który wojsko znając, popisывał się przed oficerami swymi porządkami, nieraz wręcz grzesząc zbędną surowością.

Bóg wie skąd, choć to pewnie za sprawą karbowego, rozeszła się wieść o umowie pomiędzy cudzoziemcami a najstarszym z Zatwarnickich. Łypali tedy włościanie podejrzliwie na gości albo też nawet żegnali się na ich widok. Nikt jednak słowa nie śmiał powiedzieć. Nawet pan Winnicki milczał długo, udając, że nie zna sprawy. W końcu jednak przemógł się, właśnie po targach ostatnich, prosząc i zaklinając oficerów, by nie narazali się bez potrzeby na hazard. Różnie próbował ich odwieść od zamiaru. A to mówiąc, że na hetmańskiej służbie będąc, nie powinni życia bez potrzeby wystawiać, lub tak że tylko zamęt wśród chłopów wprowadzą. Na koniec zaś, sam pewnie nie wierząc w skuteczność swych słów, zaklinał ich na Boga, twierdząc, iż nie wypada tak światowym ludziom w gusła i zabobony wierzyć. Nic to nie dało. Posłuchali go wojacy, głowami pokiwali, czasem zaśmiali się, czasem go zbyli. Zmęczeni gadaniną oznajmili w końcu, że

zamiar swój tak czy siak zrealizują, żeby nikt o tchórzostwo jakieś posądzić ich nie śmiał. Co się rzekło, to się rzekło, jak skwitował ostatecznie Murray, klepiąc starego administratora w chuderlawe plecy. By zaś zamknąć mu gębę, zjadliwie zaproponował mu udział w łowach, z czego też pan Winnicki natychmiast się wykpił, zasłaniając się wiekiem, chorobami oraz jakimiś rozkazami pana Herburta, których pewnie nie było.

Złamany i jęcząc żałośnie, posłał więc pan Jeremi do Sikawca chłopca z wiadomością do Kacpra Zatwarnickiego, iż panowie oficerowie czekają nań następnego wieczoru, przed północą, na górcie pod krzyżem, gdzie pochowano Anusię Rudyłowską. Patrząc z ganku na oddalającego się wieśniaka, stary administrator wyglądał żałośnie, toteż chcąc go pocieszyć, Stiller z Murrayem na wino go zabrali i spili solidnie. Łatwo przytomność umysłu utracił pan Winnicki, co arcyciekawie dało cudzoziemcom widowisko, kiedy wsłuchiwali się, jak gospodarz perorował o pięknie silnych męskich ud albo też zastanawiał się głośno, czy wypadałoby mu dawać się myć w szafliku^[73] młodym chłopakom ze wsi. Minę przy tym miał tak rozmarzoną, jakby o raję prawił. Nawet gdyby chcieli, słudzy biskupa Próchnickiego już nigdy nie mogli się pozbyć ze swej pamięci wspomnienia tego zaskakującego wieczoru. Tym bardziej iż poprzedzał kolejny, który spodziewali się znaleźć jeszcze ciekawszym.

Pół kolejnego dnia trzeźwieli wojacy, ani widząc gospodarza, który albo też jeszcze do przytomności nie doszedł, albo też wstydem zdjęty chował się po kątach. Drugie pół na przygotowaniach spędzili, szykując broń, wypytyjąc Gawryłę o ostatnie szczegóły sprawy z Rudyłowską, a na koniec posilając się solidnie i gromadząc do kosza zapasy na noc. Kiedy wreszcie późny wieczór nadszedł, pojawił się gospodarz z nosem na kwintę spuszczonego. Nie patrząc w oczy oficerom, ostatni raz, ale słabo jakoś, poprosił ich, by swego zamiaru poniechali. Spotkawszy się z odmową, nie nalegał zbytnio. W duchu pomyślał Saksończyk, iż pewnie teraz, po tym, co nagadał poprzedniego wieczoru, kontent by był pan Winnicki, gdyby ich lichy ubiło. Bo też wstyd przed odkryciem przez innych prawdy o sobie najczęstszą bywa przyczyną złych życzeń wobec drugich. Uśmiechnął się

Niemiec do siebie, wiedząc, że każdy ma taką tajemnicę, której wyjawienia by nie chciał. Nawet on sam. Drewniana noga aż nadto dobrze przypominała mu o tym co dnia.

Wsiedli wreszcie na konie oficerowie, żegnani ciszą i dziesiątkami wbitych w nich oczu. Nawet chłopci z chałup, mimo późnej pory, wyleźli, aby zobaczyć niecodzienne widowisko. Niejeden też znak krzyża czynił, patrząc na odjeżdżających, jakby w ostatnią drogę szli.

Noc była jasna i mroźna. Nawet lekki wiatr nie zakłócał bezruchu. Na niebie skrzyły się gwiazdy, a pośród nich lśnił zmierzający ku pełni srebrzysty księżyc. Zmrożony śnieg skrzypiał dźwięcznie w suchym powietrzu. Brzęczały lekko sprzączki i zdobienia uprzęży. Pozorny spokój usypiał, dając złudne wrażenie bezpieczeństwa. Doświadczeni cudzoziemcy nie ulegali jednak pokusie, aby mu się oddać.

Wyjechawszy za wieś, przeszli przez zamrożony potok Głęboki i skierowali się ku Bałwańskiemu. Podążali w milczeniu, bacznie rozglądając się dokoła. Nic jednak nie zakłócało zimowej martwej ciszy. Świat zdawał się zastygać w okowach lodu, który objął wszystko w śmiertelnym uścisku. Para leciała z końskich pysków, oznajmiając tężejący mróz. Solidnie odziani oficerowie nie czuli go, ale zapobiegliwie kazali jeszcze dzień wcześniej nanieść chłopom drewna pod górkę z krzyżem, aby nocą na pustkowiu grzać się przy ogniu.

Kiedy dotarli w okolice dworu Rudyłowskiego, ominęli go łukiem, spoglądając w posępne, ciemne okna. Nawet smużka dymu z komina nie świadczyła o jakimkolwiek życiu w ponurym domostwie. Ledwie kilka psów błąkało się przy domu, odbijając się cieniami na śniegu. Tak jakby tylko one czuwały.

Przejechali pustym polem, wznoszącym się ku porośniętemu bukowemu lasem Działkowcowi. To na środku tej przestrzeni stał kopiec ze starym, rysującym się wyraźnie krzyżem, do którego zmierzali.

Śnieg był równy i prawie nienaruszony. Nie widać było niemal żadnych śladów, prócz kilku odbitych wąskich sznurów chłopskich buciorów, pozostawionych przez tych, którzy zanieśli drewno. Mimo bliskości lasu

nawet tropów zwierzęcych nie dało się zauważyć. Tak jakby ta ziemia pozbawiona była życia.

Srebrny blask księżycy nad wyraz pasował do ponurej okolicy, gdzie spoczęła nieboszczka Rudyłowska. Same do głowy oficerom przychodziły pytania, za jaką przyczyną wybrał jej ojciec na miejsce spoczynku ziemię tak posępną. Czy tylko dlatego, iż widział jej grób z okien swego starego dworzyszczka? A może tkwiło jakieś ziarno prawdy w ludzkich opowieściach? Na próżno Stiller kilkakroć próbował otrząsnąć się z tych głupich rojeń. Przychodziły same, skradając się pośród wszechobecnego mroku. Szeptaly w ucho najdziwniejsze fantazje, od których włos mógł się zjeżyć na głowie. Dręczyły wyobraźnię tym, czego nie ma, przywołując lęki z najgłębszych zakamarków ludzkiej duszy.

Zbliżali się już do pagórka, kiedy z lewej strony doszedł ich lekki szmer. Narastał skrzypieniem śniegu i głuchym tętentem. Wyteżyli oczy, wpatrując się w ciemność. Gdzieś w oddali zamajaczył czerniejący punkt. Odruchowo sięgnęli do broni, choć rozum podpowiadał, że najpewniej to Zatwarnicki nadjeżdża od strony Sanu. Zatrzymawszy konie, milczeli znieruchomiali. Modlitwa odmawiana w myślach była teraz czymś zupełnie naturalnym. To, czego łatwo nie bać się w dzień, zupełnie inne kształty i iluzje przywołuje w nocy.

Odetchnęli, rozpoznając zarysy konia i jeźdźca. Nabierały formy, rosnąć niespiesznie, z każdą chwilą dodając otuchy. Na ustach Stillera zakiełkował nawet delikatny uśmiech, a Murray w duchu wyrzucał sobie zabobonną głupotę. Kiedy pan Kacper Zatwarnicki był już zupełnie blisko, nie mógł poznać, jak napięci jeszcze przed momentem oczekiwali go cudzoziemscy oficerowie.

Przywitali się krótko, po męsku, ledwie rzuciwszy dwa słowa i skinąwszy głowami. Teraz, już we trójkę, pojechali do celu swej podróży. W miejsce, gdzie mieli spędzić noc w oczekiwaniu upiora.

Pagórek, na którym stał krzyż, był niewysoki i nawet nieporośnięty żadnymi krzakami. Wznosił się na kilkanaście stóp nad gruntem. Zupełnie nie pasował do płaskiej, lekko pochyłej przestrzeni pól. Zdawał się swym

wyglądem wprost mówić, iż usypała go ludzka ręka, gdyż nie było żadnego innego sposobu, który mógłby powołać go do istnienia. Był niczym skaza wśród bielejącego pustkowie. Niepokojąca zadra, stworzona nie wiadomo po co i kiedy. Tylko przekrzywiony już poczerńiały krzyż nadawał sens jego obecnemu żywotowi. Ci, którzy go postawili na szczycie wzniesienia, nie uczynili tego bez przyczyny. Przynajmniej teraz takie myśli przychodziły do głów Saksończyka i Szkota.

Mężczyźni, zeskoczywszy z koni, spętali im naprędce nogi, aby się nie oddaliły. W milczeniu ułożyli sakwy opodal stosu drewna, zabierając się do krzesania ognia. Ciemność i okoliczności jakoś nie nastrajały do rozmów. Nikt z całej trójki nie przyznałby się do tego, że teraz największym jego pragnieniem było ujrzeć jak najszybciej żywe, migocące języki pełzającego po polanach ognia. Znaleźć się w kręgu światła, które magicznie chroniło przed zdającym się czyhać w mroku złem.

Kiedy rozbłysły pierwsze płomyki, rozluźniły się napięte zmysły. Z piersi wyrwały się stłumione odgłosy ulgi. Murray, odgarniając śnieg i rozkładając skóry, na których mogli przysiąść, rzucił nawet jakiś żart. Mało zabawny, wywołał u Stillera i Zatwarnickiego nerwowy, urwany śmiech. Wciąż jeszcze zbierali w całość rozchwiane myśli, odnajdując uspokojenie w przyziemnych zajęciach, takich jak wyciąganie z sakiew jada i napitku. Szkot, wzięwszy siekierkę, zaostrzył trzy kołki, a następnie wbił je opodal ogniska. Konie przywiązał do nich tak, aby ciepło dochodziło do zwierząt, pozwalając im spokojnie przetrwać noc. Zrobiwszy to, z głośnym sapnięciem opadł na przygotowane siedzisko. Wyciągnął dłonie w kierunku ognia, grzejąc się. Niedługo później dołączyła do niego pozostała dwójka.

Żywo strzelający płomień szybko ogrzał siedzących. Rozweselał ich swym pomarańczowym blaskiem, trzaskiem żarzących się polan i przyjemnym zapachem żywicznego dymu. Stiller sięgnął po duży gliniany dzban, a Murray wyjął ze swej sakwy trzy cynowe kubki. Ustawione na śniegu szybko zostały napełnione czerwonym trunkiem. Podając jeden z nich szlachcicowi z Sikawca, Saksończyk powiedział:

– W twoje ręce, mości Zatwarnicki. Pod tę długą noc przed nami.

Blondyn, sięgając po kubek, uśmiechnął się krzywo. Nic nie odrzekł. Stuknąwszy się naczyniami, wypili duszkiem.

Murray, otarłszy usta, mruknął:

– Dobre wino, ale na mróz inny trunek lepszy.

Łypnął ku blondynowi.

– Okowitę pijacie, panie Kacprze?

– Pijam. – Szlachcic skinął głową. – A czemu by nie?

Szkot, sięgając za pazuchę, wyjaśnił:

– Bo niektórzy powiadają, że chłopski to napój, niegodny szlacheckiego podniebienia. Ale podług mnie prawdy w tym nie ma. Chłopstwo bowiem pija brantówki albo też szumówki^[24], a prawdziwej okowity raczej nie zna. A ja zwykłem mieć przy sobie, dla zdrowotności i rozgrzania ma się rozumieć, jedną flaszkę na podorędziu. Najlepsza, wprost we Lwowie kupiona u Żyda jednego, który ponoć w Gdańsku się fachu uczył. Spróbujesz waćpan?

Zatwarnicki bez słowa wysunął kubek przed siebie. Murray, odetkawszy butelkę, polał mu szczerze. Tak samo i Stillerowi dostała się porcja gorzałki.

Podniósłszy cynowe naczynia, przepili do siebie. Gładko weszła wódka, rozgrzewając od środka i rozluźniając. Zaszumiała w głowach, odganiając czarne myśli. Cała rzecz nagle wydała się wszystkim wesołą zabawą. Kolejna porcja alkoholu tylko utwierdziła biesiadującą trójkę w owym przekonaniu. Ciemność zdała się teraz przyjemnie otulać, śnieg błyszczał wesoło, a gwiazdy na niebie mrugały porozumiewawczo, jakby zachęcając do kolejnego haustu ożywczej okowity. Stiller jednak odstawił swój kubek, świadomy, że jeszcze mnóstwo czasu przed nim i jego towarzyszami. Połamał chleb i rozdał go, potem zaś sięgnął po suchą kielbasę i dał każdemu po sporym kawałku.

Przegryzając smaczną, dobrze wyschniętą wędlinę, rzucił:

– Rad jestem, panie Zatwarnicki, żeś przyjechał. Weselej we trójkę, a i pomówić można. Z Williamem... – głową wskazał na Szkota – ...jak łyse konie się znamy. Wszystko już chyba sobie rzekliśmy, tedy raczej nie byłoby o czym gadać. A z tobą pewnie noc dłużyć się nie będzie.

Szlachcic skinął głową. Mając pełne usta, odpowiedział niewyraźnie:

– Prędzej to mnie panowie oficerowie coś ciekawego opowiedzieć mogą. Tutaj życie proste... – Otarł usta rękawem. Zmrużywszy oczy, dokończył: – Dzień w dzień to samo się dzieje.

– A strzyga?

– Upiór? – Zatwarnicki wzruszył ramionami. – Od jesieni spokój.

– To czemuś waszmość się rozsierdził przy pierwszym spotkaniu? Wtedy, kiedyśmy przez pole nad San jechali?

Mężczyzna się zawahał. Sapnąwszy przez nos, sięgnął po cynowe naczynie. Podsunął je Murrayowi, który polał mu bez słowa. Wypił, strząsnął ostatnie krople z kubka na śnieg, westchnął głęboko. W końcu wycedził:

– Temu, że pewnie różnych głupstw już się na ten temat nasłuchaliście. Najpewniej zaś o tym, że na Bałwańskie dybię wraz z braćmi i za moją to sprawą wszystko się dzieje. Albo przynajmniej korzyści własnej w tych zdarzeniach szukam. Nie tak księża w Lesku głoszą? Słyszałem ja o tym! A i Winnicki w tym przyczyny upatruje, że chłopci mu się burzą. Nie to wam powiedziano w Zatwarnicy? – Skrzywił się z niesmakiem. – Prawda zaś, jak to zwykle bywa, jest inna.

Zamiast negować słowa szlachcica, Stiller skinął głową.

– To powiedziano, mości panie Kacprze. Przeczyć nie będę.

– Właśnie. – Najstarszy z braci z Sikawca zrezygnowany machnął ręką.

Niemiec popatrzył na niego w milczeniu dłuższą chwilę, nim zapytał:

– Jaka jest więc owa prawda, mości Zatwarnicki?

Ten nie odpowiedział od razu. Poruszył się, poprawiając na miejscu, kijem podsunął żarzące się drewno ku ogniu. Wreszcie głuchym głosem odrzekł:

– Taka, że ani to z mojej, ani moich braci przyczyny i woli. Kłamać nie będę. Trzech nas jest, na przysiółku ledwie siedzimy i przydałaby się dzierżawa. Bałwańskie blisko, ziemia dobra, mająteczek niczego sobie. Rozpuścił co prawda chłopów Rudyłowski, ale temu zaradzić bym umiał. Prosiłem jegomości Herburta, aby staremu najem wypowiedział i nam dał, lecz odmówił. Pan Hieronim to ponoć jego towarzysz jeszcze z czasów, jak pod panem hetmanem Chodkiewiczem chadzali. Mówią niektórzy, że w wielkiej przyjaźni ongiś byli, a Rudyłowski panu Erykowi życie w Inflantach uratował. Nie dziwota, że trzyma go na dzierżawie, chociaż słaby to gospodarz. Z serca mu straty córki współczuję, ale ziemi szkoda. Ot co.

Zastanowiwszy się, Niemiec wprost zapytał:

– To nie waść z baczami sprawę zacząłeś? Nie ty jesienią dwór kazałeś otoczyć, żeby czarownicy swoją rzecz odprawili? Nie ty popów podjudziłeś? Bo tak nam sprawę przedstawiono.

Zazgrzytał ze złości zębami Zatwarnicki. Pięści zwinął, ale od wybuchu się powstrzymał.

– Moja to sprawa! Prawda! – wycedził. – Ale też nie z tej przyczyny, że chciwiec ze mnie! Prawda jest o upiorze! Na przodków moich się klęę, co ich kości w tej ruskiej ziemi leżą! Lepiej byłoby wszystkim, gdyby przechrzta Rudyłowski poszedł precz, a nam, prawosławnym, sprawę skończyć pozwolił!

Wyprostował się, patrząc wprost w oczy Saksończykowi. Skrzywił wzgardliwie usta, rzucając:

– Nie wierzycie mi, panie oficerze. Widzę to. Sam bym nie wierzył, gdybym takich spraw nie doświadczył...

Machnął ręką.

– Dziwna to ziemia. Inna niż wszystkie. Pełna tajemnic, które ludzkim rozumem pojąć trudno. Ot, choćby pięć lat temu w Bystrem^[75] koło Baligrodu dziewczka zmarła, a po pochowaniu wracała do swego domu i sąsiednich chałup, aż wszystkich ludzi wydusiła^[76]. Na własne oczy włóścianie ją widzieli i zaradzić nie potrafili. Jak baczowie przyszli, to oni

dopiero strzygę w grobie na wieki uwiązali. Albo też w Bóbrce^[77] trup męża do żony nocą przychodził, aż spółdził z nią czarta, którego natychmiast po urodzeniu ubić było trzeba. Z pazurami na świat przyszedł i kłami jak u wilka. A tu, u mnie, w Sikawcu ledwie trzy lata nazad umarł chłop jeden stary, który potem synowi w chałupie spać nie pozwalał. Łóżkiem mu kręcił, sprzęty w domostwie rozrzucał, stukał i hałasował, póki go wieśniacy nie wykopali i kołkiem do ziemi nie przybili. Na własne oczy widziałem. Rok przeszło od pogrzebu było, a jak w dniu śmierci wyglądał. Na gębie czerwony^[78], ślepia otwarte, a u rąk szpony niby u orła. Kiedy mu piersi osikowym kołkiem przebili, krew poleciała jak żywemu.

Niemiec uniósł dłoń, nie spuszczać oczu z twarzy Zatwarnickiego. Pochylając się ku niemu, rzekł:

– I córka Rudyłowskiego z grobu, waszym zdaniem, powstaje?

– To już nie córka jego, tylko demon, co przejął martwe ciało. Różnie o tym powiadają. Niektórzy, że od urodzenia muszą być w takim człeku dwie dusze. Jedna dobra, co do nieba idzie, a druga ostaje się na ziemi, by zło czynić^[79]. Nie mnie o tym rozstrzygać.

– A z popem tutejszym, Iwanem, zgadzacie się, mości Zatwarnicki, że to za przyczyną, iż ojciec dziewczki rzymski katolicyzm przyjął? – spytał Stiller.

Szlachcic wzruszył ramionami.

– Pop prawi, co prawi. Jego rzecz. Mówicie, że go podjudzałem? Odpowiem wam tedy. Mnie trzeba tylko aby sprawę skończyć każdym możliwym sposobem. Dlatego posłałem też po najlepszego baczę z Łumnej. Wiadoma to rzecz, że jak raz wąpiersz ludzkiej krwi posmakował, to już nigdy innej nie zechce. Ciernie na grobie tu nie starczą ani mak wkoło rozsypany^[80].

– To czemu teraz nie wstaje? – Niemiec głową wskazał w kierunku górki z krzyżem. – Siedzimy tu, pijemy, ogień palimy, niby na talerzu podani.

– Czemu? – Zatwarnicki wzruszył ramionami. – Nie wiem. Może prawdę powiadał jeden szlachcic, Kopystyński, zdaje się z Arłamowa, którego pół roku temu w Sanoku spotkałem, że jak wiesyczy^[81] krwi się opije, to w sen zapada, póki nie zgłodnieje. Ale prędzej czy później znów na łowy idzie.

– Iwan Kopystyński?^[82] – odezwał się zaciekawiony Murray.

– Może i Iwan mu było. Opój i bazarz, ale tak powiadał. Znasz go waszmość? – Popatrzył na grubego cudzoziemca.

– Ze słyszenia tylko – odparł Szkot zdawkowo, dodając po chwili: – Ludzie powiadają, że właśnie fantasta niezmierny. Za przykład łgarza go niektórzy tutaj podają.

– Może i tak – zgodził się łatwo szlachcic. Wskazując jednak palcem za siebie, dorzucił twardo: – Ale tu to nie fałsz. Dwa trupy sam widziałem. Chłopy silne, rosłe, znające się na rzeczy, nie zaradziły potworowi. Za samo to należy strzygę według obyczaju tutejszego potraktować.

Stiller, westchnąwszy, ruchem głowy pokazał na reszkę wódki w butelce. Bez słów zrozumiał go Szkot, rozlewając ostatnie krople. W ciszy podnieśli kubki, każdy zajęty myślami o słowach, które właśnie padły. Już do ust przytykali naczynia, kiedy nagle coś zaszeleściło za górką, a spłoszone konie poruszyły się, parskając nerwowo.

Czuwający mężczyźni zerwali się na równe nogi. Każdy złapał za swoją broń, przyczajając się. Wbili wyteżony wzrok w ciemność w oczekiwaniu najgorszego. Znow wrócił w ich sercach strach, który pozornie odegnał alkohol. Zamarli w oczekiwaniu.

Dźwięk po chwili powtórzył się, jakby bliżej. Wyraźnie słychać było skrzypnięcie śniegu. Ktoś musiał skradać się w ich kierunku.

Stiller szybko powściągnął nerwy. Machnięciem dłoni nakazał Murrayowi, aby zachodził pagórek od lewej. Sam zaś powoli, jak najciszej, ruszył od drugiej strony. Zatwarnicki, któremu nikt nie dał rozkazu, rozejrzał się, by po chwili, dzierżąc mocno szablę, pójść za trzymającym w ręce pistolet Szkotem.

Niemiec, przeszedłszy kilka kroków, przystanął. Na lewo słyszał lekki szmer ostrożnych stąpień swoich towarzyszy. To dodało mu otuchy. Oparłszy klingę długiego rapiera na ramieniu, znow ruszył. Przyczajony, wychylił się, aby ujrzeć, co też kryje się za wzniesieniem. Zadrżał, zobaczywszy ciemny kształt. Przypominał ludzką postać, ale też zdał się ogromny. Stał nieruchomo, jakby czekając.

Zebrawszy się w sobie, Saksończyk postąpił wolno dwa kroki, wyciągając przed siebie ostrze broni, tak by w razie czego to na nie nadział się atakujący potwór. Wiedział, że jeśli on go zobaczył, bestia także była świadoma jego obecności. Mimo to się nie poruszyła.

Zrobiwszy jeszcze krok, Niemiec przystanął. Pochylony, w skupieniu się zastanawiał, nie spuszczać oczu ze skamieniałego kształtu. Wreszcie, zniecierpliwiony bezruchem, ściskając mocno rękojeść broni, zawołał:

– Kto tu?!

Odpowiedziała mu cisza. Zdenerwowany, powtórzył jeszcze głośniej:

– Kto tu?! Gadaj!

Poruszyła się postać czarno rysująca się na tle śniegu. Zachrząścił zmarznięty śnieg pod jej nogami. Na tle rozgwieżdżonego nieba Stiller ujrzał jakby obłok pary na wysokości głowy potwora. Odetchnął uspokojony. Zrozumiał, że nieznane coś oddycha, a więc prawdopodobnie żyje. Jeśli zaś żyje, to można je zabić.

Głucho i nieprzyjemnie przerwał ciszę niski, znajomy już skądś głos:

– A wy kto?!

– Ja pytam! – odwarknął Saksończyk.

Odwagi dodały mu zarysy wyłaniających się Murraya i Zatwarnickiego.

– To ziemia pana Rudyłowskiego! Jakim prawem tu stoicie?!

– Takim, że nam się tak podoba! – padło od lewej strony. Niemiec natychmiast poznał, że to odezwał się szlachcic z Sikawca. – Ktoś ty?! Gadaj, bo łeb rozwalę!

– Matjas! Sługa pana Rudyłowskiego! Z jego nakazania przychodzę!

Stiller opuścił rapier. Tak samo uczynił Murray ze swym pistoletem. Tylko Zatwarnicki nadal szablę kierował w wielkoluda. Widząc to, by nie dopuścić do niepotrzebnej zwady, Niemiec szybko podszedł do Matjasa.

– Jestem Werner Stiller. – Wskazał na ciemne postacie na prawo od chłopca. – A to moi towarzysze. Nic przeciw panu Rudyłowskiemu nie czynimy.

– To co tu robicie?!

– Na upiora czekamy.

Chłop poruszył się, chrząknął, splunął bezczelnie na śnieg. Dopiero wówczas wysoki oficer dostrzegł w jego rękach muszkiet.

– Nie ma żadnego upiora. Idźcie stąd.

– A kto nam każe?! – Zatwarnicki przysunął się o krok. – Ty, chamie?!

W Matjasiu nie było lęku. Odwracając zakapturzoną głowę ku szlachcicowi, odburknął:

– Może i ja!

– Ja ci...!

– Dość, mości Zatwarnicki! – przerwał gwałtownie Stiller. – Wystarczy! Zwady zbędnej nam nie trzeba!

Młody mężczyzna przystanął w pół kroku. Dla pewności Murray przesunął się tak, że stanął pomiędzy nim a chłopem. Niemiec zaś rzekł:

– Nic złego nie czynimy. Ogień palimy, pijemy i czekamy. Grobu, jeśli o to panu Rudyłowskiemu idzie, nie ruszyliśmy i nie ruszymy. Słowo oficerskie!

Chłop sapnął kilkakroć, opierając w końcu kolbę muszkietu o śnieg.

– Pan kazał iść stąd! – warknął.

Saksończyk pokręcił głową.

– Do rana zostaniemy, a jak trzeba będzie, to i kolejną noc tu spędzimy.

– Pan kazał! – powtórzył olbrzym.

– Powiedz tedy swemu panu, że nie wbrew niemu, ale dla niego tu jesteśmy. Ani ja, ani też mój towarzysz... – wskazał na Murraya – ...nie wierzymy, że to za sprawą córki pana Hieronima zło przyszło. Przyszliśmy znaleźć prawdziwego potwora, co baczów ubił. Tak samo po to i pan Zatwarnicki jest z nami.

Zapadła cisza na dłuższą chwilę. Wreszcie chłop wycedził:

– Przysięgacie, że grobu nie tkniecie?

– Chamowi przysięgać nie będę! – krzyknął gwałtownie szlachcic.

Saksończyk uspokajająco uniósł dłoń.

– Poczekaj, mości panie Kacprze! – Popatrzył wprost tam, gdzie była zasłonięta twarz Matjasa. – Ja ci przysięgam i mój towarzysz także. Starczy?

– Przysięgam – powtórzył Murray.

Chłop znieruchomiał. Dyszał ciężko, zastanawiając się. W końcu rzucił głucho:

– Dobrze. Tak rzeknę mojemu panu.

Zakutany w ciężki kozuch kształt się odwrócił. Powoli, nie czekając już na nic, ruszył po własnych śladach, oddalając się od pagórka.

Stiller niespiesznie schował rapier. Tak samo Murray, odetchnawszy, włożył za pazuchę pistolet. Tylko szlachcic z Sikawca zawahał się jeszcze przez chwilę, nim z przekleństwem na ustach włożył szablę do pochwy. Dopiero ujrawszy to, Saksończyk mruknął, siląc się na obojętność:

– Zimno. Do ognia wracajmy.

We trójkę już, obchodząc pagórek, poszli ku ognisku. Idąc, nie odzywali się. Tak samo milczeli jeszcze długo, zasiadłszy wokół płonącego stosu. Choć opadły emocje, każdy z mężczyzn myślał o tym, co zaszło. Tak Stiller, jak Murray rozważali, jak dalece to możliwe, że baczów mogli ubić właśnie ludzie Rudyłowskiego.

Niemiec sięgnął po dzban z winem, rozlewając je do kubków. Podając jeden z nich Zatwarnickiemu, zapytał:

– Wtedy, jesienią, panie Kacprze, jak było? Możliwe, że pachołków z Bałwańskiego we dworze nie było?

Szlachcic się uśmiechnął. Przepił, zanim udzielił odpowiedzi. Odstawiając na śnieg naczynie, odrzekł:

– Wiem, o czym myślisz, panie oficerze. Posłuchaj więc, skoro nadal sądzisz, że ludzka ręka zabiła tamtych dwóch. Wszyscy byli we dworze. Jak w saku ich mieliśmy i własnymi oczami widziałem Rudyłowskiego oraz tego... – machnął głową w kierunku, gdzie odszedł Matjas – ...i pozostałych trzech. – Wyciągnął ręce do ognia. Splunawszy

w płomienie, dodał: – Wolałbym, żeby to oni byli. Ale prawdę mówię. Żaden z nich nie mógł to być.

– A innych we dworze nie ma? Albo też nie sprowadził kogo Rudyłowski?

– Wiedziałbym, gdyby tak było. – Zatwarnicki popatrzył swymi jasnymi oczami wprost w twarz Saksończyka. – Panie oficerze. Wiesz, że żaden ze mnie przyjaciel Rudyłowskiemu. Nie kuś mnie tedy, bym skłamał we własnym interesie.

Wysoki Niemiec skinął głową. Zrozumiał ostatecznie, iż szlachcic naprawdę wierzy w upiora.

Nastroje przy ognisku sposepniały. Niby nic nie znaczyło zdarzenie z Matjasem, ale dosadnie przypomniało o pochowanej kilkanaście kroków dalej dziewczynce. Nadało jej na powrót kształt i osadziło jej przeszłość pomiędzy ludźmi. Gdzieś tam, we dworze, stał pewnie teraz jej stary ojciec, z niepokojem wpatrując się w migocący ogień i zastanawiając, czy ktoś nie zakłóci wiecznego spoczynku jego ukochanej córce. Anna Rudyłowska zaś leżała w samotnym grobie, posądzana przez żywych o zbrodnie, których nie popełniła. Przykre i smutne myśli ogarnęły Stillera o tym, jak kruche jest ludzkie życie i jak łatwo utracić to, co się kocha najbardziej. Potem pozostaje wieczna tęsknota, za którą nie ma już nic oprócz śmierci.

Bez słowa polał sobie wina. Wypił duszkiem, odganiając złe myśli. Czuwanie nie było już dla niego przygodą, kolejnym zleceniem biskupa, lecz przykrym obowiązkiem, który chciałby jak najszybciej skończyć. Z wdzięcznością przyjął nagłe pytanie Murraya skierowane do Zatwarnickiego:

– A ten Matjas to kto taki? Słyszeliśmy, że były żołnierz. Prawda to?

– Podobno prawda. – Szlachcic skinął głową. – Służył rzekomo w czeladzi podczas inflanckiej wojny.

– U Herburta, razem z Rudyłowskim?

– Może. Nie wiem. Ojciec tylko o panu Herburcie mi powiadał.

– Waści ojciec też w Inflantach był? – zaciekał się Szkot.

– Był – potwierdził Zatwarnicki, dumnie dodając: – Do jazdy kozackiej jeszcze za czasu hetmana Zamoyskiego^[83] się zaciągnął. Pod Kircholmem Szwedów tłukł^[84]. Był pośród tych, co rajtara Wredego^[85] usiekli.

– Niezwykła to była wiktoria. – Stiller pokiwał głową. – Tym większa chwała dla ojca waszmości, że w niej uczestniczył.

Szlachcic podkreślił wąsa. Miał powody do dumy, gdyż wówczas odrodził się ród Zatwarnickich z chudopacholstwa. Przywiezione z Inflant dobra posłużyły na wykup przysiółka Sikawiec, który obecnie dzierżyło trzech braci za Sanem. Wcześniej jego dziad i ojciec ledwie rękodajnymi Herburtów byli, a teraz, choć ubogi, na własnym siedział. Każdy zaś znał powiedzenie, iż szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Niemca co innego jednak zaciekawilo.

– Opowiedz nam, waszmość, skoro już tak siedzimy, co też wasz ojciec o panu Herburcie prawił. Może i o Rudyłowskim więcej się dowiemy.

Zatwarnickiego nie trzeba było zachęcać. I on chciał przerwać ponury nastrój, jaki nastał. Dlatego zaczął od razu.

– Ojcem jego był znamienity Stanisław Herburt, kasztelan lwowski i przemyski, starosta samborski i drohobycki, podkomorzy przemyski i żupnik ruski^[86]. Pan Eryk to najmłodszy z jego synów, który niedługo przed śmiercią ojca na świat przyszedł. Ledwie dwadzieścia lat miał, kiedy doszło do inflanckiej wojny. Ale natura u niego była rogata, a charakter ognisty. Zaciągnął się tedy jako towarzysz husarski do pana Woyny, żeby chwały żołnierskiej posmakować. Cudów ponoć dokonywał, a że potrafił wypić i się zabawić, powszechnie lubiany był wśród towarzyszy. Mój ojciec, choć przecie Herburtowie jedne z pierwszych w Rzeczypospolitej pany, ponoć wielokroć z nim biesiadował. Opowiadał, że pan Eryk skory był do najróżniejszych popisów, nieraz też narażając się na reprimendę swego dowódcy. Ale trudno byłoby znaleźć dzielniejszego od niego husarza. Przy tym i w kopii, i w szabli niezwykle był biegły, bo od dziecka się w walce miłował. Powiadał mi ojciec, że nikt by mu w pojedynku nie sprostał, co zresztą na własne oczy widział, jako że chętnie pan Eryk stawał w szranki i zawody wszelakie. Takich samych jak on najbardziej lubił, stąd

i pocztowych dobrał sobie najlepszych. Może i Rudyłowski był wśród nich, ale tego to nie wiem na pewno.

– Tak powiadają. – Stiller skinął głową.

– Tak powiadają – potwierdził Zatwarnicki. Zaraz też kontynuował opowieść: – Pod Kircholmem pan Herburt razem z tymi trzystoma stanął, którzy pierwsi środkiem uderzyć mieli na piechotę szwedzką. Najpierw pan hetman Chodkiewicz nakazał zapozorować części swych sił ucieczkę, a kiedy Szwedzi pod górę poszli, ruszył na nich pan Woyna ze swoimi, w puch wroga rozbijając. Ponoć aż serce rosło, kiedy się na to patrzyło. Bywało, że jeden husarz i po pięciu naraz Szwedów na kopię nadziewał, nim ją odrzucał. Poległo ponad dziewięć tysięcy wrogów, a z naszych ledwie setka, z czego tylko trzynastu husarzy. Tryumf był całkowity. Nie dla pana Herburtu jednak. Otrzymał postrzał z muszkietu wprost w pierś, a kula na wylot go przeszła. Tak nieszczęśliwie, iż kręgosłup uszkodziła, za czym, jak powiadają, siłę w lędźwiach utracił. Ledwie życie ocalił. Leczony był w Inflantach przez kilka miesięcy. Kiedy tu wrócił, jak mówił mój ojciec, cień tylko człowieka dawnego z niego pozostał. Z tej przyczyny nigdy żony sobie nie wziął, ani też dzieci nie ma. Sam żyje, pomieszkując raz w jednym, raz w drugim majątku. Dawniej to jeszcze po świecie ponoć jeździł. Teraz, na stare lata, tu na Rusi siedzi, łowami czas traci, rzadko też interesując się swoimi folwarkami, gdzie albo dzierżawców, albo administratorów ustanowił. Ludzi unika, stąd i w przyjaźni z nim nikt obecnie nie jest. Uczci i gościn nie urządza, a spotkać się z nim trudniej niżby z królem w Warszawie.

– To jakżeś waćpan prosił go o Bałwańskie? – zapytał Szkot.

– List mu napisałem, który przez pana Winnickiego z rozliczeniami poszedł. Tą samą drogą też odmowę otrzymałem.

– I co w niej było?

– To, że Rudyłowski w dożywociu ma dzierżawę, a potem temu przypadnie, na kogo w testamencie wskaże.

Stiller zaśmiał się cicho.

– To raczej winieneś waszmość w zgodzie i przyjaźni z panem Hieronimem żyć, a nie na niego nastawać.

– Nie nastaję! – odburknął gniewnie Zatwarnicki. – Ludzi przed upiorem chcę chronić.

Niemiec pokiwał głową. Pomilczał chwilę, a potem, łypnąwszy nań, zaproponował:

– A co rzekłbyś waszmość, gdyby na ten przykład udało się do zgody z Rudyłowskim doprowadzić? Skończyć z tym, co tu się wyprawia. Spokój by nastał. Może nawet ciebie albo którego z braci stary by wskazał na kolejnego dzierżawcę. Co ty na to?

Szlachcic wyduł pogardliwie usta. Nogą kopnął w ogień leżące na boku polano.

– Tak? A jakim to niby sposobem? Za wroga mnie on ma, co też i inni sądzą.

– Bo sam się o to waszmość postarałeś – skomentował złośliwie jego słowa Szkot.

Zatwarnicki spojrział na niego gniewnie i miał coś odpowiedzieć, ale gdy otwierał już usta, przerwał mu Stiller:

– Nie ma co uszczypliwości prawić. Jest, jak jest. Tyle jednak rzeknę, że gorsze bywały zwady, które się przyjaźnią kończyły. Na początek starczy, że jego córkę martwą każesz w spokoju zostawić, baczę odwołasz i chłopom swoją wolę w tej sprawie narzucisz. O resztę spróbuję się z mym towarzyszem zatroszczyć. A i w razie czego pana hetmana o interwencję poprosimy. Skoro Rudyłowski dawny pocztowy husarski, władzy wojskowej posłucha. Dla każdego będzie korzyść, jak spokój nastanie.

Pan z Sikawca popatrzył niepewnie, mrużąc oczy. Machnął ręką, niby to dając znak, iż nie wierzy w powodzenie tego rozwiązania, lecz widać było, że w jego głowie zakiełkowała jakaś myśl. Może nawet nadzieja na dzierżawę Bałwańskiego w przyszłości. Skoro zaś dostrzegł to oficer, kusił dalej:

– Pewnie nawet tak dałoby się rzecz ułożyć, że skoro pan Rudyłowski sam przysiółkiem niewiele się zajmuje, już teraz, miast pana Winnickiego, byś się waćpan nim zaopiekował, w zamian za bezpieczne i godne dożywocie dla Rudyłowskiego. Przecie i pan Herburt pewnie by się nie sprzeciwiał, gdybyście się z panem Hieronimem tak umówili. Prawda?

Westchnąwszy przez nos, najstarszy Zatwarnicki skwitował:

– Najpierw trzeba by się z Rudyłowskim ułożyć. To zaś przechodzi ludzką siłę. Nawet waszmościów, jak słyszałem, do domu nie wpuścił.

– Na wszystko jest sposób, mości panie Kacprze. Jeśli chcesz, spróbujemy z panem Murrayem ci pomóc. Ty jednak daj najpierw słowo, że powstrzymasz się od dalszych kroków przeciw zmarłej córce Rudyłowskiego. Dobrze?

Szlachcic się skrzywił. Zmarszczył nos, ważąc coś w duchu. Po chwili wycedził:

– To mogę obiecać, że jeśli upiór się więcej nie pojawi, nic nie uczynię. Ale baczę odwołam dopiero wtedy, gdy Rudyłowski się ze mną rozmówi.

– O to idzie! – podchwycił Saksończyk.

Zatwarnicki dodał jednak natychmiast:

– Jeśli wąpierz znów zaczniesz pomiędzy chałupami chadzać, zwierzęta dusić i kaleczyć lub też, co gorsza, na ludzi nastawać, swoje, jak mi Bóg miły, zrobię.

– Zgoda, mości panie Kacprze. – Niemiec skwapliwie skinął głową. – Niczego więcej nie oczekuję od waszmości.

Szkot polał natychmiast wina do cynowych kubków, by czym prędzej umowę toastem potwierdzić. To bowiem, za co szlachcic polski wypije, święte jest dla niego.

Unieśli naczynia i stuknęli się nimi. Do dna wypili, aby nie było wątpliwości, że słów na wiatr nikt nie rzucał.

Otarłszy usta, Stiller wstał i przeciągnął się. Popatrzył z góry na swych towarzyszy, a potem poprosił:

– Chodźmy więc.

– Gdzie? – Zaskoczony szlachcic zamarł, trzymając przed sobą pusty już kubek.

– Tam. – Saksończyk głową wskazał na krzyż. – Skoro do nas upiór nie przyszedł, sami pójdziemy na grób. Zobaczysz waszmość, że zarówno w dzień, jak i w nocy leży nieboszczka pod ziemią i leżeć tak będzie aż do końca świata.

Zatwarnicki podniósł się, wzruszając obojętnie ramionami. Szkot wziął jedno z nadpalonych polan i uniósł jak pochodnię. Prowadzeni przez wysokiego oficera ruszyli przed siebie.

Pagórek, choć niewysoki, był dość stromy. Nadto dostęp utrudniał zmarznięty śnieg. Zasapali się więc podczas wspinaczki starsi oficerowie, szczególnie zaś jednonogi Niemiec. Tylko szlachcic bez trudu wdrapał się na górkę.

Stanęli, przyświecając sobie łuczywem. Bez trudu zobaczyć można było niewielki kopczyk pod krzyżem, stanowiący grób nieszczęsnej Anusi Rudyłowskiej. Stiller podszedł do niego, wskazując dłonią.

– To tu?

– Tak. – Młody szlachcic skinął głową.

– Spójrz tedy waszmość. Ani śladu jakiegokolwiek. Śnieg nienaruszony leży.

Zatwarnicki podszedł, stając obok Saksończyka. Dołączył do nich po chwili i Murray. W milczeniu wpatrywali się w grób dziewczynki. Ciężka była ta cisza, jak ciężkie były oskarżenia, które rzucano na nieboszczkę. By ją przerwać, szkocki oficer mruknął:

– Pacierz by może zmówić?

Zamiast odpowiedzieć, Niemiec zaczął szeptem:

– *Requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei. Requiescat in pace*^[87].

Nim zdążył powiedzieć „amen”, modlitwa zamarła mu na ustach. Gdzieś od strony lasu nagle rozległo się wycie wilka. Długie, żalosne i przeciągłe, od razu przywołujące na myśl śmierć.

Szlachcic odruchowo przeżegnał się z ruska, rozglądając się z niepokojem. Nawet Murray ze Stillerm poczuli się nieswojo. Wbili zaniepokojony wzrok w ośnieżony kopczyk, lękając się nawet myśli, iż mógłby się poruszyć. Nie drgnął on jednak, tak jak nie drgnęła pochowana w nim dziewczynka.

Odetchnąwszy cicho, Saksończyk, siłąc się na spokój, rzekł:

– Głodny pewnie, to wyje. Normalna rzecz.

– Prawda. Zaraz następne się odezwą – odrzekł chrapliwie Szkot.

Mimo pozornego opanowania nie wyjął jednak ręki zza pazuchy, gdzie trzymał naładowaną broń. Niejedno w życiu widział i wolał stosować się do powiedzenia, iż strzeżonego Pan Bóg strzeże. Także Zatwarnicki położył dłoń na rękojeści szabli.

Od lasu rozległo się ponowne wycie. Za nim zaś kolejne i następne.

– Wataha – wycedził szlachcic.

Skinąwszy głową, Saksończyk mruknął ze złością:

– Chodźmy do koni.

Nie o takie uspokojenie młodego pana z Sikawca mu chodziło. Złowróźbne wycie pokrzyżowało jego plan, by ostatecznie rozwiązać wątpliwości młodego szlachcica. Tym bardziej, że przerwało łacińską modlitwę nad grobem. Niemiec był pewny, iż Zatwarnicki swoje pomyślał na ten temat.

Wierzchowce kręciły się, parszając nerwowo. Odgłosy drapieźników starczyły, by w ich oczach pojawił się pierwotny strach. Odblaski ogniska tylko podkreślały go w zwierzęcych ślepiach łypiących nerwowo dokoła. Trudno było uspokoić wierzchowce, nawet poklepując je i mówiąc im w uszy szeptem słowa otuchy. Z kwadrans zajęło to mężczyznom, nim konie przestały przestępować z nogi na nogę, wiercić się i prychać. Bardziej też pomogło w ich uciszeniu to, że zamilkło wycie od strony lasu, niż ludzkie wysiłki.

Oficerowie wraz ze szlachcicem zasiedli przy ogniu. Murray dorzucił drew, aby wzmocnić blask światła, albowiem nadchodziła najczarniejsza,

zaranna część nocy. Napili się dwie kolejki w milczeniu. Nikt nie chciał gadać o tym, co zaszło. Nawet Saksończyk jakoś nie miał ochoty nic mówić Zatrważonemu. Dostał to, czego chciał. Obietnicę chwilowego spokoju. Dalsza dyskusja o zmarłej nie miała sensu i tylko mogłaby skomplikować sprawę. Cisza mogła jednak skłaniać do niepotrzebnych przemyśleń. Dlatego też, odłożywszy kubek, Stiller zagadnął w końcu, niby lekkim tonem:

– A ten pagórek to skąd? Znać, że ludzką ręką chyba usypany.

Szlachcic z Sikawca machnął ręką.

– Diabli... Tfu! – Splunął, zrozumiawszy, że przywołał imię czarta w niewłaściwym miejscu i czasie. – Nikt tego nie wie. Ojciec mówił, że zawsze tu był. Ponoć od przedchrześcijańskich czasów. Chłopi omijają go z daleka, a żeby złe odgonić, krzyż ktoś postawił. Dawniej gadano, że skarb ogromny w sobie skrywa. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale bajają chłopi, że przed laty jeden taki postanowił go wykopać. Poszedł w nocy z łopatą i rył, lecz nic prócz glinianych skorup nie znalazł. Rok ledwie minął od tego szukania, jak się powiesił. Podobno klątwę na swoją głowę ściągnął kopaniem i co noc zmora go dusiła. Nie zdzierzył tego. Tutejszym obyczajem wyciągnęli go wieśniacy z grobu i nocą spalili trupa na poloninie^[88], a popiół na cztery wiatry rozsypali.

– To kto pochował tu dziewczkę? Pewnie włościanie lokalni by się bali? – rzucił Szkot.

– O tamci! – Jasnowłosa mężczyzna wskazał głową na Bałwańskie. – Ludzie Rudyłowskiego.

– I jakoś nic im nie jest – skwitował mruknięciem Stiller, rad, iż choć tak udowodnić może, że żadnego uroku w tym miejscu nie ma.

– Nie jest – potwierdził szlachcic. Mrużąc jedno oko, dorzucił: – Ale też rok jeszcze nie minął.

– Pewnie minie i nic się nie zdarzy – odparował Saksończyk.

Nie chcąc ciągnąć tematu, Niemiec znów polał wina. Poruszył dzbanem, a kiedy spostrzegł, że już próżny, niedbale odrzucił za siebie. Szczęściem

jeszcze jeden był w sakwach.

Wypiwszy, w milczeniu wpatrywali się w ogień. Czas mijał powoli. Było cicho, nad wyraz spokojnie. Tak jak spodziewali się biskupi oficerowie. To jednak niewiele zmieniało. Rozumieli, iż zasiane ziarno niepokoju trudno będzie wyplenić za jednym razem. Mieli jednak nadzieję, iż ta noc to zapoczątkuje.

Im bliżej było świtu, tym luźniejsze stawały się rozmowy. Kacper Zatwarnicki zdawał się człowiekiem innym, niż spodziewał się Stiller po pierwszym spotkaniu. Trudno było uwierzyć w rzeczy, które ksiądz Nijowski pisał. Może i szlachcic był gorączka, lecz też chyba nie było w nim wrodzonego zła, które czasem tkwi w niektórych. Chciał swego, z czego trudno byłoby mu czynić zarzut. Tak żyła drobna i średnia szlachta, wadząc się między sobą o wszystko. Jawił się jednak, jakby nosił w sobie pewną szlachetność, choć szorstką i skrywaną pod maską wzgardy dla innych, szczególnie niższych stanem. Ale też to, co czynił, zdawał się czynić w dobrej wierze. Prosty może, nierozumny, zabobonny i mieszający wiarę z przesądami, ale też odważny i szczery. Aż dziw brał oficerów patrzących na niego, iż kłóćą się pomiędzy sobą i wadzą ludzie tak podobni do siebie, jak drobni szlachetkowie z rzymskich katolików, unicy i prawosławni. Wydawało się, że wystarczyłoby, aby usiedli przy kielichu i po prostu rozmówili ze sobą, a wszystko stałoby się łatwiejsze. Naiwne są jednak takie sądy, gdyż jeden człęk jest jak kropla w morzu. A kiedy to się wzburzy, choćby i sam był najlepszy, pójdzie wraz z druzgocącą wszystko falą, nie bacząc na nic. To nie tacy jak Zatwarnicki siali wiatr, lecz oni właśnie byli burzą z niego powstałą, zresztą zbierali też jej skutki.

Z wzejściem pierwszego słońca zaprzyjaźnieni już niemal, w wesołych nastrojach wsiedli na konie i rozjechali się każdy w swoją stronę. W sercach wszyscy trzej mieli nadzieję. Cudzoziemcy na załagodzenie sporów, szlachcic, jak mniemali oficerowie, na dzierżawę Bałwańskiego. Wszystko zdawało się iść ku dobremu. Aż nawet myślał Stiller, coby posłać już list biskupowi z dobrymi wieściami. Nie wiedział jednak, iż tej nocy,

w innym miejscu, zdarzyło się coś, co niweczyło wszystkie te jego nadzieje. Zasiana została śmierć.

ANUSIA RUDYŁOWSKA

– Jezuuu! – Gwałtowny krzyk za oknem sprawił, że Stiller natychmiast zerwał się z posłania.

Zaspany Murray przecierał oczy, rozglądając się dokoła bezmyślnie. Wciąż nie wiedział, czy głos, który usłyszał, był snem, czy też rozległ się naprawdę. Na potwierdzenie nie musiał czekać długo. Z dziedzińca znów zabrzmiało rozpaczliwe:

– Luuudzie! Jezu Chryste!

Niemiec szybko doczepił drewnianą protezę i włożył obuwie. Także Szkot po pierwszym osłupieniu zebrał się w sobie, zarzucając na koszulę skórzaną bluzę, a potem, radząc sobie jedną dłonią, wciągnął buty ze sztylpami^[89]. Nie odzywali się, lecz czuli, iż musiało wydarzyć się coś strasznego. Coś, co wniwecz mogło obrócić to, co osiągnęli nocą.

Na rozwiązanie zagadki nie musieli długo czekać. Drzwi ich izby nagle się otwały. Wpadł przez nie rozczochrany, czerwony na gębie Winnicki, wznosząc ręce ku niebu.

– Ubiła! – zawył rozpaczliwie. – Ubiła go! Na rany Chrystusa! Co teraz będzie?!

Oficerowie spojrzeli po sobie. Stiller, przypadłszy do gospodarza i potrząsnąwszy nim, warknął głucho:

– Kto ubił?! Kogo?! Do rzeczy mów waszmość!

– Gawryło martwy! – wyjęczał szlachcic, wodząc bezrozumnym wzrokiem.

– Karbowy?! – upewnił się Saksończyk.

– Aha! – Pan Jeremi energicznie pokiwał głową. Popatrzył błagalnie na oficera. – Ratujcie mnie!

– Przed czym ratować?! Co się dzieje?!

– Chłopi widły i cepy biorą! Gromadzą się! Jak nic na dwór napaść szykują!

– Bredzisz waszmość! – Stiller odepchnął Winnickiego, aż drobny szlachcic zachwiał się na nogach.

Saksończyk, odwróciwszy się do swojego posłania, szybko zaczął zapinać pas, by chwilę później przerzucić przez ramię skórzany bandolet, do którego umocowany był rapier. Odziany naprędce, wybiegł, odsunawszy bez słowa administratora z drzwi izby. Za nim ruszył natychmiast Murray, w biegu sprawdzając zamek kołowy^[90] swego pistoletu.

Dotarłszy na ganek, stanęli i popatrzyli na szeroki, zaśnieżony dziedziniec przed dworem.

Było słoneczne i mroźne późne przedpołudnie. Piękne, można by rzec, gdyby nie krążący pomiędzy chałupami chłopi, którzy dzierżyli w dłoniach, kto co miał do bitki. Posepni, ponurzy, czasem szepczący między sobą złowrogo albo też łypiący spod skudłanych łbów w kierunku dworu. Baby jęczały, chwytając się za głowy, dzieciaki kryły się, gdzie mogły. Znać było, iż nabrzmiewa w ludziach gniew, który zaraz wybuchnie.

Murray schwycił mocno za ramię jednego ze stojących przy dworze pacholków, przywracając go tym do przytomności. Ścisnąwszy, wycedził:

– Mów! Co się stało?!

– Gawryło martwy! Strzyga nocą go ubiła!

– Gdzie on?!

– Pod lasem znaleźli! Baby, jak nad San szły!

– *Fukkit!*^[91]

Odwrócił się w kierunku Saksończyka, pytając:

– Co robimy?!

– Czeka! – wycedził Niemiec, łypiąc na włościan spode łba.

Dłonią przejechał po pocernionej bródce, palcami przecesał rozwichrzony włosy. Odgarnąwszy je z czoła, zadecydował, kierując wzrok

na Murraya:

– Biegnij do środka po kozuchy dla nas. A ty... – wskazał na przerażonego pachołka – ...szykuj konie! A żywo!

Powiedział to takim głosem, iż nie musiał powtarzać. Otyły oficer natychmiast zniknął za drzwiami dworu, sługa zaś popędził do stajni.

Wieśniacy gromadzili się coraz liczniej. W słońcu połyskiwały ostrza siekier, sierpy i noże do cięcia sieczki. Szmerali niczym pszczeli rój, kiedy wylegnie z ula. Jeszcze nie wiedzieli, co czynić. Jak zwykle bywa w takich razach, czekali nieświadomie na iskrę, która ich podpali. Słowo, które nakieruje ich niepowstrzymany gniew.

Nagle rozległ się od cerkwi gong, przesywając mroźne powietrze dźwięcznym metalicznym odgłosem. Stiller w mig zrozumiał niebezpieczeństwo. Zaklął cicho pod nosem, odwracając się zniecierpliwiony ku wejściu. Była już najwyższa pora, by ruszyć. Murray wciąż jednak nie nadchodził, a i pachołek nie przywiódł koni.

Ludzkie głosy poczęły tężeć i rosnać. Odruchowo Niemiec spojrział w stronę chłopstwa, czując, że zbliża się decydująca chwila. Ujrawszy zbliżającą się odzianą na czarno, suchą postać popa, pojął, iż to on zdecyduje o wszystkim.

Kapłan zagłębił się w ludzką ciżbę, znikając pośród niej. Rozstępowali się przed nim chłopci, kłaniając się nabożnie albo żegnając. Cichli, oczekując, że duchowny powie im, co czynić należy. Ten zaś, stanąwszy w kręgu, zaczął coś mówić, gestykulując gwałtownie. Stiller nie słyszał co, ale wiedział, że z pewnością nic dobrego z tego nie wyniknie.

Przed dwór wybiegł zrozpaczony Winnicki. Rwąc włosy z głowy, zawodził nad swą niedolą. Próbował wołać pachołków, by zawarli się we dworze, lecz ci uciekali przed nim niczym przed trędowatym. Administrator w ogóle nie miał posłuchu wśród ludzi. Tym bardziej teraz, kiedy zabrakło karbowego Gawryły, który wszystko trzymał w garści. Szlachcic przypadł więc ku oficerowi, wieszając mu się u ramienia.

– Ratujcie mnie! Panie Stiller! Na Boga, ratujcie! – zawył.

Wysoki Niemiec nerwowo strząsnął z siebie jego rozedrgane dłonie, cedząc przez zęby:

– Opanuj się, waszmość! Ludzie patrzą!

– Dwór spalą! Mnie ubiją!

Miotając się, pan Jeremi nie wiedział, gdzie się podziać. Nagle, tknięty jakąś myślą, skulił się w sobie, pochylił, zerkając spod przymkniętych powiek. Odsunawszy się na bezpieczną odległość od oficera, wysyczał:

– To wasza wina! Wasza! Obudziliście złe! Przez was to wszystko!

Saksończyk popatrzył na niego groźnie, przerywając mu tym złorzeczenia. Nie spuszczał wzroku z gospodarza, splunął na śnieg, tak iż Winnicki natychmiast odwrócił się na pięcie i skrył we dworze. Stiller mógł wrócić do obserwacji wzburzonego tłumu.

Podniosły się z niego pierwsze okrzyki. Na razie jeszcze mało rozumiały, lecz wciąż narastające. Dłonie wieśniaków uniosły się, zastukotała potrząsana broń. Aż wreszcie pomieszane głosy złączyły się w jeden, narastający gwałtownie i wyznaczający cel:

– *Na Bałwynske! Ubit wpyra! Łeb urezat!*^[92]

Ruszyła ciżba przed siebie, a na jej czoło wystąpił pop, trzymając w dłoni niewielki krzyżyk. Dał się słyszeć jego cienki, piskliwy niemal głos:

– *W imia Iesususa Christusa! W imia Boha! Dobry lude! Wpyra ubit!*^[93]

Odetchnął z ulgą nieszczęsny pan Jeremi, wyglądając zza framugi. Przeżegnał się, błogosławiąc i dziękując za łaskę Pańską. Nic go już nie obchodziło, skoro sam został cudem ocalony.

Wypadający z drzwi Murray potracił gospodarza tak nieszczęśliwie, iż ten upadł na ganek. Szkot nie zwrócił na to nawet uwagi. Podał swemu towarzyszowi odzienie, klnąc głośno.

– Gdzie konie?! – warknął.

– Idziemy! – rzucił Saksończyk zamiast odpowiedzi, ruszając ku stajni.

Tak jak się spodziewał, nie było tu już pachołka. Uciekł, nie wykonawszy polecenia. Ledwie zarzucił siodła na grzbiety wierzchowców, nawet nie

zapiął popręgów. Sami musieli sobie poradzić z uprzężą.

Kiedy ruszyli, chłopci wiedzeni przez popa przeszli już potok Głęboki, kierując się wprost ku dworowi Rudyłowskiego. Ponaglając konie, oficerowie natychmiast podążyli w tę samą stronę dolinką Hylatego, tak aby ich ubiec.

Nie rozmawiali ze sobą, obydwaj wiedzieli, co za chwilę może nastąpić. Brnęli przez zmarznięty śnieg z zawziętością, gotowi sami przeciwstawić się ogłupiałym wieśniakom. Stiller dobrze rozumiał, że śmierć Gawryły może nie ma nic wspólnego z upiorem. Przynajmniej ze strzygą, którą miała być córka dzierżawcy Bałwańskiego. Przecież sam całą noc czuwał przy jej grobie. Z pewnością zgon ten można było inaczej wyjaśnić, tym bardziej iż karbowy nie był lubiany we wsi. Ale gwałtowne emocje, jakie stały się udziałem włościan, uniemożliwiały jakąkolwiek dyskusję. Jeszcze tylko Zatwarnicki, gdyby chciał, mógł się temu przeciwstawić. Miał w sobie na tyle siły i charyzmę, a przy tym był swój, prawosławny. Sam widział nocą nienaruszony grób. Niemiec modlił się w duchu, aby młody szlachcic zjawił się na czas.

Do wymarłego dworu dotarli przed chłopstwem. Zeskoczywszy z konia, Saksończyk prawie podbiegł do okutych drzwi, by załomotać w nie gwałtownie.

– Mości Rudyłowski! – krzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział.

– *Verfluchte Scheiße!*^[94] – wycharczał, ponownie uderzając w deski.

Znow brak było jakiegokolwiek reakcji. Podbiegł więc do okna, tłukąc szybę. Nie patrząc nawet, czy ktoś go słucha, zawołał:

– Chłopi z Zatwarnicy na was idą! Szykujcie się!

Wykrzyczawszy to, odwrócił się natychmiast i wrócił do konia. Wskoczył na siodło, nie zważając na drewnianą nogę. Uderzając boki zwierzęcia piętami, zakomenderował:

– Pod górkę teraz!

Pogalopowali w miejsce, gdzie jeszcze o świcie pożegnali się z Zatwarnickim. Widać było ślady dopalonego ogniska, wydeptany przez koni i ludzi śnieg, a także wyrzucone dzbany po winie i resztki jedzenia. Prócz tego żadnych innych oznak ludzkiej czy też nadprzyrodzonej bytności.

Niemiec zsiadł z wierzchowca, co za jego przykładem uczynił Murray. Przywiązali zwierzęta do wciąż tkwiących w ziemi słupków. Wtedy dopiero Szkot zapytał:

- I co? Zamierzasz się tu bronić? Chłopów powstrzymać?
- Przekonać – burknął Stiller.

Murray parsknął złośliwym śmiechem. Dał w ten sposób wyraz swoim wątpliwościom, stając jednak jak przystało obok towarzysza. Patrząc na bielejące pole i zbliżających się chłopów z popem na czele, wycedził:

- Prędzej byś psa do piątkowych postów przekonał.
- Nie kracz.

Szkot wzruszył ramionami. Sprawdził zatknięte za pas pistolety, poprawił protezę na ręce. Chrząknawszy, dumnie uniósł głowę, wiedząc, że zadziorna postawa może na kilka chwil powstrzymać motłoch. Zdawał sobie jednak sprawę, iż nie na długo.

Tymczasem wiejska ciżba ze śpiewem na ustach brnęła poprzez śnieg ku dworowi w Bałwańskim. Otoczyła go mrowiem, krzycząc nienawistnie. Poleciały kamienie albo też bryły zmarzniętego śniegu. Z oddali wiatr przyniósł odgłos pękającego szkła. Szczęściem zawarci w domostwie nie odpowiadali. Inaczej pewnie chłopstwo podpałiłoby jak nic Rudyłowskiego.

Z kwadrans trwało zlorzeczenie obok dworzyszczka. Znudzeni widąc brakiem reakcji, a także pewnie za poduszczeniem popa, wieśniacy odwrócili się ku pagórkowi. Łatwo dostrzegli stojącą obok niego dwójkę ludzi, co tym bardziej ich zezłościło. Uwagę Murraya przykuło kilku włościan dźwigających coś na barkach. Nie patrząc na Stillera, rzucił półgębkiem:

– Patrz! Niosą coś!

– No! – odparł Niemiec, a zmrużywszy oczy dla lepszego widzenia, dodał: – Zda mi się, że trupa Gawryły na desce dźwigają.

– Kurwa mać! – zaklął niski Szkot. Pociągnął nosem i wypluł lepka pacynę śliny. – Wesolo będzie.

– Módl się, żeby Zatwarnicki z braćmi dojechał. Może słowa dotrzyma. Inaczej na nic nasza misja. Pop, skurwysyn, sprawę załatwi według własnego widzimisie.

Szkot pokręcił głową, ale nie odpowiedział. Nie wierzył za bardzo, by szlachcic z Sikawca mógł pomóc.

Coraz bardziej zbliżały się głosy i sylwetki ludzkie. Ciągnęli włościanie niczym dziwaczna procesja. Na przedzie szedł chudy, czarno odziany pop z wyciągniętym przed siebie krzyżem. Za nim niesiono trupa karbowego. Dalej postępowała reszta, pokrzykująca groźnie, machająca prowizoryczną bronią albo też modląca się głośno. Rozochocona gawiedź, w której rozmyła się indywidualna odpowiedzialność, a pozostały wściekłość, zwierzęca ciekawość i ochota na ujrzenie czegoś niezwykłego.

Podeszli wieśniacy na jakie dwadzieścia kroków od oficerów. Wtedy, na znak kapłana, korowód się zatrzymał. Długą chwilę ciżba wpatrywała się w złowrogim milczeniu w tych, którzy stanęli im na drodze do realizacji zbożnego celu. Wreszcie zaś pop zakrzyknął:

– Znamy was, pany! Nie wasza to rzecz sprzeciwiać się nam! W imię Boga idziemy sprawiedliwość czynić!

Kątem ust Szkot mruknął cicho:

– Przynajmniej dobrze, że po naszemu gada.

– Ciii... – przerwał mu Stiller.

Wystąpił krok do przodu, prostując się dumnie. Wysoki, górował nad tłumem, a gruby kozuch pokrywał jego wrodzoną chudość, nadając mu groźny rozmiar. Opierając lewą dłoń na rękojeści rapiera, odpowiedział:

– Do domów idźcie! Nic tu po was!

Zapadła cisza, aż wreszcie ktoś z tłumu zawołał:

– *Same doma idyte!*^[95]

Od razu podchwyciły to inne głosy. Rozległy się gwizdy i przekleństwa. Ktoś nawet cisnął śniegiem w stronę oficerów.

Unosząc rękę z krzyżem, pop uciszył cizbę. Wskazując palcem na cudzoziemców, oznajmił:

– Kto Boga wyrokom się przeciwstawia, ten będzie pokarany! Zaklinam was, z drogi schodźcie!

– Wara wam od chrześcijańskiego grobu! – warknął głośno Niemiec.

– To strzygi domostwo, a nie grób chrześcijański! Te na cmentarzach są!
– Zapalczywy pop zrobił kilka kroków, a za nim przesunęła się i gawiedź.

– Całą noc tu... – Saksończyk pokazał dłonią resztę paleniska – ...obozowałem ze swym towarzyszem i z imć panem Kacprem Zatwarnickim z Sikawca! Z grobu nikt nie powstał!

– *To kto jeho ubył?! Aa?!*^[96]

Jeden z niosących trupa chłopów machnął głową za plecy. Zaraz też położyli wieśniacy nieboszczyka Gawryłę na śniegu, ukazując go stojącej naprzeciw dwójce w całej okazałości.

Karbowy cały był pocięty i poszarpany. Ubranie nasiąkłe krwią zamarzło mu sztywno. Najgorsza zaś rana była na szyi. Ledwie na kręgosłupie głowa się trzymała. Tak jakby jakaś potworna bestia wygryzła mu całe gardło.

Stiller, pokręciwszy głową, odkrzyknął:

– Wilcy nocą chodzą! Trupa naszły, to kęsały, gdzie popadło!

– Łże!

– *Ne wołky!*^[97] Precz!

Zafalował zagniewany tłum. Pop zaś, rozpościerając ramiona, oznajmił:

– Wasza to wina! Kiedyście tylko przybyli, uśpiona bestia się ocknęła! Przez rzymskich katolików przeciw prawosławnym ona stworzona i rzymskim katolikom służy! Dlatego was nie tknęła...

Przerwał na chwilę, by ramieniem trzymającym krzyż wskazać na oficerów.

– A może to i wy z grobu jej wstać kazaliście?! Aaa?!

Wrzask się podniósł okrutny. Sekundy ledwie zdawały się dzielić od momentu, kiedy rozsierdzony tłum rzuci się na stojących mu na drodze mężczyzn. Wtedy, jak zbawienie, rozległ się od prawej strony tętent koni. Zerknąwszy, Stiller odetchnął z ulgą. Od razu rozpoznał krasne odzienie Kacpra Zatwarnickiego i srokacza pod siodłem. Ze szlachcicem jechało u jego boków dwóch innych, a z tyłu za nimi kilkunastu zbrojnych pachołków.

Zatrzymały się rozpędzone wierzchowce pomiędzy gawiedzią a cudzoziemcami. Kopyta wzbily tumany zmarzniętego śnieżnego pyłu. Załomotały groźnie o twardą ziemię. Zakręciwszy się na swym pięknym rumaku, Kacper Zatwarnicki zawołał:

– Spokój tu! Stać, bo nahajami potraktujemy!

Zgrabnie zeskoczył z siodła, oddając wodze słudze. Zaraz też tak samo uczynili jego bracia. Także postawni, wyniosli blondyni z jasnymi wąsami, jak i on.

Stiller postąpił krok ku szlachcicowi.

– Rzeknij im, mości Zatwarnicki, jak było! Grób nieruszony, śniegiem jak przedtem pokryty! Co inne Gawryłę zabiło!

Pan z Sikawca uniósł dłoni.

– Czekaj, mości panie oficerze! I ty stój, gdzie stoisz! Moja rzecz sprawę rozstrzygnąć!

Przeszedł prędko ku miejscu, gdzie trupa złożono. Stał nad nim w rozkroku i zaczął się przyglądać. Nikt, nawet pop, nie śmiał się odezwać.

Pochylił się, oglądając. Podeszli także bliżej Melchior i Baltazar Zatwarniccy, sekundując bratu w oględzinach. Trwało to dobre pół minuty. Wreszcie pan na Sikawcu wyprostował się, popatrzył po braciach i szepnął im coś, tak że nikt tego nie usłyszał.

Odwróciwszy się niespiesznie, krokiem spokojnym przeszedł obok pachołków trzymających konie. Idąc, uśmiechnął się lekko, porozumiewawczo skinąwszy głową Stillerowi.

Stanął przed nim, kładąc przyjaźnie rękę na ramieniu. Popatrzył mu wprost w oczy. Do Murraya zaś podeszli dwaj pozostali szlachcice. Swobodnie, bez żadnych oznak złych zamiarów.

Coś tknęło nagle Niemca. Miał jakieś gwałtowne, straszne przecucie. Gdzieś na dnie źrenic młodego blondyna zobaczył znak tego, co za chwilę miało się zdarzyć. Szarpnął się w tył gwałtownie, chcąc wyrwać z pochwy rapier. Było już jednak za późno. Błyskawiczny cios obuszka w skroń niemal natychmiast pozbawił go przytomności. Upadając, zdołał jeszcze tylko usłyszeć okrzyk Szkota i głuche uderzenie. Potem zapadła ciemność.

Ocknęli się na śniegu. Zimne kryształki łagodziły tępy ból w czaszce. Saksończyk spróbował się poruszyć, ale szybko zrozumiał, iż nogi i ręce ma skrępowane. Tak samo jak spoczywający obok Murray. Zakląwszy szpetnie, Stiller szarpnął swe więzy. Od razu poczuł, że ktoś postawił mu stopę na plecach.

– Spokojnie, mości oficerze! – usłyszał głos.

Z trudem odwróciwszy głowę, dostrzegł jednego z braci z Sikawca.

– Psy! – wycharczał. – Hetmańskich oficerów...

– Dość! – Krótki był krzyk pana Kacpra przerywający dalsze słowa Niemca.

Zachrząścił śnieg pod butami szlachcica. Stanąwszy tuż obok, polecił:

– Oprzytomnieli już, to ich posadźcie.

Jakieś mocne ramiona poderwały cudzoziemców. Zakręciło się w głowie Stillerowi od nagłej zmiany pozycji. Łupnęło w skroni, jakby kto ponownie w nią uderzył. Zacisnął zęby, by nie dać poznać po sobie cierpienia. Poczul ściekającą mu po policzku i za kołnierz krew.

Popatrzył nienawistnym wzrokiem na przeniwiercę Zatwarnickiego. Ten jednak, obojętnie niemal spoglądając, wytrzymał ów niemy wyrzut. Wzruszywszy ramionami, powiedział:

– Mówiłem, że słowa dotrzymam, jeśli strzyga znów nie zaatakuje. Teraz nie wasza to już rzecz.

– Dobrze wiesz, że to nie ona! – wycedził przez zęby Saksończyk.

– Wiem albo i nie wiem! Trup Gawryły jest, jako i tamci byli! Na piersi krzyż ma wycięty! Starczy mi!

– Nie godzi się...

– Zawrzyj gębę, z łaski swojej, mości oficerze! Powtórzę raz jeszcze! Nie wasza to rzecz! Hetmańskie rozkazy macie, to ich się trzymajcie, a od naszych spraw wam wara! Nie po to was tu jegomość Koniecpolski przysłał, byście ludziom mówili, jak żyć i co czynić mają! A przez waszą zabawę karbowy z Zatwarnicy tam... – wskazał na zabitego – ...leży! Teraz zaś milcz, bo drugi raz przez łeb cię zdzielić każę!

Zacisnął wściekle szczęki Saksończyk, aż mu zęby zazgrzytały. Po raz trzeci szarpnął się w więzach. Na nic jednak to się zdało. Przeklął więc jak najszpetniej własną bezsilność i głupotę.

Ochłonawszy po chwili, popatrzył na wracającego do przytomności Murraya, a potem zadarł głowę, spoglądając w kierunku pagórka. Stało na nim kilkunastu ludzi, wśród nich pop i najmłodszy z Zatwarnickich. Z odgłosów dało się poznać, iż ktoś z trudem łupie zamarzniętą na kość ziemię. Głucho brzmiały w chłodnym dniu dochodzące stamtąd niezrozumiałe, zniecierpliwione głosy. Reszta chłopstwa, zbита w kupę, rozłożyła się opodal wzniesienia, rozpaliwszy kilka ognisk. Nieliczni krążyli to tu, to tam, albo włączili na pagórek, albo też złązili z niego, miotając się niczym kot z pęcherzem. Znać było, że nie mogą doczekać się widowiska, o którym długo będzie się jeszcze po chałupach gadać.

Kacper Zatwarnicki, postawszy w milczeniu obok cudzoziemców jeszcze chwilę, odszedł w końcu na pagórek. I on pragnął jak najszybciej zakończyć sprawę, choć pewnie nie z powodu ciekawości, lecz aby uniknąć zbędnych problemów. Te zaś musiały nieuchronnie nadejść. Oto bowiem od strony dworu pojawiło się pięciu mężczyzn, którzy brnęli po zmarzniętym śniegu ku gawiedzi. Z daleka widać było, iż nie idą z pustymi rękami.

Pan na Sikawcu, spojrzawszy na ledwie w połowie odsypany grób, ponaglił chłopów grubym słowem. Sam zaś, wołając braci, zawrócił do koni. Krzyknął przy tym i na swoje uzbrojone sługi, aby zbierały się prędko. Dosiadłszy wierzchowców, ruszyli naprzeciw nadciągającemu ze

służbą panu Rudyłowskiemu. Oczy wszystkich skierowały się w tę stronę w oczekiwaniu na to, co się zaraz wydarzy.

Kilkunastu jeźdźców zatrzymało się na polu, blokując piechurom dojście do pagórka. Na początku nie słychać było nic, a tylko z gestów Zatwarnickiego oglądający mogli wnosić, że trwa jakaś gorąca rozmowa. Gwałtownie narastały pokrzykiwania. Słyszano jednak ledwie pojedyncze słowa i padające wzajemnie przekleństwa. Pachołcy z Sikawca łukiem, skrzydłami poczęli zachodzić stojącą na śniegu piątkę. Stiller widział, jak cofnęli się Rudyłowski ze sługami, wyciągając ręce i wołając, aby powstrzymać konnych. Ci jednak z uporem, na rozkaz Zatwarnickiego, starali się ich otoczyć. Niemiec przełknął ślinę, przewidując, co za chwilę może się wydarzyć. Błagał Opatrzność, aby tak się nie stało. Na próżno.

Jakby w zwolnionym tempie ujrzał, jak ogromny Matjas podrywa do ramienia muszkiet, strzelając do stojącego najbardziej na prawo jeźdźca. Kula zmiotła go z siodła niczym szmacianą lalkę. Rozległ się wrzask okrutny, po czym jezdni rzucili się na pieszych. Zakotłowało się, błysnęły wzniesione szable, zabrzmiały strzały. Kilka minut trwał zamęt. Brzęczało uderzające o siebie żelazo, unosił się dym prochowy. Potem zaś konni się odsunęli.

Śnieg pokrywała krew. Leżało pośród niego kilka nieruchomych ciał. Dwóch stojących na ziemi pachołków trzymało pod ramiona wysoką, na biało odzianą postać, do której wrzeszczał coś teraz pan na Sikawcu. Łatwo było zgadnąć, iż tym, który ocalał, był Rudyłowski. Może nawet to sam Zatwarnicki nakazał go oszczędzić.

Krwawą mieli przeprawę ludzie z przysiółka należącego do trzech braci. Pięć koni wracało z pustymi siodłami, a na kilku innych chwiali się pokaleczeni chłopci. Wściekły pan Kacper jechał na czele, za nim zaś prowadzono, a raczej ciągnięto po śniegu Hieronima Rudyłowskiego. Wielkiego, skrwawionego, z rozwianymi siwymi włosami i brodą ogromną, sięgającą prawie do brzucha. Taką, jaką widzi się u biblijnych proroków na malunkach w kościołach.

Westchnął zrezygnowany Stiller, spuszczać oczy. Murray zaklął w swojej ojczyściej mowie, szarpiąc więzy. Łzy wściekłości potoczyły mu się po białych policzkach. Skończyło się. Teraz mogli tylko patrzeć.

Napędce splątano dzierzawcę Bałwańskiego, rzucając go obok oficerów. Łeb miał rozbity szablą, ręce pocięte. W samej koszuli ledwie był. Rozchełstana, odsłaniała pokryty licznymi bliznami tors, świadczący jak dzielny musiał być kiedyś żołnierzem.

Starzec wciąż miał otwarte oczy. Nawet nie drgnęła mu powieka, kiedy wpatrywał się we wzgórze, na którym z grobu wykopywano jego córkę. Tylko piersi unosiły mu się gwałtownie i nierówno, oznajmiając szarpiące nim w środku ojcowski ból, bezsilność i złość.

Zeskoczywszy z konia, Kacper Zatwarnicki otarł pot z czoła. Twarz miał stężałą z wściekłości. Drżał cały, podchodząc do jeńców. Palcem wskazując na starego pocztowego husarii, wysyczał ku oficerom przez ściśnięte wargi:

– Patrzcie, skurwysyny! Przez was to! Przez was! Oby was diabli wzięli! Oby zaraza wydusiła! Obyście za życia zgnili!

Dyszał, a z ust w mroźnym powietrzu dobywały mu się kłęby pary. Widać było, iż nie pragnął tego, co się stało na polu. Teraz jednak, przekroczywszy granicę zbrodni, musiał skończyć to, co zaczął.

Odwrócił się na pięcie, spoglądając ku pagórkowi. Krzyknął tak, iż ciarki przeszły po plecach wszystkim:

– Dawać mi ją!

Żwawiej wzięli się do roboty chłopci kruszący łopatom i kilofami ziemię. Nawet pop, pomny na pański gniew, ponaglał ich swym piskliwym głosem. Po policzkach starego Rudyłowskiego, bruzdami wyżłobionymi przez ciężkie życie, potoczyły się dwie błyszczące łzy.

Kwadrans jeszcze trwała potworna robota. Cisza wkoło zapadła taka, iż tylko równomierne łupanie i łoskot grud odwalanej ziemi było słycać. Zaskrzypiały odrywane deski. Na koniec zaś wywleczono z trumny ciało dziewczynki.

Na znak najstarszego z Zatwarnickich wzięli je chłopci za ręce i nogi i znieśli po stromym zboczu kopca. Odzianą w białą suknię, bez żadnego śladu rozkładu, bladą jak śnieg prawie, rzucono na ziemię.

Spoglądali Murray ze Stillerem na piękną wciąż dziecięcą twarz, rozrzucone jasne włosy i delikatne ciało. Ani śladu żadnej zarazy na nim nie było. Tak jakby zaraz wstać mogła i do żywych wrócić.

Stanęli dookoła ponurzy chłopci, wpatrując się w zwłoki. Wielu przeżegnało się nabożnie. Nawet pop skulił się i co chwila czynił znak krzyża. Cicho było jak makiem zasiał. W niejednym sercu zrodziła się trwoga przed tym, co za chwilę miało być uczynione.

Jeszcze ostatni raz spróbował Murray odwieść Kacpra Zatwarnickiego od potwornego zamiaru, wołając do niego. Kopnięty przez Melchiora, natychmiast zaległ na śniegu. Obok zaś leżał skamieniały ze zgrozy ojciec nieboszczki. Wargi tylko poruszały mu się lekko w niemej modlitwie. Oczy rozwarte szeroko wpatrywały się w córkę z takim oddaniem i miłością, aż poczuł w ściskającym się sercu Stiller ból dojmujący, jakiego chyba jeszcze nigdy nie zaznał.

Najstarszy z braci z Sikawca schwycił łopatę z rąk jednego z chłopów i zadzierając głowę, zawołał:

– No?! Który odważny?!

Rozejrzał się dokoła, a ciżba cofnęła się z przestachem o krok. Wydał pogardliwie usta, powtarzając:

– No?! Który?!

Nikt nie odpowiedział. Pospuszczali wieśniacy głowy z lęku i wstydu. Machnął więc ręką Kacper Zatwarnicki.

– Ech, wy, tchórze!

Wbił narzędzie w śnieg, splunął w dłonie, chwycił na powrót oburącz stylisko i stanął okrakiem nad trupem. Zakrzyknąwszy:

– *W imia Boha!*^[98]

Wzniósł gwałtownie łopatę.

Zamknął Niemiec na ten moment oczy, nie mogąc znieść potwornego obrazu, choć niejedno już w życiu widział.

Żelazne ostrze spadło wprost na wątłą szyję dziewczynki, prawie odrąbując głowę od ciała. Dwakroć musiał uderzyć szlachcic, by dokończyć dzieła. Potoczyła się odcięta główka po śniegu, brocząc go drobnymi kroplami krwi. Wtedy rozległ się rozdzierający, nieludzki wręcz krzyk, wydarty z samego dna duszy zrozpaczonego ojca:

– Córeczko!!! Najmilsza ty moja!!! Córeeczko!!!

– Jezu Chryste... – wyszeptał Saksończyk bezwiednie, spoglądając na Rudyłowskiego, który zadrzał gwałtownym spazmem, by zaraz znieruchomieć, utraciwszy zmysły.

Zaszemrało chłopstwo, modląc się cicho. Nie zważał jednak Zatwarnicki na ich przerażenie. Odrzuciwszy łopatę, zawołał:

– Zęba od brony dawać!

Nie poruszył się nikt z wieśniaków, więc przypadł do nich Baltazar, roztrącając ich, aż dostał, co chciał. Złapawszy siekierkę, przysunął się ku zwłokom Anusi. Pochylił nad nimi. Przyłożył kołek do wątych piersi i uderzył w nie kilkakroć, przebijając martwe od dawna serce. Wyprostowawszy się, otarł pot z czoła, jak po ciężkiej pracy.

Ostatni z braci, Melchior, zakończył dzieło, płacząc drobne nogi i ramiona dziewczynki ciernistymi pędami. Nie zważał na odrzuconą sukienkę odsłaniającą ciało ku pohańbieniu. Odwrócili swe głowy chłopci, niemal instynktownie, wiedząc, że to, co się dzieje, jest złe. Próżny teraz był jednak ich żal. Nie dało się już odwrócić tego, co uczyniono.

Pop zęgnął się, w koło powtarzając bezmyślnie:

– *Sława Bohu na wiky... Sława Bohu na wiky... Sława Bohu na wiky...* ^[99]

Stiller opuścił wzrok, nie chcąc już nic więcej ujrzeć.

Pachołki Zatwarnickich zawlokły ciało z powrotem na kurhan. Jeden z nich, nie chcąc widać brukać rąk, nadział odrąbaną głowę na szablę i tak ją zaniósł. Cisnęli sponiewierane zwłoki wprost w wygrzebaną jamę,

piersiami do ziemi. Na nie zaś, między nogi, rzucili odciętą główkę. Znow dał się słyszeć łoskot rzuconej zmarzniętej ziemi.

Kacper Zatwarnicki podszedł ku związanym jeńcom. Twarz miał ściągniętą niby maska. Przez zęby wycharczał:

– Koniec już! Nie ma upiora!

Uniósłszy oczy, Stiller popatrzył na niego, a z gardła wydarło mu się głuche i straszne:

– Za to, coś uczynił, będziesz się smażył w piekle na wieki.

ROZDZIAŁ VI

WYGNANKA

– I tak to było, mości Żegota... – Murray pokiwał głową, dopijając resztę grzanego piwa.

– Jezus Maria! – Pani Agnieszka przeżegnała się strwożona.

Na długą chwilę zapadła cisza przy stole we dworze w Wygnance wedle Nadolan. Zaiste okropne wrażenie uczyniła na słuchających opowieść wracających z Zatwarnicy oficerów. Nie tego spodziewali się wszyscy, gdy zegnali się tutaj ledwie kilka tygodni wcześniej.

Sulatycki, westchnąwszy, wstał, by sprawdzić grzejący się nad kominkiem kociołek. Zamieszał kilkakroć, dodał odrobinę miodu i ziół, posmakował, a potem odruchowo oblizał usta zadowolony ze swego dzieła. Niespiesznie zebrał kufle gości, a następnie nalał im chochlą pachnący przyjemnie napój. Kiedy postawił go przed cudzoziemcami, upewniwszy się, iż gospodarz i gospodyni mają jeszcze grzańca, przysiadł, pytając:

– I cóż dalej było?

– Dalej? – Szkot machnął ręką. – Tylko gorzej, panie Wawrzyńcze, tylko gorzej. Zabrali nas na powrót do dworku Winnickiego, gdzie opatrzyli nam rozbite łby. Gadać nikt z nami nie chciał i jak na trędowatych jakich patrzono, jakby to z naszej winy wszystko się stało. Nawet administrator niczym ognia nas unikał, posiłków wspólnych odmawiając. Zasłaniał się, że niezdrów albo też obowiązki ma niecierpiące zwłoki. Po tygodniu dopiero dowiedzieliśmy się, co z Rudyłowskim się stało.

– Cóż takiego? – Pani Nadolska pochyliła się nad stołem, mimo pokaźnego brzucha.

– Zabrali go bez przytomności z pola i do dworu w Bałwańskim jak psa rzucili bez pomocy. Jeszcze jeno sługa, ów Matjas, choć srodze posieczony, przeżył. Jego także do domostwa w przysiółku chłopci zawlekli. Nikt się

nimi nie zainteresował, a Zatwarniccy chyba nadzieję mieli, że zemrą rychło. To by im pewnie, jak mniemali, sprawę z dzierżawą ułatwiło.

– Oszukał was niegodnie pan Kacper z Sikawca! Oj, oszukał! – stwierdził Sulatycki, marszcząc brwi.

– Oszukał? – Stiller pokręcił głową. – Samiśmy się oszukali, mości panie Wawrzyńcze. Sami, nikt inny. Bo zdało się nam nierozumnie, że sprawa łatwo pójdzie, jak Zatwarnickiego skusimy perspektywą przejęcia majątności po Rudyłowskim. Kto wie? Może i zgodziłby się na to, gdyby nie nieszczęsna sprawa z Gawryłą. Ta zresztą rychło się wyjaśniła, szkoda jeno, że po fakcie.

– Jakże to? – zapytała gospodyni z zainteresowaniem.

– A tak, iż już po kilku dniach wiadomo było, kto karbowego ubił. Okazało się, że z naszym przyjazdem, dla pokazania się przed nami, chłopów mocno docisnął, a dwóch, na kradzieży złapawszy, srodze obił. Zmówili się tedy przeciw niemu i z wieczora pijanego napadli. Utłukli kłonicami^[100] na śmierć. Przestraszywszy się swej zbrodni, postanowili ją na upiora rzucić. Z tej przyczyny krzyż trupowi na piersi wycięli. Ciało nad Sanem porzucili. W nocy wilki przyszły i poszarpały nieboszczyka. Najłatwiejszy dostęp do szyi mając, ze szczętem mu ją rozerwały. Ot, cała zagadka.

– Jak wyszła na jaw prawda? – spytała zaciekawiona pani Nadolska.

– Ów chłop z Hulskiego, Ihor, widział wszystko, gdy wnyki nad rzeką w nocy rozkładał. Swojej babie powiedział, ta innym babom i w końcu cała wieś wiedziała. A potem i w Zatwarnicy się rozeszło. Nakazał wskazanych pan Winnicki torturami potraktować, bardziej ze strachu przed Herburtem niż z ochoty, a uzyskawszy od nich przyznanie się do winy, w loszku zamknął i do pana Eryka pismo posłał z zapytaniem, co czynić należy. Pewnie ich już do tej pory obwiesili.

– I tyle tylko? Nikt z pomocą Rudyłowskiemu nie przyszedł, jak rzecz została odkryta? Do urzędów nie posłano? Nie pokajali się Zatwarniccy?

Niemiec pokręcił głową.

– Nie, jejmość pani dobrodziejko. O rzeczy nikt ani wspomnieć nie chciał. Tak jakby jej nie było. Ubitych pachółków naprędce pogrzebano, pop nabożeństwo odprawił i koniec. Tylko my, siedząc w dworku Winnickiego, jak kolec w oku uwieraliśmy wszystkich swym widokiem. Nie skrywał administrator, że chce jak najprędzej się nas pozbyć. I nam dość było owej gościny, tym bardziej że już nic więcej zrobić nie mogliśmy. Źle się stało, ale się stało. Nierad byłby biskup Próchnicki, gdybyśmy dalej jątrzyli. Kiedy więc tylko do zdrowia jakiego powróciliśmy, to ruszyliśmy w drogę powrotną.

– Do Bałwańskiego nie zaszłście, waszmościowie? – Sulatycki łypnął znad kufła.

– A jakże! – odrzekł Murray. – Zajechaliśmy! Tak samo jak uprzednio było. Wylazł, ledwie nogi wlekąc, ów Matjas przez drzwi, popatrzył i oznajmił, że pan nikogo nie przyjmuje, bo niemocą złożony. Na pytanie, czy czego nie potrzebują, łbem jeno pokręcił i do domostwa wrócił, wejście ryglując. Bardziej okazać swej niechęci nam nie mógł.

– Jakże to? Przecież wiedział chyba, iż wyście też przeciw zbrodni stawali? – zdziwił się pan Wawrzyniec.

– Może i wiedział. – Saksończyk wzruszył ramionami. – Ale może i nie wiedział. Albo też, jak inni, obwiniął nas za to wszystko, co się zdarzyło. Bo też i prawda, że gdybyśmy w noc na kurhan nie pojechali, wszystko mogłoby się inaczej potoczyć.

– Aaa! – Stary rękodajny machnął ręką. – Gadasz waszmość! Przecież i tak by karbowego chłopcy ubiły!

– Niby racja – przyznał Stiller. – Zważ jednak waszmość, że to za naszą przyczyną między wieśniakami znów więcej o upiorze szmerać poczęto, jak tylko po chałupach się dowiedziano o naszych zamiarach. Niepotrzebnie podgrzaliśmy ten kocioł, z którego ostatecznie para nam w twarze buchnęła.

Nic nie odpowiedział na to spostrzeżenie pan Wawrzyniec, w duchu przyznając rację owej argumentacji.

Zapadła cisza, przerywana tylko trzaskiem płonącego w palenisku drewna. Męcząca była, przywodząc oficerom na myśl wspomnienie nieszczęsnej Anusi Rudyłowskiej. Dlatego też, wyprostowawszy się w swym krześle, Stiller po jakimś czasie na inny temat postanowił zagadnąć. Popatrzawszy na siedzącego cicho Żegotę, rzucił:

– A waszmość, panie Nadolski, cóż dzisiaj jesteście taki markotny? Ani słowa nie powiedziałeś.

Westchnął ciężko gospodarz, ręką machnąwszy. Przejechał dłonią po obwisłych siwych wąsach, próbując tym ruchem zetrzeć zmartwienie z twarzy. Na niewiele się to zdało.

– No, mówże – zachęcił Niemiec. – Może coś zaradzić się uda.

– Co tu mówić – mruknął siwowłosy szlachcic. – Nastaje coraz mocniej pan Stano na zwrot rzekomego długu. Egzekucję sądową dostał i zajazdem straszy. Odpowiedź^[101] mi przesłał, wprost grożąc mnie i moim sługom, jeśli spłaty w terminie miesiąca nie dokonam. A tu... – wskazał na brzemienną żonę – ...patrz waszmość. Ani mi myśleć teraz o jakich zwadach!

Niemiec pokiwał głową. Poważniejszy w istocie miał problem Żegota niż jakieś tam zajścia w Zatwarnicy. Tamto daleko było i obce, tu zaś o najbliższych chodziło. Dla upewnienia się jeszcze co do sprawy, Saksończyk zapytał:

– A owi bracia dawnej, świętej pamięci małżonki waszmości?

– Stalony i Hantusek Dobrzańscy? Przez nich to właśnie kłopot, bo podpisami potwierdzili ponownie mój dług u chorążego sanockiego. Posłałem list do nich, ale bez odpowiedzi został.

– Wzięli pewnie uprzednio od pana Stano gotowiznę... – wyjaśnił Sulatycki – ...więc ani myślą teraz prawdy mówić.

– Trudna rzecz. – Murray pokiwał głową. Zerknąwszy na pana Wawrzyńca, dodał: – Ale przecież mówiłeś waszmość, iż przeciąga się sprawa przed sądem. Jakże to więc?

– Przed sądem, mimo egzekucji, to i do końca świata mógłbym za nos pana Stano wodzić – odrzekł stary szlachcic. – Dobrze wie on o tym. Stąd list przysłał. Czego prośbą nie uzyskał, groźbą chce wymusić.

– Tak jest – potwierdził Żegota. – U mnie zaś sami waszmościowie widzicie, jaka możliwość dać odpór. Pan chorąży ma swoich Sabatów albo też ze szlachtą mu usłużną przyjść może. Mnie zaś kto poprze?

– Zapomniał widać o sprawie z Trofanem Skórą – wycedził Stiller.

– Albo i nie zapomniał, ale wie, że pan porucznik Wolski dawno już w tych stronach nie bywa. Odwołał go spod Przemyśla pan Gotthard Plater jeszcze tego samego roku co... – Nadolski przerwał, nie kończąc zdania. Po kilku sekundach dodał: – Sami wiecie co, waszmościowie.

– Nowe się zatem rozwiązanie znajdzie – pocieszył gospodarza Niemiec. – Wszak masz w nas, mości Żegota, przyjaciół dozgonnych. Przedstawię sprawę Jego Eminencji arcybiskupowi, który z pewnością da radę mądrą. A i szepnie do uszu komu trzeba i co trzeba, aby waćpanu krzywda nie była.

– Wdzięczny jestem waćpanu, lecz czy to co da? – Siwowłosy szlachcic uśmiechnął się smutno. – Teraz zima, to spokój. Jak wiosna przyjdzie, różnie być może. A wtedy właśnie dziecko mi się ma rodzić.

– To radować się trzeba, nie smucić! – zawołał Szkot niby wesoło, ale też wymuszona to była beztroska.

Sulatycki, popatrzawszy po kuflach, znów podszedł do kotła. Przy okazji przez drzwi zakrzyknął na służbę, aby jakieś mięsa i chleb na stół przyniosła. Tak to bowiem jest, iż w miarę picia piwa głód człowieka coraz to większy ogarnia. A z pustego żołądka zwiększa się tylko frasunek.

Rozlawszy grzańca, znów zasiadł za stołem. Uśmiechnął się ciepło do pani Agnieszki, próbując tym sposobem ją pocieszyć. Ta odruchowo pogładziła się po wypukłym brzuchu. Nie patrząc na męża, powiedziała:

– Może już zapłać mu owe dziesięć tysięcy i skończ sprawę. Skwituj dla świętego spokoju.

Żegota pokręcił głową.

– Gdyby rzecz tak prosta była, już bym to zrobił. Kłopot w tym, iż jeśli raz dług niebyły uznam, to za chwilę i inni jak na słabego rzucą się na mnie. Któż bowiem zaręczy, że pan Stano skończy na tym? Mało to takich spraw za diabła Stadnickiego^[102] było?

– Prawda – przytaknął Sulatycki. – Sam bym radził ręką machnąć na owe dziesięć tysięcy, żeby ów basałk... – wymownie popatrzył na gospodynię – ...w spokojności na świat przyszedł, ale wiem, iż nic by spłata nie dała, albo też gorsze jeszcze problemy na głowę imć pana Żegoty ściągnęła. Tak to bowiem jest, że kto prędko daje, ten czasem dwa, a nawet trzykroć daje. Musi pan Stano zaniechać nieprawnych roszczeń, inaczej potęgować je będzie. Nie o dług tu bowiem tak naprawdę chodzi, ale o Wygnankę, którą chce do Nadolan włączyć, niesłusznie mniemając, iż jest mu należna.

– Ja zaś z ojcowizny na krok nie ustąpię! – dodał hardo siwowłosy gospodarz. – Tym bardziej iż zaraz będę miał ją komu zostawić.

Pan Wawrzyniec, napiwszy się, otarł usta wierzchem dłoni i zaczął wymieniać:

– Dwór i obejście odbudowane, nowe pola wykarczowane, kmiecie chałupy odremontowali. Na Pielnicy^[103] można stawy zrobić albo też nawet i młyn postawić, jak się wodę spiętrzy. Aż do potoku przecież jegomości Nadolskiego ziemia. Znaczny to koszt, ale i zysk na przyszłość znaczny. Jakże to więc za darmo tyle gotowizny oddać, kiedy potrzeby są w Wygnance niemałe?

Agnieszka Nadolska westchnęła ciężko, znając już dobrze ową odpowiedź, którą za każdym razem otrzymywała. Liczyła może na wsparcie oficerów, ci jednak także rację przyznali Żegocie. W istocie świat tu taki był, że słabego wszyscy szarpali, kto zaś był silny, w pas mu się kłaniali, choćby i majątności większej nie posiadał. Wszak Jacek Dydyński^[104] do bogaczy nie należał, lecz z racji krążących o nim opinii, każdy się go bał.

Wypiwszy jeszcze trochę i pogadawszy, kolejny raz obiecał Stiller sprawę z biskupem lwowskim poruszyć, dodając przy tym:

– Jak nic nie wskóram u Jego Eminencji Próchnickiego, słowem rękę, że w marcu z Williamem tu przyjedziemy, by szczęście waszmości uczcić i swoim ramieniem w razie potrzeby wesprzeć. Może i nogi nie mam, a on... – wskazał na towarzysza – ...ręki, ale zdamy się jeszcze, żeby kilka łbów rozbić. A da Bóg, jeszcze kogo ze sobą przywieziemy. Nie frasuj się, mości Żegota, na zapas i bądź dobrej myśli. Bo też „kto tak mądry, że zgadnie, co nań jutro przypadnie”^[105], jak pisał wasz zacny poeta?

Uniósłszy kufel, wzniósł toast:

– Teraz zaś piję za zdrowie i pomyślność owego Nadolskiego, który na świat ma przyjść! Że syn to będzie, nie wątpię, jako że nic z urody jejmości... – skłonił się pani Agnieszce – ...ów *nasciturus*^[106] nie skradł, a jak prawią, dziewczynka najwięcej sił z matki wysysa, chłopiec zaś tylko blasku jej dodaje.

– Prawda! – przyłączył się ochoczo Sulatycki, a w oczach błysnęło mu coś, co szybko wierzchem dłoni spędził.

– Zdrowie! – zawołał Murray, rad, że od trudnych spraw wreszcie się rozmowa odrywa.

I Nadolscy unieśli swe naczynia, uśmiechając się ucieszeni, że choć przez te parę dni, kiedy gościć mają przyjaciół, będą mogli oderwać się od codziennych smutków.

Za oknami szalała styczniowa zawierucha, zasypując świat grubą kołdrą śniegu. Wśród niej, w oddali, mieszając się z gwiżdżącym wiatrem, rozlegało się tęskne i niepokojące wycie wilków. Zapowiedź czyjejs nieuchronnej śmierci.

ROZDZIAŁ VII

NARODZINY

Marzec nadciągnął, a wraz z nim słońce wyżej stanęło, grzejąc promieniami resztki zalegającego gdzieniegdzie po polach śniegu. Trawa wschodzić poczęła, rozkwitły zadziornie wczesne kwiaty, rozszechbiotało się ptactwo. Także ludzie weselsi się stali, żegnając mróz i krótkie dni. Coraz chętniej i więcej wylegali z chałup, nawet po to tylko, aby cieszyć się ciepłem. Nieśmiało zazieleniały pierwsze liście na drzewach, jakby wyglądając, czy to już w istocie pora odrodzenia się życia. Oddychał z ulgą świat, natchniony odtajałą, parującą wilgocią. Otwierał się nowy cykl istnienia, a wraz z nim budziły się nadzieje wszelkiego stworzenia, które przetrwało śmiertelny bezruch zimy.

Nie miał głowy pan Żegota do takich spraw jak podziwianie cudu natury, tylko krążył nerwowo wokół dworu, w którym zebrały się sprowadzone baby pod przewodem starej akuszerki z Pielni. Pognały wszystkich mężczyzn precz, nie zważając na stan ani protesty. W takich chwilach to one przejmowały władzę i nikt nie ważyłby się temu przeciwstawić. Tak to bowiem urządził na świecie Bóg, że są rzeczy męskie i babskie i mieszać ich ze sobą nie należy. Inaczej tylko diabeł ma uciechę.

Pan Wawrzyniec, siedząc na ławce, niby to wygrzewał się w promieniach słońca. Popijał piwo, udając spokój, lecz co rusz odstawiał kufel, wiercił się, jakby niewygodnie mu było, sarkał na łązającego bez celu Semka albo też odganiał znudzone psy łypiące za to na niego z niemym wyrzutem. Zerkał raz po raz na domostwo, wytyężając słuch, nie mogąc się doczekać najpiękniejszego z dźwięków, jakim jest krzyk narodzonego dziecka. Nie słysząc go, na przemian drżał ze strachu, pocieszał się w myślach, modlił albo też kłął. Przeżywał emocje prawie tak intensywnie, jak łązający tam i z powrotem po dziedzińcu Żegota. Czwartek na szczęście był, co też za

dobłą wróżbę baby wzięły, oznajmiając to przez zamknięciem drzwi dla pociechy szlachcicom^[107].

Co też działo się w środku domostwa, mężczyźni mogli jedynie przypuszczać. Wiadomo przecież było, że narodziny to cud boski, który wedle odwiecznych prawideł odbyć się musi, aby dziecku zapewnić na przyszłość zdrowie i bezpieczeństwo. Złe wtedy najwięcej krąży obok niewinnej istotki, licząc, że przystęp do niej uzyska, gdyż nieochrzczona jeszcze. Ale też były na to rozliczne sposoby, żeby czarta odegnać i wniwecz obrócić jego plany. Przy okazji przynosiło to ulgę umęczonej matce, ułatwiając wydanie na świat dziecka. Diabeł bowiem lubował się w cierpieniu, które stało się ludzkim udziałem za jego przyczyną, i z niego czerpał swą moc. Bóg zaś błogosławił nowemu życiu, pochylając się nad nim w swej łaskawości, tym bardziej iż w chrześcijańskim domu się budziło.

Długo trwało oczekiwanie. Południe już się zbliżało, a nic wciąż słyhać nie było prócz jęków umęczonej matki czasem dobiegających zza zasłoniętego okna. Gryzł palce pan Nadolski, pełen złych przeczuć, które z całych sił odganiał. Gdyby umiał, wziąłby cały ból na siebie, aby ulżyć swej ukochanej żonie. Nie potrafił jednak wpłynąć na naturalne prawa, przez co sierzdził się tym bardziej na własną bezsilność. Dłużył się mu czas okrutnie, aż kląć mu się chciało. Złe słowa siłą powstrzymywał, aby losu nie kusić.

Niepokój zaczął ogarniać jego myśli, nie tak pamiętał bowiem owe chwile, jak Zośka Michałka czy Marysię rodziła. W godzinę było po sprawie. Po dwóch dniach na nogach stawała, a choć potem przez sześć tygodni, do wyvodu^[108], odpoczywać miała, to przecież aż rwała się do roboty. Silna była, tak jak wszyscy Dobrzańscy. Nie to, co Agnieszka, które swoje już w życiu przeszła. I tak za cud można uznać było, że brzemienną została.

Głowa Żegoty pełna była najgorszych przypuszczeń i wspomnień. Pamiętał dobrze swoje życie w czasach, kiedy nic nie miał. Śmierć, która za nim szła, i nienawiść, jaką skrywał w sercu. Teraz lękał się, czy kara na

niego nie przyszła za grzechy, których się wówczas dopuszczał. Opuścił mu je kapłan przy spowiedzi, ale też na dnie duszy pozostał strach, iż jeszcze nie dopełnił pokuty. Albo też będzie niczym biblijny Hiob, na którego Bóg spuszcza kolejne próby dla sprawdzenia siły jego wiary. Nagle całe szczęście, jakiego zaznał w ostatnich dwóch latach, wydało mu się zbyt wielkie, aby mogło trwać. Przemknęła mu przez umysł straszna myśl, iż nie zasługiwał na nie. Bezwiednie szeptać począł w kółko:

– *Deus, propitius esto mihi peccatori*^[109]. *Deus, propitius esto mihi peccatori...*

Nie znajdował w nich ukojenia, lecz tylko pogłębiały lęk. Mimo to nie przerywał, krążąc bez celu po podwórku.

Także pan Wawrzyniec wstał ze swojej ławki, nie mogąc dłużej usiedzieć. Szarpał wąsy, szukając wzrokiem czegoś, do czego mógłby się przyczepić. Na chwilę oderwać myśli od straszliwych przeczuc.

Ujrawszy w drzwiach stodoły Bejdę strugającego strzały, od razu ruszył ku niemu. Rozzłościł go widok pohańca siedzącego spokojnie. Tak jakby znudzonym dłubaniem w drewnie Tatar wręcz go prowokował. Podeszedłszy do niego, jadowitym szeptem ofuknął sługę właściwie za nic. Uniósł Mongoł ku niemu skośne oczy, ramionami wzruszył, a potem zebrałszy swoje manatki, polazł, byleby tylko zejść z widoku. Nawet nie pojmował pan Wawrzyniec, że i on czekał, na swój prosty sposób radząc sobie z niepokojem. Życie bowiem oddałby za panią Agnieszkę ów niewierny, gdyż zawsze łaskę mu okazywała i nigdy złego słowa od niej nie posłyszał. Teraz ona bardziej jego panią była niż panem Żegota, który kiedyś go na Litwie kupił.

Słońce przekroczyło już zenit i pochylało się. Grzało radośnie, nieświadome tego, co dzieje się w małym dworze w Wygnance. Nie radowało jednak pogrążonych w oczekiwaniu szlachciców. Ba, nawet zdawało się im urągać swą niewczesną wesołością. Obojętne robiło swoje, tak jak zwykło od początku świata.

Na drugą już szło, kiedy nagle zza okna dworu rozległ się cichy krzyk oznajmiający, że na świat przyszło nowe życie. Przeszył powietrze,

sprawiając, że zarówno Żegota, jak i pan Wawrzyniec w jedynym momencie padli na kolana, nie zważając na wilgotną ziemię. Wznosząc ku niebu ręce, zawołał pan Nadolski:

– Dzięki ci, Boże!

Zaraz też wbił oczy w zaryglowane drzwi, czekając wezwania^[110]. Zamarł, na równi bojąc się tego, co ujrzy, jak tego pragnąc.

Zazgrzytał zamek, zaskrzypiały zawiasy. Baba w okrwawionym fartuchu stanęła w milczeniu, wzrokiem szukając ojca. Kiedy skrzyżowało się jej spojrzenie z Żegotą, słowa nie wyrzekła, tylko głową ku niemu skinęła. A przez serce pana Nadolskiego przeszedł straszliwy, mroźny dreszcz.

Zerwał się natychmiast na nogi i podbiegł. Nie zważając na nic, jednym ruchem odsunął położną, aby czym prędzej zobaczyć żonę i dziecko. Załomotały jego baczmagi^[111] po drewnianej podłodze. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi izby. To, co ujrział, sprawiło, iż zachwiał się na nogach. Byłby upadł, gdyby nie schwycił się rozcapierzonymi palcami futryny.

Leżała w łóżu blada, ledwie przytomna pani Agnieszka, a krew była wkoło. Na pościeli, podłodze, w misie pełnej wody, na porzuconych przy posłaniu szmatach. Unosił się jej ciężki zapach pomieszany z duszną, słodką wonią kobiecego potu i czegoś jeszcze.

Jedna z bab trzymała zawinięte w becik dziecko, które cicho siedząc, rozglądało się wokół, dziwując światu, na który przyszło. Druga naprędce rozkładała po izbie nożyce do strzyży owiec i grube szydła^[112].

Chciał przypaść Żegota do żony, schwycić ją za ręce, ucałować. Przelać w nią swą siłę, dotknąć choćby. Napotkał jednak jej zmęczony wzrok, który następnie skierowała na dziecko. Opanował się, wiedząc, co jest jego obowiązkiem i co mu Agnieszka nakazuje. Krokiem sztywnym, napiętym, podszedł ku akuszerce. Ta, podając mu niemowlę, krótko oznajmiła:

– Syna macie, wielmożny panie.

Wziął w dłonie maleńkie zawiniątko i wpatrzył się w siną i bladą wciąż twarzyczkę. Łzy ciurkiem pociekły mu z oczu. Nie krył ich. Pochylił głowę

i pocałował w czoło chłopczyka, który już stał się całym jego życiem. A unosząc głowę, wyszeptał:

– Mój syn... Mój syn...

Stanął na chwilę czas, odciskając tę scenę w umyśle Żegoty na zawsze. Wypalił ją w jego sercu, wlewając w nie miłość, jakiej do żadnej innej porównać nie można.

Krótką była to jednak chwila. Nie pozwoliła położna na więcej. Odbierając prawie że siłą dziecko, oznajmiła rzeczowo:

– Źle z panią. Nie wiadomo, jak będzie. Dziecko źle było ułożone.

– Jezu Chryste... – wyrwało się z ust szlachcica.

– Księża trza wołać.

Przełknąwszy ślinę przez gardło suche jak wiór, Żegota skinął głową. Nie poruszył się jednak ku drzwiom. Zamiast tego, powoli, jakby bojąc się, iż zbytym pośpiechem co złego uczyni, podszedł do łoża i uklęknął przy nim. Jak najdelikatniej ujął dłoń pani Agnieszki w swą twardą rękę. Uczuł chłód, który go przeraził.

Podniósłszy wzrok spojrzał wprost w bladą i umęczoną twarz żony. Ta, jakby na przekór wszystkiemu, uśmiechnęła się leciutko. Przez jej spękane wargi wyleciał ulotny, świszczący szept:

– Mamy syna...

Nadolski gwałtownie skinął kilkakroć głową. Głaszcząc dłoń Agnieszki, powtarzał cicho:

– Najmilejsza ty moja... najmilejsza...

Kobieta ścisnęła lekko jego rękę, próbując odwzajemnić pieśczętę. Z wysiłkiem odwróciła ku niemu swą głowę. Popatrzyła tak, że wnet zrozumiał, iż chce coś powiedzieć. Natychmiast zbliżył ucho ku niej, aby jak najmniej musiała się wysilić. Poczł muśnięcie jej płytkiego oddechu, a potem usłyszał:

– Widziałam ją... Pomogła mi... Była tu...

– Kto? Na Boga, Agnieszka? Kto? – Oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

Nic nie pojmował. Przerażony pomyślał, iż jego ukochana o śmierci mówi. Kobieta jednak uniosła kąciki ust, uśmiechając się. Patrząc w sufit, szeptała:

– Dziewczynka... Cała na białą była... Pomogła mi...

Ponownie ścisnęła dłoń męża.

– Nie bój się... Będę żyć... Tak powiedziała...

– Jezu Chryste! Agusia! Kto powiedział?! – Głos Żegocie łamał się i go dławił.

Popatrzyła mu głęboko w oczy żona, palec nad posłanie ledwie uniosła, jakby wskazując na coś, by ledwie słyszalnym tchnieniem odpowiedzieć:

– Anusia Rudyłowska...

PRZEKLEŃSTWO

Nie masz większej radości nad tę, którą daje dziecko nowo narodzone i wracająca do sił żona, cudem jakby wyrwana z objęć śmierci. Niczym zdawały się Żegocie Nadolskiemu troski dnia codziennego wobec owej łaski, którą obdarzył go los. Nawet sprawa z chorącym sanockim stała się nieważna przy tej radości, co wypełniła dwór cały gwarem przychodzącym wraz z małym dzieckiem.

Kręciły się po domu zatrudnione do pomocy kobiety. Prychały bez żadnych względów na wyciszonych, spotulniałych nagle mężczyzn, którzy zajęcia sobie znaleźć nie mogli. Świeciło wiosenne słońce, zaglądając przez okna, odżywała ziemia zbudzona wiosną. Pulsowało wszędzie życie, dodając energii i wiary, że przyszłość lepsza będzie od tego, co minęło. Odżył siwowłosy gospodarz, patrząc na przychodzącą do zdrowia małżonkę, która już wstawać poczęła mimo protestów jego i pana Wawrzyńca. Dzieciak zaś, leżąc w kołysce, zdrów rósł, karmiony przez mamkę, czekając, aż matka ostatecznie sił nabierze.

Popijał czasem ze starym Sulatyckim pan Nadolski piwo, radując się bożym błogosławieństwem, nie nadużywając jednak zbytnio trunku. Gadał przy tym z rękodajnym o planach związanych z Wygnanką, którą jakby rajem na ziemi pragnął uczynić. Już kazał chłopom drewno szykować na nowe zabudowania. Ważył, w którą stronę dwór poszerzyć, albo też łąził po polach, w szczególności nad potokiem, wypatrując najlepszego miejsca na stawy rybne. Palilo mu się do roboty i działania, aby synowi jak najlepiej świat przygotować, a w przyszłości hojnie go w dziedzictwo wyposażyć.

Kolejne dni mijały radośnie. Tak było, jak zawsze chciał Żegota, a czego wcześniej nie umiał dać swej poprzedniej rodzinie. Ani mu w głowie były jakieś eskapady albo wojenne przygody. Do Sanoka nawet trudno było go teraz wygnać, w czym nagminnie się Semkiem albo Fiodorem wyręczał.

Zamknął całe swoje szczęście w Wygnance i niczego bardziej nie pragnął niż tego, by reszta świata zapomniała o nim. Złudna była to jednak nadzieja.

Do rozmowy o tym, co rzekła mu Agnieszka, leżąc na pościeli tuż po porodzie, nie wracał. Tłumaczył sobie, iż majaki to były, o których nie warto wspominać. Wyrzucał nawet w myślach Stillerowi z Murrayem, iż swą opowieścią przywołali jakieś dziwaczne rojenia, którym uległa jego półprzytomna żona. Nawet to, iż sam kiedyś doświadczył cudów, kiedy objawiła mu się nieżyjąca wiedźma ze Spalonego Horbeka, przekonać go nie zdołało, iż widziadło mogło być prawdą. Bo skądże dusza nieżyjącej, nieznannej dziewczynki przyjść miała do Wygnanki i ukazać się pani Nadolskiej? Z jakiej przyczyny? Doszedł w końcu do wniosku, że wszystko to musiało być jedynie płataniną rozbieganych myśli, o której Agnieszka zapomni. Tak zresztą się zdawało, gdyż i ona nic więcej o tym nie mówiła. Jedynie przez Semka pieniądze na mszę za rodzinę Strzetelskich dając, kazała mu, aby od tej pory i w intencji Anny Rudyłowskiej z Bałwańskiego prosił o modlitwy w sanockim kościele. Zwykłą to zdało się Żegocie rzeczą wobec kobiecej słabości, która na ludzkie nieszczęścia bardziej sercem niż rozumem patrzy. Nie protestował tedy, a nawet i sam dwa złote dołożył na wszelki wypadek. Pamiętał bowiem o tym, jak jego dawną rodzinę potraktowano.

Rozbuchał się już marzec, sycąc oczy nabrzmiewającą zielenią, kiedy zasiadł późnym popołudniem Nadolski z panem Wawrzyńcem na ławeczce przed domem i w milczeniu oddał się ciepłu chylącego się ku zachodowi słońca. Malec spał spokojnie właśnie nakarmiony, Agnieszka krzątała się, szykując mu kolejne ubranka, a z kuchni dochodził gwar kilku bab przygotowujących wieczerzę. Przyjemny był ów odgłos zwyczajnej codzienności, który ten docenić potrafi, kogo życie wystarczająco już dotknęło. Zamknąwszy oczy, uśmiechał się Żegota, słysząc owe dźwięki, i marzył zawieszony pomiędzy snem lekkim a jawą. Prawie że w drzemkę zapadł. Dlatego aż dreszcz go przeszedł nerwowo, kiedy z owej spokojności wyrwał go nagły okrzyk Sulatyckiego:

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Patrz waszmość! Przecież to panowie Murray ze Stillerm od Odrzechowej jadą!

Zamrugął gospodarz oczami, niepewny wciąż tego, czy jeszcze śni, czy też już wrócił do rzeczywistości. Wstał z siedziska, rękę przykładając do czoła. Na koniec zaś uśmiechnął się, kiwając głową.

– Jako żywo! Jadą!

Zawołał prędko Semka, aby dał znać babom w kuchni, coby więcej jadła szykowały. Sam zaś ruszył, jak stał ubrany, ku bramie. Podążył za nim z sapaniem Sulatycki, już myśląc o smakowitych winach, którymi raczyć się będzie wieczorem.

Z daleka zamachali mu oficerowie, ponaglając konie. Radzi widzieli przyjaciela w zdrowiu, a jego domostwo szczęśliwe, albowiem posłał im wcześniej pan Wawrzyniec pismo, uwiadamiając o narodzinach dziedzica Wygnanki.

Dojechawszy, zeskoczyli z wierzchowców i serdecznie uścisnęli gospodarza, który kłaniając się nisko, prosił zacnych gości w swe progi. Spodziewał się, zapowiedzianej przecież, wizyty, ale nie umniejszało to radości, którą odczuwał. A przy tym rozpierała go duma, iż będzie mógł syna okazać, który największym był jego szczęściem, prócz żony oczywiście.

Potem przyszła kolej powitania na starego szlachcica, który z wylewnością i prawie że łzami wzruszenia objął gości. Lubił pan Sulatycki biesiadować i gadać, a okazji u samotnika Żegoty ku temu miał mało. I tak jednak wolał ten dom od dawnych splendorów Rokietnicy.

Gwarząc wesoło, rzucili wodze niespiesznie nadchodzącemu Bejdzie, sami zaś udali się wprost ku dworowi, gdzie na ganku stała już pani Agnieszka, promieniejąc urodą i radością.

Uklonili się dwornie ubrani z cudzoziemska oficerowie, zamiatając kapeluszami po ziemi. Skomplementowali jak trzeba panią domu, sprawiając, iż aż pokraśniała z zadowolenia. Potem zaś zachęceni przez wszystkich weszli do domostwa, aby zobaczyć śpiące w kołysce niemowlę.

Tak ostrożnie przy tym stąpali po izbie, że udało się im nie zakłócić snu niewinnego, za co też wdzięczna im była matka.

Na koniec wreszcie zaprosił wszystkich pan Żegota do jadalnej komnaty, gdzie zasiąść mogli i odpocząć. Nim jednak to się stało, przybierając na twarzach wyraz oficjalny i poważny, stanęli obok siebie oficerowie i ponownie skłonili się nisko gospodarzom. Chrząknąwszy, Werner Stiller skinął Murrayowi, a ten zdjął z pleców owinięty w skórę długi przedmiot. Wyciągając go przed siebie, rozplątał pakunek, ukazując przepiękną, drogo zdobioną kamieniami karabelę^[113].

– Mości Żegota! – zaczął Saksończyk. – Jako że z pustymi rękoma w czas tak dla ciebie szczęśliwy przybyć by się nie godziło, a także na dobrą wróżbę przyszłej chwały twojego dziedzica, postanowiliśmy z mym wiernym druhem Williamem złożyć na twe ręce ów skromny podarunek, który niech służy wiernie twemu synowi. Zaczyna to broń, warta, by w dobrej sprawie jej używać. Co do tego, że tak będzie, pewność mamy, znając twój i małżonki twej prawe charaktery. Bez wstydu przy boku nosić ją może polski szlachcic, choćby i najznamienitszy. Przekazujemy ci tedy ową szablę, byś wręczył ją kiedyś swemu synowi ku pamięci naszej serdecznej przyjaźni i wspomnieniu o nas, kiedy już nas nie stanie.

Skłonił się wzruszony Nadolski, podziwiając drogocenny prezent. Zaiste, znając się na broni, przyznać musiał, iż tak piękną szablę rzadko, a i to tylko na magnackich dworach, spotkać było można. Na tym jednak, jak się okazało, nie koniec był jeszcze. Oddawszy w jego ręce karabelę, tym razem przemówił Szkot:

– Także Jego Eminencja arcybiskup Próchnicki śle przez nas swoje błogosławieństwo dla syna waszmości i małżonki waszej. Nakazał nam oddać w wasze ręce ten podarunek... – tym razem to Niemiec wyjął zza pazuchy zawiniątko – ...aby dziedzic waszmości nosił go dumnie na piersi, jak na chrześcijańskiego rycerza przystało.

W dłoniach Stillera błysnęło złotem i srebrem przepiękny ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej, na którym poniżej świętego obrazu wygrawerowany był herb Bojno^[114], przynależny rodowi Nadolskich.

Tym razem to pani Agnieszka przyjęła prezent, dygnawszy dwornie. Aż oniemiała z zachwytu zarówno nad urodą ryngrafu, jak i faktem, iż sam arcybiskup okazał swe względy skromnemu szlachcicowi, ledwie na przysiółku siedzącemu. Przez to słowa podziękui uwięzły jej w gardle. Szczęściem, wyręczył ją mąż w przemowie:

– Nisko się kłaniamy, wdzięczni za pamięć waszą i Jego Eminencji arcybiskupa Próchnickiego. Dary zaiste tak wspaniałe przynieśliście w nasze skromne progi, iż słów brakuje, aby ich zacność opisać. Nie to jednak największym szczęściem jest dla nas, lecz sama obecność waszmościów, gdyż wreszcie będziemy się mogli naszą radością podzielić z wami jako najserdeczniejszymi naszymi druhami i przyjaciółmi dozgonnymi, którym swym życiem i szablą zawsze służyć będę.

Uklonił się pan Żegota nisko, a uśmiech promienny nie schodził mu z twarzy. Tak szczery, iż nawet nie widać było jego przypadłości wynikłej z dawnej apopleksji.

Uściskali się znów wzajemnie oficerowie ze szlachcicami, złożyli cudzoziemcy dworne pocałunki na dłoni gospodyni, aż wreszcie, odetchnąwszy po ceremoniale, zasiąść mogli przy tym samym stole, gdzie w styczniu tak smutną prowadzili rozmowę. Tym razem z min oficerów poznać można było, że lepiej chyba rzeczy się mają, przynajmniej jeśli chodzi o Żegotę. Od razu zresztą dał temu wyraz Stiller, oznajmiając:

– Dobre wieści waćpanu i pani... – skłonił głowę ku Agnieszce – ...przynoszę. Tak dobre, iż z ich oznajmieniem czekać nie zamierzam, by czym prędzej was uradować i niepokój zgasić.

Wyjąwszy jakieś pismo złożone na czworo, wyjaśnił:

– List królewski wam przywożę, o jaki się biskup Próchnicki wystarał, w którym Jego Wysokość nakazuje wstrzymać wszelkie egzekucje wobec was, a sprawę poleca panu wojewodzie Stanisławowi Lubomirskiemu^[115] pod pieczęcią mieć. Nadto pan wojewoda zobowiązał starostę sanockiego pana Franciszka Bernarda Mniszcha^[116] do pilnowania porządku i strzeżenia, aby polecenie królewskie należycie wykonane zostało. Z tego, co wiem, już pan Mniszech z chorążym Stano się rozmówił, rozkazując mu od jakichkolwiek

gwałtów się wstrzymać pod groźbą najsurowszej kary. Zgrzytał ponoć zębami imć chorąży, ale poprzysiągł, iż przeciw woli króla działać nie zamierza, choć zarzekał się, iż sam do niego wystąpi, jakoby w prawie będąc. Wiesz zaś waćpan... – zaśmiał się Niemiec – ...jak długo w tym trybie sprawa może się ciągnąć. Przy tym mina zrzęda panu Stano na wieść, jak możnych masz waszmość protektorów.

Podał list Żegocie, a ten uwierzyć nie mogąc, powtórzył kilkakrotnie:

– Nie może być!

Przebiegł wzrokiem po równych literach stworzonego w kancelarii królewskiej pisma, a następnie podał je panu Wawrzyńcowi. Ten, niedowidząc już, odsunął kartkę na długość ramienia, zmrużył oczy, przeczytał, aż wreszcie uśmiechnął się szeroko.

– Tego nam było trzeba, mości Żegota! Teraz trzeba list królewski jak najprędzej w sądzie oblatować^[117] i żadnej nie będzie miał pan chorąży siły, ażeby na swoim postawić!

– Chwała Bogu! – Z ulgą odetchnęła pani Agnieszka.

Mając wciąż jednak wątpliwości, Nadolski pokręcił głową.

– A co, jeśli i tak pan Jerzy Stano gwałt postanowi uczynić?

– Nie waży się – stwierdził Murray. – Król ledwie co obwołany, więc każdy bardziej o przypodobaniu mu się myśli, niż aby się narazić. Pamiętaj waszmość, że wiele jest królewszczyzn do nadania, z czego Jego Wysokość z pewnością skorzysta, budując swą władzę. Ostrzy sobie pewnie zęby pan Stano na jakieś starostwo albo dzierżawę, więc cicho będzie.

– Prawda. – Pan Wawrzyniec skinął głową. – Nowy król to nadzieja na wzbogacenie, ale też karać się nie zawaha dla potwierdzenia swej władzy. Jak z wojewodą i starostą rzecz ustalona, nie przemoże imć chorąży, choćby srożył się i pieklił.

Skłonił się Nadolski, wzruszony przysługą.

– Nie wiem, jak dziękować waszmościom za pomoc i łaskę, której doświadczam dzięki waszym staraniom. Lżej na sercu, mając takich jak wy przyjaciół, którzy w najtrudniejszej potrzebie zaradzić potrafią.

Zerknąwszy wymownie na Sulatyckiego, dodał:

– Każ mości panie najlepsze, co w piwniczce jest, dawać, bo okazji lepszej nigdy nie będzie, aby owe węgierskie beczułki odszpuntować.

– Nie może być inaczej! – zakrzyknął rękodajny, natychmiast ruszając wypełnić polecenie.

Szybko zapełnił się stół jadłem i napitkami, radując oczy, a rychło też i żołądki wygłodniałych gości. Wesoło się zrobiło, co jeszcze wzmogło kilka toastów naprędce wzniesionych, głównie za zdrowie syna gospodarzy. Przy tej okazji ogłosili państwo Nadolscy, iż chłopcu imię Maciej zostanie nadane, po ojcu Żegoty, który w tureckiej niewoli życie stracił. Uroczyste chrzciny rychło miały się odbyć, bo już na koniec marca. Przy tej okazji poprosił Żegota gości, aby zostali u niego do tego czasu najmniej.

Zasępił się nagle Stiller i spojrzał wymownie na towarzysza. Ten, głową pokręciwszy, nie odezwał się, lecz znać było, iż jest jakiś kłopot, o którym mówić nie chcą. Tym więcej nalegać począł gospodarz, aby na swoim postawić. Odezwał się tedy Saksończyk, nieco się usprawiedliwiając:

– Radzi byśmy, mości Żegota, jak najdłużej zostać, lecz obowiązki i rozkazy nas wzywają. Pilne to rzeczy, które czekać nie mogą. Wybacz nam tedy, bo nie z woli, ale z gwałtownej potrzeby jechać zaraz dalej musimy.

– Nie pozwolę! – zaprotestował Sulatycki, polewając tokaju. – Nie puścimy waszmościów, choćbyśmy siłą mieli powstrzymać! Za takie dobrodziejstwo, które wyświadczyliście nam, niewdzięcznikiem byłby ten, który by was w gościnie nie zatrzymał!

– Dobrze prawi pan Wawrzyniec! – podchwycił gospodarz, a za nim i jego żona prosić poczęła.

Zrzedły miny oficerów, którzy sposepniawszy, milczeniem tylko odpowiedzieli. Uniósł więc rękę Nadolski, powstrzymując przekomarzanie, i wpatrzył się w gości uważnie. A potem poważnym głosem zapytał:

– W czym problem, mości panowie?

– Głowy waszym miłościom nie chcemy zawracać sprawami, które nas prowadzą. Inne rzeczy teraz was zaprzatają, po cóż tedy naszymi zmartwieniami was obarczać? – pokrętnie spróbował wywinąć się od odpowiedzi Murray.

Nieustępliwy był jednak Żegota, ponownie nalegając na wyjaśnienie. Pani Agnieszka dołączyła się do niego, stwierdziwszy, iż przecież nie może być nic tak pilnego, co dwie albo trzy niedziele nie mogłoby poczekać. Westchnąwszy ciężko, Stiller pokręcił głową.

– Z serca byśmy waszym naleganiom ulegli, lecz nie może to być. Niedokończona sprawa w Zatwarnicy nas wzywa, a każdy dzień zwłoki może być na wagę czyjegoś życia.

Zamarł Sulatycki z dzbanem w dłoni, zawisła w połowie drogi ręka pani Nadolskiej sięgającej do półmiska. Żegota odchylił się w krzesło, patrząc z uwagą. Zmrużywszy oczy, poprosił:

– Mówcie, waćpanowie, bo rzecz znamy z waszej opowieści. Cóż się dzieje?

Niemiec pochylił się nad stołem, ważąc, co wypada mu uczynić. Unosząc po chwili wzrok, upewnił się:

– Na pewno w tym radosnym dniu dalszego ciągu smutnej historii chcecie słuchać?

– Nasza radość waszą jest, mości panowie. Wasz zaś smutek i zgryzota naszą – odrzekła pani Nadolska. – Nie pytaj więc waszmość, tylko mów, bo może coś zaradzić się uda.

– Racja! – przytaknął Sulatycki, patrząc wyczekująco na gości.

Wypiwszy wina, Saksończyk otarł usta, spoglądając na Murraya. Ten kiwnął głową przyzwalająco. Zaczął więc oficer swą opowieść:

– W styczniu, wprost od waćpana jadąc... – spojrzał na Nadolskiego – ...dotarliśmy do Lwowa, gdzie też złożyliśmy arcybiskupowi relację z zajść w Zatwarnicy. Napisał w tej sprawie Jego Eminencja Próchnicki do metropolity kijowskiego Piotra Mohyły, prosząc, aby raczył na rzecz spojrzeć i wzburzenie wśród Rusinów uspokoić. Nas arcybiskup zgañił

srodze, iż zamiast pomóc, tylko rozjątrzyliśmy sytuację, czemu zresztą trudno przeczyć. Nadto się nie dowiedzieliśmy, kto za mordem na owych baczach stał i jaki cel mu w tym przyświecał. Tyle tylko nas pochwalił, iż słusznie postąpiliśmy, że wsi owej wyjeżdżając, albowiem po tym, co zaszło, na nic już by się nasza obecność przydała. Zdawało się, iż cała rzecz zamknięta została, tym bardziej iż przyszła od metropolity Mohyły odpowiedź, że nakazał popom powściągnąć wystąpienia przeciw rzymskim katolikom, w szczególności zaś zabronił głosić, jakoby z diabłem konszachty mieli. W tym jednak kłopot, iż wielu duchownych prawosławnych nadal wierność Izajaszowi dochowuje, a co za tym idzie, mało nowego biskupa słucha. Wśród nich zaś był i ów Iwan, co w zatwarnickiej cerkwi siedział.

Machnął zrezygnowany ręką.

– W każdym razie wydało nam się, że o rzeczy całej, choć strasznej, będzie można zapomnieć. Wyznaczył nam zresztą inne zadania Jego Eminencja, które całkiem nas pochłoneły. Wyjechaliśmy ze Lwowa w celu ich realizacji, nie myśląc, iż wcześniej niż latem do miasta wrócimy. Zakładaliśmy przy tym, że zgodnie z zapowiedzią do waszmości, panie Nadolski, na dłużej wstąpić nam się uda. Szybko okazało się jednak, jak nietrafne były to przypuszczenia. Ledwie trzy tygodnie temu otrzymaliśmy ze Lwowa pismo wzywające nas do natychmiastowego powrotu. Krótkie było, ale tak napisane, że od razu wsiedliśmy na konie i pognaliśmy z powrotem. Przybyliśmy do pałacu biskupiego, w którym czekał już na nas niecierpliwie Jego Eminencja Próchnicki. Przyjąwszy nas na rozmowę, dwa listy okazał.

Wskazawszy głową na Murraya, powiedział:

– O pierwszym niech wam William opowie.

Napiwszy się wina, Szkot zaczął:

– Było to pismo od metropolity kijowskiego Piotra Mohyły, w którym biskup prawosławny oznajmiał, iż zamiast spokoju w Zatwarnicy i wsiach okolicznych jeszcze większy się zamęt zrobił, a lud jest wzburzony, lecz i przerażony zaistniałymi wypadkami. Po tej bowiem sprawie z nieszczęsną

Anusią Rudyłowską miesiąc nawet nie minął, a zaczęły się dziać rzeczy straszne. Najsampierw chłopci z Zatwarnicy i Sikawca ginąć poczęli. Pierwszy wyszedł po prostu z chałupy wieczorem, aby już nigdy do domu nie wrócić. Ślad nawet po nim nie został. Cóż, takie rzeczy, szczególnie w górach, się zdarzają. Rozpaczały baby, pop nabożeństwo w intencji zaginionego odprawił, i tyle. Nie minęło jednak kilka dni, jak kolejnego wieśniaka licha jakieś porwało. Popołudniem późnym z Hulskiego wracał drogą nad Sanem. Do domu nigdy nie dotarł, a trupa nie znaleziono. Pomyśleli chłopci, że wilki, jak to na koniec zimy bywa, wygłodniałe chodzą, to i ludzi atakują. Zrobili więc miejscowi nagonkę, w której szlachta okoliczna z rusznicami stanęła. Nabili ze dwadzieścia sztuk, w tym kilka ogromnych basiorów. Zdało się, iż w ten sposób problem udało się zażegnać. W niczym to jednak nie pomogło. Trzy dni po owych łowach, a sobota to była, poszedł do karczmy w Zatwarnicy karbowy z Sikawca. Popiwszy sobie, wieczorem do domu wracał. Ostatnia to była jego zabawa. Rano miejscowi trupa znaleźli, gdy szli na nabożeństwo do cerkwi. To, co ujrzeli, sprawiło, iż struchleli ze strachu. Ciało zawieszono było na drzewie, jak pisał metropolita Mohyła, najmniej dwadzieścia stóp nad ziemią. Od gardła aż po przyrodzenie rozprute, z kiszki rozwleczonymi po gałęziach niczym girlandy. Zamiast twarzy jedynie jama została wygryziona ogromnymi zębiskami.

– Jezus Maria! – Pani Agnieszka się przeżegnała.

– Tak, mości pani! – Szkot pokiwał głową. – Ale to początek dopiero, a nie koniec. Nawet rodzina nie zdążyła pochować karbowego, kiedy nocą krzyk w Sikawcu straszliwy się rozległ. Ludzie zaryglowali chałupy i się pokryli, tak był straszny. Rankiem zaś niepewnie wyjrżeli, sprawdzając, co się stało. Była zaś w Sikawcu, na skraju przysiółka, jedna chata, gdzie mieszkał ojciec, wdowiec z dwoma synami, którzy jako przybocznicy Zatwarnickim służyli. Tyle powiem, że jeno porozrzucone po izbie kawałki mięsa z nich zostały. Do trumny jednej szuflą trzeba było ich zbierać, bo nijak nie można było poznać, do kogo co należeć mogło. Na ścianach

i drzwiach zostały ślady pazurów, których nawet niedźwiedź największy nie mógłby posiadać.

– Wszelki duch...! – Sulatycki pokręcił głową i jednym haustem wypił wszystko, co miał w pucharze. Murray zaś ciągnął:

– Groza padła na wszystkich. Z domu się bali wyjść wieśniacy, każdy bowiem uwierzył, iż wrócił upiór jeszcze mocniejszy, niż był uprzednio. Na nic zdały się zabiegi, które Zatwarniccy wykonali, ani też religijne zaklęcia popa. Ten zresztą kolejną został ofiarą. Nadzianego na krzyż na dachu cerkwi pewnego ranka go znaleziono. Zdało się, że naigrawa się nieznana bestia z wiary prawosławnej, za nic ją mając, skoro takowy znak zostawiła. Kiedy popa zdjęto z wielką trudnością, okazało się, iż mękę okrutną przeszedł, nim umarł. Dość powiedzieć, iż kości dokładnie, po jednej, miał połamane, a najbardziej bolesne dla męża miejsce... – spojrzawszy na Nadolską, skłonił się – ...wybacz dosadność, waćpani, na miazgę zgniecione.

Aż skulili się w sobie Nadolski z Sulatyckim, pomyślawszy o owej boleści. Nie było im jednak jakoś żal popa Iwana.

Murray, zwilżywszy usta, prawił dalej:

– Napisał na koniec metropolita rzecz, która najstraszniejsza się zdała. Otóż po śmierci popa chcieli Zatwarniccy wieści do Przemyśla posłać, z czym pojechać miał średni z braci, Melchior, w towarzystwie czterech pachółków. Dzień drogi zdołali przebyć. Chłopi z Teleśnicy ich znaleźli. Pachółkom karki ktoś poskręcał, nad szlachcicem zaś dłużej się pastwił. Serce mu wyrwał, nadział na gałąź, a jego samego spętał cierniami i obdartego z odzienia za nogi na drzewie obwiesił. Głowę oderwał, układając na ziemi pod trupem. Na piersiach zaś krzyż wyciął, tak jak stało się to owemu baczy zabitemu jesienią.

– Czekaj, waszmość! – przerwał Nadolski, unosząc rękę. – Czy to ów z braci, który Anusi Rudyłowskiej nogi i ręce powiązał, kiedy jej Kacper Zatwarnicki głowę odciął, a Baltazar serce kołkiem przebił?

– Tak jest. – Szkot skinął głową. – Tak samo ktoś Melchiora sprawił, jak oni zwłokom dziewczynki uczynili.

– Może to Hieronim Rudyłowski pomsty szuka? – Żegota rozłożył ręce.

Oficerowie popatrzyli po sobie porozumiewawczo. Odetchnąwszy głęboko, Stiller odpowiedział:

– W tym sęk, mości panie Nadolski, że nie mógł to być Hieronim Rudyłowski z Bałwańskiego. O tym właśnie, między innymi, w drugim liście stało, który ponownie do arcybiskupa ksiądz Nijowski napisał.

– Mówże więc waćpan! – ponaglił Sulatycki.

– Jezuita oznajmił na wstępie swego pisma, iż ledwie do zdrowia wróciwszy, dzierżawca Bałwańskiego obwiesił się na krzyżu stojącym na owym kurhanie, gdzie córkę pochował...

Nadolska przeżegnała się trwożliwie. Nie mogąc uwierzyć, rękodajny pokręcił głową.

– Przebóg! Na wieczne potępienie się skazał!

– Tak jest – potwierdził Saksończyk. – Jak ujął to Nijowski, wbrew boskim prawom i przykazaniom postąpiwszy, zbawiony nigdy już nie będzie. Przynajmniej tak Kościół święty głosi. Bóg go wedle swej woli osądzi.

– Oszałał widać ze szczętem – skwitowała smutno pani Agnieszka – skoro na taki czyn się poważył, gubiąc swą duszę.

– Może i oszałał... – Niemiec rozłożył ręce. – Nie wiem. Ważne jednak jest co innego. Otóż, kiedy go zdjęto z powroza, to chłopci odmówili zabrania go na cmentarz, a nawet tego, by przez wieś którąkolwiek go przewieźć^[118]. Ów Matjas sam go odciął, na konia wziął i do dworu zabrał, aby do pochówku nieboszczyka przygotować i trumnę uszykować. Nikt jednak żadnej pomocy udzielić mu nie chciał, a ksiądz najbliższy ogłosił, iż zabrania w poświęconej ziemi pogrzebać grzesznika. Zaprzągnął tedy ponoć stary sługa konia do wozu i powiózł pana na ten sam wzgórek, gdzie jego dziecko już leżało. Własnymi rękami dół wykopał i pogrzebał pana Hieronima Rudyłowskiego. Nie na długo jednak, wszystko to bowiem działo się, zanim jeszcze chłopci ginąć zaczęli. Nikt strzygi się nie bał, więc nocą ludzie z Zatwarnicy, Sikawca i Bałwańskiego odkopali samobójcę,

z trumny wywlekli i zabrali na górę Działkowcem zwaną, gdzie wcześniej stos uszykowali. Tam, w obecności popa Iwana, spalili trupa, jak lokalny obyczaj nakazuje, aby ślad żaden po nim nie został i szkodzić z zaświatów nie wracał. Prochy zaś zebrali i w przerebel na Sanie wrzucili.

Pochylił się nad stołem Żegota, rękoma objąwszy głowę. Głosem głuchym, ściszym rzekł ni to do siebie, ni to do innych:

– Straszna to rzecz, kiedy rodzic dziecko swoje musi pogrzebać. Tym straszniejsza, gdy ktoś ukochane ciało zbezczęści. Widzieć to na własne oczy musi być gorsze od cierpień potępionych. Wiem o tym dobrze, co wówczas w głowie ojca zrodzić się może. – Uniósł wzrok i popatrzył twardo. – Dlatego mniemam, że zsyłając taką boleść na ojca, wybaczyć musi Bóg to, co uczynił pan Rudyłowski. Niczym bowiem jest piekło duszy człowieka, który zaznał już jego mąk na ziemi.

Skłoniwszy się, Niemiec rzekł:

– Może na bluźnierstwo to zakrawać, lecz zgadzam się w waszmością. Niezbadane są wyroki boskie, a łaska Pańska niezmierna. Myślę, że ojciec z córką razem już są w zaświatach, wreszcie spokojni i szczęśliwi.

Cisza na długą chwilę nastąpiła po tych słowach. Każdy w sercu ważył, czy w istocie tak być może, jak powiedział Saksończyk. I trudno byłoby się zgodzić, aby inaczej być mogło, taką zdało się to niesprawiedliwością, aby mąk w piekle zaznawał teraz zgnębiony przez los ojciec Anusi.

Napiwszy się wina, Stiller wrócił do opowieści.

– To jedno napisał ksiądz Nijowski. Poza tym przedstawił własną wersję owych zdarzeń, o których metropolita wspominał. Nie wiem, jakim sposobem owe wieści uzyskał, lecz z pewnością dają one do myślenia. Tak więc owi pierwsi dwaj zaginieni chłopcy byli tymi, którzy grób Anusi Rudyłowskiej odkopywali. Karbowy z Sikawca był wśród pachółków, którzy przybyli z braćmi i na Rudyłowskiego napadli. Ojciec z dwoma synami to śludzy najbliżsi Zatwarnickich, a wśród nich był ten, który głowę dziecka na szabli na kurhan zaniósł. Pop, wiadomo, że wieśniaków napuścił. Ci wreszcie, co z Melchiorem pojechali, także w owym potwornym zajściu uczestniczyli, na powrót okaleczone ciało dziewczynki

do grobu wrzucili. Sam zaś szlachcic własnymi rękami spętał dziecko cierniami. Zdaje się więc, że każdy, kto wziął udział w owym zabobonnym obrzędzie, ginie. Sporo jednak wciąż żywych spośród tych ludzi pozostało, a wśród nich najważniejsi, Kacper i Baltazar Zatwarniccy z Sikawca. Pytanie, kto odpowiada za owe mordy i czy człowiek za tym stoi, czy też bestia piekielna. Tak bowiem wśród prawosławnych się rozniosło, iż demona to sprawa, który przez rzymskich katolików dla pomsty przywołany śmierć niesie.

– Demon? – Nadolski pokręcił głową. – A któż miałby nim być? Rudyłowską wedle swoich sposobów okaleczyli. Jej ojca na proch spalili. Ze sług został jedynie ów Matjas. Choć, jak powiadaliście, mocny, to czy dałby radę pięciu ludziom? Na cerkiew popa by wywlókł albo też karbowego na drzewie rozpostarł? Nie może być!

– Nie może – przytaknął Saksończyk. – Dlatego też ludziom najdziwniejsze rzeczy do łbów przychodzą. W każdym razie, jak napisał Nijowski, w Zatwarnicy i przysiółkach jak zbawienia na owego baczę z Łumnej czekają, który na Węgrzech gdzieś będąc, do tej pory nie przybył. Obwarowali się tedy po chałupach i ognie nocą palą jak w jakim obozie wojskowym. Najczujniejsi są w przysiółku Sikawiec, gdzie Zatwarniccy istną twierdzą z domostwa uczynili. Chłopom hakownice i półhaki rozdali, strażę powołali, obcego nikogo nie puszczają, a także sami nigdzie nie łążą. Ale powiedzcie sami, ile to trwać może. Wszak wiosna nastąpiła i roboty na polach trzeba zacząć. Tymczasem strach taki panuje, że ponoć nawet w dzień boją się ludzie chodzić.

– A Cerkiew co na to? – zapytał Sulatycki.

– Popa w miejsce Iwana z Przemyśla posłali, ale też wiernych mało ma, bo nawet w niedziele na nabożeństwo boją się chodzić. Pisze ksiądz Nijowski, że gdy idzie o rzymskich katolików, jeszcze bardziej od poprzednika zajadły. Przy tym nocami rzekomo z krzyżem i gromnicą pomiędzy chałupami chodzi, w gong wali, bestię wyzywając na bój śmiertelny. Zaiste straszne to na wystraszonych wieśniakach musi czynić wrażenie. Jakoś go do tej pory nic nie ubiło, a przynajmniej pisał tak jezuita

jakiś czas temu. Stąd głośnić zaczęli po cerkwiach okolicznych, iż wiernych prawosławnych zło nie tyka, a na Zatwarnicę z przysiółkami plaga przysła, gdyż zezwolili zaprzańcowi pomiędzy sobą mieszkać, który też jak Judasz zdradliwy się obwiesił. Pokutować mają mieszkańcy, pokornie znosząc gniew Boży, póki grzechu swego nie odkupią.

– Brednie to jakieś! – zdenerwował się Sulatycki.

– Brednie – zgodził się Saksończyk. Zaraz jednak dodał: – Ale niebezpieczne to brednie. Zważ waszmość, że z tej przyczyny ubili już chłopci ruscy unicką rodzinę w Nasicznem, aby na swoje głowy takiego jak w Zatwarnicy nieszczęścia nie ściągnąć. Napisał Nijowski, że jeśli tak dalej pójdzie, to tam, gdzie jest większość prawosławna, nielekkko będzie czy to unitom, czy to rzymskim katolikom. Szczególnie w samotnych osadach w górach.

– Nie może być! – Pan Wawrzyniec zamachał rękami. – Jakże to?

– Zwyczajnie – odparł Stiller. – A jak waszmość myślisz? Dlaczego ja teraz w Polsce siedzę, a nie w Saksonii? Wiesz, co się teraz w niemieckich krajach dzieje, prawda?^[119]

Rękodajny skinął głową.

– No, to czekać tylko, aby się tutaj ludzie za łby wzięli, chociaż wszyscy przecież chrześcijanie. Tego się boi arcybiskup Próchnicki, bo łatwo taki ogień tu i dalej na wschodzie Rzeczypospolitej rozpalić. Prawosławni coraz chętniej ku Moskwie spoglądają, Kozacy źli, że się ich gnębi, rejestry zmniejsza^[120], a popi radzi by wszystkie duszyczki pod swą kuratelę wziąć.

– Nie mów waszmość, bo w złą godzinę wypowiesz. – Rękodajny się przeżegnał.

– Nie moje to tylko słowa, lecz także Jego Eminencji na rzecz pogląd. A póki Piotr Mohyla twardą ręką rządów nie obejmie nad prawosławnymi, póty wrzeć będzie jak w kotle. Takiej właśnie sprawy jak w Zatwarnicy zwolennicy Izajasza potrzebują, gdzie łatwo wywodzić mogą, jaka to krzywda się Rusinom dzieje, na których nawet diabła rzymscy katolicy sprowadzili. To zresztą i jezuita Nijowski dostrzega, radząc, by jak najrychlej zagadkę rozwiązać i uciąć wszelkie spekulacje.

– I takie jest waszmościów zadanie? – zapytała pani Agnieszka.

– Poprosił ksiądz Nijowski – odpowiedział Niemiec – by posłał Jego Eminencja kogoś zaufanego dla wyjaśnienia sprawy. A jako że mnie i Williamowi najbardziej znana, nam dał arcybiskup taki rozkaz. Naszą rolą jest odkryć ostatecznie, kto za morderstwami stoi. Jak zaś owo odkrycie w polityce posłuży, o tym zdecyduje już jegomość Próchnicki, który bardziej zna się na tych rzeczach.

– I jakież są tedy waćpanów przypuszczenia? – Sulatycki, zmrużywszy oko, odchylił się na krześle.

Murray wzruszył ramionami.

– Żadnych nie mamy – mruknął. – Aleśmy przekonani, że jak zwykle człowiek jakiś za tym stoi. Choćby i bestia piekielna ludzi ubijała, ktoś przecież przywołać ją musiał. Co tu dużo będę waszmościom tłumaczył, tak samo było i z panem Poniatowskim, którego ów czarownik Vlad stworzył.

– W rzeczy samej. – Pan Wawrzyniec skrzywił się, zerkając, czy przypomnienie starej historii nie zmieszało gospodyni. Ta jednak, przyglądziwszy fałdy sukni, zapytała:

– To co zamierzacie uczynić?

– Najpierw czegoś więcej dowiedzieć się o Rudyłowskim – odpowiedział Stiller. – Dlatego nie jedziemy od razu do Zatwarnicy, ale do Beniowej, gdzie wcześniej dzierżawę trzymał i gdzie żona mu pomarła. Zwykle bowiem tak jest, że w przeszłości, czasem nawet odległej, tkwią przyczyny, które stoją za współczesnymi wypadkami.

– Może pan Herbut byłby pomocny? – zasugerował Żegota.

– Pewnie tak. – Niemiec machnął ręką, wzdychając – Ale nijak się z nim teraz porozumieć. Nie wiadomo, gdzie bywa. Podobno za granicę pojechał, jak twierdzą dawni jego dworzanie. Posłał Jego Eminencja listy do niego do Ustianowej^[121], gdzie ostatnio rzekomo bywał, ale goniec już go we wsi nie zastał.

– A ów Matjas? – Sulatycki dolał gościom wina. – Wszak najbliższy to sługa Rudyłowskiego.

– Z nim także się rozmówimy, a przynajmniej spróbujemy rozmówić, jak tylko do Zatwarnicy dotrzemy. Może po śmierci pana bardziej będzie gadatliwy.

– W takim razie... – Żegota uniósł puchar – ...pozostaje tylko życzyć waszmościom powodzenia w tej misji. Zaiste trudne zadania waćpanom Jego Eminencja wyznacza. Gdybym mógł, wspomógłbym was, ale sami rozumiecie... – Nie skończył, tym bardziej zmieszany, że nagle pani Nadolska popatrzyła na niego tak, iż jakiś niepokój poczuł w sercu.

Wypiwszy, długo jeszcze rozmawiali o sprawie z Zatwarnicy. Najróżniejsze się w głowach biesiadujących przypuszczenia rodziły co do przyczyny straszliwych zjawisk. Wszystko to jednak były tylko domniemania, z których każde mogło być tak samo prawdziwe, jak fałszywe. Na koniec zaś, pożegnawszy się, rozeszli się gospodarze i goście do swoich komnat, myśląc wciąż o tajemnicy, jaka kryć się mogła za zbrodniami w odległej osadzie.

Kładąc się do łóżka i zdmuchując kaganek, czuł Żegota, że nie da mu żona zasnąć tego wieczora. Tak to bowiem jest wśród najbliższych sobie, iż niepokój jednego zaraz drugiemu się udziela, a myśli zdają się wspólnie przez dwie głowy przepływać. Nie mylił się Nadolski, albowiem gdy tylko kołdrą zdołał się nakryć, usłyszał:

– Po chrzcinach pojedziesz do Zatwarnicy.

– Ale, Aguś, jakże to...

– Pojechać winieneś, nie tylko przez wzgląd na naszych przyjaciół, lecz także na nią.

– Na kogóż to? – Siwowłosy gospodarz aż usiadł na łóżku. – Ty o owej zjawie mówisz?

Długo jedyną odpowiedzią była cisza. Wreszcie z ciemności doszedł go głos:

– Wiem, czuję, że gdyby nie ona, już by mnie wśród żywych nie było...

– Co ty! – Nadolski przeżegnał się strwożony.

– Czekaj! – nie pozwoliła mu przerwać żona. – Jej dusza pragnie zaznać spokoju. Tak jak twój kiedyś tego potrzebowali. Dlatego do nas przyszła. Obiecuj mi, że pojedziesz.

– Na Boga! Nie zostawię cię samej!

– Obiecuj!

Z godzinę trwała jeszcze szeptana dyskusja, nim uległ w końcu Żegota, przysięgając spełnić wolę swej małżonki, choć wcale mu to w smak nie było. Tak jednak jest, iż jeśli miłujesz kogoś, to choćby i najmniej rozsądnej prośbie odmówić nie potrafisz. Na dodatek nagle i sam Nadolski przestraszył się, że jeśli nie spełni tego życzenia, to łaska zaświatów przerodzić może się w przekleństwo. Niczego zaś bardziej się nie bał od tego, że mógłby stracić to, co posiadał.

ROZDZIAŁ IX

POCZTOWY

Siedemdziesiąt ledwie lat upłynęło od lokacji Beniowej, wsi ustanowionej na wołoskim prawie przez żonę Piotra Kmity, Barbarę. Wcześniej jednak istniała tu już osada, którą Kmitowie na pniu założyli^[122]. Jako że trudno było wieś nową w tych stronach stworzyć, wolnizną cieszyli się kmiecie prawie że do końca ubiegłego wieku. Urosła tedy Beniowa, stając się bogata i zasobna, o czym świadczył młyn zbudowany na Sanie. Co złośliwsi powiadali, że bogactwo to nie tylko z pracy, lecz także ze zbójowania przyszło, gdyż chłopci okoliczni chętnie z beskidnikami^[123] przestawali i nierzadko sami zasilali ich szeregi. Trudno jednak byłoby w tych stronach żyć inaczej, gdyż kto z tołhajami^[124] nie współdziałał, ten sam się na ich napaści narażał. Nawet szlachta wchodziła z nimi w tajemne konszachty, czerpiąc zyski z rabunków. Szczególnie zaś węgierscy żupani^[125] korzystali z usług zbójnickich hetmanów, przez co żalili się polscy panowie, iż ich ruchome dobra odnajdują się potem w zagranicznych dworach. Na nic jednak zdawały się próby zaradzenia temu, bo nawet uchwalenie zamknięcia granicy^[126] nie przynosiło skutku. Za nic mieli beskidnicy wszelkie ustawy, kpiąc z nich otwarcie. Któż bowiem byłby w stanie wyegzekwować prawo w tych stronach, gdzie swobodnie lasami w tę i w tę przez granicę można było chodzić? Próbował co prawda Piotr Bal^[127] z Hoczwi jako podkomorzy sanocki ze zbójami walczyć, ale krótkotrwałe przyniosło to efekty. Aby bowiem tołhajów zwalczyć, trzeba by najpierw ich protektorów ukarać, do czego ani po polskiej, ani po węgierskiej stronie się nie kwapiono^[128].

Pod koniec marca, wzdłuż Sanu jadąc, dotarli wreszcie oficerowie Stiller z Murrayem do wsi, umówiwszy się wcześniej z Żegotą, iż w Zatwarnicy na początku kwietnia się spotkają. Zdziwili się, iż szlachcic postanowił ich wspomóc, ale też radzi z tego byli, znając jego biegłość w szabli. Przy tym

udowodnił już swą przydatność Nadolski w sprawie z panem Serafinem Krasickim, nie lękając się rzeczy, jakie mogły być dla niejednego straszne^[129].

Przekroczywszy potok Sychłowaty, cudzoziemcy wjechali pomiędzy chałupy, zmierzając obok cmentarza i małej cerkwi na południowy wschód, w kierunku folwarku.

Dzierżawcą Beniowej od trzech lat był Piotr Pamiętowski pochodzący z Rozłucza, jak dowiedzieli się oficerowie jeszcze we Lwowie, krewniak owego Wojciecha, który ze straszliwego gwałtu na panu Remigianie Tyszkowskim zasłynął^[130]. Pewnie właśnie z racji przynależności do zbójckiej rodziny dał mu pan Herburt najem wsi, gdyż zapewniało to spokój od napaści. Już samo nazwisko starczało, aby trzymali się beskidnicy z daleka od osady, co też wyraźnie jej służyło. Zasobnie wyglądała, szczególnie zaś dwór modrzewiowy i folwarczne zabudowania. Gdy patrzył na to, nijak się w głowie Stillerowi pomieścić nie mogło, iż Rudyłowski z tak zacnego zrezygnował majątku na rzecz marnego przysiółka Bałwańskie. Od razu znać było, że musi w tym tkwić jakaś tajemnica, a rozpacz po śmierci małżonki nie mogła być jedynym wytłumaczeniem.

Wjechawszy na dziedziniec, zeskoczyli z wierzchowców i wodze od razu oddali pachołkom, którzy niemal natychmiast podbiegli. Znać było po tym, że gospodarz porządek lubi i go pilnuje, albowiem najwięcej o panu świadczy zachowanie służby. Ta zaś w beniowskim folwarku nawet oczu bała się podnieść na przyjezdnych zacnie odzianych i uzbrojonych.

Niedługo też musieli czekać na pojawienie się samego dzierżawcy, który wyszedłszy na obszerny ganek, ujął się pod boki, dumnie zadarł głowę i popatrzył, zmrużywszy oczy. Poznawszy, iż nie szlachta to zajechała, ani też kto możny z orszakiem, powstrzymał się z powitaniem pan Pamiętowski, bo dystans należyty trzymając, mniemał, iż nie pospolitując się nadto, honoru swego rodowego klejnotu pilnuje.

Oficerowie skłonili się, w sam raz dla takiej potrzeby, ani za nisko, ani też zbyt dumnie. Podchodząc, rzucili na powitanie:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– *Sława Isusu Chrystu!* – usłyszeli w odpowiedzi.

Zamiast się zżymać, odrzekł Stiller niemal natychmiast:

– *Sława na wiky!*

Szlachcic, nie ruszając się nawet z miejsca, podkreślił wąsa, kciuki za pas wsadził, palcami po brzuchu zabębnił kilkakroć. Wreszcie głosem niechętnym zapytał:

– Czego tu chcecie?

Ani to grzeczne było, ani też przyjazne. Wręcz opryskliwie się zdało. Zagryzłszy zęby, Niemiec uniósł oczy, a na ustach pojawił mu się najbardziej prawdziwy ze znanych mu sztucznych uśmiechów.

– Pana Eryka Herburta szukamy z polecenia Jego Eminencji arcybiskupa Jana Andrzeja Próchnickiego.

Usłyszawszy znamienite nazwisko, gospodarz drgnął nieco. Przemógł się po chwili i zszedł wolno po stopniach ganku, wyciągając dłoń.

– Jestem Piotr Pamiętowski z Rozłucza, dzierżawca u pana Herburta.

Powiedział to tonem takim, jakby ogłaszał co najmniej, iż jest Lubomirskim z Wiśnicza. Skłonił się więc ponownie Niemiec, ściskając podaną rękę. Unosząc głowę, przedstawił siebie i towarzysza:

– Jestem Werner Stiller, porucznik na służbie Rzeczypospolitej u pana Stanisława Koniecpolskiego, a to mój druh William Murray, także porucznik hetmański. Był łaskaw nas pan hetman do usług biskupowi przydzielić, abyśmy w pilnej sprawie jegomości Eryka Herburta odnaleźli. Ponoć mógł być ostatnimi czasy w tych stronach, więc przybyliśmy wprost ze Lwowa, aby mu list doręczyć.

– Czołem – odpowiedział chłodno szlachcic, ledwie kiwnąwszy głową.

Odwrócił się, a stanąwszy bokiem do dworu i ręką machnąwszy, zachęcił:

– Zachodźcie, panowie oficerowie... – zmrużył złośliwie oko, dodając po sekundzie: – ...hetmańscy. Czym szlachecka chata bogata.

Słowo „szlachecka” podkreślił tak, iż jasno dał do zrozumienia, że za lepszego się ma od jakichś tam cudzoziemskich najemników o co najmniej niepewnym stanie.

Znali podobnych do niego Niemiec ze Szkotem. Za złe mieli tacy, iż miast Polaków herbowych z dziada pradziada trzymano w wojsku obcokrajowców, dając im częstokroć dowództwo w nowych formacjach dragonów, rajtarów czy artylerii. Dla takich jak Pamiętowski najlepiej byłoby, gdyby wszystko działo się po staremu, a siły wojska upatrywali nie w jego reformach, lecz staropolskim „kupą, mości panowie”, które wszystko ich zdaniem przemóc mogło. Sami z reguły do wojaczki się nie garnęli, bardziej w burdach lokalnych znajdując przyjemność. Gdy zaś przychodziło na pospolite ruszenie stawać, pili po namiotach z podobnymi do siebie, przechwalając się swymi przewagami, albo też się buntowali, żądając od hetmanów zapłaty. Nie znikł jednak mimo tego spostrzeżenia przyjazny uśmiech z ust Saksończyka, a i Murray nim swe usta wykrzywił.

Niespiesznie postąpili za gospodarzem, który przodem szedł, nawet nie racząc twarzy ku nim odwrócić, gdy mówił:

– Dwa lata, jak pana Herburta nie widziałem. Przyjeżdża jego posłaniec co jesień, aby pieniądze za dzierżawę odebrać i rachunki sprawdzić. Sam pan Eryk ponoć w Ustianowej albo we Lwowie siedzi. Byliście tam?

– Jako żywo, ale oznajmiono nam, że wyjechał.

– Wyjechał... – Pamiętowski pokiwał głową.

Stając w drzwiach, wskazał na obszerną izbę jadalną.

– Proszę!

Weszli oficerowie do bogatej komnaty, na której ścianach niczego nie brakowało, a nawet zdało się, iż za dużo na nich wisi. Od kobierców drogich, przez broń wszelaką, aż do portretów, które przodków dzierżawcy raczej nie ukazywały. Wyglądały na porabowane w wielu dworach, tak różnej były formy i tak różniące się od siebie postacie przedstawiały. Wśród tego chaotycznego dostatku wszędzie wałały się zwierzęce skóry, a wśród nich najwięcej wilczych. Znak, że dzierżawca beniowski zawołanym musiał być myśliwym.

– Siadajcie – zachęcił gospodarz, prężąc się dumnie.

Bogate, obite skórą krzesła pochodzić musiały z bardziej okazałego domostwa. Stiller prawie pewność miał, iż pan Pamiętowski przynajmniej handlem kradzionymi towarami się trudni, jeśli sam w rabunkach nie uczestniczy. Kryjąc swe myśli, pochwalił urodę sprzętów, czym zyskał nieco w oczach szlachcica.

Kiedy zasiedli za stołem, wprost, nie bawiąc się w żadne podchody, zadał pytanie dzierżawca:

– A czemu tak pana Herburta szukacie?

– List mamy mu doręczyć od Jego Eminencji, który spraw w Zatwarnicy dotyczy.

– Aaaa... – Szlachcic pokiwał głową, uśmiechając się znacząco. – Znaczy, owego nieszczęścia, które tamte strony trapi. Znam pana Kacpra Zatwarnickiego i wiem, że boleje on nad tą tragedią. Jak umie, zaradzić się stara, ale cóż... – Zawiesił na moment głos. – Jak złe przyjdzie, to czasem człowiek bezsilny. Żal starego druha, którego znam dobrze, bom słyszał, że brata niedawno stracił.

Wyraz zaskoczenia pojawił się na twarzy Pamiętowskiego, kiedy Saksończyk pokręcił głową.

– O inną, waszmość, rzecz chodzi, choć ta udręka okolicznej ludności też nam jest wiadoma.

– O inną? – Gospodarz jeszcze wyżej uniósł brwi. – Ciekawe to. A jakąż to? – Przysunął się bliżej i położył łokcie na stole.

Przez chwilę zmagął się z myślami, aż wreszcie, podjąwszy decyzję, nie odwracając się ku drzwiom, wrzasnął:

– Kaśka! Dawaj mi tu jeść i wina dla panów oficerów! A żywo!

Zatupotał ktoś w korytarzu, czym oznajmił jasno, iż za wejściem czekał, może nawet podsłuchując.

Badawczo wbity wzrok, którego Pamiętowski nawet na chwilę nie spuścił, skłonił Saksończyka do mówienia. Zamiast jednak odpowiedzieć, zapytał:

– Znałeś waszmość poprzedniego dzierżawcę tutejszego, pana Hieronima Rudyłowskiego?

– Może i znałem – mruknął szlachcic wykrętnie.

– To wiesz pewnie, że nie żyje?

– Taak... – wycedził przeciągle gospodarz. – Obwiesił się ponoć.

– Właśnie – przytaknął Niemiec. – Ale nim śmierć sobie zadał, testament sporządził. A w nim na rzecz Kościoła więcej jak pięćdziesiąt tysięcy złotych zapisał.

Pamiętowski oczy wybałuszył, na gębie czerwony się zrobił, oddech z trudnością złapał. Rękami zamachał tak, jakby nagle tonąć zaczął.

Złośliwy uśmieszek przemknął przez twarz Murraya. Wiedział jego towarzysz, jak nawet najbardziej szczwanego lisa w pole wyprowadzić. Od razu, patrząc na wystawną izbę, poznał Stiller słaby punkt gospodarza. Chciwość, a za nią zazdrość. To skłonić go mogło do mówienia.

– Jaaakże... Jakże to? – wymamrotał szlachcic, nadal nie mogąc dojść do siebie.

– To samo pytanie zadał sobie i biskup lwowski. Bo łatwo byłoby o szaleństwo jakoweś posądzić pana Rudyłowskiego, że takim bogactwem chce Kościół święty obdarować. Skąd niby miałyby je mieć? Dlaczego, na lichej dzierżawie siedząc, z takiego majątku nie korzystał?

– Czyli że skłamał? Na rozumie szwankował? – Wyraz ulgi odmalował się na twarzy szlachcica. Zaraz zgasł, kiedy Saksończyk znów głową pokręcił.

– Nie kłamał, waszmość, w tym rzecz cała.

– Nie może być!

– A jednak. – Z troską w głosie Niemiec pochylił się ku dzierżawcy. Prawie że szepcząc mu do ucha, rzekł: – W ostatniej woli stało, że cała kwota jest w depozycie u lwowskiego kupca Kacpra Szolca^[131], na którą też sumę do testamentu dołączony był kwit odpowiedni. Wysłał tedy Jego Eminencja biskup zaufanego mnicha z dokumentami do owego kupca, a ten rzecz potwierdził i depozyt, zgodnie z wolą nieboszczyka, wydał.

Prawie że łzy pojawiły się w oczach Pamiętowskiego. Mrugając powiekami, wyjęczał:

– Taka suma? Pięćdziesiąt tysięcy złotych? Jakże to?!

Nie uzyskał odpowiedzi, gdyż w drzwiach pojawiła się dziewczka niosąca dzban wina i jadło. Niemiec z uśmiechem odchylił się w krzesło. Murray aż zatarł ręce, jako że wygłodniały był po podróży. Tylko nieszczęsny gospodarz wiercił się na siedzisku, czekając, aż służba swoje zrobi i wyjdzie. Zżerała go niecierpliwość i trawił jego duszę płomień nienasyconej zachłanności. Pojąć nie mógł, iż ów szlachetka, jak myślał o Rudyłowskim, posiadał bogactwo, którego i magnaci mogliby mu pozazdrościć.

Urwali sobie goście chleba, nałożyli jak gdyby nigdy nic mięsa, niebacznymi na wiercenie się gospodarza, popili wina z kubków. Dopiero wówczas, gdy służba zniknęła, wysoki Niemiec o drewnianej nodze, wyjaśnił:

– Właśnie to nakazał nam jegomość biskup naświetlić. Bo primo, skąd u szlachcica na dzierżawie taka suma? Secundo, czemu w depozycie ją trzymał? Tertio wreszcie, czy kto się aby o nią nie upomni?

– Na rzymski Kościół dał? – wysapał szlachcic, wciąż nie mogąc uwierzyć.

– Na Kościół – przytaknął Stiller. – Ale że dziwna to sprawa, kazał Próchnicki rzecz wy badać. Bo może to jakie nieczystego pochodzenia pieniądze? Kto wie? Dlatego pana Herburta szukamy, który ponoć Rudyłowskiego od lat znał, jeszcze z czasów młodości, jak pocztowym u niego był. Może on wie coś o tym?

– Tak! – dodał Murray. – A przy tym może Rudyłowski od Herburta to złoto wziął albo, nie daj Bóg, ukradł jakimś sposobem? Lub też skarb z Dobromila pochodzi, który, jak wiadomo, Jan Szczęsny Herburta nieprawnie przejął?^[132] – Machnął ręką, sięgając po chleb. – Wszystko możliwe.

– Biskup zaś kłopotów nie chce ani procesów żadnych, choć suma to znaczna i Kościołowi usłużyć może. Przy tym jeszcze, jak wieść się

rozniesie, spadkobiercy jakowś mogą się upomnieć, bo przecież Rudyłowscy licznie w tych stronach zamieszkują. A że prawosławni w większości, to i nie w smak im będzie taka donacja.

– Ale że pięćdziesiąt tysięcy? – Pamiętowski zdawał się nie słuchać wyjaśnień, zajęty swoimi myślami.

– Więcej niż pięćdziesiąt tysięcy – rzekł Murray. – Niewiele, ale więcej.

– Niewiarygodne! – Gospodarz pokręcił kilkakrotnie głową, wypił całą zawartość kubka, otarł usta rękawem i po łbie się podrapał.

Otrzeprawwszy ręce i odzienie z okruchów, Saksończyk położył dłonie na stole. Zerknąwszy na szlachcica, mruknął:

– Szkoda tedy, że pana Eryka nie spotkaliśmy. Cóż, przyjdzie nam dalej jechać. Może waszmość wiesz coś o tym, gdzie może być?

Zamrugawszy oczami, wracając do przytomności, gospodarz wzruszył ramionami.

– A skąd!

– Szkoda... – Stiller na kilka sekund zawiesił głos – ...bo też biskup nagrodę tysiąca złotych wyznaczył temu, kto pomoże zagadkę rozwikłać. Lecz cóż... – udał, że wstaje – ...dzięki waszmości za gościnę. Pora na nas. Służba nie drużba. Im wcześniej się czegoś dowiemy, tym prędzej pod rozkazy hetmańskie wrócimy.

Oczy Pamiętowskiego zaświeciły się gwałtownie. Chwytnąwszy za rękaw gościa, syknął:

– Zaczekaj, mości oficerze! Przecież tyle co przyjechaliście! Może uda się coś zaradzić!

– Jakże to? – Na twarzy Niemca odbił się wyraz szczerzego zdziwienia. – Przecież mówiłeś waćpan, że dwa lata pana Herburta nie widziałeś!

Dzierżawca nie zmieszał się nawet. Zmrużywszy oczy, mruknął:

– Ale dużo wiem o Rudyłowskim. Różne tu rzeczy chłopci, sąsiedzi i inni znajomi mi o nim mówili. Może coś pomocne będzie?

– A skąd złoto mieć mógł, wiesz waćpan?

Zmarszczywszy nos, prychnął gniewnie Pamiętowski, nim wycedził:

– Nie. – Zaraz jednak dodał: – Lecz chyba wszystko przydać się może? Wszak nie wiadomo, gdzie tkwi tajemnica? Prawda?

– Słusznie – przyznał siedzący wciąż Murray. Spoglądając na towarzysza, poprosił: – Skoro pan Pamiętowski tak łaskaw, posłuchajmy może?

Pogładził się Stiller po sterczących wąsikach i czernionej bródce, westchnął ciężko, niby się zastanawiając, aż w końcu, ręką machnąwszy, usiadł na powrót, mówiąc:

– Zgoda.

Popatrzywszy na gospodarza, zapytał:

– Cóż więc waszmość nam chcesz rzec?

Gospodarz jednak nie odpowiedział. Zamiast tego z chytrą miną zagadnął:

– A co z tego będę miał?

Znów uniósł się Niemiec, spoglądając na towarzysza. Rapię poprawił, po kapeluszu złożony na sąsiednim krześle sięgnął. Obojętnym głosem rzucił:

– Chodźmy, Williamie. – Zerkając zaś na gospodarza, dodał: – To Jego Eminencja Próchnicki władny o nagrodach mówić. Nam tylko trzeba jegomości Herburtu znaleźć. Owszem, nie zapomnimy biskupowi przekazać, kto nas wsparł w rozwiązaniu tajemnicy, ale później przyjdzie o tym pora rozmawiać.

Pamiętowski zerwał się z krzesła, stając na drodze Saksończykowi. Rozłożywszy ręce, zawołał:

– A cóż taki jesteście moi oficerze w gorącej wodzie kąpany?! Wszak przecież wszystko rozumiem! Dogadać się możemy, tak abyście i wy zadowoleni byli, i ja... – łypnął chytrze – ...stratny nie był.

– Może i tak. – Stiller oparł się o stół, patrząc w oczy gospodarzowi. – Ale też nic waszmości obiecać nie możemy.

– Ale o moich zasługach komu trzeba wspomnieć?

– W rzeczy samej, o ile usłyszemy coś ważnego, co pomoże nam rozwikłać zagadkę – potwierdził Niemiec.

– Słowo oficcerskie?

– Słowo!

– Tedy siadaj, mości kawalerze, bo w Polsce mawiamy, że jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. Może i pana Herburta pomogę wam znaleźć, który co prawda jeździ pomiędzy swoimi majątkami albo też za granicą bywa, ale są miejsca, w których z pewnością spotkać go można.

– Doprawdy? – zaciekawiał się Saksończyk.

– No siadajże, waszmość! – Ostatnie słowo, podkreślające komitywę i dobrą wolę gospodarza, przekonało Niemca, który wolno opadł na krzesło.

Pamiętowski wziął dzban, hojnie polał wina do srebrnych kubków i uśmiechnął się. Napiwszy się, podszedł do drzwi, krzyknął na służbę, aby więcej napitków i jadła doniosła, a następnie powrócił na miejsce. Usiadłszy, pokręcił głową po raz kolejny.

– Pięćdziesiąt tysięcy, powiadacie! A taki chudopacholek był! Taki szarak mrukliwy! Ani poznać po nim nie było można, że jakieś bogactwo chowa!

Uniósł wzrok, mrużąc oko.

– A z tym tysiącem u biskupa to prawda?

– Tak rzekł – przytaknął Saksończyk, od razu jednak zastrzegając: – Ale temu da, kto mu sprawę całkiem objaśni... – pochylając się, dodał cichszym głosem: – ...i spadek bezpiecznie przejąć pozwoli. Sam rozumiesz waćpan...

– Nie dokończył, mrugając znacząco ku gospodarzowi.

– Pojmuję. – Pamiętowski wyszczerzył zęby. – Wszak wiem, że najlepiej umieję liczyć Żydzi i księża.

– To zdrowie waszmości! – Murray wznosił swój pucharek.

– Zdrowie! – podchwycił jego wysoki towarzysz.

Uśmiechając się wciąż, gospodarz przepił do gości. Palcami otarłszy wąsy, oparł się o stół, by zacząć:

– Posłuchajcie tedy, co tu się mówi o owym Rudyłowskim. Stara to szlachta ruska, ale drobna, często na służbie u innych albo też po dzierżawach siedząca. Prawosławni prawie wszyscy, jak większość w tych okolicach. Ledwie na zagrodzie siedział ojciec owego Hieronima, Jan, służący Herburtom, lecz dumnie się nosił. Jak powiadano, w różnych, nie zawsze jasnych sprawach panu Stanisławowi, kasztelanowi lwowskiemu, służył, za co też nagradzany bywał i w łaskach się znajdował. A że mocny był w szabli i w gębie, to bali się go ludzie, tym bardziej że na jego zawołanie kilkunastu innych Rudyłowskich gotowych było przy nim stanąć. Za żonę wziął sobie pannę Podhorecką, tak samo z biednej szlachty, z którą tylko jednego miał syna, co do lat sprawnych doszedł. Reszta, jak to bywa, pomarła. Mieszkali we wsi Węłykie, ledwie milę od Herburtowego jeszcze wtenczas Dobromila. Hieronim razem z Erykiem Herburtem się chował, a kiedy Jan Szczęsny zamek zajął^[133], wyrostkiem będąc, wraz z nim na tułaczkę się udał. Z matką Herburta, Katarzyną z Łaskich^[134], córką wojewody sieradzkiego Olbrachta^[135], znanego awanturnika i alchemika, osiedli w Lanckoronie. Pani Katarzyna szybko wywalczyła dla syna dobra po Barbarze Kmitowej w województwie ruskim, które we władanie miał objąć. Po ojcu bowiem nie zbywało owej niewieście na fantazji, a spokrewniona z najznamienitszymi rodami potrafiła na swoim postawić. Lecz młodzikowi nie rola była w głowie, lecz wojaczka. Eryk przy pierwszej okazji, hojnie zresztą jeszcze przez znamienitego dziada wyposażony, do chorągwi husarskiej się zaciągnął, Rudyłowskiego na pocztowego biorąc. Tak też do Inflant się udali, gdzie właśnie wojna ze Szwedami trwała.

Przerwawszy, Pamiętowski zwilżył usta winem, z czego nie omieszkął skorzystać Stiller, mówiąc:

– To już, waszmość, znane nam rzeczy. Wiemy, że pani Katarzyna Herburtowa z Łaskich objęła dla syna dobra w Wetlinie, Jaworcu, Lutowiskach, Beniowej, Uhercach, Ustianowej i Zatwarnicy, które po Kmitach zostały. Tak samo o jego wojennych przewagach słyszeliśmy. Co to ma do Rudyłowskiego?

Gospodarz, zamiast się zmieszać czy zirytować, uśmiechnął się znad pucharka. Niespiesznie dolał wina cudzoziemcom, jakby napawając się ich oczekiwaniem. Dopiero po dłuższej chwili wrócił do opowieści:

– Spotkałem ja w Przemyślu jednego takiego, co trochę mi rzeczy ciekawych powiedział. Takich, o jakich głośno się nie mówi, lecz jakie wiele wyjaśnić mogą.

– Tedy powiesz nam, waćpan?

– Od tego zacznę, że Rudyłowskiego nie przypadkiem pan Herburt ze sobą wziął. Był to bowiem w owym czasie charakternik zawołany, a w szabli mało kto mógł mu sprostać. Przy tym wielki i jak tur silny, ponoć podkowy w rękach łamał. A za panem Erykiem w ogień by skoczył, tak go miłował. Bardziej przyjacielem ponoć był wielkiego pana niż sługą. Razem też stanowili kompanię, z którą nikt nie ważyłby się zadzierać, bo i panu Herburtowi na fantazji nie zbywało. Łatwo do bitki się rwał, niejeden łeb rozbił, wąsy czy uszy przyciął, a nawet na tamten świat kilku posłał. Przy tym, jak kto mu rzekł, iż czegoś nie uda mu się zrobić, to choćby i życie ryzykując, udowadniał swoją odwagę. Dlatego szybko w chorągwi swojej sławę zyskał mimo młodego przecież wieku. A że i wypić, i pobawić się lubił, przyjaciół licznych miał wśród towarzyszy husarskich, którzy za kołnierz nie wylewają. Bo wiecie, jak to wśród owych rycerzy jest. Od obozowych prac zwolnieni, nawet hetman mówi im „panowie bracia”, pyszną się i nad innych wynoszą, ale kiedy potrzeba przyjdzie, stają jak jeden i na nic nie bacząc, w największy ogień się rzucają. Który zaś bardziej śmierci w oczy zagłada, ten tym większe poważanie ma i estymą się cieszy. Doszło w końcu do owej słynnej przeprawy pod Kircholmem, w której u porucznika Woyny służąc, Herburt chwałą się okrył, tak iż sam hetman Chodkiewicz mu odwagi gratulował, wielkie też w nim widząc na przyszłość nadzieje.

– Tak, i o tym wiemy, że ranny wówczas poważnie został. – Murray machnął dłonią.

Gospodarz zaśmiał się głośno, aż mu krople wina ze srebrnego kubka poleciały. Głową pokręcił, przepił i czuprynę podstrzyżoną przyglądził.

– Ot i pierwsza nieprawda! – zawołał, odstawiając na stół pucharek.

– Jakże to? – zdziwił się Saksończyk, marszcząc brwi.

– A tak, panowie oficerowie! Oficjalnie, rzecz jasna, w bitwie raniony został. Tak kazał porucznik Woyna głosić, aby towarzysza husarskiego na kpiny nie wystawiać. Prawda jednak jest inna. Od dwóch ludzi ją słyszałem. Raz, od owego szlachcica w Przemyślu, a dwa, od pana Kacpra Fredry z Hoczwi, kiedyś go dwa lata temu odwiedził i ugościł mnie pysznie w swoim dworze.

Wymówiwszy ostatnie słowa, podkreślił wąsa, podkreślając tym, z jakimi to personami przestaje i wina pija. Zaraz jednak, pochylając się ku oficerom, wrócił do opowieści:

– Posłuchajcie więc, jak było. Po bitwie tak radzi byli towarzysze husarscy ze zwycięstwa, iż popili się srodze, czego zresztą i hetman im nie wzbraniał. Prym zaś jak zwykle wiódł pan Eryk Herburt, który własne przewagi ogłaszał, twierdząc przy tym, iż strzelała do niego piechota nieprzyjacielska salwami z muszkietów, ale też kule Szwedów odbijały się od jego kirysu^[136], który najprzedniejszy jest w całej chorągwi. Ukazywał, że na stali nawet śladu pociski nie zostawiły. Zaklinał się przy tym, iż metal na ową niezwykłą zbroję stworzyli przywiezieni przez jego dziada angielscy alchemicy^[137], stąd jego nadzwyczajne właściwości. Początkowo nikt mu nie przeczył, ale też kiedy zanadto się chełpić począł, wstał towarzysz husarski Andrzej Dobraczyński i kłam mu zadał, dowodząc, iż nie ma takiego pancerza, który by jego półhakowi z dziesięciu kroków sprostał. Spór się zaczął gwałtowny, w którym jedni stronę Herburta brali, a inni panu Dobraczyńskiemu rację przyznawali. Mało do bitki nie przyszło, aż zakrzyknął pan Eryk, iż próbie się podda, aby swe racje udowodnić. Nakazał pachołków przywołać i kirys przywdziewać zaczął. Prosili go towarzysze, aby zaniechał głupiej zabawy, lecz, jak rzekłem, taki miał charakter młody Herburt, że jak co postanowił, nic go odwieść od tego nie mogło. Ustawił się więc w zbroję przyodziany i jął zachęcać Dobraczyńskiego, by strzelał. Długo nie musiał wołać. Odmierzył pan Andrzej starannie dziesięć kroków, odwrócił się, zamek nakręcił i palnął.

Skutek znacie, mości oficerowie. Kula na wylot przeszła przez pierś husarza, kręgosłup mu na dodatek uszkadzając. Zdało się, że ducha natychmiast wyzionie.

Rozłożywszy ręce, szlachcic zapytał:

– O tym chyba nie słyszeliście?

Stiller pokręcił głową.

– W istocie. Lecz skutek jest nam znany owego postrzału. Ponoć przez to Eryk Herburta kobiety zaznać nie może.

Znów wykrzywił pan Pamiętowski usta w złośliwym uśmiechu, głową kręcąc. Polawszy wina, powiedział:

– Druga to nieprawda, w którą powszechnie się wierzy, tłumacząc brak ożenku Herburta. Tymczasem sprawy zupełnie inaczej się mają. A w rzecz całą i Rudyłowski jest zamieszany.

Pochyliwszy się nad stołem, oficerowie wpatrzyli się w szlachcica zaciekawieni. Ten zaś objaśnił:

– Jak rzekłem, myśleli towarzysze, że koniec jest z Herburtem. Nie sprostął ołowianej kuli rzekomo czarodziejski kirys. Nawet medyk hetmański, którego pan Chodkiewicz natychmiast przysłał, jeno głową pokręcił i orzekł, że księdza tu bardziej od niego trzeba. Dostał tedy pan Eryk ostatnie namaszczenie i w namiocie położony nieprzytomny na śmierć czekał, a z nim jego pocztowy, Rudyłowski, który nie odstępował go na krok. Wytrzeźwiawszy, husarze dni parę postali, czasem jeszcze zajrzeli do towarzysza, ale iż rozkaz był wymarszu, zostawili Herburta z pachołkami w polu. Tak to na wojnie bywa, co pewnie nie jest wam obce, że rannymi nie bardzo się zdrowi zajmują, bo póty żołnierz potrzebny, póki do walki zdalny. A potem, jak to się mówi, radź sobie sam. Miał Dobraczyński wyrzuty sumienia i chciał swoich pachołków z Herburtem zostawić, ale odmówił Rudyłowski, twierdząc, iż sług pana Eryka starczy, aby przed śmiercią należyłą opiekę nad nim sprawować. Ruszyć się nigdzie nie mógł, gdyż medyk orzekł, iż jeśli rannego kto spróbuje gdzie przewieźć, to on niechybnie natychmiast skona. Tak sami zostali i obozowali niedaleko placu boju, na którym przecież kilka tysięcy trupów zaległo. A pamiętajcie

panowie oficerowie, że koniec września to był, więc wiadomo, jak z ciałami rzeczy się mają, gdy jeszcze ciepło.

Łypnął Pamiętowski na gości, kontentując się ich zasłuchaniem. Odczekał chwilę, niby to nakładaniem sobie jedzenia zajęty. Przez drzwi otwarte krzyknawszy, o piwo poprosił. Dopiero wówczas, uznawszy, iż wystarczająco już podsycał ciekawość, dalej mówić zaczął:

– Leżał bez przytomności Herburt, wciąż zawieszony pomiędzy tym a tamtym światem. Dni kolejne mijały, a on wciąż był żywy. Drugi z pocztowych, wzięwszy jednego koniucha, pojechał do matki pana Eryka, aby czym prędzej donieść jej o nieszczęściu. Rudyłowski sam został z trzema pachółkami. Tymczasem, jak to po bitwach bywa, zlazło się okoliczne chłopstwo trupy obdzierać i zebrać to, czego żołnierz nie zebrał. Gadając z nimi, czeladź, a od niej i Rudyłowski dowiedzieli się, iż jest w okolicy jakowyś zaklinacz, który rany potrafi leczyć. Dość mając bezczynności, postanowił więc pocztowy udać się do niego i do swego pana go sprowadzić, słusznie zakładając, iż nie zaszkodzi to w niczym, a pomoc może. Zebrał się i w drogę ruszył, polecając sługom pilne na pana Herburta mieć baczenie i na krok go nie odstępować. Zapowiedział, że następnego dnia wróci. Wówczas to kolejne się zdarzyło nieszczęście... – Przerwał, zawieszając głos. Unosząc pucharek, rzucił: – Zdrowie pana hetmana Koniecpolskiego, mości oficerowie!

Nie dał poznać po sobie Stiller, iż wie, że bawi się z nimi Pamiętowski, przeciągając opowieść i przerywając ją. Znał bowiem szlacheckie obyczaje pod tym względem, gdzie historię należycie trzeba było przedstawić, czasem zaostrzając ciekawość, a nieraz i fakty upiększając. Wypili tedy z Murrayem zdrowie hetmańskie, a potem, by niewdzięczności nie okazać, za gospodarza po kielichu łyknęli. Zadowolony szlachcic wrócił więc do opowieści:

– Jak trupów dostatek, nocami psy bezpańskie się złażą, aby mięsa ludzkiego uszczknąć. Znana to z historii i żołnierskiego doświadczenia rzecz, już bowiem za króla Bolesława Krzywoustego, jak Niemców... – łyknął znacząco na wysokiego oficera – ...on pod Wrocławiem naciął, to

psy się zbiegły ich zżerać, stąd też na wieki nazwa Psie Pole na owo miejsce została. Tak i pod Kircholmem było. Czeladź zaś, jak to czeladź. Zamiast pana pilnować, popiła się, korzystając z tego, że nikt nadzoru nad nią nie trzyma. Chłop bowiem z natury jest głupi i złośliwy, jeśli mu się, jak zwierzęciu, karbów nie nałoży i miejsca właściwego nie wskaże. W tym jest różnica istotna między urodzonym szlachcicem a chamem, który choćby i kogo innego udawać próbował, zawsze chamem zostanie. Zresztą... – machnął ręką – ...nie w tym rzecz. Głupio zrobił Rudyłowski, zostawiając pana Herburta pod opieką koniuchów, lecz innego wyjścia chyba nie miał. W każdym razie nocą zlazły się psy, które ciała na polu szarpać poczęły. Nie wiedzieć czemu kilka z nich, zapachem albo też i jakowymś *instinctu*^[138] wiedzione, wdarło się do namiotu, gdzie ranny leżał. Zdarły go z posłania i srodze lewe ramię i część twarzy poszarpały. Gorzej zaprawdę być już chyba nie mogło. To tylko jakimś cudem się stało, że kiedy go zwierzęta dopadły, czy to z bólu nowego, czy to z innej przyczyny, wrócił pan Eryk do przytomności. To na jego krzyk przybiegła pijana czeladź, bo inaczej pewnie by go psy całkiem zjadły.

– Jezus Maria! – wyrwało się mimowolnie Murrayowi, a snujący opowieść szlachcic się uśmiechnął. Nic bowiem większej radości nie sprawia gawędziarzowi niż to, jak jego historia prawdziwie potrafi poruszyć słuchaczy.

Zadowolony Pamiętowski, kontynuował:

– Dnia następnego przyjechał Rudyłowski, przywoząc owego czarownika, który panem Herburtem miał się zająć. Wściekł się na pachółków, ale rzecz już się stała i temu trzeba było zaradzić, co zastał. Natychmiast tedy ów znachor do swej roboty się wziął, gusła jakieś odprawiając i ziołami rany zasklepiając. Długo to ponoć trwało. Nie wiem jak, lecz w każdym razie by opowieści nie przedłużać... – szlachcic zmrużył oko – ...zaczął pan Eryk cudem jakimś do zdrowia wracać. Przytomny był, choć obolały i wciąż niewładny z racji uszkodzonego kręgosłupa. Jeść zaczął, gadać, rękami poruszał. Dwie niedziele tak jeszcze obozowali, aż ów zaklinacz rzekł, że należy go do jakiegoś domostwa przenieść, bo zimno

już się robić zaczynało i trudno byłoby ledwie żywemu rannemu pod namiotem dalej przebywać. Ruszyli tedy powoli, ciągnąc Herburta na noszach za koniem, aby gdzie schronienie znaleźć. Posłał Rudyłowski pacholków, żeby jakiegoś dworku szukali, sam pana już na krok nie odstępując. Wrócili słudzy niedługo, oznajmiając, iż znaleźli w lesie folwarczek niewielki, do tamtejszej szlachty należący. Tam też się udali o gościnę prosić.

Westchnął głęboko, by zniecierpliwionym tonem zawołać:

– Kaśka! Piwo miało być! – Jakby się usprawiedliwiając, rzucił ku gościom: – Nieużyta jeszcze dziewczka, ale inne ma zalety. – Mrugnął znacząco. – Sami rozumiecie, panowie oficerowie, jak to w zimowe noce bywa. Ogrzać się trzeba i poruszać.

Kiedy weszła służka, niosąc dzban, ledwie na stół go postawiła, klepną ją pan Pamiętowski w szeroki zadek, aż zatrzęsł się pod suknią. Zachichotała owa Kaśka, na pięcie się okręciła i wybiegła czym prędzej. A rozochocony gospodarz oblizwał wargi i zarechotał lubieżnie.

Chrząknąwszy, spoważniał po chwili. Przygłodził wąsy palcami, wrócił do opowieści.

– Nie wiem, gdzie ów dworek był ani jak się miejscowość zwała. Dość, że przyjęli tam rannego Herburta ze służbą. Nazywali się owi gospodarze Pilachowscy i mienili drobną szlachtą kurlandzką. To jedno dla całej historii ważne, iż mieli córkę, Helenę, dziewczkę wówczas lat kilkunastu zaledwie.

Uśmiechnął się pod sterczącym wąsikiem Stiller, mruknąwszy:

– Chyba domyślam się, czemu owa panna ma być ważna w waści opowieści.

– Słusznie panie oficerze rozumiesz. – Pamiętowski skinął głową. – Bo gdzie dwóch młodych kawalerów i dziewczyna ładna, ledwie rozkwitająca, o problemy nietrudno. Nie będę jednak przyspieszał biegu zdarzeń.

Szlachcic wstał, by przynieść i postawić na stole cynowe kufle, do których rozlał piwa, nawet nie pytając gości, czy mają ochotę. Tak to

bowiem było, że w Rzeczypospolitej nikt piwa nie odmawiał, a kto spróbowałby tak czynić, ten był kiep.

Ukroiwszy sobie gruby plaster mięsiwa, przegryzł pan Pamiętowski i popił chmielowym trunkiem. Zadowolony, odetchnął głęboko.

– No! Z dzika to szynka! Własną ręką ustrzeliłem jeszcze w styczniu! – pochwalił się, gestem zachęcając, by częstowali się oficerowie. Sam zaś wrócił do opowieści, wciąż jeszcze pełne mając usta:

– Najsampierw, jak pan Eryk Herburt złożony był niemocą, zaczął smalić cholewki do owej panny Rudyłowski. Słusznie mniemał, iż pozycją i majątkością od jej rodu nie odstaje, więc rodzice dziewczyny wzbraniać mu nie będą. A i ona rzekomo oczami strzelała ku młodemu kawalerowi, bo też przystojny był, silny, no i żołnierz. Zdawało się, że wszystko na dobrej drodze jest, żeby ożenkiem się skończyć. Tym bardziej że liczył po cichu Rudyłowski, iż za życia uratowanie da mu Herburt jakiś mająteczek, choćby i przysiółek, w dzierżawę. A potem pracą swych rąk do czegoś więcej może nawet dojdzie. Nie przewidział jednak nieszczęśnik, iż panna i wracającemu do zdrowia majątnemu panu w oko wpadła. Ustąpił paraliż, młody husarz powoli wstawać zaczął, a rany po psach na gębie wygoiły mu się tak, że zamiast szpecić, dodawały mu tylko jakiejś grozy. Dziewki zaś lubią się trochę bać... – zaśmiał się chrapliwie – ...taka ich babska natura. – Chrząknął, powściągając rubaszość, by wrócić do poważniejszego tonu. – Rodzice owej Heleny, znając już, z kim mają do czynienia, wstrętów nie czynili, kiedy Herburt do ich córki się przymilał albo też dusery^[139] prawił. A że bardziej od Rudyłowskiego kształcony był i wymowniejszy, szybko jej w głowie zawrócił. Ani już spoglądała na chudopachołka, kiedy pan do niej słodkie oczy robił. Zaciął się tedy pan Hieronim, zębami zgrzytał, na całe dnie znikał, lecz nic nie mógł zrobić. Jak to się mawia, serce nie sługa, choć pewnie i złote dukaty pannie w uszach brzęczały, kiedy się z Herburtem młodym przekomarzała. Na koniec zaś, by mu towarzysz w amorach nie przeszkadzał swoją smutną miną i gniewnym obliczem, rozkazał mu pan Eryk do swojej matki list zawieźć, aby jej dać znać, że żyje i dobrze się już

mieć zaczął. Chcąc nie chcąc, jak pan każe, to sługa musi. Wsiadł więc na konia Rudyłowski, Pilachowskich pożegnał i ruszył w drogę.

– Niezbyt uczciwie postąpił pan Herburt z pocztowym. Bałamucił tylko pannę – skwitował Stiller. – Przecież wiedział, iż o żadnych mariażach z nim nie może być mowy. Na to z pewnością by się pani Katarzyna Herburtowa z Łaskich nie zgodziła.

– Że bałamucił, prawda – przyznał Pamiętowski. – Ale też owa Helena niczego innego nie pragnęła wtenczas, niż być bałamuconą. Młodym zdaje się, że żadnej przeszkody nie ma, której miłością pokonać nie zdołają. Czy pan Eryk lekko ją traktował, nie wiem. Co się tam wówczas we dworze działo, to znane tylko tym, którzy w nim byli. Dziać zaś się musiały różne dziwy, albowiem kiedy pan Rudyłowski po jakimś czasie powrócił, rzeczy zupełnie już inaczej się miały.

– Pewnie Herburt, co chciał, dostał, a zabawiwszy się, pannę ze sromotą zostawił – mruknął Murray, popijając bursztynowego trunku.

– Że dostał, to pewne. – Gospodarz skinął głową. – Nie ustrzegła wianuszka panienska, zapatrzywszy się w oczach kawalera. Ale nie to ważne, a zarazem najdziwniejsze było.

– A co? Mówże waszmość! – zniecierpliwił się Stiller.

– Herburt już pan Hieronim we dworze nie zastał. Wyjechał, śladu nawet po sobie nie zostawiając. Nawet na powrót posłańca nie czekał.

– Pochędożył i uciekł – skomentował złośliwie Szkot.

– Gdyby tak w istocie było, to zastałby Rudyłowski rodziców owej panny co najmniej gniewnych, jeśli nie gorzej, a dziewczkę ze wstydu skrytą albo też do klasztoru się szykującą. Może nawet i zbrzuchaconą.

– Nie z każdego zaczynu chleb rośnie. – Saksończyk uśmiechnął się krzywo. – Ale opowiadaj dalej waćpan. Chętnie słuchamy.

– To, co rzeknę, słyszał od samego Rudyłowskiego niedługo później ów człek, którego w Przemyślu spotkałem. Nazwiska nie podam, bo pewnie nie życzyłby sobie, a zadzierać z nim nie mam ochoty. To tylko powiem, że słynny to w ruskim województwie zajezdnik i słów na wiatr nie rzuca.

Przez chwilę, powróciwszy z wojny, był pan Hieronim w jego kompanii, stąd się dobrze poznali.

– Dydyński pewnie – wycedził Niemiec, lecz Pamiętowski ani nie potwierdził, ani też nie zaprzeczył. Zamiast tego od razu do rzeczy przeszedł.

– Tak rodzice, jak dziewczka przerażeni byli czymś okrutnie. Wprost drżeli ze strachu, a na wspomnienie Herburtu tylko żegnali się trwożliwie i Boga przywoływali. Nic też gadać o nim nie chcieli, ani imienia nie wspominając. Kazali Rudyłowskiemu jak najprędzej precz iść i więcej nie wracać. Zdziwił się pocztowy, lecz wyjaśnień żadnych nie uzyskał. To jedno zwróciło jego uwagę, iż teraz u Pilachowskich od psów wszelakich aż roiło się na podwórku. A zaznaczyć muszę, iż po owym incydencie, kiedy rannego pana Herburtu zwierzęta mało nie pożarły, zapalał on do nich taką nienawiścią, iż do każdego już z daleka strzelał. Do dziś zresztą znany jest z tego, że jeśli tylko psa jakiego zobaczy, to natychmiast zabijać każe. Nawet swoim dzierżawcom we dworach zabrania trzymać psy pod groźbą wypowiedzenia umowy. I u mnie... – zatoczył ręką – ...choć myśliwy jestem, w szczególności zaś na wilki lubię polować, psów waćpanowie w domu nie zobaczycie.

– Uraz jakowyś musiał mu zostać – stwierdził Szkot. – Znane to rzeczy. Pan Sokolnicki z Sokolnik, jak niedźwiedź mu małego synka na śmierć poszarpał, to do późnej starości po lasach jeździł i każdego miśka ubijał oraz płacił sownie każdemu, kto mu ucięty łeb takiego zwierza przynosił. Ponoć jak umarł, to w jego dworze kilka setek takich trofeów spadkobiercy znaleźli.

– Prawda – przytaknął Pamiętowski. – Znam tę historię. – Odstawiwszy cynowy kufel, zmarszczył brwi. – Do Rudyłowskiego jednak wrócę. Otóż, nie wiedząc, dokąd udał się Herburt, przyjechał pan Hieronim w rodzinne strony do wsi Wełykie, do rodziców starych. Jednakże widząc biedę i niedostatek domostwa, służby zaczął szukać. Znalazł ją, przystając do kompanii najemnej, co się zajazdami trudniła, gdzie podobnych do siebie straceńców spotkał. Błąkali się to tu, to tam, wspierając jednych panów

przeciw drugim, a co zarobili, to na dziewczki i wino wydawali. Dowiedział się też wtenczas Rudyłowski, iż pan Eryk Herburt, wróciwszy do sił, za rozkazaniem matki za granicę pojechał obce kraje zwiedzać i tamtejszych obyczajów się uczyć. Do wojaczki już niezdatny był, bo choć rany wyleczył, to sił nie odzyskał. Schudł, zbladł, przygarbił się przez ów kręgosłup, co mu się nieco krzywo zrosło. Ponoć charakter też mu się zmienił. Stał się skryty, samotność bardziej niż czyjeś towarzystwo cenił. Win, miodów i innych trunków rzekomo całkowicie poniechał, w wodzie zagustowawszy. Za dziewczkami się nie oglądał, stąd i plotka poszła o jego niemocy. Rzecz by można, iż z hulaki ascetą się stał.

– Też nic dziwnego, zdarza się bowiem, iż najślawniejszy nawet żołnierz, w pewnej chwili powołanie poczuwszy, do klasztoru wstępuje i modłom się oddaje. Różnie Pan Bóg losem ludzkim kieruje – mruknął Murray, ocierając usta z piwa.

– Może i pan, mości oficerze, takie masz ciągoty? Z postury wnoszę, że nadałbyś się na duchownego – rzucił zgryźliwie gospodarz, nierad, że Szkot po raz kolejny mu przerwał. Murray wzruszył na to ramionami, ale już się nie odezwał, spiorunowany wzrokiem przez Stillera.

Westchnąwszy, Pamiętowski ciągnął dalej:

– Kilka lat tak minęło. Okrzepł Rudyłowski, zmężniał, trochę grosza odłożył. O ożenku znów zaczął myśleć. Tak się jednak sprawy miały, że owa Helena, mimo wszystkich zdarzeń, z głowy mu nie wywietrzała. Bo to różnie bywa. Jeden, na ten przykład i ja, nie usiedziałyby z jedną babą. Inny zaś, jak raz pokocha, to nijak zapomnieć nie może. Jak ten łabędź^[140] ogłupiały w wierności trwa, choćby i najmniej rozumnej. Taki też charakter u pana Hieronima się objawił. Zbierał się tedy, aby znów na północ pojechać i wybadać, jak się sprawy mają. Na cud jakiś liczył, że dziewczka, przecież już ponad dwudziestoletnia, jeszcze nie poszła za mąż ani do klasztoru. Nim jednak wyruszył, wieść nagle przyszła, że pan Herburt ze swoich peregrynacji po świecie do Lwowa powrócił. Może by to i specjalnie Rudyłowskiego nie obeszło, gdyby zaraz za tym nie odnalazł go specjalny posłaniec od pana Eryka, który list mu dał. W nim zaś stały

przeprosiny i szczerą prośbę o wybaczenie dawnych przewin oraz propozycja, aby pan Hieronim wybrał sobie z dóbr Herburtowych wieś jaką albo przysiółek i w dzierżawę wziął dożywotnią. Zapraszał też pan Herburt dawnego towarzysza do Lwowa, aby spotkać się, szczerze pomówić i rzecz całą ułożyć tak, jak Rudyłowski sobie zażyczy. Zaiste, nie mógłby się spodziewać bardziej promiennego uśmiechu fortuny. Na zadowolonego jednak ponoć dawny pocztowy nie wyglądał. Mimo to pojechał zobaczyć się z panem Erykiem. Jak i o czym gadali, nie mogę rzec. Tyle tylko, iż wyjechawszy ze Lwowa, miał już Rudyłowski przyobiecana dzierżawę Beniowej. Czym prędzej pojechał więc sprawdzić, co też z jego wybranką się dzieje. Dziewkę niezamężną wciąż zastał, bo raz, że posagu żadnego Pilachowscy dla niej nie mieli, a dwa, odbiła się echem wśród okolicznej szlachty sprawa z Herburtem. Ruszanej za żonę nikt nie chciał. Inaczej tedy już z Rudyłowskim rodzice Heleny, posuniętej przecież w latach, rozmawiali. Chętnie by się córki pozbyli, tak aby z oczu innym zeszła i o wstydzie nie przypominała. Prędko więc do porozumienia z przyszłym zięciem doszli, rękę córki przyobiecując. Ta jednak opór dziwny stawiała. Przekonał ją w końcu pan Hieronim, lecz przyobiecować musiał, na krzyż święty przysięgając, iż mimo dzierżawy Herburtowej nigdy, ale to przenigdy noga pana Eryka w Beniowej nie postanie, ani też przymusem, podstępem lub innym sposobem nie sprawi, aby się kiedykolwiek Helena z właścicielem wsi spotkała. Kiedy dał takie słowo, zgodziła się dziewczka pójść za niego za męża. Tak sobie myślę... – uśmiechnął się – ...iż w sumie w smak był ów warunek panny Rudyłowskiemu, bo przecież pamiętał, jak mu ją Herburt przed nosa zwinął, a potem, zbałamuciwszy, precz rzucił. Zresztą i on chyba nie myślał bliższych stosunków z dawnym towarzyszem utrzymywać, poza tymi, które z obowiązku dzierżawcy wobec właściciela wynikają. Po ślubie tylko raz pojechał bowiem do Lwowa i tam umowę spisano niezwykłą w swej treści. Sam jej nie widziałem, lecz mówił mi jurysta Herburtowy, iż bardziej wyglądało to tak, jakby Rudyłowski łaskawie Beniową przyjmował, niż Herburt mu ją dawał. Tylko czynsz na zwyczajnym poziomie został ustalony, choć ponoć pan Eryk nalegał, aby

był niższy. Uparł się jednak pan Hieronim, uniesiony widać honorem, i swoją kwotę dał.

Na chwilę umilkł gospodarz, spoglądając na oficerów, by ocenić, jakie też na nich wrażenie sprawiła dotychczas opowiedziana historia. Po minach poznał, iż ciekawi są jej dalszego ciągu. Stiller zaś, korzystając z chwilowej przerwy, powiedział:

– Musi z wdzięczności za ocalenie życia oraz trochę z wyrzutów sumienia tak się imć Herburt zachował. Przecież jednak na własność wsi nie podarował, więc nie posunął się nadto, niż zobowiązanie z przeszłości mu kazało. Może to i trochę dziwne, lecz w żadnym razie nie niepojęte. Miał z czego sobie pan Eryk na taki gest pozwolić.

– No to słuchaj waćpan dalej. Osiedli państwo Rudyłowscy w Beniowej, do pracy się ochoczo zabrali. U siebie jakby byli, bo nikt im nosa w nic nie wtykał. To za ich sprawą młyn powstał, jak też pola nowe wykarczowano czy folusz^[141] postawiono. Z roku na rok lepiej im się działo i grosza coraz więcej mieli. Jeden tylko kłopot spędzał panu Hieronimowi sen z powiek. Mimo starań potomstwa nie mógł się doczekać. Szczodrce cerkiew wspierał, modły wraz z żoną odprawiał, znachorów wzywał albo też sam do nich jeździł, świętych mężów odwiedzał. Na nic to wszystko. Jak nie było dzieci, tak nie było. Wspomnę przy tym, iż pani Helena przy rzymskim katolicyzmie pozostała, a jej małżonek nadal był prawosławny. Stąd przyszło jej do głowy, iż może to owa różnica sprawia, iż brzemienną zostać nie może. Zamiast jednak samej przystąpić do Cerkwi, męża na porzucenie wiary przodków namówiła. Bardzo to sprytnie zresztą uczyniła, dając mu przykład cudu Świętego Idziego. Gryzł się pan Hieronim trochę, lecz w końcu w rzymskim obrządku się ochrzcił. A zaraz po tym pieszo na pielgrzymkę do Krakowa poszedł, w intencji błogosławieństwa rodzicielstwa. Kilka tygodni mu droga w tę i we w tę zajęła. Kiedy do domu powrócił, nowe porządki w Beniowej zastał.

– Coś się zdarzyło pod jego nieobecność? – Niemiec zmrużył oczy.

– Najpewniej. – Gospodarz skinął głową. – Co jednak, tego nikt do końca nie wie, a chłopci różnie o tym mówią. Dość, że psów wszelakich przy

swoim domostwie Rudyłowski zastał tak samo wiele, jak wtenczas, kiedy od matki Herburta do Pilachowskich zajechał. Nadto żona jego z domu przestała wychodzić, jakby bała się czegoś. Co mężowi powiedziała, nie wiadomo. Między sobą rzecz wyjaśnili. Dziewięć miesięcy później pani Helena powiła córkę, ową Anusię, co ją tak pan Hieronim ukochał.

– A co wieśniacy powiadają? – zapytał Murray.

– Najczęściej starzy słudzy Rudyłowskiego mówili, iż pani w las konno pojechała, bo też lubowała się w takich przejażdżkach, a wróciła stamtąd przerażona i w odzieniu poszarpanym. Rzekomo wierzchowiec ją poniósł i spadła. Po tym jednak psy kazała sprowadzić i we dworze się zawarła, na męża czekając. Dopiero kiedy wrócił, uspokoiła się nieco. On zaś chwilę potem do Lwowa pojechał.

– Dziwna to rzecz i do różnych domysłów skłania. – Stiller palcami przejechał po zmarszczonym czole.

– W rzeczy samej – przyznał gospodarz, dodając: – Tym bardziej że córkę niewiele później powiła. Chyba rozumiecie, panowie oficerowie, co mam na myśli.

– Gwałt? – Szkot odchylił się w krześle. Po dłuższej chwili, jakby ważąc coś w głowie, zapytał: – Jakże się pani Helena do dziecka odnosiła?

– Tak samo córkę miłowała jak mąż. Wszystko dla niej gotowa by zrobić. Nawet to, że się niemotą okazała, nic nie zmieniło. Jak oka w głowie jej pilnowali, nigdzie samej nie puszczali. Ona zaś do nich lgnęła, oddana i posłuszna. Śliczne to było dziewczę, jak z obrazka jakiego. Tylko z głową coś nie tak u niej było.

Dopił piwa, westchnął i głową pokiwał. Po dłuższym momencie milczenia podniósł wzrok.

– Zwierząt wcale się nie bała. Choćby i najgroźniejsze było, jak do niego podchodziła, potulniało niczym baranek. Mówili chłopci, iż raz, gdy trzy czy cztery lata ledwie miała, znalazła lisa w kurniku. Ubić go chciał pacholek cepem, bo rzucał się wściekle, ale ona na drodze stanęła, zwierza na ręce wzięła, a on lizał ją po dłoniach i twarzy, jak go niosła. Wypuściła szkodnika. Albo też konia ujarzmić nie mogli słudzy. Szarpał się, kopytami

bił. Nie wiedzieć jak do zagrody wlała i na oczach przerażonych chłopów po łbie go zaczęła gładzić, a ogier na ziemi się pokornie położył.

– Cuda jak z opowieści o Świętym Franciszku – mruknął Murray, nie dowierzając.

Machnął ręką Pamiętowski, rzucając obojętnie:

– Co chcesz, możesz myśleć, panie poruczniku. Ja swoje wiem. Było, jak mówię.

– Co dalej się stało? – zapytał Niemiec, aby do zbędnego przekomarzania nie dopuścić.

– Dalej? Kilka lat od narodzin córki w spokojności ponoć minęło. Tyle że Rudyłowski wtenczas chłopów jak dziadowskie bicze rozpuścił, bo traktował ich niemal jak sobie równych. Długo mi zajęło, nim osiadłszy tu, przywróciłem właściwy porządek rzeczy. Krnąbrni się stali i leniwi. Tak jakby to pan dla nich miał być, jak opiekun jaki, a nie oni dla pana. Zresztą... – machnął ręką – ...nieważne. Do rzeczy wrócę. Cztery lata mijają, jak przyszło do owego nieszczęścia, jakim był zgon nagły pani Heleny. Niespodziewanie zupełnie to się ponoć stało. Rano jeszcze rześka i zdrowa była, a w południe, na łące, na ziemię padła od razu martwa. Lato to było, więc chłopci powiadają, że południca^[142] ją zabiła. Pewnie apopleksji dostała albo też serce jej stanęło. Załamał się wtenczas całkiem prawie pan Rudyłowski, bo że żonę nad życie kochał, nikt zaprzeczyć nie może. Córka mu tylko została. Wtenczas też do kolejnej niewyjaśnionej rzeczy przyszło.

Ręką wskazał za okno, za którym już mrok zapadał.

– Widzieliście, jadąc, cmentarz tutejszy przy cerkwi? Prawda?

– Widzieliśmy – przyznał Saksończyk.

– Tam miała zostać pochowana. Bo chociaż to prawosławnych miejsce, to żaden z chłopów ani nawet pop się nie przeciwstawił, w takim szacunku i umiłowaniu mieli wszyscy tutejsi panią Rudyłowską. Ale inaczej się ostatecznie stało. Dwa dni po tym, jak zmarła żona pana Hieronima, do Beniowej zajechał pan Eryk Herburt.

Stiller drgnął, spojrzawszy wymownie na Murraya. Nie odezwał się jednak, słuchając dalej Pamiętowskiego. Ten zaś, zauważywszy żywe zainteresowanie gości, kontynuował:

– Nikt się go nie spodziewał, bo też inaczej się przecież z panem Rudyłowskim ułożył. Ale nie mógł przecież wyrzucić dzierżawca właściciela majątku. Przyjął go więc w tym właśnie dworze, w którym teraz siedzimy. Może nawet w tej samej izbie. – Po tych słowach oficerowie odruchowo rozejrzeli się po komnacie. Szlachcic zaś ciągnął opowieść: – Zamknęli się we dwóch ani o jedzenie, ani o picie nie prosząc. O czym gadali, Bóg jeden raczy wiedzieć. Służący z tamtego czasu powiadali, że słychać było głosy podniesione, a nawet kłótnię jakąś gwałtowną. Kilka godzin to trwało. Na koniec wreszcie razem wyszli, obaj ponurzy i milczący. Wtenczas też pan Rudyłowski dał rozkaz, który wszystkich zadziwił. Oznajmił, iż pochówek jego żony odbędzie się w krypcie kościoła Świętego Marcina w Fulsztynie^[143], i nakazał sługom natychmiast się do drogi szykować.

– Co też waćpan mówisz?! – zakrzyknął Szkot.

– Właśnie! – podchwycił Pamiętowski. – Wszyscy sobie to pytanie do dzisiaj zadają. Jakże to? Przecież w fulsztyńskim kościele Herburtów chowają! Odpowiedzi nikt jednak nie zna.

– I zgodził się na to Rudyłowski? – upewnił się Niemiec.

– Zgodził. – Gospodarz skinął głową. – Następnego dnia kondukt ruszył, aby te blisko trzydzieści mil przebyć. Trumnę zaś w asyście miała straż z pachółków pana Eryka złożona. Na czele jednak nie on był, lecz pan Hieronim z córką. Sam zaś Herburt orszak zamykał, jadąc z tyłu w swoim powozie. Na własne oczy widziałem tych żałobników, jak przez Ustrzyki jechali.

– Zaiste, aż nieprawdopodobne to się zdaje. – Stiller pokręcił głową.

– Nieprawdopodobne, lecz prawdziwe. Do dziś pewnie leży w trumnie Helena Rudyłowska z domu Pilachowska w krypcie Herburtów w Fulsztynie. Zwykła szlachcianka pośród magnatów spoczęła. I nikt spośród krewniaków pana Eryka przeciw temu nigdy nie zaprotestował. –

Pamiętowski wyciągnął palec w górę dla podkreślenia swych słów, powtarzając: – Nikt nigdy!

Zapadło milczenie. Cudzoziemcy, przegryzając wolno, zastanawiali się nad tym, co usłyszeli od gospodarza. Stiller wiedział, iż jeśli jest to prawda, w tym tkwić musi klucz do rozwiązania zagadki zdarzeń z Zatwarnicy. Zdało mu się, iż prawie już wie, jaka może być prawda. Nie dał jednak po sobie nic poznać. Zerkając na Pamiętowskiego, zapytał:

– I co dalej było?

– Dalej? – Szlachcic wzruszył ramionami. – Wrócił Rudyłowski z Fulsztyna, manatki spakował i do Bałwańskiego odjechał. Nie mogli pojąć tego wieśniacy, ale też przed nikim się ich pan nie tłumaczył. Zabrał córkę i już. Zniknął. Tak się pewnie z panem Erykiem musiał ułożyć. Wtenczas ja się u pana Herburta o dzierżawę wystarałem i od tamtej pory tu jestem. Po mojemu głupio zrobił pan Hieronim, zamieniając wieś zasobną na byle jaki przysiółek. Widać jednak na niczym już mu nie zależało. Okazało się, że po śmierć córki i po swoją tam poszedł. Ją bowiem, jak słyszałem, choroba zmogła, a on się obwiesił. Ot, koniec owej historii.

Niemiec pokiwał głową. Pomilczawszy dłuższą chwilę, zmarszczył brwi.

– Tedy wyjaśnij waszmość, bo pewnie nie bez przyczyny nam to opowiedziałeś, jakim sposobem, według ciebie, posiadał pan Hieronim Rudyłowski owe pięćdziesiąt tysięcy?

Szlachcic się uśmiechnął.

– Nie domyślasz się, panie oficerze?

– Może i tak – mruknął Saksończyk – ale twoje zdanie pragnąłbym poznać.

Pamiętowski przechylił się nad stołem, łypnął ku Stillerowi i zniżonym głosem rzekł:

– Po mojemu to Herburt dał mu to złoto. Była jakaś tajemnica między nimi, która za tym stała. Może to sprawa owej Heleny, a może i coś więcej. Na ten przykład o córkę szło...

Zawiesił głos. Odchylając się w krześle, dokończył:

– Wiesz chyba, panie poruczniku, o czym mówię.

Niemiec kiwnął głową. Murray zaś dla jasności podsumował:

– Czyli że mniemasz waćpan, iż Anna była córką Herburta, na którą dał pieniądze, ale że zmarła, nie użył ich w żaden sposób Rudyłowski? Albo też honorem powodowany zachował je i przeznaczył na Kościół?

– Może tak być – przyznał skwapliwie gospodarz.

Saksończyk, zmrużywszy oczy, rozłożył ręce.

– Ciekawą nam waszmość historię opowiedziałeś. W istocie, zagadkowa to sprawa. – Ułożył dłonie na stole. – Sam jednak rozumiesz, że więcej w niej przypuszczeń niż odpowiedzi. Nadal bez rozmowy z panem Herburtem nic nie wiadomo. Bo tylko on i Rudyłowski znali prawdę.

Skrzywił się pan Pamiętowski, niechętnie kiwając głową. Nie patrząc Stillerowi w oczy, mruknął:

– Ale też, jeśli prawdą są moje przypuszczenia, chyba bez nagrody jakiej nie pozostanę?

Niemiec odetchnął ciężko kilkakroć przez nos. Popatrzył na Szkota, pogładził się po brodzie. W końcu zaś odpowiedział:

– Powtórzę jegomości biskupowi, co rzekłeś. Jeśli u pana Herburta, albo gdzie indziej, uzyskamy potwierdzenie, że to on dał owe pięćdziesiąt tysięcy Rudyłowskiemu, Jego Eminencja z pewnością waszmości doceni. Zważ jednak, iż wiele innych może być źródeł owego majątku. Sam rzekłeś, iż pan Hieronim odłożył trochę grosza, zajazdami się parając. Potem lat kilka z powodzeniem gospodarzył. Na koniec zaś mógł jakieś odstępnę od Herburta wziąć za wypowiedzenie tutejszej dzierżawy. Jeśli zaś jakaś tajemnica w tym jest, to z pewnością pan Eryk nie będzie skłonny jej wyjawić.

– Sługa jeszcze Rudyłowskiego został, jak słyszałem – wycedził szlachcic. – Jego pytajcie. Bo z tego, co ludzie gadali, ów Matjas jest jednym z tych trzech pacholków, którzy w Inflantach byli i na własne oczy niektóre rzeczy widzieli.

– Zapytamy – odrzekł Niemiec. Zaraz też dorzucił: – Mówiłeś jeszcze waszmość, że wiesz, gdzie pana Eryka spotkać można. Dobrze pamiętam?

Szlachcic uśmiechnął się krzywo.

– Wiem.

Wytrzymał chwilę wbite w niego pytające spojrzenia, wolno dolewając sobie piwa i upijając kilka łyków. Wreszcie, westchnąwszy z zadowoleniem, otarł usta rękawem.

– Raz w roku, w rocznicę śmierci pani Heleny Rudyłowskiej, na początku sierpnia, jedzie pomodlić się do Fulsztyna. Tam go zawsze można zastać.

Stiller pokręcił głową.

– To ponad cztery miesiące jeszcze.

– Szybko wam zleci – stwierdził złośliwie szlachcic, dodając: – Szukać go po majątkach, to jak wiatr w polu ścigać. Nawet jeśli jest gdzieś, sługom każe mówić, że go nie ma. Nie lubi z ludźmi przestawać. Listami sprawy załatwia.

Niemiec, dopiwszy resztę piwa, odsunął cynowy kufel. Pomilczał, zerknął na szkockiego towarzysza, sięgnął po kapelusz. Wstając, skłonił się lekko gospodarzowi.

– Cóż, mości Pamiętowski. Ważne i ciekawe rzeczy nam waćpan rzekłeś. Tym bardziej pora tedy chyba nam się zbierać, aby jakiegoś noclegu poszukać, bo zmrok zapada. – Wskazał wymownie za okno. – Jutro zaś w dalszą drogę ruszamy.

Zawahał się szlachcic, nie wstając nawet z miejsca dla pożegnania. Pogładził się po przyciętej po szlachecku czuprynie. Wreszcie wycedził niechętnie:

– Nocleg u mnie się znajdzie. Szukać nie musicie. Bylebyście dobrze Jego Eminencji arcybiskupowi sprawę zdali. A nocą, jakby kto przyjechał, nie dziwcie się. Na gości czekam, których też lepiej, abyście nie spotkali. Ot, czasem ludzie niechętnie nowe znajomości zawierają. – Zmarszczywszy

nos, dodał po chwili: – Panu Herburtowi nie powtarzajcie, że ode mnie to wszystko słyszeliście. Pewnie nierad byłby.

– Ani mi to przez myśl nie przeszło. – Saksończyk skinął głową. – Co zaś do gości waćpana, nie nasza to rzecz. – Uśmiechnął się, spoglądając wymownie na ściany izby. – Znać, że masz waszmość głowę do interesów, ale wnikać w nie nie zamierzamy.

Czujnie i nad wyraz trzeźwo jak na ilość wypitych trunków zerknął pan Pamiętowski na oficera, ale nie dostrzegł w nim żadnej złośliwości. Uśmiechnął się tedy, gestem zapraszając Niemca, by usiadł ponownie. Dolewając piwa, rzucił:

– Skoro tak, napijmy się więc za powodzenie misji waćpanów. Niech i mnie ona pożytek przyniesie.

ROZDZIAŁ X

BACZA

Wyległo zatwarnickie chłopstwo pomiędzy chałupy, jak na zbawcę spoglądając na zaklinacza z Łumnej idącego wolno drogą w towarzystwie dwóch braci z Sikawca. Długo na niego czekać musieli wieśniacy, nim przybył. Wiele zła się w tym czasie zdarzyło, a serca ludzkie wypełniły się trwogą. Teraz nadzieja zakiełkowała w przerażonych duszach, że wreszcie skończy się to przekleństwo, które ktoś na wieś z przysiółkami rzucił. Nawet pop nowy, Wasyl, stał obok cerkwi i krzyżem znachora błogosławił jak jakiego niebiańskiego posłańca. Uchodził bowiem stary Babej nie tylko za najlepszego pośród baczów, lecz także za tkniętego boską łaską jurodiwego^[144], który w imię Chrystusa działa, zwalczając demony wszelakie. Sławy tej nie było w stanie przyćmić nawet to, iż słono liczył sobie za swoje usługi. Nie pożałował jednak nikt grosza, by złe odeszło i spokój dawny powrócił.

Mały był Babej i niepozorny. Byle jako odziany, z kosturem sękatym w dłoni. Siwą brodę do pasa miał, a tegoż samego koloru włosy gęste i skudłane wyłaziły mu spod wytartej czapy. Mimo że zgarbiony, rześko szedł, przyzwyczajony do wędrówek. Kawał bowiem świata schodził, zwalczając potwory i zaklęcia odczyniając. Żaden też dotychczas upiór ani strzyga czy wąż nie był w stanie mu się oprzeć. Jak wieść niosła, duszę bestii modlitwą przymuszała, aby do worka wlała, który następnie święconym sznurem wiązał i w rzece na wieki topił. Ciało zaś starym sposobem traktował, albo palić każąc, albo też głowę ucinając, serce osikowym kołkiem dziurawiąc lub głowę zębem od brony traktując. Obojętne było chłopom, jak rzecz uczyni, byleby tylko zatwarnickiego upiora ubił i ludzi od lęku wyzwolił.

Kiedy ze wsi wychodził, kierując się na przysiółek Bałwańskie, jakoś tak sama z siebie utworzyła się za nim milcząca procesja chłopstwa. Szli

wszyscy przez rozmiękłą wiosenną ziemię, co z daleka sprawiać musiało wrażenie jakiegoś nieznanego obrządku. Tym dziwniejszego, że pop, zamiast na czele pochodu, szedł na końcu, a zaczynał korowód dziad, przy którym maszerowali kolorowo i bogato odziani szlachcice.

Schował się pan Jeremi Winnicki w swym dworze, ani myśląc nosa wyściubiać. Dość miał wszystkiego, tym bardziej że karbowego Gawryły mu brakło, a dwa tygodnie wcześniej dwójkę jego zabójców musiał obwiesić. Gdyby nie najęci w Dwerniku Sabaci, trudna byłaby sprawa z nakazaną przez pana Herburta egzekucją, bo jakoś nikt się do niej nie kwapił. Po tym zaś wszystkim krzywo patrzyli włościanie na dzierżawcę, który dobrze w pamięci miał, co potrafią uczynić, jak się rozeżlą. Napaści podbuntowanych wieśniaków nie były niczym niezwykłym, a niektóre i śmiercią szlachcica się kończyły. Drżał tedy pan Winnicki o swe zdrowie i życie, słusznie mniemając, iż im mniej będzie się teraz do czegokolwiek mieszał, tym lepiej dla niego. W duchu żalił się płacząco na okrutny los, który zesłał go w miejsce tak straszliwe i groźne. Coraz też częściej przemyślał zaczął, aby stare lata spędzić w klasztorze zamiast na dzierżawie. Kusił go zakonny spokój, a przy tym mniemał, że modlitwą mógłby odpokutować, a nawet i zgasić w sobie grzeszne myśli tyczące tureckiej miłości^[145], jakiej pragnął. Zły duch podszeptował mu jednak, iż pośród braciszków wielu młodych się znajduje, tęsknych za cielesnymi uciechami, stąd nie z cnoty, lecz z lubieżności wynika jego nagłe do stanu zakonnego powołanie.

Przeszedłszy polami, ludzie minęli opustoszały prawie dwór Rudyłowski, w którym teraz mieszkał samotnie stary sługa Matjas. Nawet nie wyszedł przed domostwo, choć obserwował rzecz zza na wpół wybitych okien. Nic już straszniejszego nie mogli chłopci uczynić jego martwemu panu ani Anusi. Pozostało wiekowemu pacholcowi tylko posepnie przyglądać się głupiej i zabobonnej ciżbie, a pod nosem czasem uśmiechać złym grymasem nad jej bezrozumnością. Wiedział bowiem, że nic, co czynili chłopci i Zatwarniccy, nie mogło zapobiec straszliwej przyszłości, jaka czekała wszystkich winnych zbrodni skalania zwłok

ostatnich z tutejszych Rudyłowskich. Czaił się na nich nieubłagany sędzia i kat, który nie spocznie, póki nie dokona krwawego dzieła. Matjas zaś zamierzał się temu przyglądać aż do samego końca.

Minąwszy zabudowania, korowód posunął się przez ledwie pokryte trawą błoto ku kurhanowi. Niektórzy ludzie, zbliżając się tam, zegnali się nabożnie. Inni przystawali, oglądając się za siebie i ostatni raz się zastanawiając, czy słusznie czynią, idąc w przeklęte miejsce. Ostatecznie, wiedzeni instynktem gromady, ruszali przed siebie, tak z ciekawości, jak z obawy, żeby na pośmiewisko się później nie wystawiać. Tym bardziej iż idący na końcu pop krzywo patrzył na tych, co się zbytnio ociągali.

Doszedłszy do podnóża pagórka, Babej się rozejrzał. Łatwo poznał ślady po dawnym ognisku i odnalazł miejsce, gdzie krew wyciekła po odcięciu głowy dziewczynce. Ręką nakazał wszystkim zatrzymać się i pozostać na miejscach. Nie bacząc na szlachecki stan towarzyszących mu mężczyzn, odsunął od siebie Kacpra i Baltazara Zatwarnickich, którzy też ustąpili mu wyjątkowo pokornie. Sam zaś przeszedł powoli, wpatrując się w ziemię. Mruczał coś do siebie pod nosem, ale nikt nie mógł usłyszeć co.

Stanął nad porudziałą wciąż od krwi ziemią, odetchnął kilkakrotnie głęboko, a potem nosem pociągnął, jakby węsząc. Skrzywiony siwą brodę przyglądził. By upewnić się widać, przyklęknął, odkładając kostur. Wziął pomiędzy palce szczyptę wilgotnej ziemi i roztarł. Pod same nozdrza podsunął, a potem językiem posmakował. Pokręciwszy głową, splunął. Minę zaś taką miał, iż przeżegnali się stojący w kupie ludzie. Zaszemrała szeptana przez niektórych modlitwa.

– *Hospodi, Isusie Christie, Synie Bożyj, modlitw radi Prieczistyja Twojeja Materie i wsiech swiatych, pomiluj nas*^[146].

Bacza nawet uwagi na to nie zwrócił. Powstał, podpierając się kijem, nogą jeszcze raz ziemię poruszył, aż w końcu zadarł głowę na górkę z krzyżem. Poprawiwszy czapę, powoli ruszył na wzniesienie, nie oglądając się na nikogo.

Długo mu zajęła wspinaczka, choć nie było wysoko. Wiek robił jednak swoje, a i błoto oblepiało mu schodzone buty. Stanąwszy na szczycie, jak

przystało wiernemu prawosławnemu, przeżegnał się trzykroć i skłonił przed znakiem męki Pańskiej, nim cokolwiek zaczął. Przy okazji odsapnął też nieco.

Rozejrzał się, od razu odnajdując byle jak zasypany grób Anusi Rudyłowskiej. Dwa kroki obok była jama, gdzie Matjas pana Hieronima pochował. Wciągnąwszy go, chłopci nawet nie pokusili się, aby ją zagrzebać. Ziała teraz, jakby krzyząc ku niebu o niesprawiedliwości, która tu się stała.

Przeszedłszy kawałek, Babej stanął nad mogiłami. Kostur wetknął w ziemię, oczy przymknął i wznosił głowę. Pomarszczoną twarz oblały mu promienie słoneczne, szepcząc o tym, czego inni wiedzieć nie mogli.

Długo tak stał nieruchomy. Wieśniacy utkwili w nim wzrok niczym w jakimś proroku, który za chwilę objawi im arcyważną prawdę. W istocie ze swą siwą brodą stary Babej wyglądał jak profet^[147], który właśnie z samym Bogiem rozmawia. Kiedy zaś głowę opuścił i oczy otworzył, cisza zapadła jak makiem zasiał. Nawet Zatwarniccy nie odważyli się go ponaglać.

Oczy gawiedzi rozszerzyły się w niedowierzaniu, gdy bacza przyklęknął przed grobem dziewczynki, przeżegnał się i pochylony pacierz zaczął odmawiać zamiast zaklęcia jakiegoś. Skończywszy, powstał i palcami znak krzyża w powietrzu wykonał. Wreszcie odwrócił się ku ludzkiej gromadzie u stóp pagórka, powiódł wzrokiem tak, jakby na każdego z osobna patrzył i pokiwał głową. Nic się nie odezwał, tylko z kurhanu z trudem zaczął schodzić.

Rzucili mu się pomóc dwaj chłopci, pod ramiona go chwyciwszy. Tak przed oblicze Kacpra Zatwarnickiego został doprowadzony.

Niecierpliwiał się szlachcic, z nogi na nogę przestępując. Straszliwa śmierć brata i obraz poszarpanego ciała wciąż tkwiły zadrą w jego sercu. Chciał zemsty na czymś, co się owej zbrodni dopuściło. Każdym sposobem i za każdą cenę. Byleby tylko mu wróż powiedział, co ma uczynić. Tak naprawdę jednak w głębi swej duszy Kacper Zatwarnicki pragnął przestać się bać. Lęk bowiem, jak rak, powoli zaczynał zżerać go od środka,

sprawiając, iż nocą budził się ze snu, nie pamiętając nawet koszmaru, który to sprawił. To, co czało się w mroku, przenikało do jego umysłu, osaczając jak drapieżnik swą ofiarę.

Stanąwszy przed nim, starzec zmierzył go wzrokiem, pokiwał lekko głową i ręką znak krzyża nakreślił, błogosławiąc. Zniecierpliwiony szlachcic wycharczał przez zęby:

– Mów!

Nie spieszył się Babej z odpowiedzią. Machnąwszy dłonią za siebie, wycedził po chwili:

– To nie ona. Żleście uczynili. Bardzo źle.

– Do rzeczy gadaj!

– Sami klątwę na swoje głowy sprowadziliście. Nic tu po mnie.

Zatwarnicki, wiedząc, że patrzą na niego chłopi, przysunął się bliżej baczy. Schylając się nad nim, wysyczał:

– Płacę ci, więc zrób, co trzeba. Radę choć daj!

– Radę? – Czarownik zmrużył oczy. – O radę trzeba było prosić, nim jej ciało bez potrzeby pohańbiliście. Teraz żadnej rady już nie mam.

– Nie prowokuj mnie ty... – Palce uniesionej dłoni szlachcica zacisnęły się w pięść tuż przy siwej brodzie starca. Babej tylko się uśmiechnął.

– Dziewka żadnej szkody wam nie czyniła. Umarła, a jej dusza do nieba prosto poszła. Żadna z niej strzyga była.

– A to by było poduszone? Ślady na chałupach?

– Nawet bestia żal odczuwa, jeśli straci kogoś, kogo kochała. Krzywdy żadnej ludziom by nie uczyniła. Kiedy by jej rozpacz przeszła, odeszłaby tam, skąd przyszła. Odżałowałibyście te parę owiec czy krów. Prędko spokój by znów nastał. Czasem cierpliwym trzeba być, zamiast pochopnie głupstwa czynić.

Oczy pana z Sikawca zwężyły się w szparki. Szepecząc, tak by nikt nie słyszał, wysapał:

– Ludzi dwóch potwór zabił!

– Jak ciało chcieli bez przyczyny pohańbić. Dał wam znak, abyście mogli pod krzyżem świętym nie tykali. Taki sam na trupie wyrył. Niczego więcej nie chciał jak spokojności wiecznej dla niej. – Ruchem głowy wskazał na wzgórek, gdzie spoczywała dziewczynka. – Przeszał po tym nawet bydło kaleczyć, prawda?

Zatwarnicki przełknął ślinę. Zakławszy pod nosem, zapytał:

– Co robić?

– Modlić się, bo tym, co dziecko z grobu wyjęli i zwłoki sprofanowali, śmierć pisana. Wszystkim bez wyjątku. Nic już ich nie uchroni. A pewnie i ojca spalonego pomści. Na łowy wyszedł. Pewnie nawet teraz na nas spogląda.

– On?! Jaki on?! – wycharczał szlachcic dławiącym się głosem. Odruchowo rozejrział się wkoło.

– Zobaczysz go, jak przyjdzie po ciebie. Zmiennokształtnym go nazywają. Pod postacią wilka nadejdzie. Ani on dobry, ani zły. Bez przyczyny śmierci człowiekowi nie zada. Ale kiedy raz komu ją zapisał, nic go od tego nie odwiedzie. Krążyć będzie dopóty, dopóki swego celu nie dopnie. Żadne czary ni zaklęcia tu nie pomogą. Bo tak samo on z tego świata jak i ty.

Zbliżył się Baltazar do brata, chcąc rozmowie się przysłuchać. Już otwierał usta, by pytanie zadać, kiedy odepchnął go Kacper gwałtownie, tak że prawie na ziemię upadł. Starszy z Zatwarnickich nawet głowy ku niemu nie odwrócił. Zamiast tego wprost w twarz baczy rzucił pytanie:

– Jak go zabić, skoro jest z tego świata co ja?

– Zabić? – Babej zmarszczył brwi. – Żelazo się go żadne nie ima, ani też ołów czy drewno, chyba że stwór ten w ludzkiej jest postaci. Srebro tylko przeciw niemu dobre. Ale nie słyszałem o takim, który zdążyłby go przeciw niemu użyć, kiedy się w swym prawdziwym kształcie objawił.

Mężczyzna, chwyciwszy baczę za ramię, ścisnął, szepcząc mu wprost do ucha:

– To usłyszysz, starcze! – Odchylając się w tył, uśmiechnął się sztucznym grymasem i wycedził: – A teraz tak spraw, żeby ludzi uspokoić. Nic nie mów z tego, co mi rzekłeś. Inaczej gorzko pożałujesz.

Zamiast strachu wesołość pojawiła się w oczach Babeja. Jednym ruchem wyszarpnął rękaw bluzy z palców szlachcica. Nie zważając na jego gniew, odwrócił się ku ciżbie i głosem mocnym zawołał:

– Posłuchajcie mnie, ludzie! Oto rzekłem panu z Sikawca, jak sprawy się mają z ową bestią was gnębiącą! Tylko on może jej dać radę, co też właśnie mi oznajmił! W nim pokładajcie nadzieje i w jego odwadze, a ja... – spojrzał wprost w oczy Zatwarnickiemu – ...błogosławię mu w *imie Atca, Syna, Świataha Ducha, amien!*^[148] – Kosturem znak krzyża przed głową szlachcica wykonał. Uśmiechnąwszy się nieznacznie, dorzucił: – Ten to rycerz przyobiecał bowiem rzecz całą zakończyć! Chwała mu za to!

Gwar się wśród gawiedzi podniósł, szeptać ludzie między sobą poczęli. Zatwarnicki zaś, stojąc bez ruchu, zdołał jedynie wycharczeć:

– Tyyy! Ty psie! Dostanę cię! Znajdę!

Spoważniała twarz starego baczy. Chłód odbił się w jego bladoniebieskich oczach. Bez lęku patrząc, odrzekł szlachcicowi jak równemu:

– Nie strasz mnie, chłopcze, bo rzeczy takie widziałem, od których portki miałbyś pełne. O lekką śmierć się módl. Taką radę dla ciebie mam, panie szlachcic, boś już trup.

Nie czekając odpowiedzi, na pięcie się odwrócił i w kierunku chłopów ruszył. Został za jego plecami zamarty z wściekłości pan Kacper, a z nim jego brat i pachołcy, nieświadomi, że i na nich wyrok już został wydany. Wieśniacy zaś kłaniali się nisko panu z Sikawca, wierząc, iż on swą siłą przed potworem zdoła ich uchronić. Stary bacza z Łumnej nie zamierzał pozbawiać ich owej złudnej nadziei, wiedząc, iż najpewniej wielu tylko ona już została. Za nią zaś była śmierć.

ROZDZIAŁ XI

PRZED BURZĄ

– Mości Zatwarnicki! – Stojący wraz z Murrayem przed zamkniętym wjazdem Niemiec przytknął dłoń do czoła, osłaniając oczy od świecącego ostro południowego słońca. – Każ bramę otworzyć! Pogadać chcemy!

Nikt nie odpowiedział. Stiller z zaciekawieniem, a nawet podziwem oglądał umocnienia świeżo wzniesione wokół dworu i folwarcznych zabudowań Sikawca. Palisadę na dwóch chłopów wysoką, wieże do obserwacji oraz zaostrome pale wbite ukośnie nad rowem tworzącym rodzaj suchej fosy. Pokręciwszy głową, mruknął do towarzysza:

– Szykują się jak na tatarski najazd. Dobrze się pan Kacper obwarował. Ciekawe, jak długo w zamknięciu zamierza siedzieć?

Murray obojętnie wzruszył ramionami. Zamiast odpowiedzieć przyjacielowi, zadzierając głowę, zakrzyknął:

– Hej tam! Otwórzcie bramę! Na co czekacie?!

Dłuższa chwila minęła, nim zza palisady wyrzwał uzbrojony w rusznicę pachołek. Ledwie głowę wystawił, zerkając ostrożnie.

– Ktoście wy?! Czego tu?! – zawołał.

– Powiedz panu, że Werner Stiller z Williamem Murrayem zajęchali i pomówić z nim chcą! – odkrzyknął wysoki oficer, zakręciwszy się na koniu.

Skudłany łeb sługi zniknął za belkami. Murray sapnął zniecierpliwiony, bo od dłuższego czasu kiszki mu marsza grały. Zakławszy pod nosem, burknął:

– Patrz! W dzień nawet bramę zawartą mają! Zdarzyło się co czy jak? Może znowu kogo diabli wzięli.

Stiller pokręcił głową.

– To by nam w Dwerniku coś rzekli. Nie ma nowych trupów. Ten bacza, co o nim wczoraj nam w karczmie wspominali, widać coś panu Kacprowi oznajmił.

Zamilkli, wpatrując się w wieżę nad wjazdem, tam spodziewając się zobaczyć któregoś z braci władających Sikawcem. Istotnie, nie omylili się, choć jeszcze dłuższy czas czekać musieli. W końcu pojawił się nad bramą odziany kolorowo szlachcic, w którym łatwo rozpoznali najstarszego Zatwarnickiego we własnej osobie.

Siedząc nadal w siodłach, zdjęli kapelusze i ukłonili się. Stiller zaś zakrzyknął:

– Witaj, mości panie Kacprze! Wpuść nas, bo pomówić z tobą chcemy! Jest chyba o czym, nie sądzisz?!

Szlachcic, oparłszy się łokciami o krawędź umocnień, spojrział z góry. Na powitanie nie odpowiedział, co już źle wróżyło. Jeszcze gorzej można było wnosić po tym, jak nosem pociągnawszy, odcharchnął i splunął ostentacyjnie na ziemię. Potem zaś warknął:

– Precz z mojej ziemi, bo jakim Zatwarnicki, strzelać każe!

– Nie spierać się ani kłócić przybyliśmy... – spróbował wyjaśnić Szkot, lecz właściciel Sikawca przerwał mu gwałtownie:

– Przez was to wszystko, kurwie syny! Precz! – Odwrócił się ku komuś, wołając: – Muszkiet dawaj, Borys! Żywo!

Nie trzeba było więcej, aby oficerowie pojęli, iż nie są we dworze Zatwarnickich miłymi gośćmi. Zgrzytając zębami, szarpnęli konie w tył i kłusem odjechali, aby nie prowokować zwady.

Patrzył na nich czerwony na gębie z wściekłości pan Kacper, wahając się, czy kuli za nimi nie posłać. W końcu, przeklinając szpetnie, oddał broń słudze. Odwracając się, by zejść z wieży, rzucił jeszcze pacholce:

– Żadnego obcego bez mojej zgody nie śmiej za palisadę wpuścić! Na śmierć zachłostać każe, jeśli rozkaz złamiesz!

Oddalili się oficerowie od przysiółka Sikawiec, zmierzając na południe, gdzie poniżej miejsca, w którym potok Głęboki wpadał do rzeki, znajdował

się bród. Woda, mimo wiosny, niska była, dlatego łatwo przekroczyli San. Dalej ruszyli wzdłuż strumienia, zmierzając do Zatwarnicy.

Przyjęci niegościnnie w przysiółku małą mieli nadzieję na miłsze powitanie u pana Winnickiego. To tylko lepsze było, iż pan Jeremi bardziej miną i cierpkim słowem niż rusznicą dał im odczuć, jak nierad był z ich przyjazdu. Nie miał bowiem odwagi ani fantazji Zatwarnickiego, obdarzony tchórzliwą raczej naturą i posturą mizerną.

Przemierzając dolinę, odruchowo niemal spoglądali na wznoszące się ku Działkowcowi pola, pośród których był pagórek z krzyżem. Miejsce ostatniego spoczynku Anusi Rudyłowskiej. Od jej śmierci wszystko się zaczęło, ale nie było w tym żadnej winy owej nieszczęsnej dziewczynki. To ludzki rozum przez swą ułomność zło całe sprowadził, któremu teraz trzeba było jakoś zaradzić. Jak to uczynić, nie wiedzieli jeszcze dobrze jeźdźcy, choć w głowach mieli już domysły, kto stać może za wszystkim tym, co okolicznych chłopów i szlachtę dotknęło. Kłopot w tym był jednak, iż pomiędzy domyślać się a wiedzieć istotna jest różnica. Jakikolwiek zaś błąd więcej szkody niż pożytku mógł przynieść. Aż za dobrze pojmowali to wysłannicy biskupa po tym, co za ich przyczyną po trosze zimą się stało.

Nie wjeżdżali pomiędzy chałupy Zatwarnicy świadomi, że chłopci mogą być im równie niechętni jak dziedzic Sikawca, a spotkanie z nowym popem tylko pogorszyłoby sprawę. Dlatego kierowali się wprost tam, gdzie stały dworek administratora i folwarczne zabudowania. Przynajmniej to domostwo nie wyglądało jak obłązona twierdza, choć wesołego wrażenia też nie sprawiało. Snuli się wkoło przygarbieni chłopci i służba, mało radośni mimo przecież pięknego wiosennego dnia.

Podjechawszy, oficerowie rzucili wodze pachołkowi, którego naprędce przywołali, a sami, poprawiwszy nieco stroje, ruszyli przez błotnistą i rozdeptaną ziemię dziedzica w kierunku ganku. Nie mówili pomiędzy sobą, wypatrując sylwetki niepozornego gospodarza. W głowie Stillera zrodziła się nawet natrętna myśl, iż pan Winnicki mógłby się skryć przed nimi, ale odrzucił szybko to przypuszczenie. Albowiem choć tchórzliwy był szlachcic, to przecież nie głupi i wiedziałby, iż z chowania głowy w piasek

nic mu nie przyjdzie. Istotnie, wylazł w końcu pan Jeremi ze stojącego opodal dworku lamusa^[149], a minę miał taką, jakby mu kto umarł.

Skłoniwszy się, cudzoziemcy podeszli do starszego szlachcica, aby uścisnąć mu prawicę. Podał dłoń, lecz całym sobą dał wyraz swej niechęci. Nie odzywał się, nie pytał, jakby w obawie, że odpowiedzi mogłyby nie być mu miłe. Chcąc nie chcąc, musiał Saksończyk przejąć inicjatywę. Dlatego, wskazując na dworek, zaproponował:

– Podejźmy pomówić chwilę, waszmość.

Winnicki, wzruszywszy ramionami, ruszył przodem, nie oglądając się na nieproszonych gości. Zbierał całą swą mizerną odwagę na to, aby w jednym zdaniu rzec, co sądzi o ich obecności na jego ziemi, i precz pognać. Na razie jakoś marnie mu to szło, lecz liczył, że w domu, gdzie obok będą słudzy, łatwiej mu to przyjdzie.

Przeszedłszy przez próg, pan Jeremi, miast do izby jadalnej, wskazał cudzoziemcom inne drzwi. Okazało się, iż prowadziły do jego małego gabineczku, w którym stały ledwie stół, dwa krzesła, pulpit do pisania i skrzynia, gdzie gromadził papiery tyczące rozliczeń z administracji majątku. Poznali Murray z Saksończykiem, że bardziej wymownie poczęstunku pan Winnicki nie mógłby im odmówić. Tym większą przykrość miał Szkot, który czuł coraz silniejsze ssanie w żołądku.

Dość bezceremonialnie zasiadł gospodarz za stołem, oddzielając się nim od przybyszów jak barykadą. Teraz czuł się bezpieczniej, niż stojąc wraz z nimi przy lamusie. Przy tym pamiętał, iż w szufladzie ma pistolet, który co prawda nabijał Bóg wie kiedy, lecz zawsze mógł groźnie wyglądać w razie potrzeby. Tak naprawdę pan Jeremi doskonale wiedział, iż nigdy nie wyjmie tej broni przeciw nikomu, szczególnie zaś wobec przybyłych oficerów, których gęby jasno dawały do zrozumienia, że do strachliwych nie należą. Na dodatek wysoki Niemiec miał rapier tak długi, iż bez trudu mógłby nim sięgnąć gospodarza, przyszpilając go niczym ćmę do ściany. Mimo wszystko jednak lepiej tu było Winnickiemu niż gdzie indziej. Po cichu sądził także, iż oficjalne przyjęcie skłoni cudzoziemców do rychłego opuszczenia jego progów.

Stiller powoli zdjął skórzane rękawice i zatknął je za pas. Sięgnąwszy za pazuchę, wyjął dwa listy, na których widniały lakowe pieczęcie. Pisma były już otwarte, stąd wniósł pan Winnicki, że nie były zaadresowane do niego. Niemiec lekkim ruchem rzucił je na stół, zachęcając:

– Czytaj waćpan.

Pan Jeremi odruchowo sięgnął do kartek, ale zaraz zastygła mu w powietrzu dłoń. Zmrużywszy oczy, cofnął wyciągnięte już palce, układając rękę na stole.

– A po co mam to czytać? Listów nie czekam. Kto niby pisze do mnie?

– Nie tylko do waszmości. To glejty wystawione przez Jego Eminencję arcybiskupa lwowskiego Jana Andrzeja Próchnickiego oraz metropolitę kijowskiego Piotra Mohyłę, w których stoi, aby nam pomocy we wszystkim udzielać.

Skrzywił się pan Jeremi, zastanowił i zaraz odpowiedział rezolutnie:

– Tu ziemia pana Eryka Herburta, nie arcybiskupa czy metropolity. Ja jestem jego sługą, więc z nim rzeczy załatwiającie.

– Pod groźbą kościelnej klątwy na tego, co się ich woli nie podporządkuje, biskupi swój nakaz dali.

– A czy ja mówię, iż się nie podporządkuję? Nie mój to jednakże dom i nie mój folwark. Ja tylko administruję z woli pana Herburta. Powtórzę raz jeszcze, z nim rzecz ułożcie.

– A gdzie go szukać?

– Do Ustianowej zawsze pisma słać każe. – Złośliwy uśmiech przemknął przez twarz Winnickiego. Wiedział doskonale, że tam, gdzie mówił, nie ma jego pana. A szukać go, to jak szukać igły w stogu siana.

Skrzywiwszy się, Stiller zaklął pod nosem. Rozejrzał się, złapał poręcz wolnego krzesła i przysunąwszy ku sobie, usiadł na nim okrakiem, tak iż łokcie ułożył na oparciu. Nie spuszczał wzroku z pana Jeremiego, wycedził:

– Posłuchaj tedy, panie administratorze Winnicki. Skoro nie ty tu jesteś gospodarz, pytać się ciebie o gościnę nie będziemy. Po prostu we dworze

staniemy, czekając pana Herburta. Z nim się wtenczas ułożymy, jak przyjedzie. Jeśli zaś nie... – uniósł kąciki ust, odsłaniając zęby – ...trudno. I na tym skończę dyskusję z waćpanem.

Szlachcic rozdziawił gębę w niemym osłupieniu. Po dłuższej dopiero chwili zajęczał coś niezrozumiale i rękami zamachał. Na koniec zaś wysapał, poczerwieniawszy na twarzy:

– Sabatów mam dziesięciu z Dwernika! A co!

– Na hetmańskich oficerów poważą się nastawać? He? – Murray postąpił krok w przód, pochylił się i zmrużył oko.

– Aaa! – Winnicki zerwał się z krzesła.

Kłopot był w tym, iż marnie wybrał miejsce na rozmowę z gośćmi. Nie dość, że ciasne, to jeszcze cudzoziemcy, stojąc naprzeciw niego, blokowali mu drzwi. Opadł więc za moment na siedzisko pan Jeremi, a twarz mu na powrót pobladła. Od razu jasne się stało, iż wątłe ciało wyczerpało już cały zapas skumulowanej na tę chwilę odwagi. Saksończyk nie zamierzał jednak pognebiać gospodarza. Zamiast silić się na jakąś złośliwość, niemalże z troską zapytał:

– O co chodzi, mości panie Jeremi?

Zdziwiony tonem głosu oficera administrator łypnął na niego podejrzliwie. Nie znajdując jednak niczego takiego w jego twarzy, co znamionowałoby jakiś podstęp czy kpinę, jęknął, wznosząc oczy ku niebu. Rozłożywszy przed sobą dłonie, zawołał:

– Same nieszczęścia zsyłasz Panie Boże na sługę swego wiernego! A za cóż to?! Za cóż?! Jeszcze tak niedawno łaską twoją obdarzony żyłem!

Cierpliwie wytrzymali Niemiec ze Szkotem ów teatralny wstęp, wiedząc, że rychło gospodarz ku nim się zwróci. Nie omylili się. Opuściwszy oczy, błyszczące i wilgotne od łez, Winnicki załkał:

– Dlaczego mnie prześladujecie, mości panowie oficerowie?! Cóżem wam zawinił?! Nigdy na Rudyłowskiego nastawał! Ba! Pomogłem mu nieraz, jak choćby wtenczas, kiedy dwór mu spalić chcieli! A teraz wszyscy

przeciw mnie! Chłopi się buntują, robić nie chcą! Sabaci najęci rozpuścili się jak dziadowskie bicze! Strach wszędzie! Dlaczego?!

– Ani nam w głowach waszmości prześladować, a rozkaz wręcz przeciwny mamy, aby pomóc.

– Już raz przez was się stało, co się stało!

– Przez nas?! – wycedził Murray, zmarszczywszy nos. – A kto chłopom na drodze stanął, żeby profanacji pochowanego ciała nie czynili?! To nie przez nas Gawryłę chłopi ubili, ale właści to sprawa, bo gdybyś ich krótko trzymał, nigdy by się nie poważyli podnieść kłonic na karbowego!

Stiller uniósł rękę, dając towarzyszowi znak, by umilkł. Nie było potrzeby obrzucać się nawzajem oskarżeniami i obwiniać. Tym bardziej iż skulił się za stołem pan Winnicki, całkiem już się rozczuliwszy nad swoją niedolą.

– Posłuchaj, panie Jeremi. Przyjaciółmi tobie jesteśmy, a nie wrogami. Wiemy, że nie odpowiadasz za zło, które tu nastąpiło. To sprawka Zatwarnickich. Tym bardziej powinieneś rad być z naszego przybycia, bo pomoc w nas będziesz miał i obronę w razie potrzeby. Mówisz, że Sabatów najęłeś i teraz kłopot z nimi. Póty oni dobrzy, póki się im płaci i ręką twardą trzyma. Inaczej więcej z nich szkody niż pożytku. Od razu zaradzić na to możemy, ujmując ich w karby dyscypliny, dając tym wyraz naszej dobrej woli. Więc jak będzie?

Gospodarz zamrugnął, pociągnął nosem i machnął ręką obojętny już na wszystkie szykany losu. Pokręciwszy głową, zajęczał:

– Nieszczęścia same i groźby! Nawet pan Eryk, zamiast ujmować ciężaru, nowy mi dodał! Ot, los okrutny!

– Jakiż nowy ciężar? – zainteresował się Stiller.

– Szlachectwo Zatwarnickim naganił!^[150]

– Co?! – Niemiec aż podskoczył na krześle.

– A tak! – rzekł pan Jeremi. – Na sejmiku wojewódzkim w Sądowej Wiszni^[151] rzecz ma być przeprowadzona.

– Ale dlaczego?!

– Przez to, co córce Rudyłowskiego uczynili i z nim samym później się stało. Oznajmił mi w liście pan Eryk, iż za sąsiadów nie zamierza mieć dłużej Zatwarnickich. Żeby ich pohańbić ostatecznie i z ziemi wyrugować, przedłożył dokumenty, iż pradziad Zatwarnickich był chłopem tutejszym, który zbójowaniem się parał. Gdyby nie to, iż siedzą bracia w Sikawcu i obawiają się nosa wyściubić, pewnie już by mnie najechali.

Zmrużywszy oczy, Niemiec spojrział na Murraya. Ten, sapnąwszy przez nos, mruknął:

– Nieźle sobie to pan Eryk wykoncypował.

– Właśnie. – Saksończyk skinął głową.

Nie rozumiejąc do końca, o czym mówią, administrator folwarku w Zatwarnicy pochylił się nad stołem.

– O czym waszmościowie mówicie?

– A o tym, mości panie Winnicki, iż teraz Zatwarniccy muszą świadków gromadzić i dokumenty zbierać. Na koniec zaś na sejmik powinni ruszyć. Jakże mają to uczynić, kiedy boją się, że jakaś bestia na nich czyha? Widzieliśmy ich gospodarstwo. Niczym twierdza jakaś wygląda. Nie dziw nam teraz, że przyjął nas pan Kacper z muszkietem w ręce. Ma zaiste twardy orzech do zgryzienia.

– Ale że pan Herbut... – Winnicki z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Pan Herbut był w przyjaźni z Rudyłowskim. Nie odpuści tym, których o jego śmierć obwinia. Zaiste postawił Zatwarnickich w sytuacji bez wyjścia.

W oczach szlachcica błysnęła nagle jakaś iskra, jakby teraz dopiero zaczynał wszystko pojmować. Pokiwawszy głową, sam do siebie wyszeptał:

– To dlatego...

– Co dlatego? – podchwycił Szkot.

– Łowy Zatwarniccy ogłosili, wzywając szlachtę okoliczną, aby potwora ubić. Rzekł coś panu Kacprowi ów bacza, lecz nikt nie wie co. Chłopom

zaś oznajmił czarownik, iż to pan z Sikawca musi się z bestią rozprawić, co też rzekomo obiecał uczynić, poznawszy dzięki zaklinaczowi sposób na to.

– Sposób? – Murray łypnął zaciekawiony.

– Kule ze srebra kazał odlewać, a pop je w cerkwi poświęcił. To od nich ma zginąć bestia.

Stiller uśmiechnął się pod nosem. Przyszło mu już kiedyś strzelać ze srebrnych guzów, lecz wciąż nie miał pewności, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. Co innego go zainteresowało.

– Pan Herburt o owych łowach wie?

– Może i wie. – Winnicki wzruszył ramionami. – Głośno o tym.

– A waszmość się nie obawiasz, że tu druhowie Zatwarnickich się zjawią?

Gospodarz, podrapawszy się po łysiejącej głowie, odrzekł:

– Z tego, co wiem, to jakoś niespieszno nikomu. Raz, że diabli wiedzą, do czego mają niby strzelać, a dwa, rozniosło się o tym, że Eryk Herburt szlachectwo naganął właścicielom Sikawca. Jakoś niesporo jest panom braciom na łowy iść z ludźmi, którzy za chwilę chłopami okazać się mogą.

– Ot! – Murray wyszczerzył zęby. – Jak to w Polsce mówicie? Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka! Zły czas przyszedł na Zatwarnickich. Bardzo zły. I powiem, że jakoś mi ich nie żal po tym, co widziałem.

– Uważaj – mruknął Stiller – bo osaczony odyniec na wiele może się poważyć. Pamiętaj, że jedni odetną się od pana Kacpra, inni zaś tym bardziej go poprą. Herburt wielki pan. Biednego chce ukrzywdzić. Niejeden tak powie. A owe łowy to jedna sprawa. Druga to taka, że chcą Zatwarniccy ściągnąć ku sobie jak najwięcej ludzi. Może nawet zajazd zechcą uczynić, skoro im pan Herburt do żywego dopiekl.

Popatrzywszy na bladego ze strachu administratora Zatwarnicy, Saksończyk zapytał:

– Na kiedy owe łowy zaplanowane?

– Za dwa dni, we czwartek ruszy obława. Od świtu do zmroku chłopci mają nagoniać. Lasem na wschód od potoku Hylaty pójda.

– Dlaczego tam?

– Bo w tamtą stronę potwór pociągnął owego baczę jesienią zeszłego roku zabitego. Wszyscy mniemają, że gdzieś tam ma swoje gniazdo – wyjaśnił pan Jeremi.

– Może i słusznie... – Niemiec skinął głową. Unosząc wzrok na szlachcica, zapytał: – Mówił ów czarownik, co był tu ostatnio, czym jest ten potwór?

– Tyle, co panu Kacprowi Zatwarnickiemu. Rzekł, że pod postacią wilka się objawi.

– *Versipellis*^[152] – mruknął pod nosem Murray, bardziej do siebie niż do kogokolwiek.

– Co? – Winnicki wyteńczył słuch, nie rozumiawszy wypowiedzianego słowa.

Stiller wstał z krzesła i odstawił je w kąt. Pomiął milczeniem ostatnie pytanie gospodarza. Zamiast tego, wskazując na drzwi, rzucił:

– Może być nas czym ugościł, panie Jeremi. Zdrożeni jesteśmy, a mojemu druhowi w brzuchu burczy. Przy posiłku wyjaśnię waćpanu, o co chodzi. – Odwrócił się, szykując się do wyjścia. Nagle, jakby przypomniawszy sobie o czymś, ponownie spojrzął na gospodarza. – Lada dzień zjedzie tu nasz towarzysz i bliski przyjaciel pan Żegota Nadolski z Wygnanki. Kiedy tu będzie, nic już waszmości nie zagrozi, bo w szabli nawet diabeł by mu nie sprostał. A uwierz mi waćpan, że na własne oczy widziałem, jak z diabłem walczył... – Uśmiechnął się, wspominając pojedynek siwowłosego szlachcica z Wołochem Bardą.

Winnicki pozostał jeszcze chwilę za stołem, ze ślepiami ze strachu okrągłymi jak spodki, nim wreszcie, ogarnąwszy się nieco, pognął przynaglić służbę, aby szykowała posiłek.

VERSIPELLIS

Dziesięciu węgierskich Sabatów patrzyło ponuro spode łbów na stojącego naprzeciw nich chudego Niemca, który zdawał się tym wcale nie przejmować. Służba trwożliwie wyglądała, bo też zanosilo się na jakieś niecodzienne widowisko. Niejeden w duchu prosił Boga, aby ktoś dał wreszcie nauczkę najemnym obwiesiom, którzy poznawszy słabość pana Winnickiego, rozpanoszyli się w folwarku. Najwyższa w istocie była pora, aby utemperować ich trochę.

Na ganku, skryty w cieniu, przyglądał się wszystkiemu sam wystraszony administrator. Jak zwykle u takich niepewnych natur bywa, z jednej strony wdzięczny był Saksończykowi, że porządek postanowił zrobić z samowolą Węgrów, z drugiej jednakże bał się, co będzie, jeśli mu się nie uda. Takich wątpliwości nie miał chyba Murray, który przysiadł znudzony na drewnianych schodach, układając obok trzy pistolety. Choć nie miał jednej ręki, drugą miał pewną tak, iż mógłby z piętnastu kroków muchę wbić w ścianę ołowianym pociskiem. Bawił się teraz trzymaną na kolanach czwartą hakownicą, mrużąc oczy od słońca. Jeśliby który z Sabatów w istocie zagroził w jakikolwiek sposób jego przyjacielowi, zamierzał bez pardonu rozwalić mu łeb.

Stiller tymczasem, rozpinając kolet, prawil posepnym pachółkom:

– ...tak to bowiem w życiu bywa, że nie każdy na tyle rozumu ma, aby pojąć, iż służyć znaczy słuchać. Słuchać zaś to także posłuszeństwa dochować wewnętrzznemu głosowi sumienia, który mówi, aby pana swego nie okradać, bab nie macać, chłopów nie bić bez potrzeby, okowity nie nadużywać, kiedy się straż pełni, i inne ważne rzeczy. Kto zaś pana swego nie szanuje, a także uczciwości w sercu nie ma, temu nauka się należy, gdyż ze swej natury człowiek ułomny jest i przypominać mu co rusz trzeba, jak zachowywać się winien.

Odrzucił kolet na schody. Niespiesznie jął podwijać rękawy białej koszuli, odsłaniając chude, żylaste ramiona.

– Mówił mi pan Winnicki, że na służbę was najął. Płaci, z tego, co wiem, dobrze. Wikt macie, jak też i spanie wygodne. Pytam się was więc, czemu nie docenicie tego, co dostaliście. Dlaczego mając służbę u tak zacnego pana, przyjaciela mego, jegomości Jeremiego Winnickiego, szkody mu w folwarku czynicie i zamiast pomocy utrapienie w was teraz tylko znajduje. – Zawiesił na chwilę głos, patrząc na dziesiątkę mężczyzn zarośniętych jak zbójce. Po kilku sekundach, jak gdyby nigdy nic, wrócił do podwijania rękawów i mówił dalej: – Prawda! Obwiesiliście dwóch hultajów morderców, jak wam kazał. Ale teraz? Mordy macie zapijaczone, bandziochy pełne kradzionego jada, a we łbach tylko wam figle jakieś albo też i gwałty na tutejszych dziewczuchach. Przypadła mi więc rola, że tak to ujmę, *baccalaureusa*^[153], który was na powrót na dobrą drogę sprowadzi. Wiecie, szelmy, kto to jest *baccalaureus*?

Łypnął na moment ku stojącej na dziedzińcu dziesiątce Sabatów, a potem głową pokiwał.

– Tak jak myślałem. Nie wiecie. Otóż po waszemu to *tanár*^[154]. Ktoś, kto wam głupoty ze łbów powybijają i na powrót porządek w nich uczyni. Komu zaś służba uczciwa niemiła będzie, mimo dachu nad głową, grosza i jedzenia, temu fora ze dwora, bo takich tutaj nie trzeba.

Skończywszy robotę, wyprostował się, sięgając po długi rapier, który stał dotychczas wbity w ziemię. Wziął go w dłoń, oparł klingę na ramieniu i powiódł wzrokiem po Węgrach.

– No! To teraz do nauki się weźmiemy. Który to u was przywódca?

Zakotłowało się wśród Sabatów, poszeptali coś między sobą, spoglądając złowrogo. W końcu wyszedł spośród nich jeden, wielki, niestary, z brodą czarną jak smoła. Postąpiwszy dwa kroki, zadarł wyzywająco głowę i warknął:

– Ja jestem!

– Jak cię zwać?

– Laci!

– Słuchaj mnie tedy, Laci. Widzę, że pałasz solidny masz przy boku, więc zrobimy tak. Albo tu i teraz na krzyż przysięgniesz mi ty i twoi kamraci posłuszeństwo i poprawę, albo też broń wyjmij i pokaż mi, jaki jesteś odważny.

Chłop się zawahał. Przeształ z nogi na nogę, odwrócił kudłaty łeb ku swoim druhom. Ci jednak milczeli, wpatrując się w swojego przywódcę. Zrozumiał, iż ważą się losy jego pozycji wśród towarzyszy. Jeśli odmówi walki, ośmieszy się. Nie pozostało mu więc nic innego, jak przyjąć wyzwanie. Na dodatek bezczelny Niemiec zachęcił:

– No, Laci! Popatrz! Nogę mam jedną z drewna, prawie dwa razy starszy od ciebie jestem! Łatwo się sprawisz! Przecież to pestka dla takiego jak ty zucha!

Sabat stanął w rozkroku, spluwając w dwie potężne garści. Uśmiechnął się, aż błysnęły pomiędzy czarnymi włosami brody jego zdrowe zęby. Przyczaił się, opierając dłoń na rękojeści broni. Mrużąc oczy, wymruczał:

– Gadatliwy jesteś, panie oficerze. Aż nadto. Zaraz cichszy się staniesz.

– Doczekać się nie mogę. – Stiller kciukiem potarł czernioną bródkę i mrugnął protekcyjnie do Węgra.

Młodszy mężczyzna zaklął i skoczył w przód, szybko wyszarpując z pochwy pałasz. Zrobił to iście błyskawicznie, chcąc zaskoczyć Saksończyka. Ten jednak był przygotowany na atak. Prawie niezauważalnie odsunął się w bok, a ostrze ze świstem przecięło powietrze. Sabat odskoczył gwałtownie, lecz Niemiec nie skontrował. Znów stał spokojnie, opierając broń o ramię, nawet nie przyjmując pierwszej pozycji^[155]. Rozzłościło to Laciego, który znów uderzył. Ciął z boku, na płasko, tak aby zmusić Niemca do obrony. Ten jedynie lekko odbił ostrze klingą, a potem zbił je w dół mocnym ciosem lewej dłoni odzianej w skórzaną rękawicę^[156]. Dzieła dokończył, kopiąc drewnianą nogą w zadek Sabata, tak że ten pyskiem padł prosto w miękkie błoto.

Chłop zerwał się natychmiast, dłonią wycierając brud z twarzy. Z rykiem skoczył na przeciwnika, co ostatecznie zakończyło się jego całkowitą

kłeską. Zdzielony między oczy głowicą rapiera zakończoną grubym nitem, padł bez przytomności jak długi.

Pozostała dziewiątka Seklerów^[157] zamarła z rozdziawionymi gębami. Tylko ich oczy poruszały się, patrząc raz to na leżącego na ziemi herszta, raz to na chudego oficera, po którym nie widać było nawet śladu jakiegokolwiek wysiłku.

Dłuższy czas trwała ta cisza, nim Stiller zapytał:

– Następny chętny? Mamy czas, więc każdemu z osobna mogę udzielić lekcji. No?

Wodził po Węgrach wyzywającym wzrokiem, którego jakoś nikt nie miał ochoty z nim skrzyżować. Dlatego po chwili rzucił:

– Zabrać go i opatrzyć. Od teraz macie słuchać rozkazów moich i pana Murraya, jakbyście w wojsku byli. Nas pan Winnicki wyznaczył, abyśmy dyscyplinę wam wpoili. To, co zrobiliście do tej pory, zostaje wam wybaczone. Ale od teraz karać będziemy bezwzględnie każde przewinienie, nawet na gardle. Jak któremu się nie podoba, niech precz idzie. Zrozumiano?!

Nikt nie odpowiedział, dlatego Saksończyk powtórzył jeszcze głośniej:

– Zrozumiano?!

Kiwając głowami, Sabaci cicho wycedzili pod nosami:

– Tak.

Niemiec odsunął się od nieprzytomnego, którego towarzysze podnieśli i zabrali do stodoły, gdzie mieli posłania.

Otarłszy klingę ręką, oficer schował niespiesznie rapier do zawieszanej na bandolecie pochwy. Podeszedłszy do ganku, lekko skłonił się Winnickiemu, rzucając:

– Po kłopotcie, mości panie Jeremi. Teraz z tym masz już waszmość przynajmniej spokój. Da Bóg, z resztą też się uporamy.

Przeżegnawszy się, gospodarz przytaknął niepewnie:

– Da Bóg, panie oficerze. Da Bóg...

Już kierował się Stiller do środka domostwa, pochylając się w drodze po kolet, kiedy ujrzał nagle podnoszącego się ze schodków Murraya. Na ustach Szkota wykwitł szczery uśmiech, a oczy zaświeciły mu się radośnie. Odruchowo Niemiec odwrócił się, aby poznać przyczynę owej wesołości, i wówczas sam się rozpromienił. Oto bowiem w bramie folwarku stał samotny jeździec w szlacheckim stroju, którego nietrudno było poznać.

Idąc naprzeciw przyjaciela, zarówno Szkot, jak i Saksończyk wyciągnęli ramiona i wołali jeden przez drugiego słowa powitania. Na ganku zaś stał zdziwiony Winnicki, domyślając się, iż ów groźnie wyglądający siwowłosy nieznajomy musi być owym towarzyszem, o którego przybyciu wspomnieli mu oficerowie.

Z przekąsem pan Jeremi stwierdził w duchu, iż w istocie pasował on do kompanii dwóch cudzoziemców, albowiem z powodu przeoranej bruzdą gęby wyglądał tak, iż mało kto chciałby go spotkać na swej drodze. Nie pomagał tu nawet uśmiech, którym obdarzył swoich przyjaciół, zeskakując z wierzchowca.

Przywitali się wylewnie i serdecznie, a pacholek, co z zadowoleniem spostrzegł administrator, nad wyraz szybko i pokornie odebrał wodze od nowego gościa. Widać lekcja dana Sabatom oraz sam wygląd nieznajomego szlachcica zrobiły swoje. Przyznać musiał pan Winnicki, że na razie obecność nieproszonych typów służy mu, lecz wnet zadał sobie pytanie, jak długo tak będzie i czego mogą zażądać w zamian za swą protekcję. Znał bowiem życie stary szlachcic i wiedział, że za darmo można tylko w łeb dostać, jak on ongiś w Lesku.

Prowadząc siwowłosego szlachcica, Stiller już z odległości kilku kroków przedstawił mu stojącego tam gospodarza:

– To jest, mości Żegota, pan Jeremi Winnicki, administrator tutejszy dóbr Herburtowych, nasz gospodarz, dobrodziej i kompan, który niechybnie rad będzie i ciebie gościć.

Łypnął przy tym na plenipotentę pana Eryka tak, iż ten natychmiast rękę wyciągnął, uśmiechając się szeroko. Schodząc ze stopni, prawie że zawołał:

– W istocie! Gość w dom, Bóg w dom!

Uściskał Nadolski chłodną i wątłą dłoń administratora, skłonił się i oczy zmrużywszy, zapytał:

– Czy miałeś może waćpan krewnego, co służył u lisowczyków za czasu pułkownika Moczarskiego? Poznałem tam jednego Winnickiego, Michał mu było. Zaczny to był kawaler. Na Pomorzu z rąk szwedzkich dzielnie zginął.

Zamiast przyjaźnie nastawić, wspomnienie okrytej złą sławą formacji tylko wzmogło niepokój gospodarza. Mimo to, podkreślając zadziornie węża, co komiczne sprawiało wrażenie, odrzekł:

– Może to i był jaki mój krewniak, ale nie słyszałem o nim. Rozległy jest ród Winnickich i we wszystkich województwach Rzeczypospolitej znany, choć niemający. – Stanąwszy bokiem, otwartą dłonią wskazał na wejście do dworu. – Zapraszam waszmości. Czym chata bogata, jak to się mówi.

– Z serca dziękuję. – Żegota ukłonił się ponownie, podążając za panem Jeremim.

Dłuższy czas trwała biesiada, którą przyjął Winnicki nowego gościa. Choć dużo jadł, gdyż wygłodniał po drodze, pił mało, tak jak i cudzoziemcy. Inaczej sprawa miała się z gospodarzem, który podochociwszy się winem, do cna zalał nim smutki i kończył posiłek, śpiąc z głową na stole. Takiego zabrała go służba do alkowy, podczas gdy pozostali uczestnicy biesiady, trzeźwi prawie zupełnie, wyszli przed dwór, aby rozkoszować się jeszcze przez chwilę popołudniowym słońcem. Posiedziawszy tak jakiś czas, zaproponował Nadolski krótki spacer, aby kości wytrzęsione na koniu rozruszać, co też jego przyjaciele o choczko przyjęli, mimo iż Stiller z wiadomych względów do pierwszych piechurów nie należał. Nic jednak nie robił sobie ze swej ułomności, pomny starej prawdy, iż póty człowiek szacunek u innych wzbudza, póki im w sprawności nie ustępuje. Ten zaś, kto lubi nad sobą się użalać, nijakiego poważania nie znajdzie.

Minąwszy zabudowania folwarczne, poszli wzdłuż potoku, mając na lewo wieś, na prawo zaś, za wodą, ciągnące się pola przysiółka Bałwańskie. Siłą rzeczy rozmowa zeszła na wypadki dotyczące Rudyłowskich. Murray ze

Stillerem przedstawili Żegocie to, czego się od Pamiętowskiego dowiedzieli, oraz oznajmili mu o łowach, które zacząć się miały następnego dnia. Przeszli jeszcze kawałek, a następnie nieco już zmęczeni przysiedli nad brzegiem strumienia i wpatrzyli się w opustoszałe pola przysiółka i dalej las, gdzie skrywać miał się jakowyś potwór.

Nadolski pierwszy raz był w tej okolicy, toteż z zaciekawieniem przyglądał się miejscom, które do tej pory znał jedynie z opowieści. W szczególności zaś oddalonemu kurhanowi z krzyżem, od którego wszystko się zaczęło.

Niespiesznie żując źdźbło trawy, ostrożnie zapytał:

– Znaczy, mniemacie, iż w jakiś sposób pan Eryk Herburta ze sprawą jest związany?

– Na to wychodzi – przyznał Niemiec, prostując kaleką nogę.

– Nie może być inaczej – dodał Murray.

Żegota uśmiechnął się pod wąsem.

– Niby wszystko w jedno się składa, lecz zbyt wiele tu domysłów. Na ten przykład zakładacie, iż Anusia Rudyłowska była córką Herburta. Nieprawdopodobne to przypuszczenie.

– Nieprawdopodobne? – Stiller wzruszył ramionami. – To jedyny wniosek płynący z tego, co już wiemy.

Szlachcic pokiwał głową.

– Wybacz, panie Stiller, moje wątpliwości. Lecz ze słowem ludzkim jest tak, że jak jednemu powiem, iż widziałem w oknie domu świecący ogarek, on innemu oznajmi o ogniu w chałupie, a trzeci ogłosi, iż się cała chata spaliła. Prawda, była jakaś sprawa pomiędzy Rudyłowskim a Herburtem, ale dawno to się działo, blisko trzydzieści lat temu. Może nawet o pannę się powadzili. Lecz cóż z tego? Mało to takich spraw? Na koniec i tak świętej pamięci pan Hieronim za żonę ową Helenę wziął, majątek w dzierżawie miał od Herburta i tyle z tego. Chyba w niepamięć poszły dawne czasy.

– A owa sprawa z poszarpanym odzieniem Heleny Rudyłowskiej i psami?

– Niewiasty strachliwe bywają. Wiem to, bo sam jestem żonaty. Wilków zaś w okolicach pełno. Ale nijak by nie mogło być, żeby dziecko cudze matka i ojciec jednako kochali. Tym bardziej, kiedy zmarła pani Helena. A przecież zabrał ją tu Rudyłowski i póki żyła, hołubił. Temu nikt nie przeczy.

– Nie zapominaj waszmość o pogrzebie żony pana Hieronima.

Nadolski zmarszczył brwi.

– W istocie, dziwna sprawa, jeśli to prawda. Ale i dla niej musi być jakieś wyjaśnienie. Poza tym... – zerknął na towarzyszy – ...pan Herburt już stary. Może i Zatwarnickim teraz niechętny, czemu się nie dziwię, ale jakim sposobem tylu ludzi miałby ubić, na dodatek jeszcze niezauważony pozostając. Po co zresztą miałby tak czynić, skoro wiele jest innych sposobów, dzięki którym zdołałby zniszczyć panów z Sikawca.

– Choćby naganą szlactwa? – skomentował złośliwie Saksończyk.

– A choćby i tym – zgodził się Żegota. – Albo też zajazd mógłby uczynić, beskidników nasłać, szlachtę podbuntować. Ma środki na to, by wedle swojego uznania zrobić wszystko, co zechce. Ale mordować skrycie? Po co?

– Bo pragnie mścić się okrutnie – odpowiedział Murray.

– Pragnie okrutnej zemsty? – Szlachcic potarł palcami czoło. – Nikt tak dobrze nie zna tego pragnienia jak ja. Jeśli więc prawdą byłoby to, co przypuszczacie, może i byłaby w tym racja. Kłopot w tym, mości panowie... – uniósł wzrok na towarzyszy – ...że to tylko przypuszczenia, których za prawdę uznać bez dowodów nie można. Nadto nie ma tu pana Herburt i wcześniej nie było. Nawet wtenczas, kiedy owa Anusia umarła. Skoro matkę w Fulsztynie nakazał pochować, to córce by tego odmówił? Albo też jak przypuszczać można, że wielki pan, zanim co inne się stało, bydło chłopom kazał kaleczyć lub też może i sam to czynił? Wybaczcie waszmościowie, ale niedorzeczne się to zdaje. Pan Eryk działa tak, jak każdy inny, co chce zemsty. Pragnie ziemię Zatwarnickim odebrać, a ich schłopić. Za to zaś mści się, iż przez pohańbienie córki Rudyłowskiego

dawny druh mu się obwiesił. Tyle z jego czynów znamy. Reszta to bajki i domysły.

– To kto waćpana zdaniem za owymi mordami stać może? – Stiller rozłożył ręce.

– Kto? – Żegota pogładził się palcami po brodzie. – Nie wiem na pewno. To jedno mi się zdaje, że celu tego wszystkiego trzeba szukać, bo zwykle tak bywa, iż za zbrodnią stoi ten, kto z niej największy pożytek odnosi.

– Tu chyba nie masz takiego, mości Nadolski – odparł Saksończyk.

– Nie? Pomyśl waszmość o panu Kacprze Zatwarnickim. Chciał się Rudyłowskiego z przysiółka pozbyć, to strachy począł wywoływać. Całkiem dobrze mu szło. Nawet komuś kazał baczów ubić dla postrachu, krzyż rzymski na piersiach wyrzynając. Nieszczęściem, wyście się zjawili. Dał wam nauczkę, sprawiając, iż pospiesznie wyjechać musieliście z okolicy, a ludzie tutaj niechęcią do was zapałali.

– Tak? – mruknął Murray z przekąsem. – Brata też kazał zabić?

Nie zmieszał się jednak siwowłosy szlachcic. Zamiast tego, gestykulując nieznacznie, objaśnił:

– Pomyśl waszmość, o co idzie najstarszemu z Zatwarnickich. O majątność. Trzech ich było, ledwie na przysiółku. Chyba nie muszę tłumaczyć, że to o dwóch za dużo? Nawet jeśli wzięłoby Kacper Bałwańskie, to i tak niewiele. Powiadacie zaś, że w strojach i koniach się lubuje. Przypuszczam też, że do dziewczek cholewki smali, ale cóż z tego, skoro chudopacholek, na dodatek z braćmi dzielić się muszący. Która za takiego pójdzie? Chyba taka bez posagu.

– Nie może być – zaprzeczył stanowczo Stiller. – Na brata ręki by nie podniósł.

– Nie działa się tak nigdy, mości panie? Mało było spraw, że brat przeciw bratu występował, jeśli chodziło o złoto czy ziemię? Nawet w Biblii o tym stoi – nie dawał za wygraną Żegota. – Pomyśl o panu Kacprze Zatwarnickim jak o takim, który nie boi się żadnej krwi przelać, byleby

swego dopiąć. Wszak sam widziałeś, jak łopata odrąbał głowę od ciała małej dziewczynki. Nieprawdaż? Poważylbyś się na to?

Westchnąwszy, Niemiec pokiwał głową. Mimo że dużo mogło być racji w słowach Nadolskiego, miał na ten temat swoje zdanie. Głuchym głosem odrzekł:

– Może i myślałbym podobnie, gdyby nie to, że widziałem, iż Zatwarnicki naprawdę się boi. Dostrzegłem to w jego oczach, kiedyśmy do Sikawca zajechali. Domostwo obwarował, strażę trzyma. Przed kim?

– Boi się? – Przez usta Żegoty przemknął uśmiech. – Tego się boi, że ktoś odkryje, jaki jest w rzeczywistości, i wyjawí jego zbrodnie. A czemu się obwarował? Według mnie to oczywiste po tym, jak mu pan Herbert szlachectwo naganił. Sam bym tak postąpił, gdyby mnie taka krzywda ze strony jakiego magnata spotkała. Bo od zaprzeczenia szlachectwa do zajazdu droga krótka. Ludzie często jak wrony się zlatują, kiedy ktoś słaby. Poza tym sam twierdzisz waszmość, że łowy nie tylko przeciw potworowi, ale też dla zgromadzenia szabel Zatwarnicki ogłosił. Wsparcia szuka.

Siwowłósy szlachcic machnął ręką, dodając:

– Zresztą, wszystko łatwo się sprawdzi.

– Sprawdzi? – Stiller zmrużył oczy. – Jak?

– Jeśli bestia Baltazara Zatwarnickiego zamorduje, a w szczególności teraz, podczas łowów, chyba nie będziesz miał, mości panie, wątpliwości? Co? Duży byłby to zbieg okoliczności. Prawda? Sam zostanie pan Kacper na Sikawcu.

– Może i tak – odrzekł Niemiec. Zastanowiwszy się, zapytał: – To jak waszmość kolejność zbrodni wytłumaczysz i ich wykonanie?

– O dwóch baczach już mówiłem. Poszli na grób w ciemną noc i łatwo było się z nimi sprawić najętym przez Zatwarnickiego ludziom. On sam zaś dopilnował, by nikt ciekawski za wcześniej z pomocą nie ruszył mimo dochodzących z kurhanu krzyków. Potem przyszło porwanie dwóch chłopów, co chyba bez trudu można wykonać. Ktoś umiejętnie podsycił strach, by sobie kolejne zbrodnie ułatwiać. Na to wskazywać może

okrucieństwo, z jakim potraktowano następne ofiary. Karbowy z Sikawca powieszony na drzewie i rozpruty od gardła po pas, iście wstrząsające musiał zrobić wrażenie. Ludzie z chałup zaczęli bać się wychodzić, co tylko po myśli było mordercy. Kolejnych trzech zarznął w ich własnym domu, nie musząc się lękać, iż ktoś przyjdzie im z pomocą. Srodze się napracował, ćwiartując ciała i ślady zostawiając, lecz cel swój osiągnął. Groza padła na ludzi. Aby dać znak ostateczny, iż nikt nie może czuć się pewny, popa ubił i na dach cerkwi go wciągnął. Dopiero na tym fundamencie, kiedy ludzie przyjęli, że każdego może bestia zabić, przeszedł do właściwego planu, mordując pierwszego z braci, którego sam wysłał do Przemyśla. Podał komu trzeba, kiedy i jak będzie Melchior jechał, więc pod Telesnicą go łatwo oprawcy znaleźli. Czyż nie w ten sam sposób Giurgiu Barda beskidnika Bernata poprowadził, wskazując mu, jak do Rokietnicy panna Wierzbowska będzie wracać?^[158]

– Zgoda – przyznał Saksończyk. – Kupy się to trzyma. Co w takim razie powiesz waszmość na to, iż bacza z Łumnej na winę potwora wskazał? Według acana w zмовie był z Zatwarnickim?

– Ani chybi – potwierdził Żegota. – Raz, że jak powiedział wam Winnicki, tylko z Zatwarnickim po zejściu z pagórka rozmawiał, a dwa, ogłosił pana Kacpra tym, który potwora ubije. Zbrodniarz chce się bohaterem objawić i takim w ludzkiej pamięci zostać. Stary czarownik zaś za pieniądze pewno wszystko gotów byłby powiedzieć, tym bardziej iż nic innego robić nie musiał i poszedł sobie zaraz w swoją stronę. Pamiętaj waszmość, że to pan Kacper nakazał go sprowadzić i mu płacił.

– Co więc sądzisz, mości Nadolski, o panu Eryku Herburcie? – wtrącił zaciekawiony Murray.

– O nim? – Żegota zmrużył oko, spoglądając na Szkota. – Historię jego życia opowiedział wam pan Pamiętowski w tajemnicy, jakby rzecz innym nieznaną była. Przypuszczam jednak, iż w dobrach pana Herburta nieraz o tych sprawach się mówiło na najróżniejsze sposoby. Tym większe robi owa opowieść wrażenie, że z pana Eryka samotnik, ludzkiego towarzystwa nieszukający. Jak jaki stary basior, co sam się lasami włóczy, miejsca

nigdzie nie zagrzewając. Skorzystał z tego pan Kacper, nie wprost kierując podejrzenie wilkołactwa na bogatego sąsiada. Skoro wam przyszło to do głów, mości panowie, niejednemu innemu też przyjść może, jak się plotki odpowiednie rozpuści. Ludzki rozum łatwo poddaje się takiej mrocznej sugestii. Zatwarnicki zaś na pana Herburta krzywo patrzy, bo nie dość, że mu Bałwańskiego odmówił, to jeszcze teraz na klejnot nastaje. W oczy spotwarzyć go nie może, znalazł więc inny sposób.

Na dłuższą chwilę zamilkli siedzący nad strumieniem mężczyźni. Ważył Niemiec w głowie to, co pan Nadolski powiedział. Wreszcie, doszedłszy do własnych wniosków, rzekł:

– Zgrabnie mości Żegota rzecz całą wyłożyłeś. Istny z waćpana *advocatus diaboli*^[159]. Zważ jednak, iż musiały być z pana Kacpra Zatwarnickiego nie lada przebiegły strateg, gdyby tak całą rzecz potrafił ułożyć. Ja zaś go poznałem i nie wyglądał mi na Hannibala. Zwykły to szlachcic, młody, zadziorny, uparty, choć na swoje patrzący. O bratobójstwo nigdy bym go nie posądził. Przy tym gdzie nająłby ludzi tak mu oddanych, którzy od jednej zbrodni do drugiej za nim by szli, ślepo wierząc, iż płazem im to ujdzie? To nie magnat, na którego protekcję i złoto można by liczyć. Chyba przyznasz, że sam nie mógłby wszystkiego tego uczynić, co się stało?

– Łotrów łatwo u nas znaleźć. Nawet Tatarów, jak trzeba. – Unosząc słomkę ku ustom, wskazał jej końcem w kierunku kurhanu. – A waszmość jakie masz w takim razie zdanie na to wszystko?

Stiller się zawahał. Ściągnąwszy brwi, ścisnął palcami nasadę nosa. Westchnął ciężko, zastanawiając się, od czego ma zacząć. Wreszcie rzekł:

– Pozwól waszmość, iż na sam początek bardzo dawnych czasów sięgnę. Może to zdać ci się niezwykle, lecz ważne jest dla jasności mojej opowieści. Akurat zbliża się rocznica tych wydarzeń, które rozegrały się przed wiekami w Krakowie. Wówczas też na rozkaz króla Bolesława i w jego obecności, albo nawet przy osobistym udziale, kilku rycerzy zabiło biskupa Stanisława, którego potem świętym ogłoszono^[160]. Jak z ową zbrodnią było, trudno rzec, albowiem sam wasz kronikarz nazwał

duchownego *traditor*^[161], Kościół uznał jednakże jego śmierć za męczeńską, a winnych zbrodni za przeklętych. Mordu dokonał ponoć król z trzema swoimi dworzanami, wywlekając biskupa z kościoła i tnąc na sztuki jego ciało. Tyle mówią zapiski. Jest jednak jeszcze legenda, z ust do ust przez pokolenia podawana, jaką karę nazaczył Bóg tym, którzy wazyli się podnieść dłoń na jego kapłana. Mało kto ją zna, bo też i żaden to zaszczyt dla potomnych owych rycerzy o niej wspominać. Króla, jak wiadomo, dotknął wyrok Opatrzności utratą tronu, wygnaniem i samotną śmiercią. Trzech zaś jego towarzyszy Bóg przeklął na wieki. Jako że podstępnej zbrodni niczym dzikie bestie dokonali, skalał ich krew, czyniąc z nich i wszelkiego ich potomstwa *versipellis*. Tak zwa w niektórych księgach zmiennokształtne istoty, które się w postać wilka potrafią przemieniać. Wieść niesie, że ród Łaskich, z którego matka pana Eryka Herburtu pochodziła, wywodzi się od jednego z owych naznaczonych wiecznym piętnem rycerzy.

Przerwał, spoglądając na Nadolskiego. Ten, wzruszywszy ramionami, wycedził:

– Różne są legendy, lecz prawdy w nich zwykle żadnej nie ma. Pojmuję jednak chyba, co też chcesz mi waszmość powiedzieć.

Saksończyk skinął głową.

– Posłuchaj więc waćpan dalej. Podczas wojny z Turcją za czasów króla Jana Olbrachta doszło do zadziwiających zdarzeń na zamku Czarna Góra w Czechach. Otóż tamtą drogą jechał na południe szlachcic Zygmunt Łaski ze swym pocztem. Zatrzymawszy się w zamku, ujrzał córkę tamtejszego właściciela, w której od pierwszego wejrzenia się zakochał. I ona nie była mu przeciwna, więc ustalono, że gdy wracać będzie z wojny, przyjedzie po pannę i do Polski ją ze sobą zabierze, aby małżeństwo zawrzeć. W rzeczy samej kawaler słowa dotrzymał, wracając za rok na zamek. Tyle że odmieniony jakiś. Ponury, milczący, z dziwnym wyrazem oczu. Dziewczyna wystraszona niepojętą przemianą w komnacie się zamknęła, co też jej życie uratowało. Jak zapisano bowiem w kronice, ledwie wieczór nastał, Zygmunt Łaski przedzierzgnął się w bestię potworną,

przypominającą ogromnego wilka na dwóch nogach. Pod taką postacią usiłował wdrzeć się tam, gdzie się jego niedoszła narzeczona zawarła. Kilku pachołków ubił, zanim ojciec panny srebrną kulą go ustrzelił. Kiedy zaś sługi zamkowe podeszły przestraszone do truchła, zamiast potwora zobaczyły w ludzkiej postaci zabitego Łaskiego^[162].

– Nie słyszałem o tym, ale mów waćpan dalej. – Żegota patrzył uważnie na Saksończyka, zaintrygowany opowieścią.

– Dziadem pana Eryka był słynny Olbracht Łaski, znany ze swej mołdawskiej awantury^[163]. Słynął też ze swego zamiłowania do alchemii i magii. Szukał najróżniejszych czarnoksiężników, czasem sprowadzał ich do siebie, jak choćby Ślązaka Schrötera^[164], co służył mu w Kieżmarku, albo też owych Anglików, których przywiózł do Rzeczypospolitej jakoby po to, by zamienili mu piasek w złoto^[165]. Prawda, że potrzebował pieniędzy, bo jak mało kto miał zdolność do ich tracenia i słynął z rozrzutności. Jednakże co bardziej świadomi rzeczy twierdzili, iż jeszcze jednej odpowiedzi poszukiwał w zakazanych księgach i rozmowach z magami. Lekarstwa na trawiącą go bolączkę, którą cały jego ród od pokoleń był obarczony. Przekłętą chorobę, jaka w mgnieniu oka potrafiła uczynić z człowieka potwora niepanującego nad swym zachowaniem. Usiłował alchemią złamać klątwę ciążyącą nad jego rodziną. Czy mu się udało? Trudno rzec, lecz przecież nikt nie posądził go nigdy o zmiennokształtność. Może więc uzyskał owo remedium?

Westchnąwszy, Żegota mruknął:

– Mówisz waszmość o tym, jakby owo wilkołactwo Łaskich, lub kogokolwiek innego, stwierdzoną prawdą było. Tymczasem jak żyję, choć wiele różnych historii słyszałem, nie spotkałem się z czymś takim. Przyznaję po tym, co sam przeżyłem i na własne oczy widziałem, że są na świecie rzeczy, które ludziom się nie śniły. Dziwy i potwory najprzeróżniejsze. Ale większość zła zwykle od ludzi pochodzi, nie od bestii. Nawet z piekła demon objawia się przez kogoś żywego wywołany. Aby zbrodnię wyjaśnić, człowieka należy zacząć szukać, bo w nim zazwyczaj najgorszy potwór drzemie.

– O tym właśnie mówię, mości Nadolski! Właśnie o tym! – Saksończyk się uśmiechnął. – Bo też zaraz wyjaśnię ci, iż żadnej sprzeczności czasem nie ma pomiędzy legendą a prawdą, jeśli się na nią właściwie spojrzy.

– Mów więc waćpan.

– Są takie przypadłości ludzkie, które z rodziców na dzieci przechodzą. Ot, choćby znana wszystkim wargą u Habsburgów^[166]. Nikt się temu nie dziwi, tak samo jak wtedy, kiedy rudemu ojcu urodzi się rude dziecko. Zresztą i w świecie zwierząt jest podobnie. Tak bowiem Bóg to sprawił, żeby łatwo było poznać, czyje jest potomstwo. Nie tylko zresztą wyglądu to dotyczy. Charakter też przejmują kolejne pokolenia po przodkach, a także skłonności ku dobremu lub złemu. Albo nawet choroby. Wyobraź więc sobie waszmość taką przypadłość, która sprawia, iż w człowieku są jakby dwie istoty. Jedna zwyczajna, ludzka, niczym się od nas nieróżniąca. Druga zaś drapieżna i groźna jak jakaś bestia. Życ może sobie taki nosiciel, nie wiedząc nawet, co tkwi w jego wnętrzu. Jednakże nadchodzi moment, kiedy coś lub ktoś wyzwala w nim owego potwora, nad którym nie może zapanować. Może to być czyjaś śmierć lub też miłosne uniesienie. Nic w tym nadprzyrodzonego, choć zwierz ów okazuje się zupełnie inny od noszącego go żywiciela. Silniejszy, niebaczący na żadne przykazania ani ograniczenia. Niezważający na rany ani też słowa.

Podrapawszy się po głowie, Niemiec wyjaśnił:

– Jesteś, mości Nadolski, żołnierzem. Widziałeś więc pewnie, jak ktoś tak zapomina się w walce, iż zdaje się szalony. Na nic nie baczy, rzucając się w największy wir bitwy, i zabija każdego, kto mu się pod rękę nawinie. Nawet gdy kończy się starcie, trudno takiemu człowiekowi wrócić do zmysłów. A kiedy je odzyska, zdaje się, iż nic nie pamięta z tego, co robił. Nieprawdaż?

Spojrzał pytająco w kierunku Żegoty. Ten, skinąwszy głową, ostrożnie potwierdził:

– Bywa tak.

– Właśnie! – podchwycił cudzoziemiec. – A teraz pomyśl waszmość o człowieku, w którym ów stan przychodzi nagle, nawet fizyczność jego

zmieniając, i trwa o wiele, wiele dłużej. W ludzkim sercu pozostają mu dawne żale i pretensje do bliźnich, lecz nic go nie ogranicza. Za nic ma boskie przykazania czy też zwyczajną ludzką litość. Wyzwała się z okowów praw, stając się swoimi najskrytszymi pragnieniami w czystej postaci. Kiedy zaś ocknie się z tego stanu, ze zgrozą patrzy na to, co uczynił. Potrafi zabić matkę, ojca, żonę czy dzieci. Lecz to nie on tak naprawdę morduje, ale to, co siedzi w nim w środku. Lustrzane odbicie jego samego nieskrępowane żadnymi prawami. Szaleństwo, jakiego nie potrafi okiełznać.

– Zgoda – przytaknął szlachcic. – Są takie wypadki.

– Czyż zatem nie może być tak, iż owa choroba przechodzi z ojca na syna, niosąc skażoną krew przez wieki, raz w większym, a raz w mniejszym stopniu się objawiając? Nikt nie zna jej początku ani też przyczyny. Jedni powiedzą, że klątwa. Inni, iż opętanie. A medycy doszukiwać się będą jakiegoś naturalnego źródła, choćby zmian w rozumie, tumorów^[167], blizn w nerkach czy wątrobie. Wszystko to jedno. Ważny jest skutek owej przypadłości. Śmiertelna groźba skumulowana w takiej osobie, która wybuchając, niszczy wszystko na swojej drodze. Pojmujesz mnie acan?

– Pojmuję – wycedził Żegota, pogładziwszy się po wąsach. – Czyli że mniemasz waszmość, iż pan Herburt może być ową chorobą Łaskich dotknięty, która sprawia, iż mimo wieku i słabości od ran, jest w stanie ludzi na sztuki rozszarpać? Zastanów się jednak, gdzie tu miejsce na rozum. Bo owa bestia, czy też człowiek, w ukryciu działa. Unika objawienia się ludziom, chowając się w mroku. Musi więc mieć świadomość przynajmniej tego, że jej uczynki mogą spotkać się z karą. Gdzie więc owo szaleństwo?

– Nawet głupi zwierz, choćby wilk, swój rozum ma. Nie znikają w owej istocie świadomość ani mądrość, lecz jedynie pęta ludzkich ograniczeń. Osiąga cel jak drapieżnik atakujący cichcem. Tak samo jak on jest cierpliwa, potrafiąc się czaić na ofiarę. Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Wszak nawet żołnierz w bitewnym amoku umie unikać ciosów i sam je zadawać. Widzi, słyszy i czuje owa istota, może nawet bardziej niż

człowiek. Skoro siła komuś takiemu wzrasta, to i zmysły mogą się wyostrzać.

Szlachcic, odrzuciwszy słomkę, spojrzął w dal na ciągnący się skrajem pól bukowy las. Ciemny, tajemniczy, nie wiadomo co w sobie skrywający. Pokiwawszy głową, skwitował:

– Wszystko to pięknie, panie Stiller. Lecz z naszej rozmowy jedno bezsprzecznie wynika. To, iż dalej nie wiemy nic, co pozwoliłoby nam rzecz zakończyć. Na dobrą sprawę każdego, kto tu był lub mógł być, możemy podejrzewać, że w zbrodni jest zamieszany.

– Prawda! – odezwał się Murray, wstając. – Dlatego proponuję waszmościom, aby zamiast gadać po próżnicy, przejść się jeszcze kawałek, a potem do pana Winnickiego wrócić. To jedno bowiem pewne, że jutro łowy pan Zatwarnicki wyprawia. A przy tym nie wiadomo, co jeszcze do głowy mu przyjść może. Tak sobie myślę, że na razie na to powinniśmy się szykować. Reszta zaś prędzej czy później i tak się wyjaśni. Zawsze tak bywa.

Uśmiechnąwszy się lekko wobec praktyczności szkockiego towarzysza, Niemiec powstał ociężale. Za nim to samo uczynił Żegota.

Poszli dalej brzegiem strumienia, otoczeni przez nabrzmiewającą wokół wiosnę, niepomną na wszystkie nieszczęścia, które się tu działy. Niczym były bowiem one wobec potężnego, odwiecznego i niezmiennego cyklu odradzającego się wciąż życia, które zdawało się niewyciężone.

ROZDZIAŁ XIII

ŁOWY

Świt ledwie różowiał na wschodzie, kiedy na dziedzińcu przed dworem w Zatwarnicy głucho zastukotały uderzenia końskich kopyt. Przecierali oczy zdumieni słudzy, a Sabaci, zgodnie z nakazem, jaki wieczorem odebrali, sięgnęli po swoje ciężkie rusznice i półhaki. Pojęli, że z Niemcem nie ma żartów, a płatna służba milsza im mimo wszystko była od włóczęgi. Wyglądając zza węglów i małych okienek, patrzyli, co też się dzieje.

Czterech ledwie konnych było na podwórku, co nie zapowiadało niczego groźnego. Tym bardziej iż przewodził im Baltazar Zatwarnicki, nie zaś sam Kacper, który gorętszą miał krew. Przy nim stanęli trzej uzbrojeni pachołcy, jednakże broń luźno trzymając.

Nie widząc gospodarza, młody szlachcic zakręcił się na koniu, wołając:

– Mości panie Winnicki! Wychodź acan! Sprawę mam do waszmości!

Obudzony już pan Jeremi, siedząc w alkowie, przeżegnał się, słysząc wezwanie. Najchętniej zostałaby w swej izbie, lecz wiedział, iż musi się pokazać. Bogu dziękował, iż ma w domu trzech mężczyzn obeznanych z wojaczką, na których mógł liczyć. Gdyby było inaczej, pewnie załkałby z rozpaczą i drżał cały ze strachu. Tak zaś wstał w końcu, zaczerpnął głęboko powietrza, byle co na siebie zarzucił i ruszył na ganek. Dla dodania sobie kurażu wąsy podkręcił, zaspaną twarz dłonią przetarł i brodę dumnie zadarł. Wychodząc, podparł się pod boki, widząc już w korytarzu za sobą obudzonych oficerów. Takiej pewności mu to dodało, iż krzyknął, prawie że groźnie, zachrypniętym jeszcze od snu głosem:

– A czego tu, waszmość?! Czemu skoro świt mnie z nóg zrywasz?!

– Z rozkazem od brata mojego Kacpra przyjeżdżam! Chłopów na nagonkę potrzebujemy! Każ waćpan zbierać się wieśniakom!

Aż zatchnął się z gniewu pan Winnicki. Oczy wybałuszył, rękami zamachał, a na koniec parsknął wściekle, co niepodobne było do niego:

– Rozkazy to jegomość Eryk Herbut mi daje! Rzeknij bratu, że u siebie, w Sikawcu, za rzeką jest panem! Tu zaś jest Zatwarnica! Chłopów nie puszczę!

– Zważaj waćpan na słowa! – Baltazar stępa podjechał bliżej ganku. – Zagniewać się mój brat może!

Pochylił się, mrużąc groźnie oczy spoglądające prosto w twarz administratora. Zaraz też jednak wyraz zaskoczenia przebiegł mu po twarzy i szlachcic wyprostował się w siodle, kiedy z drzwi wyszli cudzoziemscy oficerowie i jakiś siwowłosy szlachcic z gębą ponurą, naznaczoną blizną, która dodawała mu jeszcze groźnego wyglądu.

Wypiął dumnie pierś pan Winnicki, a zamiast niego odezwał się Stiller:

– Sam waszmość zważaj na słowa, bo nie u siebie jesteś! Słyszałeś chyba, co gospodarz powiedział? Jedź swoją drogą!

Aż zagotował się siedzący w siodle młody szlachetka. Zacisnąwszy pięści na wodzach, wycedził:

– Ze szlachcicem szlachcic gada! Nie do ciebie to sprawa, panie oficerze hetmański!

Nic to było dla Saksończyka. Unosząc kąciki ust w złośliwym grymasie, odparował:

– Nie wyjeżdżaj mi tu acan ze szlachectwem, bo jeszcze się o nim w Sądowej Wiszni nagadasz!

Baltazar Zatwarnicki spurpurowiał na gębie, chwytając odruchowo za rękojeść szabli. Do połowy wyciągnął ją z pochwy, gdy nagle zamarł. Dziesięciu Sabatów z rusznicami, wychodzących zza węglów zabudowań i płotów, było aż nadto dobrym powodem, aby przemyśleć nierozsądne zachowanie. A i otyły Szkot, niedbale bawiąc się półhakiem, podszedł bliżej i stanął na schodach. Cofnął więc dłoń najmłodszy z braci Zatwarnickich, ze szczęknięciem metalu chowając broń. Jadowitym głosem, jak wąż w ofiarę wpatrując się w Winnickiego, wysyczał:

– Nie dasz ludzi na nagonkę?

– Nie dam! – odrzekł twardo administrator, zdziwiony, jaką przyjemność dawać może odwaga. Rzadko bowiem miał okazję zaznać takiego uczucia.

– To sam sobie wezmę!

– Wolnego! – Tym razem siwowłosy nieznajomy wyszedł zza pleców drobnego gospodarza. – Sam, waszmość, to sobie możesz wszy za kołnierzem łapać! Nikt tu słuchać cię nie zamierza! Jedź precz swoją drogą i zwady nie szukaj, bo prędzej ją znajdziesz, niż myślisz!

Zazgrzytawszy zębami, Baltazar wycedził:

– Ktoś ty?!

– Nie tykaj mnie acan, bośmy na jednym gównie się nie ślizgali! Mleko, co pod nosem masz, obliz i pod pierzynę do domu wracaj! Sio! – Żegota machnął ręką, jakby ptactwo płosząc.

– Ja cię...! Ja cię...! – Aż głosu z siebie nie mógł wydobyć spotwarzony szlachcic.

Żadnego to na groźnym charakterniku nie zrobiło wrażenia. Ująwszy się pod boki, z dziwnie skrzywionymi ustami, warknął:

– Co ty mnie?! Języka w gębie zapomniałeś?! No?!

Uśmiechając się złym grymasem, Murray stanął u boku Nadolskiego, tak zadzierając lufę półhaka, iż wprost w piersi młodego szlachcica, niby od niechcenia, została skierowana. Mrużąc oczy, rzucił słodkim głosem:

– Jedź już gołąbeczku do brata. Jedź. Bo wypadek może się jaki niepotrzebny zdarzyć. A tego przecież nikt by nie chciał. Prawda?

Dyszząc ze złości, Baltazar Zatwarnicki spiorunował wzrokiem bezrękiego oficera. Nic się jednak nie odezwał. Zawróciwszy konia na zadnich nogach, zaklął pod nosem, splunął i wierzchowca popędził. Na swych trzech pachołków nawet nie spojrzął, tylko rzucił ku nim:

– Za mną!

Załomotały głucho na wilgotnej ziemi kopyta czterech koni. Galopem przez bramę wyjechali nieproszeni goście.

Odetchnął z ulgą pan Winnicki, choć już w głowie rodzić poczęły mu się obrazy niepewnej przyszłości. Wszak nie zawsze będzie miał w domu gości, co za nim staną. A Zatwarniccy za rzeką długo jeszcze mogą siedzieć. Zagryzłszy wargi, powstrzymał się jednak od cisnących się na usta pytań. Na razie było, jak było. Miłe uczucie wyzwolenia się od strachu dalej łechtало jego dumę. By więc jeszcze bardziej dodać sobie kurażu, odwracając się na pięcie, zawołał niemal wesoło:

– Zapraszam waszmościów na śniadanie! Skoro już nas obudzono, pora coś zjeść!

– W rzeczy samej! – podchwycił Murray, chowając broń za szeroki pas.

Pozostała dwójka uśmiechnęła się na myśl o posiłku. Stiller dłonią dał jeszcze znak Sabatom, że mogą się rozejść, a potem oficerowie, gospodarz i siwowłosy szlachcic zniknęli w drzwiach dworu.

Co rusz zerkali za okno mężczyźni jedzący posiłek, czy aby na pewno sprawa z Baltazarem Zatwarnickim nie pchnęła jego brata ku jakiemuś głupstwu. Jednakże nikt się nie pojawił, ani też od strony wsi żadnego znaku nie było, który mógłby niepokój wzbudzić. Chłopi jak co dzień w ostatnim czasie, dopiero gdy dobrze już dniało, z chałup ostrożnie wychodzić poczęli. Wielu pierwsze kroki w stronę drewnianej cerkwi kierowało, aby modlitwą zaczynając dzień, prosić Boga o łaskę i ochronę przed nieznaną bestią. Jedynie dzieci, jak to zwykle bywa, niepomne na niebezpieczeństwo, rozpierchły się do swoich spraw, aby tylko rodzicom zejść z oczu i od roboty się uchronić. Mogłoby się zdawać, że zwyczajny to dzień jak inne, gdyby nie ten strach przed tym, co zdawało się nieuchronne, który zagnieździł się w sercach. Każdy z wieśniaków bał się, że właśnie na niego podpisany jest już wyrok w księdze żywota. I choć z nadzieją szeptali pomiędzy sobą o tym, co rzekł bacza Babej, iż Zatwarnicki jest w mocy potwora ubić, to przecież nikt jakoś nie chciał mu w tym bezpośrednio pomagać. Każdy na drugich się oglądał, licząc, że sam uniknie zbędnego ryzyka. Z pewnością wdzięczni byli panu Winnickiemu, iż nie nakazał im w nagonce uczestniczyć. Bo włóczyć się teraz po lasach byłoby proszeniem się o nieszczęście.

Po śniadaniu trójka gości ruszyła niespiesznie ku Bałwańskiemu, przykazawszy Sabatom, aby mieli baczenie na wszystko i w razie kłopotów strzałem z rusznicy dali znać, iż potrzebują wsparcia. Przy okazji Stiller zaproponował Winnickiemu, zaniepokojonemu chwilową nieobecnością swoich obrońców, aby sprowadził do folwarku pod lada jakim pozorem kilku zaufanych chłopów i miał dla nich na podorędziu parę muszkietów czy hakownic, żeby w razie czego mogli ich użyć. Nie spodziewał się co prawda Niemiec, aby w ciągu dnia dojść mogło jeszcze do jakiejś awantury, lecz wolał na zimne dmuchać.

Przekroczyli potok i kierowali się ku opuszczonemu dworkowi Rudyłowskiego, gdzie teraz, zgodnie z wolą pana Herburta, stary Matjas sam gospodarzył. Taki był bowiem cel cudzoziemców i Nadolskiego, aby ze sługą pana Hieronima pomówić jako z tym, który może potrafiłby bliżej całą rzecz ze zbrodniami objaśnić. Saksończyk nie spodziewał się zbyt wiele po tej wizycie, pomny na to, jak mrukliwy był z pachółka człowiek, lecz dla spokoju ducha postanowił i tej próby nie zaniechać.

Siedząc na koniach, milczeli, wsłuchani w odgłosy echa pojedynczych strzałów, jakie niosły się pomiędzy górami. Oznajmiały, iż trwa zapowiedziane polowanie, lecz kto i do kogo strzelał, nie było wiadomo. Wątpić raczej jednak należało, by tym sposobem ktoś zdołał zakończyć sprawę z nieznaną bestią. Bardziej chyba łowy otuchy miały dodać, niż w istocie coś zmienić. Nadolski pamiętał zresztą, iż cudzoziemcy mówili mu, że już raz, na samym prawie początku nieszczęść, myśliwi poszli w las, co skończyło się na ubiciu jakichś wilków, bez żadnego dla ludzi pożytku.

Dotarłszy pod zaniedbane domostwo, jeszcze gorsze niż przy uprzedniej wizycie oficerów sprawiające wrażenie, zsiadli z koni i poprowadzili je przez bramę za wodze. Rozglądali się czujnie, patrząc na bezładnie porozrzucane, niszczejące sprzęty gospodarskie, dziurawe okna, walące się wrota próżnej stodoły i rosnące wszędzie chwasty, które zachęczone ludzką bezczynnością zaczynały swoją zwyczajną ekspansję. Tak to bowiem bywa, iż przyroda korzysta z każdej sposobności, aby zniweczyć ludzki wysiłek zmierzający do jej podporządkowania. Tam, gdzie brakuje ludzkiego

wysiłku, natychmiast odżywa, udowadniając człowiekowi próżność jego starań.

Przywiązawszy wierzchowce do leżącej ukośnie belki, podeszli do drzwi. Zaiste posępne sprawiał wrażenie dwór, tym bardziej na tych, którzy znali jego tragiczną historię. Zdawał się martwy, tak jak martwy był już jego ostatni właściciel. Nieprzyjemne wrażenie potęgował niosący się wkoło zapach mokrego, gnijącego drewna i wilgotnej ziemi. Na myśl od razu przywodził cmentarz z rozkopanymi grobami i chylącymi się ku ziemi spróchniałymi krzyżami.

Nadolski, próbując nie ulec ponuremu nastrojowi, chrząknął, pięścią zakrywając usta, a potem zawołał:

– Hej tam! Jest tu kto?!

Odpowiedziała mu cisza. Przybliżył się więc do wejścia i ręką spróbował pchnąć drzwi. Nie uległy, zamknięte najwyraźniej od środka. Tym głośniejsze powtórzył:

– Jest tu kto?!!

Znów nikt się nie odezwał. Zszedł więc z ganku i skierował się do najbliższego okna. Na wpół zabite było deskami, ledwie zasłaniającymi potłuczone szyby. Zaglądając pomiędzy szparami, szlachcic wzrokiem omiół opustoszałe wnętrze. Posępne, jak cały dwór, z rozrzuconymi po podłodze resztkami mebli i ubrań, sprawiało przykre wrażenie. Na dodatek bił ze środka odór chorobliwej stęchlizny, drażniąc nieprzyjemnie nozdrza.

Złapawszy krawędź palcami, Żegota szarpnął jedną z desek i z trudem ją oderwał, przy akompaniamencie jęku wyciąganych zardzewiałych gwoździ. Odrzuciwszy ułomek na bok, przybliżył twarz do otworu, wołając:

– Pomówić przyjechaliśmy!

I tym razem próżny był jego wysiłek. Prostując się, wzruszył ramionami.

– Może gdzie polazł? – zasugerował.

Saksończyk pokręcił głową. Pogładziwszy się po szorstkich wąsach, podszedł do drzwi, by załomotać w nie pięścią:

– Matjas! Wiem, że tam jesteś! Otwórz! Jesteśmy tymi oficerami, co próbowali Zatwarnickiego powstrzymać! Gadaliśmy z tobą tej nocy, zanim to się stało, i później! Rozmówić się chcemy!

Przez kilka sekund nic się nie działo, nim z wnętrza dobiegł jakiś hurgot, jakby odsuwania czegoś ciężkiego. Za nim rozległo się głucho:

– A o czym niby mam z wami gadać?

– Otwórz!

– Ani myślę! Precz idźcie!

– Pomóc chcemy!

Rozległ się krótki, gardłowy śmiech.

– Pomóc? Wam pomoc potrzebna, nie mnie!

– Dlatego tym bardziej otwórz!

Deski wewnątrz domu zaskrzypiały, a głos starego rozległ się bliżej.

– Dla mnie, psie syny, za to, co się panience i panu stało, on może was wszystkich pozabijać! Całą wieś z przysiółkami wyludnić od najmniejszego bachora po zgrzybiałego starca! Popatrzę sobie, jak zdychacie jeden po drugim, sycąc wzrok waszym cierpieniem! Na koniec zaś naszczam na trupy Zatwarnickich wywleczone z grobów i zostawię je gnijące zwierzętom na pożarcie. Niczego bardziej nie pragnę!

Oczy Niemca się zwęziły. Spojrzał wymownie na Nadolskiego i Murraya, rzucając w kierunku drzwi:

– On? Co za on? O kim mówisz?

Znów zabrzmiał złowrogi śmiech, a po nim dławiący kaszel. Dłuższą chwilę zanosił się nim Matjas, aż wreszcie ustało chorobliwe krztuszenie. Wtedy dopiero wycedził:

– Co? Ciekawiście? Ale nie mnie pytajcie! Ja nic nie wiem, a nawet gdybym wiedział, słowa bym nie rzekł! Precz idźcie! Najlepiej jak najdalej stąd, wtedy może życie ocalicie! To przekłete miejsce, dobre dla ludzi przeklętych!

– Może czas zdjąć tę klątwę? – odrzekł Saksończyk.

– Nie przez was nałożona i nie wam ją zdejmować! – padło od razu zza drzwi. – To tutejsi mieszkańcy sami ją na siebie ściągnęli! Teraz muszą wypić to, czego nawarzyli! Do samego końca!

Żegota zbliżył się do Niemca. Stojąc tuż za nim, zapytał głośno:

– Może pan Herburt wszystko by uładził?! Co?!

– Herburt?! A cóż jemu do tego?! – W głosie Matjasa zabrzmiało zdziwienie. Po dłuższej chwili dodał: – Diabli wiedzą gdzie on i niech tak zostanie! Bodaj się nie wtrącał, kiedy nie jego rzecz do tej pory była! Słyszał pewnie o wszystkim, co się tu działo, i nic nie uczynił! Za to i jego, choć kiedyś mu za pachółka służyłem, przeklinam teraz jak innych! Niechaj go piekło pochłonie za tę bezczynność!

Nadolski uśmiechnął się krzywo, spoglądając tryumfalnie na Stillera. Ten, pokręciwszy głową, rzucił ku drzwiom:

– To rzeknij chociaż, kto pomoc może. Jak sprawić, żeby ludzie ginąc przestali?

– A skąd ja niby mam wiedzieć? – Stary sługa Rudyłowskiego się zaśmiał. – Modłę się, żeby nikt nie mógł temu przeszkodzić

– Nikogo ci nie żal?

– Żal? A było mi żal, mości panie! Panienki i pana było mi żal! Teraz to już nikogo!

– Sam się śmierci nie boisz? Potępienia?

– Ja i tak na pół żywy jestem, odkąd mnie wtenczas Zatwarniccy przetręcili. Tylko czekanie, aż zdechną panowie z Sikawca przy życiu mnie trzyma. Potem wszystko mi jedno. Bylebym tam trafił, gdzie pan Hieronim z panienką Anusią poszli. Choćby nawet to i piekło było!

Znów zakaszłał sucho, z samej głębi wyniszczonego ciała. Za drzwiami zaszurały ciężko po podłodze jego buty. Na odchodne Matjas rzucił:

– Idźcie! Nie chcę już z wami gadać!

Zniecierpliwiony Murray odsunął przyjaciela, ostatni raz łomocząc pięścią po nabitych żelaznymi guzami deskach. Przysuwając się ku nim jak najbliżej, krzyknął:

– Mówić nie chcesz?! Poczekaj! Może nawet dziś zabiją owego potwora!

Najpierw zapadła cisza, a potem rozległ się rechot tak złowrogi, że aż ciarki po plecach przeszły Nadolskiemu. Po nim zaś z oddali dobiegły go zimne niczym lód słowa:

– Przynajmniej jeden potwór zejdzie dziś z tego świata! Tego możecie być pewni!

Coś przesuwanego po drewnianej podłodze znów zahurgotało i wszystko ucichło. Opustoszały dom znów stał się martwy.

Baltazar Zatwarnicki stępa przemierzał knieje w towarzystwie idących obok naganiaczy. Cały dzień zmarnotrawił w lesie, z rzadka tylko strzelając do przemykających czasem zwierząt. Ubił ledwie dwa wilki, a kilka uciekło mu sprzed lufy. W olstrach wciąż trzymał pistolety nabite srebrnymi kulami. Nie sięgnął po nie ani razu, bo nie miał powodu. Teraz zmęczenie przytępiło mu zmysły, przykrywając nawet strach, który odczuwał jeszcze przed południem. Napięcie minęło wobec wielogodzinnej, w gruncie rzeczy jednostajnej wędrówki pomiędzy starymi bukami. Zmęczony koń tylko na krótko przyspieszał, reagując na trącenia ostrogami. Jak i jeździec miał dość monotonnej wędrówki stokami raz w górę, raz w dół. Parskał czasem, dając znać, iż jego siły są już na wyczerpaniu.

Kołyszący się w siodle szlachcic przymykał klejące się oczy, bezsilny wobec opanowującej go senności. Zbyt wiele już dni trwał w stanie ciągłego lęku, by jego ciało nie upomniało się w końcu o swoje naturalne prawa. Umysł młodego mężczyzny powoli opanowywało znużenie, pomieszane z apatią i jakimś podświadomym pogodzeniem się z losem. Nieubranym w słowa pragnieniem, aby to wszystko, czego doświadczał, nareszcie się skończyło. Już nawet wspomnienie okaleczonego ciała Melchiora nie przyspieszało bicia jego serca. Było tylko jakby nierzeczywistym obrazem, niczym z sennych koszmarów. Baltazar zawieszony pomiędzy świadomością a snem sam już nie wiedział, co jest prawdą, a co wytworem jego zamroczonego umysłu. Tylko dochodzące z lewej i prawej strony pokrzykiwania nagonki i myśliwych czasem

przywracały mu pełną trzeźwość. Nie na tyle jednak, aby nadać zmysłom ostrość postrzegania, a ciału werwę. Pragnął jedynie wrócić do dworu, położyć się i spać. W miarę możliwości jak najdłużej. Reszta nie miała już znaczenia. Nawet bestia, która zabiła mu brata.

Powietrze stawało się coraz chłodniejsze i bardziej wilgotne, zapowiadając nadchodzący nieuchronnie wieczór. Krok za krokiem, prawie niedostrzegalnie, lecz nieubłaganie nadciągał zmrok. Po minach idących opodal naganiaczy widać było, iż chcieliby czym prędzej opuścić bór i znaleźć się w swoich chałupach.

Byli to chłopci z Bałwańskiego. W tym przysiółku Zatwarnicki nie napotkał trudności, tak jak w Zatwarnicy. Nikt nie przeszkodził mu, kiedy wjechał z pachołkami pomiędzy chaty i po trosze groźbą, a po trosze kusząc zapłatą, zabrał kilkunastu wieśniaków do naganiania zwierzyny. Szli teraz i stukali kijami o siebie, od czasu do czasu pokrzykując. Nie było w tym jednak żadnego zapалу. Można by nawet sądzić, iż wydawane przez chłopów odgłosy bardziej służyły dodawaniu sobie otuchy niż napędzaniu zwierzyny pod lufy łowców.

Pod stopami idących trzaskały gałęzie i szeleściły pozostałe z poprzedniego roku liście. Szli właśnie zachodnim stokiem wzniesienia zwanego Berdo, kierując się na San. Drogę wyznaczał im ciągnący się z lewej potok, szmerzący w dolinie. Zarówno wyżej, jak i niżej posuwali się inni, dając okrzykami znak swojej obecności. Świadomość, iż nie jest się samemu w lesie, pozwalała panować nad natrętnymi myślami o wiszącej w powietrzu nieznannej groźbie. Całodzienny trud przytępił jednak zmysły nawet odpornych na zmęczenie chłopów. I oni myślami byli już w domach, w których znów zamkną się i przeczekają kolejną noc.

Z odrętwienia wyrwały Zatwarnickiego słowa rzucone ku niemu przez idącego opodal naganiacza:

– Panie, mgła w dolinie się zbiera.

Odruchowo zerknął w dół, ku strumieniowi. Wił się pomiędzy drzewami, rzeczywiście otoczony już delikatnym przedwieczornym oparem. Nie na tyle jednak gęstym, by zawracać sobie tym głowę.

Baltazar wyprostował się w siodle, odchrząknął i rzucił krótko:

– Nie gadaj! Zwierza wypatruj!

Poprawił leżącą na siodle przed nim rusznicę, palcem sprawdzając zamek kołowy. Oceniwszy, iż wszystko jest w porządku, westchnął zmęczony i znów przygarbił się w siodle.

Jechał tak kilka minut, podczas których znów zdołały mu się zamknąć oczy. Dopiero koń, potknąwszy się na jakiejś nierówności, sprawił, iż jeździec drgnął w siodle, gwałtownie mrugając powiekami.

Ze złością sięgnął po manierkę, w której chlupotała resztką wody. Wypił dwa marne łyki. Niezadowolony odwrócił naczynie, strącając na ziemię ostatnie krople. Nadal czuł pragnienie, lecz teraz musiałby albo zjechać w dolinkę i zaczerpnąć wody ze strumienia, albo też wytrzymać aż do powrotu. Machinalnie zerknął w lewo ku potokowi. Przebiegł go nagły dreszcz, a suchość w ustach stała się silniejsza. Delikatny opar, który widział jeszcze przed chwilą, zgęstniał i się rozszerzył, zamieniając się w wilgotny biały obłok, za którym już prawie nic nie było widać.

Zaklął, wsłuchując się w las. Dopiero po chwili odgłosy innych uczestników łowów wlały mu w serce nieco otuchy. Mimo to ponaglił idących najbliżej chłopów.

– Żywo! Do rzeki jeszcze kawałek!

Nie musiał zachęcać naganiaczy. Dobrze widzieli zbierającą się mgłę. Żaden z nich nie chciał, by wilgotna biel ich otoczyła, odbierając możliwość obserwowania najbliższej okolicy. W oparze czaić mogło się zło niosące śmierć. Przyspieszyli kroku, pokrzykując jeszcze głośniej niż dotychczas.

Przebrnęli tak najmniej kilkaset kroków. Stok powoli zaczął opadać, co zamiast przynieść ulgę, wzmogło tylko niepokój naganiaczy i myśliwego. Im bowiem bliżej było Sanu, tym intensywniejsza stawała się zimna wilgoć w powietrzu, a to, co kłębiło się w dole białą smugą, podnosiło się wyżej i wyżej, przecinając drogę wędrującym pospiesznie ludziom. Już teraz Baltazar Zatwarnicki widział pojedyncze pasemka mgły wokół siebie. Przed nim zaś obłok gęstniał tak, iż ginęły w nim pnie drzew.

Głucho i złowrogo brzmiały teraz ludzkie odgłosy dobiegające z lasu. Zawieszane w powietrzu kropelki wody zdawały się je tłumić, powodując, iż trudno było poznać, czy sąsiedni naganiacze są blisko, czy daleko.

Kilku stojących najbliżej chłopów z solidnymi pałkami w dłoniach, którymi uderzali o pnie drzew, odruchowo zbiło się w kupę, zbliżając się do konia, na którym jechał szlachcic. Gniewnym prychnięciem Baltazar Zatwarnicki zareagował na dochodzące go szeptane przez wieśniaków słowa modlitwy. Ogarnął go niepokój. Nie zamierzał jednak zawierzać swego życia wyłącznie boskiej opiece. Wiedział, iż jak najprędzej musi dotrzeć do rzeki. Tam zgromadzą się wszyscy myśliwi i będzie bezpiecznie.

Podniecone zagrożeniem zmysły znów się wyostrzyły, a w ciało szlachcica wstąpiła energia. Mocniej ścisnął prawą dłoń rusznicę, a lewą skrócił wodze. Patrzył czujnie dokoła, szukając nawet najdrobniejszego ruchu. Nie spoglądając nawet na idących tuż obok chłopów, warknął ku nim:

– Rozglądać się dobrze! Razem trzymać!

Mgła otoczyła ich zupełnie. Teraz tylko z opadającego zbocza mogli wnioskować, iż wciąż idą we właściwym kierunku. W tym przekonaniu utwierdzało jeźdźca także to, że wciąż z dwóch stron słyszał dochodzące go odgłosy innych ludzi. Aby się nie zgubić, rozkazał wieśniakom:

– Wołać głośno!

Nie musiał ich do tego zachęcać. Od razu nabożne szepty zamieniły się w nawoływanie. Dobiegające nie wiadomo skąd odpowiedzi uspokajały, dodając ufności w to, iż zaraz skończy się ta wędrówka po omacku i będzie można odetchnąć z ulgą. Nawet najmłodszy z braci z Sikawca przyłączył się do chłopów, pokrzykując od czasu do czasu z grzbietu konia.

Kłębiący się tuman gęstniał, sprawiając, iż widać było już tylko ledwie na kilka kroków. Siłą rzeczy wędrówka stała się wolniejsza, wymagająca większej czujności. Łatwo było wpaść w jakiś wykrot, potknąć się o korzenie czy uderzyć w zwisającą gałąź. Koń parsknął nerwowo, obracając łbem. Jego wypukłe oczy błyszczały instynktownym niepokojem. Poddawał się woli jeźdźcy, ufny, iż jak zawsze wie on, co robi. Płonna to była

nadzieja, albowiem w serce Baltazara wkładać się zaczynały przerażające wątpliwości. Tracił poczucie czasu, nerwowo myśląc, że już powinien słyszeć plusk rzeki. Także dochodzące go odgłosy innych zdawały mu się bardziej odległe niż jeszcze przed chwilą. Zaczynał się bać.

Zbocze nadal opadało, łudząc, iż droga w dół prowadzi we właściwym kierunku. Nie było żadnej innej możliwości, jak zaufać temu przeświadczeniu. Opar wznosił się tak wysoko, iż prawie przesłaniał bezlistne korony drzew mierzące ku niebu. Przerażająco wyglądały w nim ginące w bieli rozcapierzone gałęzie. Przywodziły na myśl wiszące nad głowami szpony, tylko czyhające, aby pochwycić idących pod nimi ludzi. Posępne szepty chłopów wzmagaly nastrój grozy.

– *Wszytko zahmlene! Isus Chrystus, pamyłuj!*^[168]

– *Probacz mi, Boże!*^[169]

Gniewny szlachcic syknął wściekle:

– Cicho! Zawrzec gęby! Patrzec, gdzie inni!

Kiedy wieśniacy wypełnili rozkaz, wsłuchał się w las, szukając ludzkich odgłosów. Zamarł w oczekiwaniu, a włos powoli zaczął mu się jeżyć na głowie, kiedy zrozumiał, iż nie dochodzą go już żadne nawoływania.

Przystanął, wyęzając wzrok. Próżny to jednak był wysiłek. Zakrzyknął i długo czekał na odpowiedź. Ta jednak nie nadeszła. Wreszcie doprowadzony do ostateczności uniósł rusznicę i zacisnąwszy zęby, wystrzelił. Rozległ się huk, gryzący dym wymieszał z mgłą. Koń zakręcił się nerwowo, prychając. Chłopi zbici w kilkuosobową gromadę skamienieli, wsłuchując się w echo.

Kilka sekund trwała cisza, nim gdzieś, nie wiadomo zupełnie gdzie, odezwały się w odpowiedzi dwa strzały. Stłumione i odległe, uświadamiające, jak bardzo oddalił się Baltazar Zatwarnicki od reszty.

Szlachcic zaklął, gdyż zdał sobie sprawę, iż nie wie, dokąd iść. Pozostała mu jedyna możliwa droga. Wciąż w dół. Nawet jeśli nie dotrze do Sanu, to prędzej czy później natknie się na jakiś strumień, który w końcu

doprowadzi go do rzeki. Podjąwszy decyzję, położył znów broń na łąku siodła. Do chłopów warknął jedynie:

– Idziemy!

Ponaglił konia, ruszając przodem.

Chrzęściły łamane kopytami końskimi i ludzkimi stopami drobne gałęzie. Mieszał się ten dźwięk z odgłosem nierównych, zmęczonych oddechów i nerwowego prychnania wierzchowca. Nikt już się nie odzywał. Nawet modlitwy ucichły. Przerażeni wieśniacy bali się, iż jakiegokolwiek słowo sprowadzić może na nich bestię ukrytą we mgle. Mieli niemalże pewność, iż potwór czyha gdzieś tam, tylko czekając sposobności, aby zaatakować. Otumanione oparem zmysły oddawały pola najstraszliwszym wyobrażeniom rodzącym się w głowach.

Szlachcic nie był w stanie powiedzieć, jak długo trwała ta wędrówka po omacku, nim usłyszał szmer wody. Odżyła w jego sercu nadzieja. Także koń, wyciągnąwszy łeb, poruszył chrapami i zastrzygł uszami, czując w pobliżu strumień. Nieponaglany, przyspieszył kroku.

Ledwie po kilku krokach myśliwy i naganiacze stanęli nad małym potokiem. Wił się, szemrząc, pomiędzy kamieniami. Zatwarnicki odetchnął z ulgą. Już wiedział, dokąd powinien zmierzać. Gdzieś na prawo od niego musiał płynąć San.

Odwrócił wierzchowca, komenderując cicho:

– Za mną!

Miękka, błotnista ziemia mlasnęła pod kopytami. Wystraszeni chłopci ruszyli przed siebie i szli tuż przy boku zwierzęcia. Mocniej ścisnęli trzymane w dłoniach pałki, jedynie je mając do obrony. Brnęli przez ciężką mgłę, prosząc w myślach Boga, aby pozwolił im przetrwać. Widziane na własne oczy obrazy zabitych przez bestię ludzi natarczywie wracały, przerażając swymi krwawymi szczegółami.

Zrobili nie więcej niż dwadzieścia kroków, kiedy koń szarpnął się niespodziewanie, zapierając się przednimi nogami w błoto. Zarżał przestraszony, próbując zawrócić. Baltazar zatrzymał go, silnie ściągając

wodze. Odruchowo przeciągnął dłonią po drżącym karku zwierzęcia. Wieśniacy, stanawszy, wbili pełne strachu oczy w szlachcica. Tylko delikatny szmer wody zakłócał martwą ciszę, która nagle nastąpiła.

Wzrok i słuch mężczyźni wyteńczyły się do granic możliwości. Czekali, wpatrując się we mgłę i szukając w niej nawet najdrobniejszych dźwięków. Ich oddechy stały się płytkie i prawie bezgłośnie. Tak minęła niemal minuta. Las milczał.

Już zdawało się, że można będzie odetchnąć z ulgą i ruszyć dalej, kiedy gdzieś z przodu doleciał uszu ludzi odgłos łamiącej się pod czymś gałązki. Rozpłynął się w ciężkim powietrzu, sprawiając, iż szlachcic i naganiacze zadrżeli. Mógł nic nie oznaczać, lecz równie dobrze mógł być zapowiedzią zbliżającej się śmierci.

Zatwarnicki sięgnął po nabite srebrnymi kulami pistolety. Bez słowa, trzymając je w dłoniach, wyciągnął nogi ze strzemion i zeskoczył z siodła. Przyczał się, chroniony z jednej strony przez strumień, z drugiej zaś przez bok wierzchowca. Garbiąc się, syknął w kierunku chłopów:

– Widzi co który?

Odpowiedział mu ściszony szept:

– Nie, panie. Tuman wszędzie.

– Patrzeć uważnie.

Szlachcic zrobił ostrożny krok w przód, bacząc, aby nie uniósł się żaden dźwięk. Miękka ziemia sprzyjała jego zamiarom. Wychylił się zza końskiego łba, zerkając na lewo i prawo. Spłoszeni wieśniacy podeszli ku niemu niczym stado bezbronnych ptactwa kryjące się przed drapieżcą. Trudno zresztą było się temu dziwić, albowiem sami nie mieli żadnej broni prócz sękatych kijów. Może i dobre byłyby w karczemnej awanturze, lecz teraz zdały się do niczego niezdatne. Baltazar ze złością pomyślał, iż niepotrzebnie zasłaniają mu widok, dlatego warknął:

– W tył, kurwie syny!

Posłusznie, aczkolwiek nie do końca wypełnili polecenie, prawie przytulając się do końskiego boku. Jeden, odważniejszy widać i bardziej

znający się na rzeczy, poprosił:

– Rusznicę by jaśnie pan dał.

Zmarszczywszy brwi, Zatwarnicki burknął:

– Bierz! A cicho! Kule i proch przy siodle!

Koń poruszył się, kiedy wieśniak ściągał broń z siodła. Potem słyhać było tylko szelest sypanego do lufy prochu, dźwięczne skrzypnięcie wycioru w lufie i w końcu głucho stuknięcie ugniatanej przybitki.

Wkładając jeden z pistoletów za pas, wciąż czujny szlachcic podał chłopu pod końskim brzuchem klucz do zamka. Zachrobotła nakręcana sprężyna. Narzędzie po chwili wróciło do właściciela. Odbierając je, najmłodszy pan z Sikawca poczuł się lepiej, wiedząc, że teraz nie tylko on może strzelać. Wyrzucił sobie w duchu, że sam na to nie wpadł, dając się ubiec jakiemuś wieśniakowi.

Nadal nic się nie działo. Tylko mgła jakby gęstniała z każdą chwilą. Przyczyną był tu jednak zbliżający się nieubłagane zmrok, mieszający się z tumanem i pogarszający widoczność.

Szlachcic wiedział, że musi podjąć decyzję co dalej, albowiem pozostanie w tym miejscu oznaczało śmierć. W duchu poczuł pokusę, aby skoczyć na siodło i pogalopować przed siebie, pozostawiając naganiaczy na pastwę losu. Powstrzymał się jednak przed tym, choć z trudem. Rozsądek podpowiadał mu, aby pozostać w grupie. Gdyby wiedział, co jest przed nim, nie wahałby się, lecz teraz nie miał innego wyjścia.

Coś zaszeleściło w zaroślach na prawo. Stało się to tak gwałtownie, iż chlōpi przypadli do ziemi, a Baltazar Zatwarnicki prawie pociągnął za spust. Zaniepokojony koń, trzymany za wodze przez jednego z włościan, przysiadł na moment na zadnich nogach i szarpnął się łbem. Zastukotał nerwowo kopytami, dając znak, że nie chce tu zostać. Próżny był jednak jego wysiłek. Naganiacz złapał go mocno przy samym pysku i szepnął wprost w ucho:

– Ciiiiii...

Plusnęła woda gdzieś z przodu, jakby coś przekraczało potok. Zazgrzytały drobne kamienie na brzegu. Teraz szlachcic miał już pewność, iż coś chodziło wokół nich. Czaiło się. Zadrżał, wiedząc, że nie wróży to nic dobrego. Jeszcze niedawno zły na chłopów, że mamrotali modlitwę, teraz sam w myślach zaczął ją odmawiać.

Ręce potniały mu na kolbach pistoletów. W ustach czuł słodki posmak, a żołądek kurczył się gwałtownie, przyprawiając o mdłości. Napływająca wciąż ślina zmuszała, by przełykać ją co chwila. Nigdy dotąd nie czuł Baltazar Zatwarnicki takiego strachu, jak teraz. Nie panował nad nim. Drżał, niepomny na swój szlachecki stan i opinię charakternika. Błagał Opatrzność o zmiłowanie, przysięgając na wszystkie świętości, iż odpokutuje każdy swój grzech, byleby wyszedł z tego cało.

Jakiś cień mignął we mgle za potokiem. Tak szybko, iż ledwie można było go zauważyć. Nie bacząc na to, że niepodobna byłoby trafić w istotę, która tam się czaiła, młody mężczyzna wystrzelił z jednego pistoletu. Owionął go ostry prochowy dym, zmuszając do zmrużenia oczu. Kiedy się rozwiął, nadal nie mógł dostrzec nic, co dałoby mu choć nikłą szansę na zmierzenie się z ukrytym wrogiem.

Coś ukryte we mgle kpiło z niego, bawiąc się jego strachem. Syciło się widokiem skulonej postaci jak kot, który wie, iż osaczona mysz jest już skazana na rychły koniec w jego pazurach. Nagła fala wściekłości załapała serce Zatwarnickiego. Prostując się, wrzasnął, choć głos miał nad wyraz piskliwy i skrzeczący:

– Na co czekasz, skurwysynu?! Chodź tu! Walcz!

Przerażeni chłopci padli na kolana, poddając się losowi. Zawyli rozpaczliwie, łkając i nawołując Boga. Usta zamarły im, a ciała skamieniały, gdy spośród mgły rozległo się warczenie głucho i tak złowrogie, że żaden zwierz nie byłby w stanie wydać go z siebie. Potworny lęk sparaliżował im ręce i nogi, a z dłoni wypadły kije. Tylko ten, który miał rusznicę, wystrzelił diabli wiedzą w co, wrzeszcząc jak szalony:

– *Boże, pamyłuj!*^[170]

Zaświstała kula, szeleszcząc pomiędzy gałęziami. Echo poniosło huk po lesie. A wówczas straszne warczenie zmieniło się w narastający ryk, od którego mogły pomieszać się zmysły.

Baltazar Zatwarnicki, żegnając się z życiem, śmiało wyszedł przed szarpiącego się w przerażeniu konia. Odrzucił wystrzelony pistolet i prawicą dzierżącą drugi wykonał pospieszny znak krzyża. Splunął cieknącą mu do ust gęstą śliną. Nie odwracając się, rzucił do wciąż kurczowo trzymającego końskie wodze chłopca:

– Puść go! Szkoda zwierzęcia!

Natychmiast po tym rozległ się kwik uwolnionego nagle wierzchowca i oddalający się tętent kopyt. Szepnął jeszcze Zatwarnicki pod nosem do siebie, nim słowa zgasły mu na ustach:

– Dobry był gniadosz...

To, co zarysowało się we mgle, było straszniejsze, niż mógłby przypuszczać. Nawet sny nie potrafiłyby stworzyć czegoś równie przerażającego. Jeszcze spróbował młody szlachcic unieść pistolet i wystrzelić. Ręka jednak zanadto mu drżała, aby kula była celna.

Jednocześnie rozległy się huk i ryk rzucającej się w przód bestii. Pomieszały się z wrzaskiem uciekającego chłopstwa, jękami i płaczem, w którym nie było już słów, lecz jedynie niezrozumiały, opętany bełkot.

Ostatnie, co zobaczył w swym życiu Baltazar Zatwarnicki z Sikawca, były szarpiące go kły i nabiegłe krwią oczy, w których nie dojrzał litości. Najstraszliwsze zaś było to, że były to ludzkie oczy.

ROZDZIAŁ XIV

TRUP

Na dziedzińcu przed dworem w Zatwarnicy stali zbici w gromadę chłopci, ściskając w rękach wyświechtane czapy. Wsłuchiwali się w nieskładną opowieść umorusanego błotem człowieka, który wciąż drżał ze strachu. Dopiero co świt nastał, lecz zeszli się w pośpiechu mężczyźni, aby zobaczyć tego, co z nagonki wrócił i straszne rzeczy opowiadał o tym, co na własne oczy widział. Słuchali także cudzoziemscy oficerowie, Nadolski, pan Jeremi Winnicki i Sabaci, ani nie ponaglając przerażonego wieśniaka, ani też pytań mu nie zadając. To, co chłop mówił, sprawiało, iż mieszało się w nich niedowierzanie ze zgrozą.

Oto jawiła się przed nimi historia o skrytym we mgle potworze, ogromnym, nieczułym na kule, podobnym do wilka, lecz w ludzkiej postaci. To on rzekomo dopadł wśród lasu najmłodszego z Zatwarnickich i na śmierć ubił. Rozdarł go na strzępy, a kiedy to czynił, wyrzucał z siebie słowa diabelskie w nieznanym języku i wkoło rozchodził się zapach palonej siarki i smoły. Chłop zaklinał się, iż z samego dna piekieł musiała przybyć owa bestia, która niosła ze sobą zagładę. Drżącym głosem zapowiadał koniec wszystkim osiadłym we wsi i przysiółkach. Na twarzy miał wypisane takie przerażenie, iż łatwo było uwierzyć w to, co mówił.

Zadrżał wylękniony dzierzawca Zatwarnicy, żegnając się kilkakroć. Za jego przykładem poszła część chłopstwa, a jeden, naciskając czapę na łeb, pognął w kierunku cerkwi, aby też popa sprowadzić, który najlepiej ze wszystkich znać się powinien na diabłach. Nikt z włościan nie wątpił już bowiem, iż to sam zły wychynął spod ziemi, aby karę należną za przewiny na ludzi spuścić. Każdy z osobna i wszyscy razem czynili w duchu rachunek sumienia, odnajdując w swych sercach dawno zapomniane grzechy, za które teraz odpokutować im przyjdzie. Co chwila padać poczęły prośby o zmiłowanie boskie, a twarde pięści głucho uderzały o piersi.

Łypali przy tym nieufnie wieśniacy na rzymskich katolików, w których upatrywali przyczyny wszelkiego nieszczęścia. Tym więcej mogli ich podejrzewać, iż potwór w nieznanym języku ponoć gadał, jak ksiądz w kościele papistów. Znana to zresztą wśród prawosławnych rzecz była, że bies w ludzkiej postaci po łacinie mówił i z cudzoziemska się ubierał. Nic dziwnego tedy w tym nie było, że również przybierając kształt wilka, tego języka mógł używać^[171].

Zły był Żegota słuchający ruskiej mowy na to, iż żadną siłą do rozumu chłopstwu przemówić się nie da. Każde słowo wyjaśnień lub prośbę o spokój na swój sposób gotowi byli rozumieć, a narastający strach nic dobrego nie wróżył. Gniew bowiem wśród prostych ludzi powoli narasta, ale też kiedy przepełni się czara goryczy, jest niepoahamowany w swej sile. Dobrze pamiętał Nadolski opowieść o tym, jak ludzie z Odrzechowej pod wodzą beskidnika Konyka na Posadę i Olchowce napadli, rabując i mordując. Wzięli wówczas ponoć nawet armatę pod Chocimiem zdobytą, którą potem gdzieś w stawie utopili^[172]. Tak i teraz tu, w Zatwarnicy, wrzało już w ludzkich głowach. Nadejście popa mogło tylko dolać oliwy do ognia. Dlatego pochylając się ku Stillerowi, szlachcic szepnął mu do ucha:

– Każ Sabatom chłopów z folwarku przegnać, bo źle być może.

Niemiec skinął głową, zgadzając się z Żegotą. Niespiesznie, jakby nigdy nic, przesunął się ku hersztowi Węgrów o imieniu Laci i coś mu rozkazał półgłosem. Wiedział najemnik po spotkaniu z Saksończykiem, że słuchać go trzeba. Dlatego prędko zabrał się do dzieła. Uzbrojeni w muszkiety Węgrzy stanęli obok siebie i niespiesznie, bez zbędnej natarczywości, poczęli spychać chłopów ku bramie. Tak zaś to sprytnie uczynili, iż odcięli od nich tego, który snuł opowieść.

Zamilkł naganiacz z Bałwańskiego, wpatrując się w to, co się dzieje. Nie dali mu jednak czasu na rozmyślenia Stiller z Murrayem, tylko wzięli go pod ręce i poprowadzili bezwolnego ku folwarcznej kuchni. Nadolski zaś ponaglił pacholków, by kiedy tylko chłopci znikną z obejścia, dobrze zawarli bramę. Czas był najwyższy, albowiem na drodze biegnącej od wsi pojawił się pop, który tłukąc prętem o żelazną sztabę, jak zwykł czynić po nocach,

gdy wyzywał bestię na pojedynek, pędził ku folwarkowi. Przedziwne zaiste sprawiał wrażenie w rozwianym czarnym stroju, gdy tak wzbudzał hałas niepotrzebny. Przez myśl siwowłosemu szlachcicowi przemknęło, iż klecha musi być ułomny na umyśle, jeśli wręcz nie szalony, co tym bardziej niczego dobrego wróżyć nie mogło. Dlatego odetchnął z ulgą, kiedy zawarły się skrzydła bramy i zablokował je ciężki skobel.

Odwrócił się, wzrokiem szukając Niemca. Ten, wyszedłszy z zabudowań, dawał ostatnie polecenia Sabatom, którym nakazał czuwać i nikogo do obejścia nie wpuszczać. Broń najemnicy mieli trzymać w pogotowiu, ale używać jej jedynie na wyraźny rozkaz. Gdyby połała się krew, marne bowiem mieliby szanse obrońcy, tym bardziej że rychło do oblegających mogliby się przyłączyć zgromadzeni w Sikawcu stronnicy Zatwarnickiego.

Wszystkiemu przyglądał się wystraszony pan Winnicki. Z jednej strony zły był, iż ktoś za niego decyzje podejmuje, z drugiej zaś wdzięczny, że sam nie musi tego robić. Już dawno przerosło go to, co się w jego wsi działo. Niczego bardziej nie pragnął niż świętego spokoju. A ten zdawał się coraz odleglejszy. Dlatego stary administrator machnął w końcu ręką i zgarbiony od ciężących mu trosk ruszył ku domostwu, aby w winie odnaleźć nieco ukojenia. Zaczynało być mu już wszystko jedno, co zwykle bywa u słabych natur oznaką największej desperacji.

Żegota niespiesznie przeszedł ku kuchni, gdzie czekał już Murray z wciąż wystraszonym chłopem. Szkot nakazał dać wieśniakowi kwaterkę okowity, co zwykle i umysł uspokaja, i język rozwiązuje. Kiedy tylko kubek stanął przed włościaninem, natychmiast wychleptał z niego połowę, rad, że wreszcie ktoś pomyślał o jego przyziemnej potrzebie. Mimo to nie zniknął niepokój z jego twarzy, tym większy, że wciąż nie rozumiał, czemu nagle zabrano go z podwórca i nie pozwolono dalej opowiadać o nocnych przeżyciach.

Nadszedł wreszcie i Stiller, z miną posępną i skupioną. Mimo iż spodziewał się nieszczęścia, tliła mu się jeszcze wieczorem nadzieja, że nie nastąpi. Teraz zaś stanął w obliczu prawie że katastrofy. Kolejna śmierć

mogła przelać czarę goryczy i skłonić wieśniaków do nierozsądnych czynów, szkodzących zarówno im, jak i postronnym.

Usiedli we trójkę przy kuchennym stole, wpatrując się w umorusanego i wymęczonego mężczyznę. Znali już jego opowieść, lecz pragnęli jeszcze raz ją usłyszeć, aby wyciągnąć z niej to, co było prawdą i odrzucić kłamstwa. Zwykle bowiem tak bywa, iż w zeznaniach człowieka rozgrzanego emocjami wszystko jawi się większe, straszniejsze i bardziej groźne. Prawda zaś okazuje się nieco inna.

Odczekawszy dłuższą chwilę, aż rumieniec od okowity okraślił twarz chłopca, Stiller w końcu zapytał:

– W naszej mowie gadasz?

Wieśniak skinął głową.

– Jak cię zwać?

– Matwiej, panie.

– Słuchaj tedy, Matwiej. Od początku nam wszystko powiedz, jak było, ale powoli i po kolei. Pojmujesz?

– Pojmuję.

– To mów!

Zanim zaczął, naganiacz dopił resztę wódki i otarł zarośniętą twarz rękawem koszuli. Poskrobawszy się paluchami po skudłanej głowie, powiedział:

– Kazali nam, znaczy mnie i paru innym z Bałwańskiego, w nagonce iść. Pan Zatwarnicki z pachółkami o świcie nas z chałup wziął, tak jakeśmy stali, a przeciwieć się nie było można, bo nahajem groził. Tedy poszliśmy wszyscy. Każdy se kija uciał, coby we drzewa walić i zwierza płoszyć. Ustawili nas w szereg wedle pana Baltazara z Sikawca i dalejże w las naganiać.

– Od której strony szliście? – zapytał rzeczowo Żegota.

– Najsampierw wzdłuż Hylatego, w stronę na Oblicz i Magurkę, potem zaś stokami na Berdo i Połowiny. Ale też w ciągu dnia parę razy nas zawracali w tę i we w tę. Na koniec wszystko się pomieszało. Jedni wołali

jeszcze od strony górki, co się Nad Mąką zowie, inni zaś już wśród lasów nad potokami, co są w dolinkach między Działkowcem a Berdem. Ale po południu wszystko poszło w kierunku Sanu.

– I cały dzień z panem Baltazarem Zatwarnickim byłeś?

– Cały dzień – przytaknął chłop.

– Jak łowy się udały?

– Dwa wilki pan Zatwarnicki ustrzelił, aleśmy je w lesie ostawili, bo chude i wyliniałe były. Stare pewnie.

– A inni?

Matwiej pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Najwięcej sami szliśmy, tylko nawoływań słuchając. Czasem podjechał kto do pana z Sikawca pogadać, ale nie słyszał o czym. Brat zaś jego ani razu się nie pojawił, w innym widać miejscu polował.

– Jak w las wchodziliście, ilu was wszystkich było? – dociekał Nadolski.

– Nagonki ze czterdziestu paru chłopca, panów z dziesięciu i ich czeladź. Razem z siedemdziesięciu ludzi. Ale rusznice to tylko czeladź i szlachcice mieli. Naganiacze ledwie kije i jakie siekierki, jak kto wziął.

– Dobrze. – Żegota pochylił się nad stołem ku chłopu. – Teraz mów, co po południu było.

– Na Berdzie byliśmy, jak pan Zatwarnicki zarządził, aby już do Sanu iść, bo też zmierzch był tuż-tuż. Tam wszyscy nad brzegiem mieli stanąć i wzdłuż rzeki do Sikawca powrócić. Szliśmy tedy powoli, słuchając innych, co na lewo i prawo byli. Zwierza żadnego już widać nie było.

Wieśniak tęsknie spojrział na opróżniony kubek. Murray, zrozumiałwszy go bez słów, polał mu kolejną porcję, którą Matwiej łyknął nad wyraz chętnie. Sapnąwszy, jak to po okowicie, żywiej zaczął mówić:

– W dół już było, kiedy mgła od potoków unosić się zaczęła. Ale taka, że diabelska musiała to być sprawa, bom w życiu nie widział, aby tuman tak prędko się robił. Jeszcze najsampierw to słyszeliśmy innych, lecz nagle ucichło wszystko, jakbyśmy zgubili się za sprawą czarów. Zwyczajne to być nie mogło, bo przecież każdy jeden tu lasy zna i wie, gdzie trzeba iść.

Ponaglał nas tedy pan Zatwarnicki, coby czym prędzej do rzeki dojść, lecz sam chyba kierunek stracił. Zamiast nad San do strumykaśmy jakiegoś doszli. Tam już opar był taki, iż ledwie palce wyciągniętej ręki dało się zobaczyć.

– Co wtedy? – ponaglił Stiller, albowiem chłop przerwał na moment.

– Zatrzymaliśmy się.

– Czemu?

– Najśmierw cisza jakaś dziwna była, jakby las zamarł. Potem zaś zaczęło coś trzeszczeć po krzakach i we mgle przemykać wkoło nas.

– Widziałeś co?

– Wtenczas jeszcze nie, panie. Ale wiedziałem, że nic dobrego to nie jest. Nawet pan Baltazar z konia zeskoczył i pistolety wziął.

– I co? – zniecierpliwił się Niemiec.

– Raz we mgłę strzelił. Ale nie trafił widać, bo z lasu warczenie nas doszło... Na Boga się klę, że żaden zwierz tak nie warczy! Ani wilk, ani niedźwiedź. Straszne było tak, iż każdy już z życiem żegnać się począł. Potem zaś potwór ryknął i rzucił się ku nam.

– Poczekaj! – Nadolski uniósł rękę. – Pan Baltazar wystrzelił? Ile razy?

– Raz najśmierw we mgłę, potem Iwan, co rusznicę od pana wziął, palnął w krzaki, skąd warkot dochodził, a na koniec z drugiego pistoletu pan Zatwarnicki, kiedy już potwór się objawił.

– Razem trzy strzały? – upewnił się Żegota.

– Tak.

Szlachcic spojrział wymownie ku cudzoziemcom, mówiąc:

– Macie tedy odpowiedź, skąd zapach dymu i siarki. Proch spalony we łbach chłopom namieszał.

Odwracając się w stronę Matwieja, zachęcił:

– Mów dalej. Widziałeś naprawdę ową bestię?

– A jużci! – podchwycił wieśniak. – Straszna była, panie! Z dziesięć stóp wysoka, jak człowiek na dwóch nogach stała, ale też nie mógł to być

człowiek, bo sierść ją pokrywała jak wilka! Łeb większy niż u niedźwiedzia, a kły długie niczym zęby brzozy! U łap szpony takie, że jednym ruchem diabeł pana Zatwarnickiego na strzepy rozdarł! A oczy żywym ogniem jej płonęły!

– Czekaj! – przerwał siwowłosa szlachcic. – Mówiłeś, że mgła była taka, iż palców u wyciągniętej ręki nie było widać! Jakże więc tak dobrze potwora obejrzałeś?

Matwiej się zmieszał. Podrapawszy się po łbie, łypnął ku wypytującemu go mężczyźnie. Niepewnym głosem mruknął:

– Com widział, mówię.

– Jak daleko od pana Baltazara byłeś? – naciskał Żegota.

– Nie wiem, panie. Ze cztery, pięć kroków.

– I widziałeś, że na strzepy go bestia rozdarła? Prawdę mów, bo ciało i tak się znajdzie!

– Nooo... – Wieśniakowi zrzęda mina. – A jakże inaczej być mogło, kiej taka bestia go dosięgła?

– Widziałeś czy nie?!

– Małom w tę stronę patrzył, bo strach był... W krzaki pobiegłem na oślep...

– Właśnie! – Żegota skrzywił się, odkrywając kłamstwo. Zamiast jednak zbesztać chłopca, znów zapytał:

– Na dziedzińcu powiadałeś, że potwór słowa jakieś w obcym języku krzyczał. Prawda to?

Skonfundowany już Matwiej spuścił głowę. Pomlaskał przez chwilę, myśląc, by w końcu odrzec:

– Musiał przecież co gadać, bo pop powiada, iż diabeł zawsze rzymskim językiem mówi... Przecież to diabeł był! Nic innego!

– Nie pytam, co pop powiada, tylko co słyszałeś! Gadaj!

– Ryczała jeno... Małom słuchał...

Nadolski odetchnął głęboko i ruchem dłoni poprosił Murraya, aby znów polał Matwiejowi. Sam zaś, oparłszy się w krzesło, podsumował:

– Czyli ani nic dobrze nie widziałeś, ani też nie słyszałeś. W twoim łbie, Matwieju, opowieść się cała zrodziła, którą włością innych straszysz. Dlatego zapowiadam ci, że jeśli dalej kłamać będziesz, to pan Winnicki w dyby cię każe wziąć i kije dostaniesz. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie... Ale przecież...

– Wypij i wyjdź stąd. Za bramę się nie oddalaj, póki nie pozwolę. Niech trochę ochłoną chłopci, nim znów bzdur się od ciebie nasłuchają. A! Jeszcze jedno! Ilu was z panem Baltazarem było?

– Prócz mnie czterech jeszcze. Wszyscy z Bałwańskiego.

– Gdzie oni?

– Nie wiem, panie. Jakem znad potoka uciekał, pogubili my się. Przez noc w strachu po lesie się błąkałem, drogi nie mogąc znaleźć przez mrok i opar, a dopiero nad ranem wedle brodu nad San trafiłem. Stąd prosto do jegomości Winnickiego się skierowałem, jako że teraz on pan w Bałwańskim. Przez wieś poszedłem, to i chłopci inni za mną przyszli.

Żegota skinął głową.

– Dobrze! Możesz już iść!

Wieśniak prędko dopił ostatnie krople i pospiesznie zniknął z dworskiej kuchni, rad, że przyłapany na kłamstwie po łbie nie wziął. Dalej w strachu był i swoje wiedział, ale też rozumiał, że czasem lepiej gębę zawrzeć, niż za dużo ludziom opowiadać. Szczególnie gdy jaki szlachcic tak każe.

Poczekawszy, aż Matwiej zniknie za drzwiami, Nadolski odwrócił się ku oficerom. Zmrużywszy oczy, mruknął:

– Nie mówiłem, że teraz na pana Baltazara Zatwarnickiego pora? I jak, waszmościowie? Dalej wątpicie, że to sprawka jego brata?

Stiller wzruszył ramionami.

– Że mówiłeś waćpan, nie przeczę. Ale o niczym to nie świadczy. Trzeba by się dowiedzieć, co się teraz w Sikawcu dzieje i czy poszedł kto szukać

trupa. Nadto może i chłop kłamię, ale też wystraszyło go coś nie na żarty. Tego chyba mości Nadolski nie negujesz?

– Prawda. – Szlachcic skinął głową. – Lecz nie wie ów Matwiej co. Ktoś lub coś skorzystało z mgły, by swoje zrobić. A zwłoki sam bym chciał zobaczyć, aby na własne oczy się przekonać, co też ów rzekomy potwór potrafi. Może przy tym jaki ślad zostawił.

Murray uśmiechnął się lekko. W duchu ani Żegocie, ani też Stillerowi ostatecznej racji nie potrafił przyznać. Każdy miał swoje argumenty, które równie dobrze mogły być prawdziwe, jak nie. Najlepiej było samemu wszystko na miejscu sprawdzić. Dlatego, powstając od stołu, zapytał:

– To co, waszmościowie, do Sikawca chyba pora nam pojechać, prawda? Ostatnio niezbyt mile nas tam pan Kacper powitał, ale wyjścia chyba nie mamy?

Nadolski i Saksończyk zgodnie skinęli głowami. Obydwaj bowiem wiedzieli, iż zbrodniarza szukać należy, poczynając od ofiary. Wstali więc, aby do drogi się szykować.

W pół godziny zebrali się do wyjazdu. Za bramą minęli garstkę milczącego chłopstwa, które stało wciąż nie wiadomo po co. Szczęściem większość już rozeszła się do chałup albo też do cerkwi, w której pop właśnie odprawiał nabożeństwo. Pozostawało mieć nadzieję, iż głosząc swoje prawdy, klecha nie namiesza jeszcze bardziej w i tak skołowanych już łbach wieśniaków.

Pojechali wzdłuż potoku Głębokiego do Sanu, a rzekę przeszli brodem, co się na wprost góry zwanej Dil znajdował. Potem skręcili w lewo ku przysiółkowi. Baczyli przy tym, czy aby ktoś nie czai się po krzakach, bo różne mogły teraz pomysły do głowy przychodzić Zatwarnickiemu. Tym bardziej iż pewnie wciąż w jego folwarku byli sproszeni na łowy okoliczni szlachcice z pachołkami.

Między chałupami pusto było. Pokryli się ludzie na widok jeźdźców albo odpoczywali w chatach po nocnych wędrówkach. Przysiółek zdawał się wymarły, a po obejściach szwendały się jedynie psy, poszczekujące czasem na nieznanomych.

Rozglądając się na lewo i prawo, stępa dojechali do zamkniętej bramy folwarku. Tam, stojąc na wieżyczce, przywitali ich mało życzliwymi spojrzeniami słudzy pana Kacpra uzbrojeni w rusznice. Nic jednak się nie odezwali, obserwując tylko nieproszonych przyjezdnych.

Podjechawszy bliżej, Żegota zakrzyknął:

– Hej tam! Oznajmijcie panu Zatwarnickiemu, że gości nowych ma!

Pachołek nawet się nie poruszył.

– No, żywo! Biegaj do pana!

– Pana nie ma w domu!

Nadolski uniósł brwi.

– To gdzie jest?! Gadaj!

– Ze świtaniem brata szukać pojechał!

– Sam?!

– Dwóch chłopów wziął i konia luźnego.

– A szlachta okoliczna co w gości do niego zjechała?!

Pachołek rozejrzał się wystraszony, czy aby nikt nie słucha, i pochylając się, rzucił:

– We dworze piją.

– I nikt na pomoc panu Baltazarowi nie poszedł?!

Chłop pokręcił głową. Zawahał się na moment, a potem, jeszcze ciszej niż poprzednio, wycedził:

– Boją się. W las już nie chcą iść.

Żegota ze zrozumieniem skinął głową. Podjechawszy prawie pod samą palisadę, zapytał:

– Wie pan Kacper, co też się z jego bratem stało?

– Do dworu nie wrócił, a z nim pięciu chłopów. Strzały jakieś z wieczora były między górami, ale też noc zaraz nastąpiła i mgła, więc nikt szukać go nie ruszył. Zanim słońce wzeszło, pojechał pan w las.

Szlachcic wymownie popatrzył na cudzoziemskich oficerów. W Sikawcu nikt jeszcze nie wiedział o tym, co opowiadał naganiacz z Bałwańskiego.

Rychło jednak mogło się to zmienić. Dlatego, zawracając wierzchowca, Żegota krzyknął ku stojącemu na bramie pachółkowi:

– Tedy my pojedziemy pomóc panu Kacprowi! A gdyby wrócił wcześniej, rzeknij mu, iż spotkać się z nim chcemy! Ale nie tu! Czekać będziemy z wieczora wedle kurhanu w Bałwańskim! Rozumiesz?

Strażnik skinął głową.

Trójka jeźdźców zawróciła wierzchowce, ruszając znów ku brodowi na Sanie. Byli o tyle w lepszej sytuacji od Zatwarnickiego, iż wiedzieli, że Baltazara należy szukać gdzieś nad jednym ze strumieni wpadających od lewej strony do rzeki. Najprawdopodobniej nad tym, który wpadał do Sanu ledwie kilkadziesiąt kroków od przeprawy. Skoro bowiem Matwiej po nocy spędzonej w lesie wyszedł właśnie w tym miejscu, nie mogło być stąd daleko do dolinki, w której najmłodszego z braci z Sikawca coś zaatakowało.

Jadąc brzegiem rzeki, bez trudu odnajdywali w miękkim gruncie ślady kopyt i ludzkich stóp. Pomieszane nie dawały się jednak odczytać. Trudno było ocenić, które pozostawili krążący wczoraj nad Sanem myśliwi, a które należą do zmierzającego na poszukiwanie brata Kacpra Zatwarnickiego. Dlatego Żegota nie silił się na jakiegokolwiek wnioski z pozostawionych tropów. Kiedy tylko dojechali z towarzyszami do ujścia potoku, natychmiast skręcili w las.

Konie szły po miękkiej, błotnistej ziemi, mijając spróchniałe pnie i kępy nabrzeżnych zarośli. Drzewa ledwie pąkami się zieleniły, toteż widok był dobry. Na prawie bezchmurnym niebie przygrzewać zaczynało przedpołudniowe słońce. Od lewej, w kierunku Sanu, las był rzadki i ciągnął się prawie płasko. Także na prawo, tam, gdzie leżała Zatwarnica, pomiędzy drzewami widać było puste przestrzenie. Im jednak dalej jechali, tym bardziej gęstniał bór, a teren się wznosił.

Przejechali przez niewielki strumyczek dopływający do potoku, by powędrować dalej dolinką ciągnącą się na południowy wschód. Niedługo trwała ta wędrówka, albowiem już po kilkuset krokach potok się rozwidłał. Jedna odnoga biegła w kierunku Działkowca, druga zaś, szersza,

odchodziła ku wzniesieniu zwanemu Berdo i dalej na południe aż do stóp Magurki.

Zatrzymawszy się, Żegota popatrzył pytająco na towarzyszy. Stiller bez słowa skierował konia na lewo, słusznie zakładając, iż skoro Baltazar Zatwarnicki szedł stokiem Berda, musiał natknąć się właśnie na tę odnogę albo któryś z jej dopływów.

Bukowy las stawał się coraz gęstszy i ciemniejszy. Pachniał próchniejącym drewnem i gnijącymi liśćmi. Wionął chłodną wilgocią pozostałej po roztopach wody. Mimo kwietnia powoli budził się do życia, uświadamiając wszystkim, jak ogromnym wysiłkiem przyroda otrząsać się musi z zimowej martwoty, by znów się zazielenić. Porażał ciszą, którą niedługo zastąpić miał jednostajny szum nieprzebranego mrowia liści. Tylko plusk potoku przemykającego pomiędzy kamieniami przyjemnie łagodził posępne milczenie lasu.

Jechali gęsiego, trzymając się blisko. Dla pewności każdy z mężczyzn sprawdził pistolety w olstrach, bo choć nie bestii się spodziewali, to jednak wygłodniałe po zimie wilki potrafiły czasem dać się we znaki wędrowcom. Nawet wczorajsze łowy mogły ich nie spłoszyć, a pozostawione gdzieś tam truchła zwierząt kusiły z pewnością świeżą krwią ich wyczulone nozdrza. Także niedźwiedzie obudzone ze snu nie gardziły padliną pozostawianą przez człowieka. Prędko wracała przyroda do swego zwyczajnego rytmu po najściu nieproszonych ludzkich gości. Tym bardziej chciał Żegota szybko znaleźć ciało Baltazara, wiedząc, co w jeden dzień uczynić z nim mogą lisy i ptactwo.

Konie co rusz ślizgały się po mokrej ziemi. Parskały nerwowo, rozglądając się na boki. Instynktownie wiedziały, że bór nie jest przyjaznym dla nich miejscem. Zakryta drzewami i zaroślami przestrzeń kryć mogła przyczajone drapieżniki, które atakując zuchwale, łatwo mogłyby pozbawić je życia. Grząska ziemia nie sprzyjała ucieczce, a zwalone pnie i wykroty stanowiły pułapki, w których prędko można było połamać nogi.

Jadący na czele Stiller długo się nie odzywał, wypatrując jakichkolwiek śladów. Nic jednak nie dostrzegł. Uśmiechnął się pod nosem, rzucając do

podążającego za nim Nadolskiego:

– Gdyby zgodnie ze słowami waszmości najstarszy z Zatwarnickich brata kazał zabić, pewnie prosto do niego by pojechał. Prawda?

– Może i tak – przyznał Żegota, zaraz jednak dodał: – Chłopów dwóch wziął ze sobą. Musi zachować jakiś pozór. Zbyt prędko znaleźć byłoby podejrzane.

– Aaa... – Niemiec pokiwał głową. – Czyli że błądzi gdzieś dla pozorów. Bo w rzeczy samej tropu żadnego nad strumieniem nie widać. Albo więc to my złą drogą idziemy, albo też pan Kacper diabelskim sprytem musi się odznaczać, a nawet czary znać. Na ten przykład ta mgła wieczorna i potwór w niej skryty...

– Nadal nie wierzysz mi waćpan? – przerwał mu Nadolski.

– Nie to, żeby nie wierzył, ale jakoś mi się to nie składa.

– To pomyśl, mości Stiller, jak to być mogło, że oddzielnie od innych Baltazar po lesie chodził. Kto tak zarządził, jeśli nie jego starszy brat?

Nie odwracając się, Niemiec machnął ręką.

– Pewnie i inni tak polowali. Zwykła rzecz.

– Nawet jak się przeciw jakiemuś wilkołakowi idzie? – zauważył złośliwie szlachcic.

– Las duży, myśliwych z rusznicami mało. Ławą szli, mając po bokach innych. Bardziej w kupie na polowaniu trzymać się nie da. Poza tym mówił ten Matwiej, że od czasu do czasu podjeżdżali do nich drudzy.

Nie mając argumentu, by odpowiedzieć na takowe *dictum*^[173], Żegota wzruszył ramionami.

– Zobaczysz się, gdzie jest prawda. Na razie trupa waszmość wypatruj. Mniemam, że równie afektowanie^[174] jak poprzednie może być ułożony.

– Pewnie tak – zgodził się Saksończyk.

Pół mili przejechali pośród lasu, nie znajdując żadnej wskazówki. Nawet Stiller zaczynał mieć wątpliwości, czy wybrał dobrą drogę. Różnie mógł pamiętać rzeczy skołowany i wymęczony Matwiej. Innego tropu jednak nie mieli.

Popołudnie już było, kiedy przystanęli na chwilę opodal omszałej kłody. Zeskoczywszy z koni, puścili je, aby napiły się ze strumienia. Dziwnie zaniepokojone były zwierzęta, dlatego chwilę trwało, nim je trochę wyciszyli, mówiąc do nich i klepiąc je po karkach. Sami zaś przysiedli na chwilę, by odpocząć.

Las milczał, skrywając swą tajemnicę. Zdawało się, że niebawem przyjdzie zawrócić trójce poszukiwaczy z powodu braku śladów, którymi mogliby się dalej kierować.

Napiwszy się z manierki nieco okowity, Murray odszedł parę kroków, wpatrując się w ziemię. Mało wierzył w skuteczność tego, co robił, lecz chciał się przejść dla rozprostowania nóg. Nadolski ze Stillerelem nawet nie patrzyli w jego kierunku, zajęci pilnowaniem pijących z potoku koni. Dlatego aż drgnęli, kiedy zza pleców dobiegł ich głos Szkota:

– Podejdźcie tu! Ślady jakoweś tu widzę!

Natychmiast wstali, aby przyjrzeć się temu, co znalazł ich towarzysz. Stanęli we trójkę, wpatrując się w dwa kształtne zagłębienia w miękkiej ziemi.

Pierwszy odezwał się Żegota niepewnym głosem:

– Niedźwiedź?

Murray pokręcił głową.

– Misiek zostawia trop okrągły, z pięcioma palcami i odciskami pazurów. A to... – Popatrzył wymownie na Stillera.

Ten, przykucnąwszy, palcami przejechał po krawędziach śladu, nim dokończył zaczęte przez Szkota zdanie:

– A to wygląda jak wilcza łapa, ale... – uniósł wzrok na Żegotę – ...z dziesięć razy większa.

Podniósł się, otrzepując ręce. Uśmiechając się pod nosem, zapytał szlachcica:

– I co ty na to, mości Nadolski?

– Ja? A co ty powiesz, panie Stiller? Przecież twierdziłeś, że człowiek za tym stoi, tylko w afekcie i nieprzytomny działa.

Skinąwszy głową, Saksończyk mruknął:

– Na to wygląda, że obaj możemy się mylić.

– Daj pokój waszmość, chyba nie wierzysz, że... – Żegota nie skończył.

– Wierzę w to, co widzę. Nie sądzę zaś, żeby ktoś specjalnie dla naszych oczu to... – palcem wskazał na ślad – ...zostawił. Któż bowiem zgadłby, że w las pójdziemy i na dodatek tą drogą? Nieprawdaż?

– W rzeczy samej – przyznał Murray.

Przeszedł kilka kroków do przodu, szukając dalszego tropu. Nie znalazł jednak niczego, gdyż ziemia była tam twardsza i pokryta zeszłorocznym listowiem. Wracając, wycedził:

– Duży musi być, kurwi syn. Łapa solidna i głęboko w grunt wciśnięta. Z południa szedł. – Wskazał kikutem bez dłoni na lewo. Przyklęknąwszy, ocenił jeszcze: – Nie dalej jak parę godzin temu, nocą.

Wciąż nie dowierzając, szlachcic pokręcił głową.

– Nie może być!

– Nie może? – Saksończyk uniósł brwi. – A z panem Poniatowskim mogło? Sam go waszmość w lochu widziałeś.

W duchu Żegota musiał przyznać mu rację. Były na świecie rzeczy, których nie dało się wyjaśnić i osobiście ich już doświadczył. Dlatego sapnąwszy, zapytał:

– Co teraz?

– Ślad znaczy, że na dobrej drodze jesteśmy – odrzekł, prostując się, Szkot. – Pora więc brać dupy w troki i dalej jechać. Pewnie zaraz pan Baltazar nam się w pełnej krasie objawi.

Milcząc, zamyśleni wrócili do koni. To, co nieprawdopodobne, nagle mogło okazać się prawdziwe. Trudno bowiem byłoby znaleźć racjonalne wytłumaczenie dla tego, co przed chwilą widzieli. Bestia, której istnienie próbowali na swój sposób wyjaśniać Nadolski i Stiller, zdała się teraz nad wyraz realnym zagrożeniem. Czaiła się gdzieś, zrodzona nie wiadomo jak i pragnąca nie wiadomo czego. Tylko to zdało się pewne, iż wyrok na

Zatwarnickich został już wydany. A wraz z nimi zginąć mogło jeszcze wielu innych ludzi.

Dosiadłszy wierzchowców, ponaglili je, wciąż przejęci odkryciem. Nie było już w ich myślach poczucia pewności i bezpieczeństwa, jakie mieli jeszcze przed chwilą. Las, który i tak sprawiał ponure wrażenie, nagle stał się jakby bardziej mroczny i złowrogi. A dolatujące z niego nieliczne odgłosy stawały się zapowiedzią czegoś, czego żaden z trzech wędrowców nawet nie chciał sobie wyobrazić.

Znaleźli go ledwie dwieście kroków dalej. Zatrzymali się skamieniali ze zgrozy. Widok, jaki się przed nimi rozpostarł, sprawiał zaiste straszliwe wrażenie. Oto wisiało na drzewie zdekapitowane ciało pana Baltazara Zatwarnickiego, nabite na odłamaną gałąź wyrastającą z pnia. Ostry, zakrwawiony koniec drewna wychodził ze środka piersi martwego szlachcica. Jego głowa z otwartymi oczami spoczywała u stóp trupa. Nogi i ręce powiązane miał nieboszczyk kolczastymi pędami jeżyn.

Prawie w bezruchu, długo wpatrywało się trzech przyjaciół w potworny obraz. Odruchowymi ściągnięciami wodzy z rzadka strofowali zdenerwowane wierzchowce.

Pierwszy z siodła zszedł powoli Saksończyk. Przywiązawszy konia do gałęzi krzaka rosnącego nad potokiem, zrobił kilka kroków w kierunku martwego mężczyzny. Zatknął kciuki za pas i stanął naprzeciw zwłok, a brwi zmarszczyły mu się w wyrazie największego skupienia. Po chwili dołączyli do niego Murray z Nadolskim. Żaden z nich się nie odzywał, skoncentrowany na niewesołych myślach. Choć spodziewali się tego, duża jest różnica pomiędzy wyobrażeniem sobie potwornej zbrodni a zobaczeniem jej skutków na własne oczy. Nawet obyty na wojnie Żegota poczuł nieprzyjemny metaliczny posmak w ustach i mrowienie na karku.

Odganiając niemiłe uczucie, przerwał uciążliwe milczenie słowami:

– No to znaleźliśmy pana Baltazara.

– W istocie – przyznał Niemiec, nawet nie odwracając głowy ku szlachcicowi. – Znaleźliśmy.

Podszedł krok w przód i przyklęknął tuż obok leżącej na ziemi głowy. Przez chwilę przyglądał się jej, by w końcu oznajmić rzeczowo:

– Oderwana ze szczętem. Nie obcięta.

Chłodna uwaga otrzeźwiła nieco dwóch pozostałych mężczyzn. Przesunęli się i wbili wzrok w poszarpane mięso i skórę w miejscu, gdzie kiedyś była szyja ofiary. Murray uzupełnił spostrzeżenie Niemca:

– Coś przegryzło krtań, a potem ukreśliło kręgosłup. *Summa summarum*, chyba szybką miał śmierć młody Zatwarnicki.

Żegota skinął głową, dodając:

– Potem owo coś z szat go rozdzieliło i na patyk nabiło. – Zmrużył oczy. – To on zębem brony serce dziewczynki przebił?

– On – potwierdził głucho Szkot.

– Jego brat podobnie ponoć był znaleziony. Jasna tedy sprawa, że ta sama istota odpowiada przynajmniej za jedną i drugą śmierć – dorzucił prostujący się Niemiec. Popatrzysz na towarzyszy, zarządził: – Rozejrzyjcie się za śladami. Ubrań i broni poszukajcie. Może znajdzie się coś, co nam choć trochę w głowach rozjaśni.

Oddechnąwszy głęboko, Żegota z trudem odwrócił wzrok od wiszących zwłok. Tak to bowiem jest, iż zwykle to, co człowieka przeraża, jednocześnie fascynuje go swą potwornością.

Odszedłszy kilka kroków, rozejrzał się po ziemi. Bez trudu odkrył ślady ludzkich stóp i zagłębienia po końskich kopytach. Nic jednak poza tym. To tu musieli stać przerażeni chłopcy i wierzchowiec, nim rozbiegli się na wszystkie strony.

Odszedł nieco w lewo, w kierunku krzaków. Tam niemal od razu dostrzegł rzucone na kupę, poszarpane i zakrwawione ubranie. Spodnie, koszulę, żupan, buty, czapkę i pas. Na nich zaś leżały dwa pistolety i rusznica z połamanym łożem i lufą wygiętą w pałąk. Morderca nie wiedzieć czemu zabrał wszystko w jedno miejsce.

Stanąwszy nad tą stertą, Żegota zawołał oficerów. Kiedy nadeszli, kijem roztrzącił odzienie, nie znalazł jednak pośród niego nic, co byłoby

jakąkolwiek wskazówką. Stiller sprawdził broń i stwierdził, iż z niej strzelano. Odwrócił się, spoglądając na Murraya.

– Jakież tropy?

– Tylko jeden koń i ludzie. Od tamtej strony... – wskazał na północ, skąd nadeszli – ...ktoś gałęziami po ziemi jeździł. Zatarł wszystko, co było.

– Czyli że myśląca jest ta bestia, która to uczyniła... – podsumował Niemiec, gładząc się palcami po czole.

– Na to wygląda – powiedział drugi z oficerów.

Żegota odrzucił patyk, którym roztrącał leżące na ziemi ubrania. Wciąż patrząc na nie, mruknął:

– Podarte, jakby kto nożami pociął. Wygląda na to, że zabiwszy pana Baltazara, zbrodniarz zdarł z niego strój siłą. Po co w jedno miejsce rzeczy złożył i pistoletami przycisnął?

Zastanowiwszy się, Saksończyk odpowiedział:

– Może po to, że głowę oderwał, więc chciał mieć pewność, że trup zostanie rozpoznany. Nie wiedział, jak długo tu będzie wisiał nieodkryty pan Baltazar, a głowa lekka. Starczy, że lis znajdzie i porwie. Tak to po ubraniu łatwo też stwierdzić, kto tu jest do drzewa przytwierdzony.

– Zmyślny ten potwór. – Nadolski pokręcił głową.

– Bo to człowiek, choćby był nie wiadomo w jaką skórę przyobleczony – mruknął Stiller.

Znów podszedł do wiszącego ciała. Przyjrzał się z bliska jego piersiom. Spoglądając w miejsce, gdzie wychodziła ostro zakończona gałąź, rzucił:

– Krzyż tym razem sobie darował.

Pochylił się, oglądając pokąsane ramiona trupa.

– Za to ślady zębów zostały.

Zmierzywszy rozłożonym palcem środkowym i kciukiem odległość pomiędzy ranami, dodał:

– Ani to wilk, ani też niedźwiedź. Pysk musi mieć sporo większy, a kły dużo dłuższe. Przy tym i pazury nieliche. – Ruchem głowy wskazał na

ciągnące się przez brzuch ofiary krechy rozdartej skóry.

– Szkoda, że psa nie mamy – rzekł Murray, kucając nad ziemią. – Może podjąłby trop.

– Co? – zdziwił się Niemiec. – Poszedłbyś teraz za tym czymś? Mnie jakoś niespieszno.

– Ani mnie – zgodził się Nadolski, przywołując w pamięci obraz czekających na niego Agnieszki i dopiero co ochrzczonego Maćka. Miał do kogo wracać. – Ledwie parę pistoletów mamy i trzech nas jest. Dużo to byśmy nie nawojowali.

– To co zrobimy? – Szkot powstał, wycierając o spodnie jedyną dłoń.

– Poczekamy chwilę – odpowiedział Saksończyk. Zmarszczywszy nos, burknął: – Może nas pan Kacper znajdzie, zanim to coś go dopadnie. Też się wybrał, ledwie z dwoma chłopami prosto w łapska owego potwora. Na mszę powinien co niedzielę dawać, jak cało z tej głupiej eskapady wyjdzie. Ale przyznać mu trzeba, że brak rozumu odwagą nadrabia.

– A z nim co? – Murray wskazał na zwłoki.

– Niech wisi. Zabrać go nie mamy jak. Zatwarnicki ponoć, jak mówił pacholek, wziął luzaka. Nadto, gdybyśmy go ruszyli, jeden Bóg wie, co jego brat gotów byłby pomyśleć. Sam niech wszystko zobaczy, jak jest. Jak okazanie^[175] będzie robił w grodzie, jako naoczny świadek wszystko opisz.

– I tak pomyśli, co chce – mruknął Nadolski. – Już samo to, że pierwsi znaleźliśmy ciało, da mu sposobność do podejrzeń.

Niemiec skrzywił się, obojętnie machnąwszy ręką. W milczeniu podszedł do leżącej nad potokiem kłody i przysiadł na niej, prostując kaleką nogę. Uniósł twarz, grzejąc się w promieniach wiosennego słońca.

Podszedłszy do niego, Żegota zmrużył oczy i zapytał:

– Nie boisz się waćpan, że to coś tu wróci? Albo też czyha opodal?

Stiller pokręcił głową.

– Jakoś nie – odrzekł. – Tak mi się zdaje, że ów potwór tyle samo krwią, co strachem się syci. Nie chce zbyt szybko sprawy zakończyć, aby pana Kacpra jak najwięcej udręczyć. Bawi się nim. Lubuje w jego przerażeniu

i gniewie. Inna rzecz, że... – opuścił głowę, otwierając przymknięte dotąd przed słońcem oczy – ...i tak kiedyś skończy swe dzieło. Pan Zatwarnicki dla niego już jakby trup. Ale niespieszno mu. Teraz pewnie znów na chłopów zapoluje, tych z Sikawca, co na kurhanie byli i ręki do profanacji ciała dziewczynki i jej ojca przyłożyli.

– Spokojnie jakoś to mówisz, panie Stiller – zauważył z przekąsem Nadolski.

– Bo też nadmierne podniecenie nie służy rozumowi. A ja... – wzruszył ramionami – ...cóż, mości Żegota, nie my jesteśmy wrogami owej bestii. Sam patrz, chłop z Bałwańskiego całą noc spokojnie w lesie przeczekał. Tak myślę, że i pozostałych czterech siedzi teraz bezpiecznie w swoich chałupach, choć wciąż drżą ze strachu. Nic im nie grozi, skoro ręki do zbrodni na Rudyłowskich nie przyłożyli. Przypuszczam, że nam też.

Szlachcic przysiadł obok, zerkając na wciąż rozglądającego się po ziemi Murraya. Poprawiłszy pas, mruknął:

– I co teraz? Będziemy tak siedzieć obok trupa i czekać?

– Jak chcesz waćpan, wystrzel z półhaka. Sądzę, że w niczym to nie zaszkodzi, a pana Zatwarnickiego prędzej do nas sprowadzi. Też mi niemiło tu być, lecz odjechać teraz nam nie wolno. Patrz, mości Żegota... – wskazał dłonią na ślady koni – ...co byś pomyślał, gdybyś teraz w to miejsce przybył? Że jakichś trzech ludzi tu niedawno było i to oni najpewniej człowieka zabili. Poczekamy więc, a przy okazji i z panem Kacprem może się uda chwilę pomówić.

– Mało prawdopodobne, że znalazłszy martwego brata, rozmowny będzie.

– On już wie, że żywego Baltazara nie odszuka. Teraz pewnie głowi się, co zrobić. Nikt mu już pomocy nie udzieli. Szlachta okoliczna zaraz się rozjedzie, jak tylko ciało zobaczy. Sam zostanie. Nawet on potrzebuje wsparcia, choć sam się przed sobą do tego nie przyznaje.

Żegota prychnął.

– Chcesz mu waszmość pomóc? Przecież sam mówiłeś, że winien być ukarany za to, co uczynił.

– Tak – przyznał Niemiec. – Ale też za dużo już zabójstw i strachu. Trzeba temu powiedzieć „dość”. Tym bardziej że dla mnie nie o Zatwarnickiego tu chodzi, ale tak, jak mówiłem waszmości, o to, co się pomiędzy prawosławnymi a rzymskimi katolikami dzieje. Może i słusnie mści się ów potwór, lecz my, mości Nadolski, jesteśmy ludźmi i po stronie ludzi opowiedzieć nam się wypada. Nawet wtedy, gdy czyny niektórych z nich były niegodne. O większą sprawę tu chodzi. A pokutę ostatni z braci chyba wystarczającą już odbył. Nie sądzisz?

Twarz Nadolskiego ściągnęła się, a czoło zmarszczyło. Wolno pokręcił głową.

– Wybacz waćpan, ale nie. Z tej kary tylko korzyść mu przyjdzie, jeśli głowę ocali. Przyjechałem tu, aby o spokój duszy owej dziewczynki zadbać, i to mną powoduje, iż chcę z wami całą sprawę zakończyć. Mówię ci to jako ojciec, którego zabite dzieci także chłopci zabobonni o bycie upiorami posadzili. Obojętny jest mi Kacper Zatwarnicki, a jeśli jego śmierć zakończy rzecz całą, trudno. Chciałbym, kiedy spokój nastanie, księdza sprowadzić, grób Rudyłowskiej i jej ojcu postawić, z krzyżem jak się należy, i przekonać owych Rusinów, żeby się w cerkwi tutejszej za nich modlili.

– Tedy o to samo nam chodzi, choć inaczej to waszmość nazywasz. *Pacem inter christianos*^[176]. Wystarczająco wielu ma wrogów na zewnątrz Rzeczpospolita, aby sobie na kłótnie wewnętrzne pozwalać. Jeśli to się nie zmieni, przyjdzie w końcu do wojny najgorszej z możliwych, bo domowej. Dobrze to znam. Od tego zaś zaczniesz powolny upadek tego kraju, który sobie za drugą ojczyznę wybrałem.

Żegota uśmiechnął się lekko.

– Waszmość o wielkich rzeczach powiadasz, ja zaś o małych, zwyczajnych, ludzkich.

– Czasem małe rzeczy na wielkie się składają. – Stiller westchnął ciężko. Rzucając spojrzenie ku Murrayowi, zawołał: – Znalazłeś coś jeszcze?

– Krew! – Szkot wskazał palcem na ziemię. – Tu musiał go dopaść! Jeszcze kłaków zwierzęcych trochę leży! Widać bronił się chwilę Zatwarnicki i wydarł!

Oficer ze szlachcicem powstali, niespiesznie zbliżając się do miejsca, gdzie stał drugi z cudzoziemców.

Wśród zgniłego listowia i błota widniały plamy zakrzepłej posoki. Pomiędzy nimi gdzieś leżały kępki szarawego futra. Nadolski pochylił się, podniósł jedną z nich i pod nos podstawił. Powąchawszy, skrzywił się od ostrego zapachu.

– Mokrym psem jedzie – oznajmił, strzepując kłaki z ręki.

– Wilk. A raczej *versipellis*. Zmiennekształtne dziecko mroku – skwitował Saksończyk. – O możliwości takiej przemiany pisał już Kramer^[177]. Zaiste są na tym świecie rzeczy, o których się ludziom nie śniło. – Spojrzawszy na Żegotę, zapytał: – To co, wystrzelisz waszmość z tego półhaka?

Skinąwszy głową, Nadolski podszedł go konia i wyciągnął broń z olstra. Nakręciwszy zamek, przesunął się, by nie stać tuż obok i tak przestraszonych wciąż wierzchowców. Uniósł lufę i pociągnął za spust.

Huk odbił się echem pomiędzy drzewami, niosącym się daleko pośród wzniesień. Biały dym przez chwilę zawisł w powietrzu, by wnet rozwiać się niesiony delikatnymi podmuchami wiatru. Niósł ze sobą zapach spalonej siarki i węgla.

Żegota zapobiegliwie ponownie nabił broń, nim znów schował ją przy siodle. Teraz pozostawało jedynie czekać, aż Kacper Zatwarnicki odnajdzie swego brata, a przy nim trzech czuwających przy zwłokach ludzi.

Trzej przyjaciele usiedli na zwałonym pniu, wsłuchując się w odgłosy lasu i wypatrując nadejścia ostatniego z panów Sikawca. Mało spoglądali ku wiszącemu wciąż nieruchomo trupowi, świadomie unikając nieprzyjemnego widoku. Nie chcieli go jednak ani okrywać, ani też tym bardziej zdejmować, rozumiejąc, że najlepiej będzie, jeśli brat znajdzie go takiego, jakiego pozostawił morderca. Inaczej mógłby nabrać niepotrzebnych podejrzeń, a nawet kusić się o jakieś posądzenia. I tak

Niemiec sądził, że może nie obyć się bez zwady. Tym bardziej nie chciał dawać powodu do niej.

Rozmowa jakoś się nie kleiła, mimo że parę razy obróciła pomiędzy mężczyznami manierka Murraya z okowitą. Na jedzenie też nikt nie miał ochoty, zważywszy na miejsce i okoliczności. Czas zaś płynął nieubłaganie, znaczony chylącym się ku zachodowi słońcem.

Grubo ponad dwie godziny minęły, nim od południa usłyszeli nawoływanie, a potem trzaskanie łamanych pod kopytami końskimi gałęzi. Podniósłszy się, Murray przyłożył ręce do ust, wołając:

– Hej tam! Bywaj! Nad potok idźcie!

Kiedy to uczynił, sprawdził zatknięte za pas pistolety, a Saksończyk z Nadolskim na wszelki wypadek wzięli w ręce i swoje półhaki, mając na względzie, że różne rzeczy do głowy mogły przyjść nadchodzącemu Zatwarnickiemu, kiedy zobaczy zabitego brata.

Kwadrans jeszcze bez mała czekali, kiedy wreszcie pomiędzy bukami pojawili się trzej jeźdźcy. Prowadził pan Kacper z Sikawca, a za nim, uzbrojeni w rusznice, jechali jego dwaj wystraszeni słudzy prowadzący luzaka. Od razu poznać było, iż woleliby być wszędzie indziej niż tutaj. Kręcili się nerwowo w siodłach, łypiąc trwożliwie na lewo i prawo. Sam szlachcic wyglądał na pewnego siebie, dopóki nie dostrzegł nabitego na gałąź ciała Baltazara.

Zesztywniał w siodle, zaciskając ręce na wodzach. Zbladł, patrząc to na trzech siedzących na pniu mężczyzn, to na zwłoki brata. Nie wiedział, co myśleć, lecz nic gwałtownego nie uczynił. Tym bardziej iż dobrze widział pistolety niedbale ułożone na kolanach oficerów i nieznanego szlachcica o ponurej gębie naznaczonej blizną.

Zeskoczył z konia, co za nim uczynili pachołcy. Milcząc, oddał wodze jednemu z nich. Nie witając się nawet, przeszedł kilka kroków i stanął naprzeciw trupa. Twarz zbieleła mu jeszcze mocniej, a dłonie na przemian zaciskały się w pięści i rozwierały. Widać było, że z trudem panuje nad sobą, oddychając ciężko.

Dłużyła się ta chwila napięcia, wisząc ponuro nad miejscem zbrodni. Słudzy kilkakroć przeżegnali się, mamrocząc coś pod nosem. Jeden z nich drżał niczym osika na wietrze, prawie że chwiejąc się na nogach ze słabości.

Przerwał wreszcie ciszę Saksończyk, spokojnie i wolno mówiąc:

– Szukaliśmy ciebie z rana, mości Zatwarnicki, w Sikawcu. Powiedziano nam, że w las poszedłeś za bratem. Ruszyliśmy więc ci z pomocą, skoro inni nie chcieli, i to... – wolno uniósł ramię wskazując na zwłoki – ...odkryliśmy.

Młody szlachcic się nie odwrócił. Z jego ściśniętych ust wypłynął zdławiony syk:

– Zamilcz jeszcze... Zamilcz, waszmość, na Boga... Chwilę daj, bo nie ręczę za siebie.

Niemiec skłonił się, zakładając ręce na piersiach. Rozumiał, iż porażony widokiem pan Kacper potrzebuje czasu, aby choć trochę nad nerwami zapanować. Tak kilka minut minęło, nim jedyny już teraz pan w Sikawcu wycedził do pachółków:

– Zdejmijcie go. A ostrożnie. Na koc ciało ułóżcie i do drogi przygotujcie.

Złęknieni chłopci mało przytomnie spoglądali po sobie. Tak strach ich sparaliżował, że żaden się nie ruszył. Trącił tedy Żegota Stillera, szepcząc:

– Chodź waćpan.

Bez dalszych słów wstali, podchodząc do koni wieśniaków. Nadolski odpiął od siodła wełniany pled i wzięwszy go, ruszył ku nieboszczykowi. Starannie rozłożył płat grubego sukna na ziemi. Potem, stanąwszy po dwóch stronach drzewa, wraz z Niemcem ujęli ciało zamordowanego pod ramiona. Powoli, z trudem niemającym, zsunęli zwłoki z odłamanej gałęzi. Ostrożnie, delikatnie niemal, zanieśli nieboszczyka na koc. Otarłszy czoło, spocone bardziej z nerwów niż ze zmęczenia, Żegota zawrócił, by podnieść urwaną głowę. Nie patrzył na nią, gdy ją niósł. Ułożył ją w miejscu, gdzie

być powinna. Kiedy to uczynił, Stiller okrył jedną stroną pledu nagiego trupa.

Prostując się, popatrzył wprost w twarz Zatwarnickiego. Była niczym maska bez żadnych uczuć.

Szlachcic, stojąc wciąż w jednym miejscu, leciutko skłonił głowę.

– Dziękuję waszmościom.

Odkłonili się w milczeniu, by zaraz wrócić na swe miejsca na kłodzie leżącej przy potoku. Znów tylko szmer strumienia i szum wiatru pomiędzy gałęziami były jedynymi znakami życia. Nawet wylęknione konie nie wydawały żadnego dźwięku. Kręciły tylko łbami, wybałuszając oczy pełne przestachu.

Chwilę trwało, zanim Zatwarnicki podszedł do ciała. Przyklęknął, pochylając kark. Szeptał coś, czego nikt nie mógł słyszeć. Modlitwę albo obietnicę pomsty. Na koniec przeżegnał się i położył dłoń w miejscu, gdzie spoczywała okryta przed ludzkim wzrokiem głowa Baltazara.

Powstawszy, skierował się do pnia, na którym jeszcze przed chwilą wisiał najmłodszy z Zatwarnickich. Zdjął rękawicę, dotykając okrwawionej gałęzi, która przebiła serce jego brata. Roztarł krew pomiędzy palcami. Przyglądał się jej długo, sapiąc ciężko przez nos. Wreszcie odwrócił się ku siedzącej w milczeniu trójce, pytając:

– Kto to uczynił? Widzieliście?

Odpowiedzią był przeczący ruch głów. Stiller się uniósł, przybliżając się do Zatwarnickiego. Mrużąc oczy, rzekł:

– Dobrze wiesz, panie Kacprze, kto. Rzekł ci to pewnie bacza.

– Co mi rzekł, moja rzecz! – warknął szlachcic.

Niemiec się nie zmieszał.

– Nietrudno zgadnąć, skoro na łowy kazałeś srebrnymi kulami pistolety ładować. Jak widać... – wskazał ruchem głowy na zakrytego trupa – ...niewiele pomogły.

– Dopadnę skurwysyna! Choćbym do piekła iść miał za nim, dopadnę! Na Boga się klnę!

– Albo też on waćpana wcześniej dopadnie.

Saksończyk wytrzymał rzucone mu wściekłe spojrzenie. Rozkładając ręce, rzekł:

– Nie po to tu jesteśmy, aby się spierać. Listy mam od arcybiskupa lwowskiego i metropolity z Kijowa Piotra Mohyły, w których każą mnie i moim towarzyszom rzecz z mordami w Zatwarnicy i przysiółkach zakończyć. Z tobą, mości panie Kacprze, albo też i bez ciebie. Zważ jednak, że po jednej teraz jesteśmy stronie, a co było, w niepamięć na tę chwilę trzeba puścić. Ty możesz w nas winy szukać za to wszystko, my zaś w tobie. Niech Bóg rozsądzi, przy kim racja. Ale w jednym jest między nami zgoda. Potwora, kimkolwiek i czymkolwiek jest, ubić trzeba. Ludzi od strachu uwolnić i porządek na nowo zaprowadzić. Nie tak jest, panie Zatwarnicki?

Szlachcic zagryzł usta i zazgrzytał zębami. Mimo to Stiller powtórzył pytanie:

– Nie tak jest?!

Łypiąc spod pochylonej głowy, młody pan z Sikawca, wycharczał:

– Choćbym i z diabłem miał się sprzymierzyć, aby śmierć braci pomścić, zrobiłbym to! Więc odpowiem ci, panie oficerze! Tak jest! Znajdę i zabiję owo monstrum diabelskie, a jeśli wasza wola, możecie iść ze mną!

Zza pleców Saksończyka dobiegł w odpowiedzi na to chłodny głos Murraya:

– Bo też i nikt inny z waszmością już nie pójdzie! Ot, towarzysze okoliczni samego cię w las puścili! Prawdę mówi wasze przysłowie, że w biedzie się przyjaciół poznaje! Ale ja ci, panie Zatwarnicki, żaden przyjaciel! Interes wspólny mamy i tyle! Nie zapomniałem, co o waszmości pamiętać winienem!

– Ani też ja waszym przyjacielem nie jestem! – odciął się szlachcic.

Stiller uniósł dłoń, by zapobiec dalszej wymianie zdań.

– Skoro to jest jasne, zabierz waćpan brata i jedźmy. Wieczór idzie. Jutro zaś w południe przy kurhanie w Bałwańskim się spotkamy. Tam pogadamy.

Teraz ani miejsce, ani też czas na rozmowy. Zgoda?

Oczy Zatwarnickiego zmieniły się w wąskie szparki, kiedy wycedził:

– Zgoda!

Odwrócił głowę ku odrętwiałym pachółkom, dając im znak ręką. Tym razem posłuchali niemego rozkazu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy ruszył kondukt wiozący przewieszane przez koński grzbiet ciało zabitego. Milczeli podczas jazdy posępni mężczyźni zajęci swoimi myślami. Ważyli, z czym przyjdzie im się niebawem zmierzyć, i zastanawiali się, jak wszystko to się skończy. Nad nimi szumiał prastary bór, który skrywał tajemnicę, o jakiej wciąż nie mieli pojęcia.

JEGOMOŚĆ HERBURT

Ciemno już było, kiedy trzech zmęczeni mężczyźni wrócili do Zatwarnicy. Ze zdziwieniem dostrzegli otwartą bramę i światła na dziedzińcu. Zaniepokojeni, trącili konie ostrogami, pomni, że różnie z chłopami być mogło. Dwór jednak i zabudowania zdawały się całe, a kręcący się po podwórzu ludzie nie wyglądali na rabusiów ani zbuntowanych wieśniaków.

Wjechawszy za bramę, zobaczyli stojący przy domostwie powóz, już wyprzęgnięty, a także sporo koni uwiązanych przed stajnią. Kręcili się przy nich Kozacy w jednakowe szaty odziani, z widocznymi barwami Herburtów na strojach. Każdy z nich rosły i zadziorny, widać, że nie przypadkiem dobrany. Zaczynał poczet ten, kto do dworu zajechał. Łatwo było się domyślić, kto zacz.

Ostatnie wątpliwości rozwiązał pan Jeremi, który zdyszany zbiegając z ganku, przypadł do szlachcica i oficerów, ni to wołając, ni to ścisząc głós:

– Chwała Bogu! Dzień cały czekam! Pan Eryk Herburt z ludźmi zajechał! We dworze jest!

Zmarszczywszy czoło, Stiller wymownie spojrział na Nadolskiego. Zeskoczył z konia, pytając:

– Dawno przybył jegomość?

– Przed południem! Powiedziałem mu, że goszczę waćpanów, i spotkać się z wami zażyczył!

– Z chęcią złożymy pokłon panu Erykowi, jak tylko ogarniemy się nieco. Cały dzień w siodle byliśmy.

Winnicki pokręcił głową.

– Nie może być! Już! Teraz! Pan Herburt zaraz spać idzie, a po wczesnym śniadaniu jutro odjeżdża! Na was tylko czekał!

– Odjeżdża? – zdziwił się Żegota. – Przecież dopiero co przybył.

– Do Bałwańskiego chce! Rzekł, że tam we dworze zagości!

– W tej ruinie? – Niemiec uniósł brwi.

– Mówiłem, ale ani myśli zdania zmieniać. Sam chciałem tam iść, myśląc, że może towarzystwa niczyjego nie chce, lecz zabronił. Powiada, iż w domostwie nieżyjącego przyjaciela pragnie pobyc, aby choć w ten sposób się z nim pożegnać. Tylko sprzęty nakazał niektóre na wozy ładować, aby wygodę sobie zapewnić. Jutro skoro świt chłopci mają iść porządek jaki w obejściu zrobić.

– Ciekawa rzecz... – Saksończyk pogładził się po czernionej bródce. Popatrzawszy na Murraya i Żegotę, mruknął: – Cóż! Prowadź nas tedy mości Winnicki do gospodarza, skoro taka jego wola. On tu pan, a nam, jako gościom, służyć się należy.

Dłońmi wygładził fałdy skózanego koletu, mało się wystawnym na prezentację przed magnatem znajdując. Tak samo i Nadolski z Murrayem nieszczególnie szykownie wyglądali. Cóż jednak było robić, wobec jasno wyrażonej woli właściciela Zatwarnicy. Przy tym ciekaw był Niemiec owego człowieka, o którym różne już rzeczy słyszał i wobec którego miał swoje podejrzenia. Dlatego nie oponował.

Poszli za biegnącym drobnym truchtem dzierżawcą, nad wyraz ożywionym niespodziewaną wizytą pryncypała. Pan Winnicki na równi był wystraszony, jak podniecony zdarzeniem. W głowie kołatało mu się mnóstwo obaw względem swojej przyszłości, gdyż miał poczucie, iż w majątku pan Eryk nie wszystko może znaleźć takie, jak powinien. Uradował się więc z przybycia oficerów i szlachcica, jako że przynajmniej pod tym względem spełni wolę chcącego się z nimi rozmówić właściciela.

Stanąwszy przed drzwiami izby, mężczyźni ostatni raz poprawili stroje. Murray z Saksończykiem zdjęli skórzane kapelusze, lecz Żegota pozostał w swym kołpaku z czaplím piórem. Tak bowiem wypadało prezentować się szlachcicowi przed szlachcicem, nawet jeśli ten drugi był największym panem. Pokłon oddawało się dopiero, gdy stało się naprzeciw, nie

wchodziło się do komnaty z odkrytą głową jak chłop. Dziwił Nadolskiego cudzoziemski obyczaj, ale też go nie skomentował.

Pan Jeremi tylko na chwilę zniknął za drzwiami. Wychodząc, szepnął przejętym głosem:

– Pan Herburt prosi. – Następnie usunął się z drogi.

Pierwszy wszedł Nadolski, za nim Szkot, na końcu zaś Stiller. Drzwi zamknęły się za nimi ze skrzypnięciem, kiedy stanęli jeden obok drugiego, spoglądając z zaciekawieniem na gospodarza, którego tak trudno było spotkać.

Wysoki, szczupły, siwowłosy mężczyzna stał w cieniu, tuż przy kominku. Grzał dłonie wyciągnięte ku żarzącym się polanom. Po wejściu gości lekko odwrócił głowę w ich stronę, lecz wciąż mało widać było jego twarz. Głosem powolnym i cichym powiedział:

– Witam waszmościów. Rzekł mi pan Winnicki, iż w moim domu byliście łaskawi się zatrzymać. Kontent jestem z tego, szczególnie że pan Koniecpolski, z którym w niejkiej zażyłości pozostawałem kiedyś, raczył wcześniej wspominać o was w listach, mości oficerowie. A i towarzyszowi waszemu rad jestem.

Dopiero teraz szlachcic z Wygnanki zdjął czapkę, kłaniając się nisko.

– Jestem Żegota Nadolski herbu Bojno. Wdzięczny jestem jegomości za gościnę i rad niezwykle, mogąc poznać waćpana.

Za nim Szkot pochylił głowę, mówiąc:

– Porucznik artylerii William Murray, obecnie w służbie u arcybiskupa lwowskiego Jana Andrzeja Próchnickiego.

Ostatni przedstawił się Niemiec:

– Porucznik Werner Stiller, także sługa Jego Eminencji arcybiskupa.

Eryk Herburt odklonił się lekko, opuszczając ręce wzdłuż ciała. Przeszedł kilka kroków w ich stronę. Dopiero wówczas światło świec w pełni ukazało jego postać.

Wzrostu był bardziej niż słusznego, przerastając nawet Saksończyka. Ale też postaci chudej, kościstej niemal, zgarbionej.

Odziany w długą jedwabną szatę niczym w sutannę, przepasaną także jedwabnym czarnym, wyszywanym w złote wzory pasem. Twarz miał pociągłą i bladą, z wyraźnymi bliznami szpecącymi jej lewą stronę. Gładko wygoloną, nawet bez wąsów, które niemal każdy szlachcic nosił. Włosy w kolorze gołębim, rzadkie i miękkie, przylegające do głowy.

Dłonią, powolnym gestem, wskazał na stół, mówiąc:

– Zmęczeni pewnie jesteście. Siadajcie więc. Zaraz służba przyniesie posiłek. – Uśmiechnąwszy się lekko, dodał: – Wybaczcie, że w wieczery nie będę wraz z wami uczestniczył, lecz medyk zabrania mi nadmiaru jadła, a z napojów jedynie wodę pijam. Wy jednak niczego sobie nie żałujcie, nie bacząc na mnie.

Posłusznie spełnili jego prośbę, zajmując miejsca. Nim zdolali się usadowić, weszła dziewczka, niosąc jedzenie i piwo. Pokorna, pochylona, nieśmiała nawet spoglądać panu w zimne bladoniebieskie oczy. Prędko rozstawiła naczynia i zniknęła pospiesznie, tak cicho, jak się pojawiła. Teraz słychać było tylko trzask dREW płonących w kominku.

Herburt niespiesznie podszedł do stojącego u szczytu stołu rzeźbionego fotela. Zasiadłszy na nim, gestem zachęcił mężczyzn, mówiąc:

– Jedzcie waszmościowie.

Sam oparł się wygodnie. Palcami prawej dłoni gładząc się po brodzie, przesuwał wzrok z jednego gościa na drugiego. Spojrzenie miał takie, że zdawało się na wskroś przeszywać. Dziwnie ciężkie i męczące uczucie powodowało u obserwowanych. Każdy z nich odczuł nieprzyjemne skrępowanie. By je zgasić, Żegota pierwszy sięgnął do półmiska z mięsiwem i chleba. Za jego przykładem poszli cudzoziemcy.

Jedli w milczeniu. Żaden z nich jakoś nie miał ochoty odzywać się pierwszy, co zresztą przywilejem gospodarza było. Stukały odstawiane talerze i przesuwane kufle, plusnęło czasem nalewane z dzbana piwo. Przytłaczająca była ta dziwaczna cisza, nieprzyjemna i złowroga. Tym bardziej że z ust nieruchomego magnata nie zniknął tajemniczy półuśmiech.

Kilka minut minęło, nim pan Herburt rzekł:

– Późno waszmościowie wrócili. Znaleźliście chociaż to, czego pojechaliście szukać?

Stiller zatrzymał się w pół kęsa. Skinąwszy głową, potwierdził:

– Znaleźliśmy.

Gospodarz westchnął lekko, opuszczając dłoń na stół. Przyglądając się własnym palcom, rzekł:

– Cóż. Chyba przez to mam rozumieć, iż pan Baltazar Zatwarnicki nie żyje. Nieprawdaż?

– Nie żyje – przytaknął Niemiec, ocierając usta wyciągniętą zza pasa chustką.

Uniósł wzrok, wbijając go w byłego husarza. Na jego twarzy nie drgnął jednak żaden mięsień. Zdał się obojętny na usłyszaną nowinę.

– Taaak... – mruknął przeciągle. – Można było się tego spodziewać. Kto sieje wiatr, ten najczęściej zbiera burzę. Przykra to rzecz, ale nieunikniona.

Stiller zmarszczył brwi.

– Co masz waszmość na myśli? – zapytał.

Eryk Herbert rozłożył ręce przed sobą. Wyraźnie widać było na jego lewej dłoni ślady psich zębów, niknące długimi bliznami gdzieś pod jedwabnym rękawem.

– To, panie poruczniku, że czasem lepiej nie wikłać się w sprawy, których się nie rozumie. Wyrządzone zło zawsze wraca do sprawcy. Zbyttnia zaś zapalczywość często kończy się nad wyraz tragicznie.

Uśmiechnął się szerzej, palcami dotykając piersi.

– Ot, choćby ja. Niegdyś husarz i żołnierz, a teraz... – Jakby zrezygnowany wolno machnął ręką. – Nawet mówić szkoda.

Pokiwawszy głową, Saksończyk wycedził:

– Tak. Słyszałem, że waszmość pod Kircholmem zostałeś ciężko raniony.

Półuśmiech zgasł na twarzy gospodarza. Lekko pochyliwszy się nad stołem, zmrużył oczy. Wpatrując się w Stillera, powoli powiedział:

– Zgrabnie waszmość kłamiesz. Lecz i ty, i ja dobrze wiemy, jaka jest prawda o mojej słabości. Byliście wszak u pana Pamiętowskiego w Beniowej, z którego też krotochwilę sobie uczyniliście, mając go biskupim złotem. Gadatliwy był jegomość Piotr, czego zresztą za złe mu nie mam... – odchylił się znów na oparcie – ...tak jak i wam za waszą ciekawość. Wszak tajemnicę chcecie poznać i przyczynę zrozumieć tego, co tutaj się dzieje. Nieprawdaż?

Niemiec, opuściwszy wzrok, bąknął:

– Mam listy biskupa i metropolity prawosławnego z Kijowa...

– Tak, wiem... – przerwał mu Herbert, machnąwszy dłonią, jakby opędzał się od muchy. – Mówił mi pan Winnicki. Znów unosząc nieznacznie kąciki ust, dodał: – Szukajcie więc, mości panowie. Ja wam wzbraniać niczego nie zamierzam.

Skierował wzrok ku Żegocie.

– A waszmość? Wszak tyle co dziecko ci się urodziło, prawda? Dopiero co chrzest był. Jak mu na imię dałeś? Maciej zdaje się, po ojcu acana. Nieprawdaż?

Zadrzał Nadolski od nagłego niepokoju. Przeliykając ślinę, opuścił na wpół uniesiony kufel. Spojrzał na gospodarza błyszczącymi z zaskoczenia oczami. Ten jednak wcale nie zwrócił na to uwagi. Nie zmieniając zimnego tonu, ciągnął dalej:

– I żonę młodą zostawiłeś. A tam pan Stano zęby ostrzy na waszmości przysiółek. Warto tedy w taki czas z domu wyjeżdżać i na pustkowiu Bóg wie czego szukać? Przecież już swoje waćpan przeżyłeś. Mylę się?

Siwowłosy szlachcic zacisnął pięści, lecz nic nie odrzekł. Łypał tylko złowrogo spode łba, słuchając chłodnego głosu właściciela Zatwarnicy.

– Tak, wiem, mości Nadolski. Przyjaciół wspierać, chwalebna rzecz. Ale o rodzinę dbać jeszcze ważniejsza. Tęskno ci pewnie za domem. Bo mnie, na twoim miejscu, bardzo byłoby tęskno. Co dnia zżerałby mnie niepokój od środka.

Pokiwał głową, jakby frasując się smutnym oddaleniem ojca od dziecka i męża od żony. Zamilkł na moment, by wskazując palcem na stół, zachęcić:

– No jedzcie, jedzcie waszmościowie. Może kazać co innego podać?

Niemiec, sięgając niespiesznie po chleb, pokręcił głową.

– Nie trzeba. I tak nadużywamy uprzejmości waćpana – wycedził.

Znów zapadła nieprzyjemna cisza, jeszcze bardziej niż poprzednio męcząca.

Żegota, powściągając nerwy, sięgnął po piwo. Zamoczywszy usta, znad brzegu naczynia mruknął:

– Dużo o mnie waszmość wiesz, panie Herburt, choć przecież nigdy nie miałem przyjemności spotkać acana. Zaiste, niezwykła to rzecz, aby ktoś tej co waćpan pozycji rodziną szlachcica ledwie na przysiółku siedzącego się interesował. Zaszczyt to dla mnie. – Skłonił sztywno głowę, odstawiając kufel. Dodał przy tym: – Może też i inne rzeczy waćpanu wiadome... – Nie skończył, krzywiąc twarz w niby przyjaznym uśmiechu, który jednak marnie mu wyszedł.

– A tak – potwierdził gospodarz. – Z pewnością, mości panowie, więcej wiem niż wy. Dlatego dobrze wam radzę zaniechać tutejszej sprawy, która niebawem i tak się zakończy.

– Cóż takiego więc jest, czego nie wiemy? – zapytał Saksończyk, sądząc, że nie usłyszy żadnej odpowiedzi. Mylił się jednak.

Eryk Herburt popatrzył na niego, zmrużył oczy, zastanawiając się nad czymś, by wreszcie odpowiedzieć:

– Choćby tego, na przykład, że kiedy pomór się w Sikawcu zaczął, specjalnie Kacper Zatwarnicki zarażoną babę z jajami i serem do dworu w Bałwańskim posłał. Liczył, że choroba Rudyłowskiego zdusi. Ale on silny był, lata na wojnie spędził. Dlatego tylko jego córkę śmierć zabrała. Słyszeliście to?

Niemiec drgnął, przejęty tym, co usłyszał. W myślach pomieszała mu się złość z obrzydzeniem na nieludzki postępek najstarszego z braci

z przysiółka za Sanem. Popatrzył po swoich towarzyszach, których miny jasno pokazały, jak wstrząsnęło nimi to, co rzekł stary magnat.

Bardziej by cokolwiek powiedzieć niż z niewiary, Żegota wyszeptał:

– Prawda to na pewno?

– Prawda, panie Nadolski. – Herburt skinął głową. – Niełatwo tu było Hieronimowi żyć. Chłopów mu Zatwarniccy buntowali, krowy z pastwisk kradli, popa przeciw niemu nastawili, nawet zwierzęta mu truli. Prosiłem wcześniej Rudyłowskiego, żeby w Beniowej po śmierci Heleny został, lecz uparł się. Miał zresztą pewnie swój powód ku temu.

– To czemu mu waszmość nie pomogłeś?

Zapytany przygryzł na moment wargę.

– Różnie między nami bywało. Dawniej za przyjaciół uchodziliśmy. Ale potem... Widzieć mnie nie chciał. Tyle powiem. A ja szanowałem jego wolę. Winnickiemu kazałem pieczę trzymać, lecz sami wiecie, jaki zdatny do zwady pan Jeremi. *Mea culpa*^[178].

– To dlatego Zatwarnickim waszmość teraz szlachectwo naganił? – wtrącił Saksończyk.

– Dlatego, ale i nie dlatego. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Nie kłamię, że ich pradziad był chłopem, który u Kmitów, a potem Herburtów służył i zbójowaniem się trudnił. Nawet nazwisko swoje wzięli od wsi, która przecież nigdy do nich nie należała. Zresztą... – machnął ręką – ...nieważne to. I tak niebawem wygaśnie ród Zatwarnickich z Sikawca. Winni poniosą należną karę, a wtedy wróci spokój w okolicy.

– Nie dość już krwi? – Niemiec pochylił się ku gospodarzowi. – Wszak wiesz waćpan, że tylko niezgoda przez to między prawosławnymi a rzymskimi katolikami. Nawet w innych miejscach krzywi są na siebie, albo i do zbrodni dochodzi. Może czas skończyć z bezrozumną zemstą i odpuścić winy, jak nauka Kościoła nakazuje?

Nie zmieszał się pan Herburt na te słowa, ani też żadnego zrozumienia dla nich nie okazał. Pokręciwszy głową, odrzekł:

– Ty, panie oficerze, patrzysz na rzecz, jak ci ją biskup we Lwowie wyłożył. Ja zaś na ludzi spoglądam i jedną dla wszystkich widzę sprawiedliwość. Kto krzywdę niewinnym uczynił, tak żywym, jak już martwym, zbierze owoce swej zbrodni. Mało obchodzi mnie, czy to prawosławny, czy katolik. To zresztą, kto tutaj sędzią i katem jest zarazem, tak samo. Czysta to sprawiedliwość i nieskalana zawiłym rozumowaniem, które tobie każe dla rzekomo większego dobra mniejsze poświęcić. Pamiętaj jednak, panie Stiller, iż nie negocjuje się z diabłem. Zło zawsze jest złem, a dobro dobrem. Kto te rzeczy pomiesza, ten już wydał swoją duszę na zgubę.

– Iście starotestamentowe to podejście – skwitował kąśliwie Murray.

– Ale uczciwe – odparował gospodarz, twardo spoglądając mu w oczy. Kierując po chwili wzrok na Żegotę, zapytał: – Czyż nie tak, panie Nadolski?

Szlachcic niechętnie skinął głową. Po tym, co usłyszał, rozumiał aż nadto dobrze zdanie Herburta. Wciąż nie mógł pojąć podłości, jaka kierowała Zatwarnickim, kiedy posyłał do Rudyłowskiego zarażoną kobietę, jak też późniejszej, skierowanej przeciw martwemu już dziecku. Było w niej coś tak niegodnego i nieludzkiego, iż zasługiwało na najwyższą karę. Wcale nie było już Żegocie żal właściciela Sikawca. Najchętniej sam łeb by mu rozłupał, myśląc, że i jego bliskim w Wygnance ktoś mógłby bezkarnie podobną krzywdę uczynić.

Inaczej jednak wciąż na rzecz patrzył Stiller, który zaplatając ręce na piersi, rzekł:

– Waszmość, panie Herburt, rościsz więc sobie owo prawo do sądu? Albo też katem chcesz może być?

– Nie, panie oficerze. – Magnat wykrzywił wąskie usta w pobłażliwym grymasie. – Ja tylko będę się przyglądał.

– Doprawdy? – Niemiec zmrużył znacząco oczy.

– Wiem, co myślisz, mości Stiller. Masz wszakże rozum, a słyszałem też o tobie, że biskup ciebie i twego towarzysza do delikatnych spraw zwykł wykorzystywać. Sądzisz pewnie, że krew mojej matki na mnie przeniosła

przekleństwo rodu Łaskich. Zaiste, mroczna to legenda, lecz z gruntu nieprawdziwa. – Rozłożył przed sobą dłonie. – Czy naprawdę mniemasz, że ja, stary i chory, zmieniam się w wilka i nocą po lasach biegam? Bydło kaleczę, chłopów szarpie albo też, jak tu, w Zatwarnicy, popa na krzyż cerkiewny nadzieвам? Jeśli tak, wielka jest siła twojej wyobraźni. Zresztą... – zaśmiawszy się cicho, machnął dłonią pokrytą bliznami – ...nie dbam o to, co myślisz. Prawda pewnie zgoła jest inna, ale sam ją musisz odkryć. Pomagać ci w tym nie zamierzam.

– Czyli że wiesz, panie, kto jest owym sędzią i katem? – podchwycił od razu Saksończyk.

– Tyle wiem co i waćpan – wycedził gospodarz. – W przeciwieństwie jednak do ciebie z serca mu sekunduję, bo sprawiedliwie czyni. Ja zaś jedynie drobne ziarno od siebie do tego dołożyć mogę, wnosząc, by Zatwarnicki do właściwego sobie chamskiego stanu wrócił, gdzie charakterem i uczynkami najbardziej przystaje. Z pewnością także nie pożałuję go, kiedy umrze.

– Jednego zła drugim złem wyplenić się nie da.

– Warto jednak próbować, panie oficerze – odparował Herbert. – Ty zaś zważ, skoro mniemasz, że dobrze chcesz czynić, iż, jak twierdził Święty Augustyn, „złem jest złe używanie dobra”^[179]. Pamiętaj także inne jego słowa: *Pereat mundus, fiat iustitia*^[180].

Na nowo zapadła ciężka cisza przy stole. Przerwali goście niedokończony posiłek, gdyż całkiem im odszedł apetyt. Siedzieli zamyśleni, ważąc w duchu, co wypadałoby im teraz uczynić. Z jednej strony przemawiały do nich słowa Eryka Herburta o sprawiedliwości, z drugiej zaś jeszcze kilka godzin wcześniej widzieli w całej krasie jej okrucieństwo w postaci okaleczonego ciała Baltazara Zatwarnickiego. Czy godziło się wobec tego przyjąć jasną sugestię magnata i czekać beczynnie, przyglądając się, aż nieznany mściciel nasyci się krwią i sam odejdzie? Kusił cichy głos wewnątrz umysłów, aby się nie narażać bez potrzeby dla człowieka, co spodlił się swymi postępkami. Inny zaś mówił o obowiązku względem żywych, który należy do końca wypełnić.

Przerwał te niewesołe rozmyślenia gospodarz, który zwrócił się do Żegoty:

– Słyszałem o waćpanu od Wołocha, który u mnie na służbie jest w Ustianowej. Ionuc mu na imię. Pół twarzy ma spalone i oka jednego mu brak. Dawniej u pana Krasickiego był. Pamiętasz go, mości Nadolski?

Szlachcicowi od razu stanął przed oczami obraz rannego, któremu darował życie przy leśniczówce pod Arłamowem, kiedy ścigał Giurgiu Bardę. Skinął głową, potwierdzając, że zna owego człowieka.

Uśmiechnąwszy się, Herburt ciągnął dalej:

– Różne mi rzeczy powiedział, które waćpanom... – popatrzył po twarzach gości – ...a teraz i mnie są znane.

Dostrzegłszy nerwowe spojrzenie Stillera, uniósł rękę.

– Spokojnie, ani myślę je komukolwiek rozgłaszać. Chcę jedynie powiedzieć, że wszyscy trzej dobrze wiecie waszmościowie, iż czasem o sprawiedliwość trzeba samemu zadbać. A przynajmniej nie przeszkadzać temu, który ją czyni. Właśnie to wam zalecam. Po prostu pozwólcie rzeczom się dziać, a przeznaczeniu wypełnić.

Odchylił się na oparcie krzesła, starannie układając splecione dłonie na stole. Jego szczupła, blada twarz znów przybrała wyraz smutnej obojętności. Spojrzawszy na migocące świece, zapytał:

– Co więc zamierzacie uczynić?

Saksończyk przyglądał palcami sterczące wąsy i popatrzył po przyjaciółach. Widział ich zmieszanie i niepewność. Dlatego ostrożnie odpowiedział:

– Coś, by dalszy przelew krwi zatrzymać. A o karę dla Kacpra Zatwarnickiego waćpan się nie obawiaj. Zadba o to jegomość Próchnicki, by przed sądem w Sanoku stanął albo Sejm go ukarze należycie.

– Przed sądem? – Herburt uniósł brwi. – Wybacz waćpan, ale sprawiedliwości się w Rzeczypospolitej przed żadnym sądem nie dojdzie. Mało to infamisów i banitów wokoło, którzy śmieją się z wyroków?

Wszyscy słyszeli choćby o panu Samuelu Łaszczu, który sobie delię^[181] sądowymi pismami podbija^[182].

– Jeśli ktoś taki jak waszmość sprawę poprze, niechybnie Zatwarnicki trafi do wieży, a może i gardło da.

Gospodarz pokręcił głową.

– Za co? Uwierzy kto chłopom, że świadomie zarazę rozniósł i zabił córkę Rudyłowskiego? Albo też, że wbrew prawu ciała pohańbił praktykom magicznym zawierając i zabobonom? – Machnął ręką. – Tu Ruś, panie Stiller. Swoimi niepisanymi prawami się rządzi. Gdybym ja na Zatwarnickiego zbyt nastawał, od razu podniósłby się krzyk szaraczków, że wielki pan jednego z nich chce zniszczyć. Już teraz wołają, że naganą szlachectwa chcę go ukrzywdzić. Z tego samego zresztą powodu, który już waćpan podałeś, że on prawosławny, a ja nie. Czy w ten sposób chcesz zgasić ogień, dolewając do niego oliwy? Angażując w sprawę rzymskokatolickiego biskupa? – Przechylił się nad stołem w stronę Saksończyka. – Jedyne sposobem rzecz całą szybko pozwoić losowi skończyć. Dobrze o tym wiesz, panie oficerze.

– Tedy szybko trzeba z potworem się sprawić.

Westchnąwszy, Herbert odchylił się na oparcie krzesła. Splótł palce, opierając łokcie na stole.

– Jedyne potwór tutaj to Zatwarnicki, panie Stiller. Jego chciwość to wszystko sprawiła, co się zdarzyło. Sam winien temu, co go spotyka. Jak mówi Biblia: „...albowiem korzeń wszego złego jest chciwość, której niektórzy pragnąc, pobłądzili od wiary i uwikłali się w wiele boleści”^[183]. Opatrzność boska czasem siłą nieczystą władać może i do swych celów z niej korzysta. Już Święty Marek o tym pisał w swej Ewangelii^[184].

– Wybacz waćpan, lecz inaczej na rzecz patrzę – odrzekł Niemiec. – Nie dla mnie teologiczne rozważania, które księżom pozostawię. Ja spokój jedynie chcę zaprowadzić i wszelkich sił ku temu dołożę. Ludzie zaś bestii, nie Zatwarnickiego się boją.

Gospodarz kilkakroć pokiwał głową. Powoli wstał, lekko skłaniając głowę.

– Bo ludzie są omylni, panie oficerze. Każdy spokój ma swoją cenę. – Powstrzymawszy gestem chcących się podnieść gości, dodał: – Cóż, mości panowie. Samych was teraz zostawię, gdyż pora mi już na spoczynek. Korzystajcie z mego domostwa do woli i niech was Bóg prowadzi. Oby też natchnął was swą mądrością i pozwolił podjąć właściwe decyzje.

Przeszedłszy ku drzwiom, zatrzymał się jeszcze przed wyjściem i odwrócił głowę ku Żegocie.

– A waćpan o bliskich się nie martw. Bezpieczni są i nikt pod twoją nieobecność przeciw nim nic czynić się nie poważy. Strzeżonego bowiem i sam Pan Bóg strzeże.

Wyraz zaskoczenia przemknął przez twarz szlachcica i chciał o wyjaśnienie jakieś prosić, lecz zniknął już za drzwiami pan Herburt, pozostawiając za sobą jedynie wybrzmiewające:

– Dobrej nocy waszmościom życzę.

Siedzieli jeszcze trzech mężczyźni w komnacie blisko przez godzinę, niewiele jednak ze sobą mówiąc. Dziwne wrażenie sprawiła na nich rozmowa z panem Erykiem Herburtem i zasiała w sercach wątpliwości. Każdy na swój sposób je przeżywał, rozważając, co też uczynić wypada. Nie znajdując odpowiedzi na to, poszli wreszcie spać, z obawą myśląc o dniu, który miał nastąpić.

ROZDZIAŁ XVI

ŁOTR

Męcząca to była noc dla trzech mężczyzn goszczących w zatwarnickim dworze. Pełna niepokoju i przerywana długimi minutami bezsenności. Ciemna, wypełniona odgłosami skrzypiącego drewna i dobiegającym zza okien złowieszczym wyciem psów. Naznaczona ciężkimi myślami i pytaniami bez odpowiedzi. O północy na dodatek od wsi doleciało walenie popa w żelazną szynę i jego stłumione wilgotnym powietrzem szalone krzyki wzywające bestię do walki. Przykre sprawił wrażenie na wyrwanych z płytkiego snu mężczyznach ten przejaw ludzkiej głupoty.

Nawet słońce nie weszło, kiedy z dziedzińca doszły uszu wpatrzonych w półmrok mężczyzn odgłosy szykujących się do drogi ludzi, a potem skrzypienie wozów i głuchy stukot kopyt. To pan Herburt, nie czekając, aby się pożegnać, do Bałwańskiego odjeżdżał. Pozostawiał swych gości samych w obliczu decyzji, którą musieli podjąć. Wieczorem powiedział swoje, reszta zaś należała do nich.

Zebrali się na śniadaniu w ponurych nastrojach, nie bacząc na wesołość pana Winnickiego, któremu właściciel Zatwarnicy dożywotnią administrację przyobiecał. Prosił go także, aby gościom na niczym nie zbywało podczas pobytu, nakazując wszelkiej żądanej pomocy udzielić. Pytał się więc pan Jeremi oficerów i szlachcica, co mógłby dla nich uczynić, z marnym jednak skutkiem. Usłyszawszy kilka burkliwych i zdawkowych odpowiedzi, obraził się na tak jawne lekceważenie jego życzliwości. Prędko więc zebrał się od śniadania, tłumacząc nawałem wiosennych obowiązków. Pozostawił gości samych, co jeszcze posepniejszym uczyniło nastrój przy stole.

Żegota już postanowił, co zrobi, jednakże trudno jakoś było mu to oznajmić kompanom. Liczył w duchu, że i oni przemyśleli sprawę pomocy dla Zatwarnickiego, ważąc, iż niegodnemu tego wsparcia człowiekowi by

go udzielili. W istocie rację miał Herbut, mówiąc, że sprawiedliwość wymagała kary dla pana z Sikawca, który od dawna ludzi mamił i podburzał, a nadto stał za śmiercią Anusi Rudyłowskiej, co w konsekwencji doprowadziło do samobójstwa jej ojca. To on niczym wąż judził chłopów przeciw dzierżawcy Bałwańskiego, nie spodziewając się nawet, jaki to skutek przyniesie jemu samemu. Teraz zaś stanął przed obliczem mrocznej i nieuchronnej sprawiedliwości. Niegodne wydało się Nadolskiemu stawać u jego boku przeciw sile, która choć straszna, nie czyniła przecież krzywdy niewinnym. Nie po to tu przybył. Każdy zaś dotychczas zabity dźwigał na swoim sumieniu ciężar zbrodni przeciw boskim prawom tyczącym żywych i martwych.

Siedział więc szlachcic nad posiłkiem ze zwieszoną głową, mało co jedząc. Unikał wzroku Stillera, który chyba wiedział, co dręczy duszę jego przyjaciela. Długo jednak nie pytał go o decyzję, rozumiejąc, iż szlachcic wciąż jeszcze może się wahać pomiędzy obowiązkami przyjaźni a własnymi przekonaniem. Dopiero kiedy służba powoli wynosić zaczęła półmiski, popatrzawszy na siwowłosego druha, zapytał:

– Pojedziesz chociaż z nami na kurhan z Zatwarnickim się rozmówić?

– Pojadę. – Żegota skinął głową, zrozumiawszy, iż Saksończyk domyślił się już wszystkiego.

Uczuł w sercu dziwny ciężar winy, której przecież nie powinien mieć w sobie. Jakby dla usprawiedliwienia się, spróbował wyjaśnić:

– Zrozum mnie, panie Stiller, po tym, co moim przed laty uczyniono. Na rzecz wprost patrzę. To on zabił dziewczynkę, a potem z innymi jej ciało sprofanował. Nie ma nic gorszego, niż dziecku śmierć zadać. Może i nie chciał tego, lecz stało się, jak się stało. Gdybym choć iskrę żalu w nim dostrzegł, wahałbym się jeszcze. Lecz w nim są tylko wściekłość i strach. Żadnego poczucia, że coś źle uczynił.

Niemiec pokiwał głową. Westchnąwszy, odrzekł:

– Jemu to waszmość w oczy powiedz. Może jeszcze wyrazi skruchę. Dla mnie zaś rozkaz biskupa jest jasny, a potwór mordujący ludzi bardziej mi wrogiem niż ten, kogo przed sądem można postawić. Choćbym i zgrzytał

zębami, rozumiejąc waćpana racje, swoje uczynię. William oznajmił mi rano, że ze mną pójdzie. Żal, że bez waszmości, ale pretensji o to mieć nie mogę, bo sam najchętniej już teraz wziąłbym Zatwarnickiego na postronek i do Sanoka zaprowadził. Tyle że on jest przynętą, która bestię przyciągnie. Tu jest potrzebny.

Nic nie odpowiedział na to Żegota, zaciskając usta. Nadal było mu jakoś wstyd, lecz wiedział, że słusznie robi, i Agnieszka z pewnością to samo by mu doradziła. Nie po to tu przybył, aby pomagać mordercy, lecz by zadbać, aby spokoju zaznała jej dusza, być może wciąż uwięziona na tym świecie niedokończonymi ziemskimi sprawami.

Przedpołudnie wolno minęło na przygotowaniu koni, sprawdzeniu rysztyunku, a tak naprawdę snuciu się bez celu po obejściu. Niewiele ze sobą rozmawiali oficerowie i szlachcic, nawet kiedy dosiedli wierzchowców. Wolno, jakby ociągając się, ruszyli w końcu na spotkanie z Zatwarnickim.

Dzień był pochmurny i chłodny, naznaczony wiszącym w powietrzu deszczem, który jakoś nie mógł się jeszcze zebrać, grożąc jedynie od czasu do czasu spadającymi gdzieniegdzie maleńkimi kropelkami. Wiatr, choć słaby, niósł ze sobą jakby jesienne zimno. Nawet zieleniejąca trawa przybladła, sprawiając wrażenie zduszonej ostatnimi podrygami odeszłej już przecież dawno zimy. Z rosnących tam i ówdzie dzikich śliw opadły drobne białe płatki pierwszych kwiatów uśmiercone nocnym przymrozkiem. Zaległy na gruncie niczym śnieg, przywodząc mimowolnie myśli o nieuchronnym końcu tego, co młode i piękne.

Z daleka dostrzegli czekającego już przy pagórku szlachcica i pięknego srokacza puszczonego luzem. Koń stapał powoli z pochylonym łbem w poszukiwaniu rachitycznych, ledwie co wypęzłych z gruntu zielonych źdźbeł. Kiedyś podziwiany przez Stillera dla urody, stał się dziś, podobnie jak krzykliwie kolorowy strój pana Kacpra, dowodem na pretensjonalność i pychę właściciela pięknego zwierzęcia.

Trzech jeźdźców nie ponagliło wierzchowców na widok Zatwarnickiego. Niespieszno im jakoś było do tego spotkania po tym, co rzekł im Eryk

Herburt. Wcześniej mogli nawet próbować rozumieć pana z Sikawca. Teraz czuli do niego jedynie wstręt. Nie było bowiem nic gorszego dla żołnierza niż człowiek, który fałszem i podstępem, trucizną, chorobą i tchórzliwą zbrodnią swych zamiarów dochodzi. Tym bardziej jeśli na co dzień daje pozór swej odwagi, nosząc się dumnie i głowę nad innymi zadzierając.

Podjechawszy, ściągnęli wodze, zatrzymując konie. Z wysokości siodeł spoglądali do podchodzącego ku nim szlachcica. Głośno krzyknął do nich:

– Czołem!

Zdawkowo i półgłosem odpowiedzieli na to powitanie, już tym dając wyraz swej niechęci. Zatrzymał się w pół drogi Zatwarnicki, mrużąc oczy. Od razu wyczuł, iż zmieniło się coś od wczoraj. Zadzierając głowę i dłonią przyglądając węża, warknął:

– O co chodzi?! Strach waszmościów obleciał?!

Wyjechawszy koniem dwa kroki do przodu, Nadolski pochylił się w siodle, od razu wprost pytając:

– Prawda to, że zarażoną babę do dworu w Bałwańskim wysłałeś i dlatego dziewczynka umarła?

Najpierw zbladła gwałtownie twarz pana Kacpra, a potem czerwona się stała, jakby apopleksji miał dostać. Odruchowo złapał za rękojeść szabli, cedząc przez zęby:

– Kto śmie takie rzeczy mówić?! Kto?!

– Prawda to?! Ja pytam! Żegota Nadolski z Wygnanki! Poznałeś mnie już waćpan!

– Tyyy!!! Ja ci zaraz...

– Uspokój się mości Zatwarnicki i odpowiadaj! – przerwał mu Niemiec, podjeżdżając do Żegoty.

– Gówna prawda! Temu, kto tak twierdzi, krwi upuszczę!

Nadolski zeskoczył z siodła, luźno puszczając wodze. Stanąwszy przed wściekłym panem z Sikawca, ujął się pod boki i rzekł powoli:

– Ja tak twierdzą i wierzę w to, com usłyszał. Przyznaj się choć i skrucę okazać. Niewiele to zmieni, ale przynajmniej dowodem będzie, że jakaś

resztką sumienia ci się w środku kołata.

Zamiast spełnić to, czego chciał siwowłosy szlachcic, Kacper Zatwarnicki wyszarpnął szablę z pochwy.

– Stawaj, psie!

– Najpierw odpowiedz!

Oczy ostatniego z braci zwięzły się, a twarz wykrzywiła w pogardliwym grymasie. Wyciągnąwszy żelazo przed siebie, wysyczał:

– A choćby i prawda to była, nie twoja rzecz, kmiecie! Kto by żałował tej niemoty?! No?! I co mi uczynisz?!

Pokiwawszy wolno głową, Żegota głuchym głosem odpowiedział:

– Ja nic nie muszę. Kto inny sprawiedliwości dojdzie. A teraz broń schowaj i dziękuj moim towarzyszom, że chociaż oni przy tobie zostaną. Bo na mnie liczyć nie możesz.

Odwrócił się ze wzgardą, wkładając nogę w strzemię.

– Stawaj, psie! – wrzasnął Zatwarnicki, machnąwszy szablą przed sobą.

– Uspokój się waszmość! – zawołał Stiller, koniem zagrządzając mu drogę. – W ćwierć pacierza by cię pan Nadolski położył, bo lepszym od ciebie dawał radę!

– Złaż mi z drogi! – Młody szlachcic chwycił konia oficera pod pysk i szarpnął. – Zabiję ścierwo!

Nadolski zatrzymał się w pół ruchu. Opuścił nogę, poklepał swojego ogiera po karku. Popatrzywszy na Saksończyka, mruknął:

– Skoro chce stawać, panie Stiller, niech będzie jego wola. Nie uczynię mu krzywdy, a jedynie naukę dam. Obiecuję waszmości.

Odsuwając wierzchowca, Niemiec skinął głową. Odjechał w tył, dając plac stojącym naprzeciw mężczyznom. Murray uśmiechnął się pod nosem, wiedząc, czego się zaraz może spodziewać.

Żegota bez zbędnego pośpiechu wyjął swą szablę. Ugiął lekko kolana, wysuwając w przód prawą nogę, lewą rękę założył za plecy. Machnąwszy głową, zachęcił:

– No, zaczynaj!

Nie musiał dwa razy powtarzać. Skoczył w przód Kacper Zatwarnicki, tnąc szybko dwa razy, od lewego i prawego ucha. Bez trudu zbił obydwu uderzenia Nadolski, a potem nadgarstkiem tylko pracując, tak szablą zakręcił, iż broń szlachcica z Sikawca szerokim łukiem o kilka kroków poleciała, krzywo wbijając się w ziemię. Nim znieruchomiała, dał już się słyszeć okrzyk siwowłosego fechtmistrza:

– Podnieś!

Wściekły Zatwarnicki stanął znieruchomiał, bezbronny, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, dysząc z niepohamowanego gniewu. Tylko wycelowane w jego pierś ostrze sprawiało, że nie rzucał się na Żegotę. Ten zimnym głosem powtórzył:

– Podnieś!

Niemal skoczył jak żbik po swoją broń i z okrzykiem rzucił się na Nadolskiego, licząc, że siłą złamie jego finezję. Kilka cięć bezładnych przeszło jednak próżnię, aż w końcu uderzenie płazem w nadgarstek znów wytrąciło broń blondwłosemu szlachcicowi. Zaskomlał, łapiąc się za przedramię. Żegota, uśmiechając się, wycedził:

– Nic ci nie będzie. Siniak zostanie. Podnieś.

Wziąwszy broń z ziemi, tym razem Zatwarnicki nie spieszył się już z atakiem. Krążył chwilę, próbując zająć przeciwnika to z lewej, to z prawej. Na nic jednak były te zabiegi, bo Żegota, ledwie przestępując z nogi na nogę, zawsze frontem się do swego wroga znajdował.

Zniecierpliwiony pan Kacper zawiął szablą od dołu, tnąc pionowo w górę, mierząc w podbródek Nadolskiego. Stosując najprostszą zastawę stary żołnierz zbił ten cios, a potem, nadspodziewanie brutalnym uderzeniem tuż obok jelca, po raz trzeci wytrącił broń Zatwarnickiemu.

– Szablę trzymaj! Waszmość jak cepem bijesz! – warknął kpiąco Żegota.

Sapiąc ze zmęczenia i z wściekłości, młody pan z Sikawca podniósł broń. Tym razem przełożył dłoń przez temblak^[185], aby po raz czwarty nie dać się

już zawstydić. Klnąc pod nosem, stanął naprzeciw Nadolskiego. Nie atakował, czekając, co zrobi doświadczony przeciwnik.

Żegota, uśmiechnąwszy się krzywo, mruknął tylko:

– Koniec zabawy.

Ruch, który wykonał, był tak błyskawiczny, iż stal jego szabli widoczna była jedynie jako umykająca srebrzysta smuga. Trącił tylko ostrze dzierżone przez pana Kacpra na wysokości młotka, klingą po grzbiecie szabli przeciwnika pojechał, prostując nadgarstek, piórem minął jelec i zahaczywszy samym czubkiem o rzemienną pętlę, szarpnął, pociągnąwszy do siebie. Przecięty temblak zakołysał się w powietrzu, ale nim zdołał zareagować na to Zatwarnicki, Nadolski znów jednym ruchem wyłuskał mu broń z ręki. Tym razem na tym nie poprzestał, przestawiając natychmiast nogi i waląc trzymającą broń pięścią prosto między oczy zapalczywego szlachetki zza Sanu. Nawet nie jęknął, padając oszołomiony na wznak. Mrugał nieprzytomnie oczami, a krew poszła mu z nosa strumieniem, lepiąc jasne wąsy.

Nadolski schował swą husarkę, mówiąc:

– Dość! Starczy, bo nie chcę cię ubić! Innym siłom tę sprawiedliwość zostawię!

Nie wyglądało zresztą na to, aby pan Kacper miał ochotę na dalszą walkę. Zmysły dopiero powoli mu wracały, a we łbie szumiało i kołysało niczym na statku w czasie sztormu.

Odwróciwszy się ku oficerom, siwowłosa szlachcic oznajmił:

– Na mnie już pora. Z nim... – machnął głową ku leżącemu wciąż Zatwarnickiemu – ...mi nie po drodze. Wasza wola inna, więc zostaje mi tylko życzyć waszmościom powodzenia w rozmowie z tym... – Nie dokończył, powstrzymując się od przekleństwa.

Zerknął ku dopiero co podnoszącemu się z ziemi ostatniemu z braci z Sikawca, głośniejsze dodając:

– A tobie, chociaż łotr jesteś, lekkiej śmierci życzę! Bo zdaje mi się coś, że dla ciebie potwór mógł szczególne męki przygotować.

Podszedłszy do konia, miękko wskoczył w siodło. Skłonił się oficerom, ostatni raz popatrzył na chwiejącego się na nogach, zakrwawionego na gębie Zatwarnickiego, by wreszcie trącić wierzchowca ostrogami i ruszyć niespiesznie w kierunku potoku Głębokiego.

Sami zostali dwaj cudzoziemcy z ocierającym wciąż płynącą z nosa posokę szlachcicem. Ten, schyliwszy się, podniósł szablę, schował ją do pochwy i bez słowa się odwrócił, kierując do swego srokacza. Aż zaskoczeni byli Stiller z Murrayem, że nie ciskał wyzwisk, nie pieklił się, ani też nie wygrażał odjeżdżającemu Żegocie. Zdało się, jakby uznał wyższość Nadolskiego i pogodził się z przegraną. Krótka jednak tak było.

Milcząc, zacisnąwszy usta, jął odpinać od siodła rusznicę, a spojrzenia rzucane co chwila w kierunku oddalającego się powoli mężczyzny, nie pozostawiały wątpliwości co do jego zamiarów. Dlatego podjechawszy o kilka kroków, Murray wyjął dużego półhaka z olstrów, oparł go o nogę i pochyliwszy się w stronę Kacpra Zatwarnickiego, wycedził:

– Spróbuj strzelić, a w tej samej sekundzie łeb ci rozwałę. Boga chwał, że cię Żegota nie ubił i zostawił ci w nas szansę ratunku. Docień jego wielkoduszność.

Nic więcej nie dodał. Saksończyk, stanąwszy obok, także wyjął pistolet. Jego intencje nie mogły zostać jaśniej wyrażone.

Zakławszy, młody szlachcic spojrział na nich nienawistnie. Przerwał jednak swe zabiegi przy rusznicy. Opierając czoło o siodło, wysapał:

– Dobrze! Nie teraz, to innym razem go dojdę!

Chowając broń, Stiller odrzekł, kwitując z przekąsem:

– Na przyszłość daleką planów waćpan nie rób, a skup się na tym, jak najbliższe dni przeżyć.

– Przeżyć? – prychnął Zatwarnicki. Otarłszy chustką krew pod nosem, dodał: – Ja uciekać nie zamierzam. Tu zostanę, przy pagórku. Poczekam w nocy na tego, co na mnie poluje. Dość już krycia się po kątach. Niechaj się wszystko wreszcie raz skończy.

Niemiec zdziwiony zmrużył oczy. Pochyliwszy się w siodle, zapytał:

– Pewny jesteś waćpan?

– Tu się zaczęło i niechaj się tutaj rozstrzygnie! Dość mam! – Prostując ramię, wskazał w kierunku Sikawca. – Nawet nie ma komu po woźnego jechać, aby oględzin mojego brata dokonał! A co dopiero mówić, żeby kto do grodu ciało wziął! Pachołki drżą ze strachu, okoliczna szlachta, jak wytrzeźwiała, to natychmiast zniknęła, tym bardziej chcąc mnie unikać, że pan Herburt do Zatwarnicy zajechał. Skończyć wszystko trzeba, bo inaczej będę samotny we własnym domu jak więzień.

Popatrzył prosto w oczy Stillerowi.

– Może i różnie o mnie myślicie, ale na pewno nie, że tchórz ze mnie. Ja tu na noc zostaję, a jeśli wasza wola, przyjedźcie także z wieczora. Tam gdzie poprzednio... – lekko skinął głową, pokazując za plecy – ...ogień zapalimy. Wino się znajdzie i jedzenie. Broń srebrem nabijcie, jeśli chcecie poczuwać ze mną.

Przypiąwszy na powrót rusznicę do siodła, wskoczył na konia. Zakręciwszy się na nim, burknął:

– To tylko przybyłem wam rzec, bo o niczym innym nie ma co gadać. Ja tu o zachodzie słońca będę, wy, jak tam chcecie.

Odwrócił się, splunął śliną zmieszaną z krwią i ponaglił srokacza, trącając go gwałtownie ostrogami. Pomknął w kierunku Sanu, galopem gasząc złość pomieszaną z palącym wstydem, które wciąż czuł. W duszy poprzysiągł, iż jeśli przeżyje, to po siwowłosym szlachcicu z Wygnanki nie pozostanie żaden ślad.

Stiller popatrzył po Murrayu i wzruszył ramionami. Pomysł Zatwarnickiego zdał mu się nad wyraz głupi. Skoro jednak sam postanowił się wystawić na hazard, Niemiec nie zamierzał oponować. Potrzebował szlachcica z Sikawca jako przynęty, a kurhan był chyba najlepszym miejscem, gdzie można by ją wystawić.

Niespiesznie zawrócili wierzchowce i ruszyli tropem Żegoty w kierunku Zatwarnicy.

Z rozbitych okien dworu w Bałwańskim wszystko to, co się działo, od dłuższego już czasu obserwował pan Eryk Herburt, który na koniec uśmiechnął się lekko pod nosem. Wiedział, że koniec potwornych zdarzeń jest już bliski. Inaczej go jednak widział niż odjeżdżająca na północ dwójka cudzoziemców.

ROZDZIAŁ XVII

SPOWIEDŹ

Załomotała o twarde deski okryta rękawicą pięść wysokiego mężczyzny. Zaskrzypiała pod czyimiś stopami podłoga w środku zrujnowanego domostwa, a potem zgrzytnął zamek i zastukotał odkładany skobel. Otwarły się okute ćwiekami niskie drzwi posepnego dworzyszczka. Przez wąską szczelinę wymknął się wąły strumień światła.

Stary Matjas zmierzył przybysza wzrokiem od stóp do głów, nim chłodno wycedził przez zęby, bardziej uchylając drzwi:

– Pan Herburt czeka. Czuję, że waszmość zajedziesz.

Sługa zdawał się wcale niezdziwiony wizytą nieproszonego przecież gościa. Szlachcic ledwie skinął mu głową, mijając go. Stanąwszy, poczekał, aż pacholek zamknie na powrót wejście i poprowadzi go przez zrujnowane domostwo ku izbie, w której przebywał jego pan.

Przygnębiałe sprawiało wrażenie dwór Hieronima Rudyłowskiego. Tak jakby sam umarł wraz ze swym ostatnim właścicielem, a teraz powolnie rozkładał się, cuchnąc wilgocią, kurzem i mysimi odchodami.

Pokoje były prawie puste albo wypełnione poniszczonymi meblami. Podłoga brudna, obsypana gdzieś pierzem z rozwłóczonych poduszek, resztkami pogryzionych papierów i szmat. Drzwi powyłamywane, okna w większości rozbite. Nikt nie dbał już o to domostwo skazane na smutny koniec. Tak jakby i je dotknęła jakaś nieunikniona klątwa.

Tym większe zdziwienie przeżył gość, kiedy Matjas odchylił przed nim drzwi i jego oczom ukazał się obraz przytulnej, cichej i wysprzątanej małej izdebki z łóżkiem w kącie, małym stolikiem z dwoma krzesłami przy oknie i malowaną skrzynią u ściany. Nad posłaniem wisiał obraz Matki Boskiej

z Jezusem, podłogę przykrywał miękki dywan. W podzielonych kwadratach okna lśniły szyby, odbijając promienie płonącej w lichtarzu świecy.

Odwracając się ku drzwiom, Eryk Herbut uśmiechnął się lekko. Skłoniwszy głowę, uprzejmie powiedział:

– Czołem, mości Nadolski! – Zawiesiwszy na sekundę głos, uniósł kąćki ust w smutnym uśmiechu. – Spodziewałem się, że zajedziesz do mnie. – Dłonią zaprosił, by przybysz usiadł na jednym z krzeseł. – Przy okazji chcesz pewnie widzieć, co tam się będzie działo. – Głową wskazał za okno, gdzie w oddali widać było nikłe światło płonącego przy kurhanie ogniska. – Mniemam, że twoi druhowie towarzyszą przy górcie Zatwarnickiemu. Nieprawdaż?

– Witam, panie Herbut – odpowiedział Żegota, kłaniając się nisko. Zaraz też zbliżył się do stolika i wyglądając przez szybę, potwierdził: – Towarzyszą, a jakże. Nijak ich od tego głupstwa odwieść nie umiałem. Skoro więc tak uczynili, pomyślałem, że u waćpana na noc stanę, bo niedaleko i w razie potrzeby im pomogę. – Zerknął ku wysokiemu starcowi, pytając: – Nie przeszkadza to waszmości?

– Nie. – Odziany w jedwab gospodarz pokręcił głową. – Skądże. Wręcz miło mi będzie w tę noc z waćpanem posiedzieć i na świt poczekać. Sam, zobaczywszy przy pagórku ten ogień, także postanowiłem nie kłaść się do łóża. A stąd... – palcem wskazał na okno – ...najlepszy widok.

Ponownie zachęcił Żegotę ruchem dłoni, by usiadł. Tym razem szlachcic od razu skorzystał, z ciekawością rozglądając się po izbie. Eryk Herbut, dostrzegłszy to, rzucił:

– Dziwisz się pewnie, że jedyna w całym dworze ta komnata czysta i zadbana, prawda?

– W istocie – przyznał Nadolski.

– To był jej pokój. Anusi Rudyłowskiej. Matjas mi rzekł, że kazał go Hieronim zostawić w takim stanie, w jakim go opuściła. Tylko piórami służba kurze omiatała. Tak i on porządek po śmierci pana tu trzyma, jak umie. Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Starość zaś lubi codzienną rutynę, choćby już zbędna była.

Wskazawszy ręką na okno, dodał po chwili:

– Tak samo jak my teraz, dziewczynka stąd kiedyś ku kurhanowi nocą wyglądała. – Westchnąwszy, machnął dłonią. – Ech... Mało to teraz ważne... – Usiadł naprzeciw Żegoty, patrząc mu w oczy. – Trunków waszmości nie proponuję, bo trzeźwość pewnie chcesz zachować. Co do jadła, daj znać, jeśli sobie życzysz. Długa nas noc czeka, ale myślę, że dla nas obydwu ważna. – Zmarszczywszy czoło, dorzucił: – Chciałbym też przy okazji coś opowiedzieć waszmości.

Nadolski popatrzył uważnie na gospodarza, który siedział swobodnie, założywszy nogę na nogę i oparłszy brodę na dłoni.

– Najpierw, jeśli waćpan pozwoli, miałbym jedno pytanie do ciebie – rzekł szlachcic z Wygnanki. – Mogę je zadać?

– Naturalnie. – Herburt skinął przyzwalająco. – Pytaj waszmość.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, abym o swoich w domu się nie martwił?

Stary magnat wygiął lekko wargi w półuśmiechu. Prostując się w krześle, odpowiedział:

– Mam nadzieję, że nie będziesz mi waszmość miał za złe. Nająłem Dydyńskich, których do Odrzechowej, do pana Zielenieckiego, posłałem, aby w razie potrzeby nosa panu Stano przytarli. Ile trzeba, poczekają. Sam wiesz, że Jacka nad Jackami nikt nie poważy się zaczepić ani też tego, kogo pod opieką ma.

Oczy Żegoty rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Jakże to? – wystękał. Zaraz też poprawił się, dorzucając: – Nie wiem, co mam rzec... Jak dziękować jegomości... Ale dlaczego?

Zamiast udzielić wyjaśnienia, jeszcze bardziej Herburt zdziwił gościa, pytając:

– Znałeś waćpan ową wiedźmę Żydówkę, Rytę, co na Spalonym Horboku^[186] siedziała?

– Znałem – przytaknął, nie rozumiejąc, do czego dąży pan Herburt.

– Ja też lata temu u niej byłem. Już po najeździe Kantymira, ale zanim wróciłeś z wojny, mości Żegota. Szukałem u niej porady na przypadłość,

z której nikt nie potrafił mnie wyzwolić... – Przerwał, by machnąwszy palcami, mruknąć po chwili: – Zresztą, o tym później... – Uniósł wzrok, patrząc wprost w twarz Nadolskiemu. – Mówiła mi, iż widzi waćpana i że nasze drogi kiedyś się przetną. Ponoć niejeden raz, jak powiedziała. Takie bowiem nasze przeznaczenie. Rzekła przy tym, abym zaufał waszmości, bo, jak mi oznajmiła, w sercu masz wilka jak i ja. Ten twój jednak jest inny. Bardziej skryty, choć nie mniej groźny. Już się w twoim życiu objawił, prawda? Pchał do zabijania i śmierci, tak samo wszystkich wokół ciebie kąsając, a i tobie przysparzając cierpień. Wyzwoliłeś się jednak spod jego wpływu siłą swej woli, choć pewnie nadal boisz się w głębi serca, że może wrócić. Czasem może nawet tego pragniesz. Nieprawdaż?

Zadrżał siwowłosy szlachcic na wspomnienie tych lat po śmierci Zośki, kiedy na nic nie zważał, lekceważąc życie innych i swoje. Przypomniał sobie dojmującą pustkę i smutek, które go wypełniały, zmieszane z nienawiścią i pragnieniem końca. A potem dziwne słowa, które usłyszał kiedyś w chacie czarownicy. Powoli skinął głową, cedząc:

– Tak było. Żyłem na wojnie wilczym życiem, choć w ludzkiej postaci.

– Tedy lepiej zrozumiesz moją opowieść. – Herburt zmarszczył brwi, wpatrując się w migotliwy płomień świecy. – Powinieneś też łatwo pojąć, dlaczego posłałem Dydyńskich, bo wiesz, co stałoby się z tobą, gdyby coś złego przytrafiło się twojej żonie lub synowi. Zły wilk w twoim sercu wziąłby znów górę nad człowiekiem, może już nawet na zawsze. Tak to bowiem z nim jest, iż kiedy się pojawia, dobrze ci z nim i wcale nie chcesz, aby odszedł. Aż nadto to znam. Każdy pragnie uwolnić się od więzów i cierpień, które mu życie narzuca... – Uniósł oczy, zerkając nad ogniem. – Dziękować mi nie musisz. W zamian jednak wysłuchaj mnie cierpliwie i nie zadając zbyt wielu pytań. Potraktuj moją historię jak spowiedź starego, zmęczonego człowieka, któremu niewiele już życia zostało, a to, co za nim, bardziej mu było brzemieniem niż radością. Na każdego bowiem przychodzi w końcu taka chwila, że musi drugiemu człowiekowi swój sekret powierzyć, choćby po to, aby lżej mu było na sercu, kiedy z innym podzieli się ciężarem. Wybacz waćpan, iż na waszmości to właśnie trafiło,

ale tak los zdecydował i przeznaczenie, które lata temu owa Ryta ze swych wizji wyczytała. Pozostaje więc zaufać mi jej słowom, wierząc, iż wiedziała, co czyni, mówiąc mi o tobie.

Przełknąwszy ślinę, Żegota pokiwał głową na znak zgody. Zerknął przy tym odruchowo za okno, gdzie przy kurhanie wciąż płonęło odległe ognisko. Zauważywszy to, pan Herburt uspokoił go, mówiąc:

– O nich się nie martw. Nie skrzywdzi on twoich przyjaciół, nawet jeśli mu zagrożą. Chce zemsty na Zatwarnickim, ale pragnie też śmierci. Jest samotny i opuszczony. Myśli, że nie ma już nikogo na tym świecie, i zżera go tęsknota, jaką człowiekowi trudno pojąć. Wszystko bowiem czuje mocniej i głębiej. To dlatego nie chce mu się już żyć. Zaraz zresztą zrozumiesz, dlaczego nie zamierzam przeszkadzać temu, co ma się zdarzyć, niezależnie od tego, co to będzie. Każda bowiem historia musi mieć zarówno swój początek, jak i koniec. My zaś, mości Nadolski, jak w jakim dramacie starożytnym, zbliżamy się do finału.

Nadolski popatrzył uważnie na starego szlachcica. Herburt, przymykając oczy, zaczął swoją opowieść:

– Dawno to było, a wciąż zdaje mi się, jakby wczoraj. Młodość... Powiadają, że ma swoje prawa, lecz tak naprawdę ona żadnymi prawami się nie rządzi, wszystkie starając się łamać i zmieniać. I ja kiedyś taki byłem. Pełen pychy, ufny w to, iż moje życie będzie inne od wszystkich, a chwała, jaką zdobędę, wieczna. Chciałem niczym Horacy zbudować sobie spiżowy pomnik^[187]. Miałem to, o czym inni mogli marzyć. Prastare pochodzenie, koligacje z najznamienitszymi rodami, pieniądze i nazwisko, przed którym nisko się kłaniano. Pozwalałem więc sobie na wiele, za nic mając wieśniaków, łyków, a nawet szarą szlachtę, którą w gruncie rzeczy gardziłem. Spośród niej jednak dobrałem sobie podobnych kompanów, którzy u mego boku znajdowali perspektywę fortuny w przyszłości, a ja syciłem się ich pochlebstwami. Jednym z nich był właśnie Hieronim Rudyłowski. Sporo uszu i wąsów obcieliśmy razem na sejmikach, w niejednej uczestniczyliśmy awanturze i wiele kielichów wina wspólne opróżniliśmy, nim do głowy przyszedł mi pomysł, aby wojennej sławy

zasmakować. A z racji ambicji nie mogło być inaczej, niż abym do husarskiej chorągwi przystąpił. Bo wiadoma to rzecz, że lepiej być zwykłym towarzyszem husarskim niż oficerem gdzie indziej. Zresztą... – Herburt machnął ręką – ...o tym pewnie pan Pamiętowski wam opowiadał. Dość, że sporym kosztem i staraniami zostałem żołnierzem w chorągwi pana porucznika Woyny, która pod hetmanem Chodkiewiczem ze Szwedami wojowała. Ze mną, jako pocztowy, służył Hieronim, którego dobrze mieć było przy boku w razie walki. Swoje życie na hazard wolał wystawić, niż moje w jakikolwiek sposób narazić. Ja sam niewiele sobie robiłem z niebezpieczeństw, jak wielu młodych mniemając, że śmierć, co się innym przytrafia, mnie nie dosięgnie. Pod Kircholmem zasłużyłem się wielce, samemu żadnej szkody nie doznając, za co imć pan hetman głośno mnie chwalił. Pewny siebie, kontent z uznania, uczując, o zakład z panem Dobrowolskim poszedłem, którego wynik waszmość znasz...

Uśmiechnął się smutno, zawieszając głos. Machnął ręką, jakby odganiając wspomnienie własnej bezmyślności.

– Bez przytomności leżałem kilka dni, aż do czasu, gdy psy mnie tak urządziły. – Wyciągnął przed siebie pokąsane ramię, by zaraz oprzeć je na stole. – Wtenczas nawet nie wiedziałem, dlaczego takie zajadłe na mnie były... – Zmarszczył brwi. Gdy twarz znów mu się rozpogodziła, mówił dalej: – Uratował mnie od niechybnej śmierci od kłów owych bestii Matjas, który choć pijany w sztok, jeden spośród czeladzi usłyszał moje wołanie i na pomoc przybiegł. Potem zaś Rudyłowski ze znachorem wrócił. Od tego momentu lepiej dziać się ze mną zaczęło. Aż na cud jakiś to zakrawało, bo nagle rany goić się na mnie poczęły błyskawicznie, nie paprząc się prawie wcale. Nawet ów czarownik inflancki łbem kręcił i w swojej mowie komentował, że nigdy rzeczy podobnej na oczy nie widział. Jak kolejnych parę dni minęło, do sił takich wróciłem, że można było już mnie w inne miejsce przenieść. Czas zaś był najwyższy, gdyż poczęło się robić zimno.

Wpatrzywszy się w świecę, Herburt głuchym głosem dokończył:

– Gdzie trafiłem, mości Nadolski, wiesz, a także jak z owymi zalotami było. Prawda, że do Heleny najpierw Hieronim czynił amory, ale też ona

nigdy mu znaku zachęty ani przyzwolenia nie dała. Przy mnie za to godzinami siadywała i gadaliśmy ze sobą długo, aż do wieczora. Sechł Hieronim ze zgrzyoty, wilkiem łypał na mnie, zębami zgrzytał. Wiedziałem, że dziewczynę umiłował, lecz cóż, skoro i ja także, a na dodatek to mnie bardziej przychylna była. W miłości, panie Żegota, a szczególnie tej młodej, tak jak i na wojnie żadnych zasad nie ma, choćbyśmy się sami oszukiwali, że jest inaczej. Każdą męską przyjaźń Amor nadweręży, a kłamie ten, kto zaprzecza. Niedługo tedy myślałem, zanim list do matki napisałem i wezwawszy Rudyłowskiego, dałem mu rozkaz, aby natychmiast do Lanckorony pojechał, dobre wieści o moim zdrowiu pani Katarzynie z Łaskich Herbutowej wioząc. Kiedy zaś zniknął, zupełnie wolną rękę miałem w swych poczynaniach wobec panny.

Zerknął na Nadolskiego spod zmrużonych powiek.

– Nie sądź waszmość, że haniebne były moje zamiary, choć do celu dążąc, niewiele o przyszłości myślałem. Gdybyś ją zresztą waćpan poznał i widział, nie dziwiłbyś mi się wcale. Zaiste, ten, kto wybierał jej imię, w dobrą godzinę to uczynił, gdyż nigdy, ani przedtem, ani potem, nie widziałem tak pięknej niewiasty. Przy tym i charakter miała stały, nie zaś jak wiele ładnych z buzi dziewczek do żartów i frywolności zdolny. Dobrze mi tam z nią w tym małym dworze było jak nigdzie. Ale wszystko, co dobre, ma kiedyś swój koniec.

Umilkł na moment, spoglądając za okno. Żegota odruchowo również skierował wzrok w tę stronę. Dostrzegł, iż płomień odległego ogniska zniknął. Zaniepokojony spojrział na pana Eryka, lecz ten nie okazał żadnych emocji. Lekko machnąwszy głową w stronę szyb, stwierdził:

– Od ognia światło, więc pewnie wygasili, żeby oczy z mrokiem oswoić. Pewnie już czai się śmierć w ciemności na Zatwarnickiego, czekając właściwej okazji.

Odwrócił się w kierunku Nadolskiego i ciężko westchnął. Po czym wrócił do swej opowieści.

– Łatwo zakochanemu decyzje przychodzą, które czasem większej stateczności i rady by wymagały. Jednakże oświetlony miłością świat zdaje

się tak jasny i prosty, że w ogóle przeszkód na nim nie widać, a przyszłość jawi się jako jedno wielkie szczęście. Dość rzec, że księdza sprowadziłem, który mnie i Helenie ślubu potajemnie udzielił. W październiku, pod koniec miesiąca to było. Od tej chwili mogliśmy już być ze sobą jak mąż i żona. Jak w malignie żyłem, opętany przez radość i niewymowne szczęście. Rudyłowskiego czekałem, planując, że jak tylko wróci, z moją żoną natychmiast do matki się udam, aby u stóp jej klękawszy, prosić o błogosławieństwo dla mojego związku. W swej naiwności nie wątpiłem, że pani Katarzyna Herburtowa rada nam go udzieli. Kto wie? Może i tak by było? Niestety, nie dane mi było tego doświadczyć.

Twarz magnata ściągnęła się, a zmarszczki wokół ust pogłębiły. Padający blask świecy nieprzyjemnymi cieniami zagrał na bliznach szpecących policzek i szyję Herburta.

– W listopadzie okazało się, że Helena jest brzemienna.

Żrenice Nadolskiego rozszerzyły się, a brwi uniosły. Nagła myśl przemknęła mu przez głowę, ale zmilczał, niepewny dalszej historii. Spoglądając mu w oczy, pan Eryk, uniósłszy lekko kąciki ust, pokiwał głową, by po kilku sekundach ciszy znów zacząć:

– Słyszałem o ciąży nad rodem mej matki przekleństwie. Skłamałbym, gdybym twierdził inaczej. Ale też jak bajkę to wszystko traktowałem, mimo dziwnego zamięłowania mego dziada do alchemii i licznych ksiąg magicznych, w których szukał jakichś odpowiedzi. Nikt zresztą głośno o tym nie mówił, traktując legendę jako hańbiące i przykre piętno, które innym służy jedynie dla spotwarzenia zacnego nazwiska. Jakże zresztą miałbym uwierzyć, że cnotliwy Olbracht Łaski w wilka potrafi się zmienić? Przecież bardziej nedorzeczną historię trudno byłoby wymyślić. Czasem jednak to, co nieprawdopodobne, może okazać się prawdziwe. Najgorzej zaś jest wtedy, kiedy odczujesz to na samym sobie, zupełnie nie panując nad mocą, którą cię obdarzono.

Stary magnat przerwał, sięgając po kubek napełniony wodą. Łatwo było poznać, iż powolność ruchu podnoszącej naczynie ręki wynika z zapanowania siłą woli nad ciałem, które zdawało się aż rwać do okazania

emocji. Te jednak nie pokazały się na bladym obliczu Herburta. Równie wolno jak wcześniej odstawił kubek w to samo miejsce. Pogłodziwszy się palcami po czole, rzekł:

– Stało się to owego wieczora, kiedy dowiedziałem się, iż będę miał dziecko. Wypełniła mnie jakaś dziwna energia, podniecenie, którego nie mogłem opanować. Czułem w sobie siłę i moc nieznane mi wcześniej, a zmysły wyostrzyły mi się tak, iż spoglądałem na wszystko, jakbym widział to po raz pierwszy. Dźwięki i kolory aż raziły me uszy i oczy. Skóra czuła najłżejszy nawet podmuch ciepła. Nozdrza chłoneły nieznane mi dotąd zapachy. Nawet nie wiedziałem, kiedy przekroczona została granica pomiędzy mną a wilkiem. – Popatrzył melancholijnym wzrokiem na Żegotę. – Niewiele dalej pamiętam. Ból przemiany, która jest niby wywrócenie się ciała na nice, a potem dojmujące, pełne i wszechogarniające poczucie wolności. Tak silne, że chciałoby się go nigdy nie utracić. Każdy, kto przeciw niemu gotów byłby stanąć, zamieniał się we wroga. Przy tym to, co ludzkie i stłumione w środku, razem z ową bestią na zewnątrz wyszło. Niezapomniane zadry nagle odżyły jątrzącymi się ranami. Wyły o pomstę prawdziwe i wyimaginowane krzywdy. – Uniósł dłoń, przyglądając się palcom. – Ocknąłem się w lesie, pokrwawiony, nagi, zziębnięty. Nie rozumiałem, skąd i dlaczego tam byłem. Niewiele pamiętałem. Prawie nic, biorąc przerażające obrazy za majaki porażonego nagłą chorobą umysłu. Okrywszy się byle czym, ruszyłem do dworu, aby tam szukać wyjaśnień. Za bramę mnie jednak nie wpuszczono. – Uniósł znów wzrok, chłodno kontynuując: – Dwóch własnych pacholków zabiłem, dziewczkę służącą we dworze srodze poraniłem, a na koniec psy myśliwskie w kojcu przede mną schowane, dumę mego teścia, na sztuki rozdarłem. Dokonawszy tego, w noc przez okno pod postacią monstrualnego potwora wybiegłem. Oto bowiem objawiła się klątwa Łaskich w całej swej krasie. Byłem zmiennokształtny. – Machnąwszy głową w kierunku drzwi, dodał: – Wszystko opowiedział mi właśnie ów Matjas, co teraz w korytarzu stoi i pilnuje. On życie swoje ocalił, choć mówił, iż jak innych łapą przycisnąłem go do ziemi. Zrozumiałem wówczas, iż bestia we mnie musi kierować się jakąś logiką niepojętą, a pacholкови darowała dlatego, iż to on

psy z namiotu pod Kircholmem odegnał. Nie było to więc całkiem bezrozumne zwierzę, lecz ja sam pod inną postacią i innym rozumowaniem się kierujący. – Westchnąwszy, Herbert skwitował: – To zresztą nieistotne rozważania.

Znieruchomiały Nadolski czekał na dalszy ciąg opowieści. Magnat poprawił się w krześle, opierając łokcie o stół.

– Wróć do tego, co stało się dalej. Nie wpuszczono mnie mimo prób, gróźb i zaklęć do dworu. Nawet Helena nie wyjrzała, przerażona tym, czym byłem. Przez swego ojca i matkę precz iść mi nakazała i więcej nie wracać. To zaś mi starzy Pilachowscy na odchodne dodali, że ze strachu krew jej poszła i dziecko poroniła. Tym samym kolejną ofiarę niewinną miałem na swoim sumieniu. Własnego syna lub córkę. – Palcami przejechał po oczach, odganiając wzruszenie. Odchylił się w tył, sztywniejac w krześle. – Odszedłem przerażony tym, co uczyniłem. Chciałem zniknąć na zawsze, rozplynać się i nie istnieć. Bałem się samego siebie. Nawet ostatni pacholek, Matjas, mnie opuścił, lękając się mej drugiej natury. Jednakże rozpacz szybko zmieniła się we mnie w potrzebę unicestwienia tkwiącego we mnie potwora. Naiwnie myślałem, że kiedy zdołam to uczynić, zdołam odzyskać swe dawne życie. Dlatego zamiast Bóg wie gdzie życie skończyć, popłynąłem statkiem do Gdańska, a stamtąd pojechałem do matki, aby u niej i w księgach mego dziada Olbrachta szukać odpowiedzi. – Machnął ręką, krzywiąc się pogardliwie. – Ani u jejmości rodzicielki, ani też w mądrych zapiskach dziada nie znalazłem rozwiązania. Rzekła mi tylko matka, abym się wystrzegał gwałtownych emocji, od których najczęściej do przemiany dochodzi. Przez lata liczyła, że nie dotknie mnie klątwa, gdyż nie każdego dosięga i nie u każdego jest tym samym. Jeden pod swoją postacią w gniew szalony wpada, inny tylko lubuje się nocą wpatrywać w księżyc. U mnie jednak, wyzwolone ciężką raną, pokąsaniem przez psy i gwałtowną miłością w całej swej koszarnej postaci objawiło się odwieczne przekleństwo Łaskich. Stałem się bestią z czarnoksięskich ksiąg. Wilkołakiem. – Uśmiechnął się, odsłaniając nadspodziewanie białe i równe zęby. – Tak, waćpan. Patrzysz na mnie, jakbym był szalony, ale przysięgam

ci, iż prawdę mówię. *Versipellis* istnieją, a ja jestem jednym z nich. Przez lata zrozumiałem, że ani to przekleństwo, ani też dar. Po prostu tak jest, a czemu, Bóg jeden raczy wiedzieć.

Nic nie odrzekł na to Nadolski, odruchowo kładąc jednak dłoń na rękonożcu zatkniętego za pas pistoletu. Nie uszło to uwagi Herburta, który nadal się uśmiechając, powiedział:

– Nie bój się waszmość, bo nie masz czego. Lata całe nie przemieniłem swej postaci, wystrzegając się wszystkiego, co mogłoby się do tego przyczynić. Unikam ludzi, nie mam rodziny, nie pełnię urzędów ani też nie szukam przyjaźni czy miłości. Mięsa nie jadam prawie wcale, pijam jedynie wodę. Rytm nadałem swemu życiu, aby całe je wypełnić, a umysł zmusiłem, żeby zawładnął emocjami. Potężna jest wola człowieka, jeśli musi z czymś walczyć. Nawet wilk wewnątrz nas musi jej ulec. – Machnął obojętnie dłonią, pochylając się po chwili nad stołem. – Wróć jednak do mojej opowieści, mości Żegota. W niej bowiem zyskasz odpowiedzi na twoje pytania dotyczące tego, kto kryje się tam... – ruchem głowy wskazał na okno – ...w ciemności, skoro to nie ja jestem. – Powoli znów skierował wzrok na topniejącą świecę. – Nie znalazłszy rozwiązań w domu, ruszyłem w świat, aby pośród magów, alchemików i czarowników ich szukać. Słuchałem tysięcznych historii i legend, przeczytałem setki inkunabułów. Byłem we Francji, w Hiszpanii, Italii, Szwecji i Anglii. Ba! Nawet do Turków się udałem, by pośród pogan się czegoś dowiedzieć. Lata całe tak wędrowałem. Na próżno. Zmęczony tym jałowym wysiłkiem, powróciłem w końcu do Lwowa. W głowie zaś miałem jeszcze większy mętlik, niż zanim czegokolwiek zacząłem się dowiadywać. Zważ bowiem, panie Nadolski, że były ludy, u których moją przypadłość uważano za boski dar, a nie przekleństwo. Wilk zaś był symbolem wierności i posłuszeństwa Bogu. W innych miejscach wprost od diabła taką zdolność wywodzono. Jedno tylko było wszystkim wspólne, że rady, jakie mieli spotykani przeze mnie magowie i duchowni na wyzwolenie się z czaru, żadnego skutku nie przynosiły. Ani woda święcona, ani modły, tajemne napary, maści czy puszczanie krwi. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Nauczyłem się przez te lata w pewnym stopniu panować nad swoją drugą naturą i nawet pod postacią wilka zachowywać ludzką świadomość. Zapytasz więc pewnie, czemu od lat staram się nie zmieniać w bestię? Odpowiedź, mości Nadolski, jest prosta i zarazem najbardziej mnie przerażająca.

Pochylił się nad stołem, wbijając w Żegotę błękitne oczy. Szlachcic z trudem wytrzymał to spojrzenie. Herburt kontynuował:

– Za każdą przemianą coraz bardziej kusząca jest myśl, aby na zawsze już pozostać w zwierzęcej postaci. Trudno to pojąć komuś, kto sam tego nie doświadczył. Nie odczuł tej wolności i siły, a zarazem wyostrzonych zmysłów, pozwalających słyszeć i widzieć to, czego człowiek nigdy nie zobaczy i nie usłyszy. Popatrz na mnie. – Wskazał na siebie dłonią. – Kim jestem? Starym, schorowanym człowiekiem szykującym się na śmierć. Słabym i pochylonym. Gdybym jednak uległ pokusie i pozwolił sobie na szaleństwo, wyrwałbym z siebie wilka, który przez lata zniewolenia skumulował we mnie swe siły do niewyobrażalnej potęgi. Karmi się on bowiem pragnieniami i niespełnionymi marzeniami, tęsknotą i bólem, jak my karmimy się chlebem. Rośnie tym bardziej, im bardziej nie chce się go uwolnić. Sam nie wiem, czy gdybym teraz się przedzierzgnął, potrafiłbym wrócić do ludzkiej postaci. On... – palcem wskazał za okno – ...już nie potrafi. – Zmrużył na chwilę powieki, dodając szeptem: – Ogień na nowo się pali. Spokój wciąż widać u podnóża kurhanu. – Odchylił się w krześle, powoli kładąc dłoń na stół. Nie spuścił oczu z Żegoty. – Domyślasz się już pewnie, kim on jest. Pozwól jednak, że skończę ci moją opowieść. Powróciwszy do Lwowa, zapragnąłem znów spotkać swego dawnego towarzysza, z którym kiedyś tak się poróżniłem. Może to sentyment sprawił, a może samotność, której co dnia doświadczałem. Dość, że posłałem po niego, zapraszając go w gościnę. Niechętnie, lecz przyjechał do mnie. Wiedział już od Matjasa, którego spotkał, gdy z Dydyńskimi się zadawał, jak rzecz u Pilachowskich wyglądała i o klątwie na mnie ciążyącej. Język jednak na temat przekleństwa za zębami trzymał, przez wzgląd na dawne czasy i wspólną wojaczkę. Zresztą tyle już ludzkiego zła widział, iż

człowieka bardziej za narzędzie diabła uważał niż takiego jak ja odmienca. Nie gadaliśmy jednak wówczas o tym zbyt wiele. Oznajmił mi za to swój zamiar, iż na północ chce jechać i Helenę Pilachowską odszukać, aby ją o rękę prosić. Zaskoczył mnie tym, przyznam, budząc dawną tęsknotę. Powściągnąłem ją jednak w sobie, życząc mu, aby pannę wolną i w zdrowiu zastał. Tak bowiem było, iż o moim ślubie tylko ja i rodzice Heleny wiedzieli, sam zaś byłem już jakby martwy, więc rozumowałem, iż wdowę Rudyłowski za żonę sobie weźmie, nie naruszając naszych dawnych, tajemnych przysiąg. Pokrętnie to zaiste i karkołomne rozumowanie, lecz do dziś wierzę, że najlepsze było dla wszystkich. Mimo nawet tej tragedii, która się tu stała. Dało bowiem Hieronimowi i Helenie kilka tych lat skradzionego szczęścia, tak bardzo im obydwójgu potrzebnych. – Herbut uśmiechnął się do swoich myśli. Pokręciwszy głową, powrócił do opowieści: – Zaproponowałem Hieronimowi dzierżawę Beniowej na korzystnych warunkach. Oponował najsampierw, ale przekonywałem go, aż uległ. Zastrzegł jednak, iż jeśli Helena zgodzi się wyjść za niego, to jej pozostawi ostateczną decyzję co do mojej oferty. Oczywiście przystałem na to, licząc, że przez lata umiłowana niegdyś przeze mnie niewiasta może łagodniejszym okiem patrzy na przeszłość. Naiwne to było z mojej strony. Kiedy wrócił Rudyłowski z Inflant, oznajmił, że tylko wtedy dzierżawę z żoną wezmą, jeśli na krzyż święty zaprzysięgnę, iż nigdy pod żadnym pozorem ich nie odwiedzę, ani też żadnych innych starań nie podejmę, aby się z Heleną spotkać. Cóż było robić... – Stary magnat wzruszył ramionami. – Zaprzysięgłem. Słowa dotrzymałem. Nawet wówczas, kiedy może nie powinienem. – Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je po chwili przez nos. Zgarbił się, samą postawą dając znać, iż przechodzi do najcięższej chyba dla niego części opowieści. – Kolejne lata mijały. Rudyłowscy, dziecka się doczekać nie mogąc, różne czynili starania, mnie zaś trawiły wyrzuty sumienia, iż to przeze mnie i owo poronienie Helena nie może zostać brzemienną. Słałem im czasem tajemnie różnych medyków, zobowiązując ich, aby nie mówili, skąd im droga, a jedynie, że przejazdem będąc, do Beniowej wstąpili. Na nic to zresztą było. Rudyłowscy wciąż nie mogli się doczekać potomstwa.

Aż w końcu przechrzczył się Hieronim i na pielgrzymkę do Krakowa poszedł, samą zostawiając małżonkę we dworze. Wówczas też doszło do rzeczy, która była niczym zapowiedź nadciągającej tragedii. – Powoli uniósł kubek, w skupieniu zwilżając wargi. Starannie, aż nazbyt dokładnie, odstawił go w to samo miejsce, z którego go zabrał. Spoglądając na obejmujące naczynie palce, rzekł: – Helena pojechała pod nieobecność Hieronima na konną wycieczkę. Nieraz tak czyniła, a lęku żadnego przed tym nie czuła. Znała już okolicę i ludzi, a i ją wszyscy znali i szanowali bardzo. Nie miała się czego bać. Tak przynajmniej jej się zdawało.

Puścił kubek, prostując palce. Popatrzył w oczy Nadolskiemu. Żegota pokiwał głową w zamyśleniu, a starzec wrócił po chwili do swej opowieści:

– Myślała, że to ja byłem. Przeraziła się, koń się spłoszył, spadła z siodła, uderzając głową o ziemię, i straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, była już sama. Natychmiast wróciła do dworu i nakazała sługom ryglować okna i drzwi. Następnego dnia sprowadziła do folwarku wszystkie psy, jakie tylko zdołała zgromadzić. Dobrze wiedziała, jak boję się i nienawidzę tych zwierząt. Z wzajemnością zresztą. Kiedy wrócił Hieronim, opowiedziała mu wszystko, a ten, wściekły za złamanie przeze mnie słowa, pognął do Lwowa, aby mnie odszukać i dać upust swemu gniewowi. Długo musiałem przekonywać go, iż to ja być nie mogłem, przedstawiając kolejnych świadków, ręczących, że w domu tego dnia byłem i nigdzie się nie ruszałem. Uwierzył mi w końcu, lecz zrodziło się wówczas pytanie, kim był ów stwór, który na tę samą co ja cierpiał przypadłość. I dlaczego wokół Beniowej krążył? Od razu znałem odpowiedź, tej jednak Hieronimowi oznajmić nie mogłem. Poprosiłem, by dla spokojności Heleny rzekł, iż to ja w istocie byłem, lecz zupełny przypadek sprawił, iż skrzyżowały się nasze drogi. Przysiągłem też po raz wtóry, iż nigdy na mniej niż dwie mile do Beniowej się nie zbliżę. Sam zaś obiecałem Rudyłowskiemu w zaufaniu zająć się sprawą, kłamiąc mu, iż znam sposób, jak pozbyć się bestii. Po prawdzie wcale jednak takiego sposobu nie znałem. – Zmarszczywszy brwi, zamilkł na kilka sekund. Dopiero pełne oczekiwania spojrzenie Żegoty wyrwało go z tego zamyślenia. – Pojechałem na północ, do Pilachowskich,

aby zadać im kilka pytań. Z początku zapierali się wszystkiego, lecz kiedy zagroziłem, iż o wszystkim, co było, a szczególnie małżeństwie i ciąży Heleny opowiem Hieronimowi, ulegli. Opowiedzieli mi, iż mój syn urodził się w lipcu. Nikt o tym nie wiedział ze służby ani z sąsiadów. Córkę w zamknięciu trzymali, rzekomo chorą wciąż po szoku, jaki przeżyła w związku z zajściami z moim udziałem. Dopiero gdy powiła i chwilę, może ze dwa tygodnie, pokarmiła dziecko, wyszła między ludzi. Chłopca zaś potajemnie stary Pilachowski wywiózł do Rygi, gdzie oddał go pod opiekę tamtejszego kupca zbożowego. Bali się, że zło w sobie po ojcu nosi, i nic wspólnego z nim mieć nie chcieli. Dali mu na imię Jan. Helenie zaś oznajmili, iż do krewnych jej syna oddali, aby wstydu przed ludźmi nie było, a po kilku miesiącach powiedzieli, że zmarł. Nic dziwnego w tym nie ma wśród małych dzieci, iż pierwszego roku nie dożywają. Sam wiesz. Popłakała ponoć, lecz pogodziła się z losem. Myślę, że lżej jej było tak sądzić, niż wpatrywać się w dorastającego chłopca z lękiem, że i w nim kiedyś obudzi się bestia. – Westchnął ciężko. Pokiwawszy głową, rzekł: – Wyobraź sobie, mości Żegota, co czułem, dowiedziawszy się po tylu latach, iż mam syna. Musiał mieć wówczas jakie siedemnaście lat. Natychmiast pogałem do Rygi, wiedziony wskazówkami starego Pilachowskiego, który niezmiennie co roku słał przez pachółka pieniądze do kupca, co się Karel Rei zwał, u niego to miał się młody Jan uczyć rzemiosła. Zajechałem do ryskiego handlarza, prosząc o rozmowę bez świadków. Jak piskorz się wił, kłamiąc mi w żywe oczy. Już nawet myślałem, że dziecko zabił, by darmo gotowiznę od Pilachowskich brać, i rozważałem, jakim sposobem najlepiej będzie go na śmierć zamęczyć. Uwierz mi, że wielką mam pod tym względem wyobraźnię. Zmiękł jednak w końcu, oznajmiając, iż uciekł mu ów pachółek rok wcześniej, po tym, jak znalazł stare listy, które od Pilachowskiego z pieniędzmi przychodziły. Zrozumiał z nich chyba, kim jest i skąd pochodzi. Tego jednak nie mógł pojąć, dlaczego oddano go na kupieckiego parobka. Co się z nim stało, Rei nie miał pojęcia. Na dowód swych słów świadków mi przedstawił, którzy jak jeden zaprzysięgli, że zeszłego roku z dnia na dzień Jan, co go Eimeie^[188] zwali, zniknął. Przy tej okazji dowiedziałem się, że z chłopaka był odludek i mruk, z nikim się nie

przyjaźnił, a ludzie nawet bali się go czasem, bo wilkiem łąpał i silny był jak tur. Za miasto lubił jeździć i w samotności przebywać. Dlatego często go z wozami po zboże do okolicznych majątków posyłano. Pisać i czytać sam się nauczył, co o bystrości umysłu świadczyło. Liczył biegle, jak na przyszłego kupca przystało. W ogóle uchodziłby za młodzieńca wielkich nadziei na przyszłość, gdyby nie owa mrukliwość wrodzona i niechęć ku innym ludziom. Nawet podobno najwytrwalsze panny, którym z wyglądu się podobał, odstręczał swoją naturą. – Pokiwał stary Eryk Herbut głową, zmarszczywszy na chwilę brwi. Poprawiając się zaraz po tym na krześle, wrócił do swojej historii. – Długo szukałem śladów swego syna. Jedni mówili, że do wojska chciał się zaciągnąć, inni, iż do Kozaków poszedł. Byli tacy, co widzieli go na morskich statkach albo też jako sługę na magnackich dworach. Prawda jednak zgoła inna była, o czym w końcu się dowiedziałem. Od kupca Rei w lasy uciekł aż pod Dyneburg, gdzie mieszkała jakaś samotna znachorka, którą wcześniej poznał, gdy woził zboże. U niej był blisko przez rok, zanim ją opuścił. Tego dowiedziałem się już bezpośrednio od owej niewiasty, która go przygarnęła do siebie. Na imię jej było Maarika. Bardzo żałowała jego odejścia, bo choć parę lat starsza od Jana, to całkiem ładna była, stąd przypuszczam, że żyła z nim jak żona z mężem. Nie to jednak najważniejsze z jej ust usłyszałem, że odszedł, lecz to, kim był. – Pokręciwszy wolno głową, wpatrzony w świecę, dokończył głucho: – Nie ustrzegł się bowiem ciężącego na jego przodkach przekleństwa. – Ułożywszy starannie ręce na stole, zaplótł palce tak, aż zsiniały opuszki. Błękitne żyły pod cienką, pomarszczoną skórą nabrzmiały. Odetchnął głęboko, by wypuścić powietrze, rzec: – Wiedziała dobrze, kim czy też czym był. Widziała jego coraz częstsze przemiany, bała się go, ale i kochała zarazem. On zaś zniknął na coraz dłużej i dłużej, aż w końcu nie wrócił. Odszedł, oddając się swej wilczej naturze. Zapytana o to dokąd, owa Maarika bez wahania odparła, że matki szukać. To bowiem dręczyło go obsesyjnie. Pytanie, dlaczego go porzuciła i pozwoliła na sierocy los, na dodatek dając go pośród łyków. Ponoć czasem nienawidził Heleny za to, innym zaś razem starał się znajdować dla niej usprawiedliwienie. O mnie nigdy nie mówił, jakby nie wiedział, kim jestem, albo nie byłem dla niego

ważny. – Herburt, popatrzywszy w oczy Żegocie, uśmiechnął się smutno. – Tak jak się spodziewałem, to on krążył wokół Beniowej pod postacią bestii. Lecz i coś innego pojąłem też wówczas. To, że Jan zatracą się z wolną w swej przemianie, coraz mniej pragnąc ludzkiej postaci. Upaja się tymi uczuciami, za którymi i ja tęskniłem, walcząc jednakże ze swą podwójną naturą. Ulega pokusie, aby uwolnić się od wszelkich więzów i oddać nieskrępowanej niczym swobodzie myśli i czynów, nie patrząc na konsekwencje takiego wyboru. Prowadzić to mogło do tragedii. Postanowiłem więc zaryzykować.

Nadolski poruszył się nerwowo. Widząc pytający wzrok słuchacza, starzec zaprzeczył:

– Nie, mości Żegota. Nie odmieniłem się. Jako człowiek poszedłem w lasy pod Beniową, by go odszukać. Na tyle jednak daleko od folwarku, żeby też słowa danego nie złamać. Znając jego naturę, która do mojej była podobna, wyśledziłem w końcu jego ścieżki i legowiska. Przy jednym z nich na noc zostałem, nie rozniecając ognia. Przyszedł cicho, prawie że bezszelestnie. Zakradł się od tyłu. Wietrzył i z pewnością czuł, iż jestem taki jak on. Może nawet, że jestem jego ojcem. Przyczał się, wpatrując się we mnie wciąż ludzkimi oczami, ja zaś powoli mówić do niego począłem, prosząc, by z dala od matki się trzymał i pozwolił jej żyć zwyczajnie. Błagałem, aby wykrzesał z siebie wolę do powrotu w ludzką postać i ze mną poszedł. Obiecywałem przekazać mu wszystko, co sam wiem o wilczej chorobie, usynowić i majątek zostawić. Każde możliwe słowo wypowiedziałem, aby go odzyskać. Na próżno. Kiedy skończyły mi się zdania, uniósł się na czterech łapach, jak wilk ogromny, podszedł do mnie i przez kilka sekund opierał swój straszliwy pysk na moim ramieniu. A potem odwrócił się i odszedł, znikając w ciemnościach. Zrozumiałem, że właśnie pożegnał się ze mną na zawsze. Nie chciał ode mnie niczego. – Obróciwszy głowę na lewo, przez okno spojrział na pomarańczowy płomyk w ciemności pośród pól. Palcem przejechał po błyszczącej szybie, pozostawiając ulotną białawą smużkę wilgotnego ciepła. – Utraciłem syna, którego nigdy nie miałem. Umarło we mnie coś ostatecznie. Wypełniła

mnie pustka. – Herburt, zacisnąwszy szczęki, przełknął ślinę. Siłą opanowawszy wzruszenie, powrócił do chłodnego tonu. – To, mości Żegota, nie koniec owej historii. Bo los widać nikomu nie chciał poskąpić tragedii. Moje przekleństwo dotknęło każdego, kogo pokochałem. – Pomilczawszy moment, wskazał na stojące w kącie łóżko. – Rudyłowskim urodziła się córka. Upragniona i wyczekiwana uzupełniła bezdietny dotąd związek. Dali jej na imię Anna. Rosła, a z każdym dniem coraz jaśniejsze się stawało, jak niezwykłą jest dziewczynką. Niektórzy złośliwie mówili, że niemota. Ja jednak swoje wiem. Tak jak przeklął Bóg pierwsze z dzieci Heleny, drugiemu pobłogosławił najpiękniej. Przekazał mu dar, który wypełniał miłością ku niej wszelkie żywe stworzenia. Garnęły się do niej zwierzęta, łagodniały od dotknięcia małej rączki nawet te najbardziej drapieżne. Ona sama szukała tych stworzeń, bawiła się z nimi jak z łątkami. Nawet najbardziej zły pies pozwoliłby jej wszystko ze sobą zrobić. Istne to zresztą było utrapienie dla rodziców Anusi, którzy uchronić ją pragnęli od wszelkiego niebezpieczeństwa na tym świecie. Zwyczajna to rzecz u matek i ojców jedynaków, szczególnie gdy późno im się dziecko przytrafiło. Dziewczynka jednak znajdowała sposoby, aby zniknąć gdzieś swym rodzicom, co zawsze lęk i panikę wywoływało, zmuszając wszystkich do długotrwałych poszukiwań. Mówił mi Matjas, że od kiedy mała nauczyła się chodzić, nie było dnia, by nie próbowała na łąkę albo w las się wymykać. Do tego doszło, iż Helena specjalną służkę miała, której jedynym zadaniem było chodzić za dzieckiem i pilnować, aby znów gdzieś się nie wybrało. Ale i jej zdarzało się stracić z oczu to żywe srebro. Potem odnajdywano małą bawiącą się z lisem albo też śpiącą pomiędzy psami czy sypiącą ziarna ptakom, które wszędzie dokoła ją obsiadły. Przyzwyczajili się w końcu do tego wszyscy, jakby to najnormalniejsza na świecie rzecz była. Nic nie zwiastowało nieszczęścia, które miało nadejść. – Herburt, podniósłszy kubek, wypił ostatni łyk wody. Przekrzywiwszy głowę, zmrużył oczy. – Teraz myślę, że los Jana i Anny został splątany, zanim w ogóle na świat przyszedli. Byli jak dwie strony tego samego medalu. Gniew i miłość, niedosyt i spełnienie, siła i delikatność. Ich przeznaczenie musiało się kiedyś dokonać. – Przesunął palcami naczynie na brzeg stołu przy

oknie. – Kto wie, kiedy go po raz pierwszy spotkała? Starsza już nieco była i, jak mówiłem, przyzwyczajali się wszyscy, że swoimi chadzała ścieżkami. Nikt nawet nie myślał, że cokolwiek zdolne byłoby jej krzywdę uczynić. Wówczas zmarła Helena. – Wpatrzony w stół, magnat ściągnął brwi. – Nikt nie widział, jak było. Ja jednak mam swoje przypuszczenie, które ze słów Matjasa wynika. Tylko Rudyłowski i on wiedzieli o tym, co znaleziono na miejscu śmierci matki dziewczynki. Stać się to wszystko musiało na oczach Anusi, którą odkryto klęczącą nad ciałem i głaszczącą swą martwą rodzicielkę po głowie. Kilka zaś kroków dalej były ślady ogromnych wilczych łap. – Uniósł głowę, patrząc w twarz Nadolskiemu. – Musiała dziewczynka wymknąć się z domu, aby bawić się ze swym tajemnym przyjacielem. Helena wyszła jej szukać. Nauczona doświadczeniem nie wołała, wędrując przez pola, gdy na opustoszałej łące zobaczyła bestię schylającą się nad jej córką. Przerazona, wiadomo co pomyślała. Tego jej serce nie wytrzymało. Umarła ze strachu o dziecko. Nie wiedziała, że ów potwór prędzej by sam sobie gardło pazurami rozszarpał, niż pozwolił, aby włos z głowy spadł jego przyrodniej siostrze. – Pogładziwszy dłonią zmarszczone czoło, powiedział ledwie głośniejszym niż szeptem: – Dziwnie zaiste potoczył się los. Syn stał się przyczyną śmierci swej matki. Może gdybym jej prawdę powiedział? Może to moja wina, że wszystko, czego się dotknę, wbrew moim intencjom w śmierć się zamienia? A może tak po prostu miało być i w żaden sposób nie można było temu zaradzić? Nie wiem... – Zaciśnął wąskie usta. W oczach błysnęły mu wilgotne krople. Starł je gwałtownym ruchem, jakby wstydząc się swej słabości. Prostując się w krześle, mocnym głosem powiedział: – Przyjechałem jak najprędzej do Beniowej. Tam całą prawdę o wszystkim opowiedziałem Hieronimowi, niczego już przed nim nie kryjąc. O jedną tylko rzecz go prosiłem, oferując mu w zamian wszystko, czego by sobie zażyczył. Chciałem, aby moja żona spoczęła w krypcie w Fulsztynie, tam gdzie i moje prochy kiedyś się znajdują. Wzbraniał się i odmawiał. Uległ dopiero wówczas, kiedy mu rzekłem, iż grób matki na zawsze zwiąże jej odmienionego syna z miejscem pochówku. A ten, zrozpaczony z powodu nieumyślnej zbrodni, na wszystko mógł się poważyć. Nie wiedziałem wówczas jeszcze tego, że to dla miłości

siostry, nie matki, wokół folwarku krążył. Zresztą... – machnął dłonią – ...nawet gdybym wiedział, nic by już to nie zmieniło. – Zatoczył ręką koło. – Tu się przenieśli. Byle dalej od Beniowej, od wspomnień, przekleństwa i ode mnie. Liczyłem naiwnie, iż mój zmiennokształtny syn zniknie na zawsze po tym, co stało się za jego przyczyną. Sądziłem, że jest w nim jeszcze jakaś ludzka iskra, która skłoni go do tego. Myliłem się. Jak pies poszedł za Anusią, która chyba jedyna jeszcze go rozumiała. Choć pojmuję jego samotność i ból, nie mogę zapominać, iż sam się na niego skazał, odrzucając postać człowieka. Wszystko ma swoją cenę. Za wolność zaś najdrożej zawsze przychodzi zapłacić. – Palcem wskazał na okno. – Powiada Matjas, że co wieczór dziewczynka tu przesiadywała. Wypatrywała na kurhanie w księżycowe noce swego przyrodniego brata. Wiedział już o nim Rudyłowski, lecz śmierć żony całkiem go złamała. Co córka chciała, pozwalał jej czynić, byleby była szczęśliwa. Ona zaś jakąś dziwną, niepojętą więź miała z wilkołakiem, który przy niej pokorny był niczym szczenię. Tak jakby byli przyciągającymi się przeciwieństwami. Piękna i bestia. Tylko razem chyba byli naprawdę w pełni szczęśliwi. – Uśmiechnął się smutno, wstając z miejsca. Przeszedł kilka kroków po tonącej w półmroku izbie i stanął nad pustym łóżkiem dziewczynki. Odwrócony do Żegoty plecami, dokończył: – Teraz już wszystko wiesz, mości Nadolski, i chyba też wszystko rozumiesz. Kiedy umarła, mój syn utracił to, co jedyne kochał. Na swój sposób cierpiał, trzymając się jednak od ludzi z daleka. Nie chciał nikomu czynić krzywdy. Bydło kaleczył, błąkał się nocami bez celu. Nie wiedział, że z jego rozpaczki zrodzi się to wszystko, co się stało. Hieronim kazał pochować ją tam, gdzie wpatrywała się nocami, czekając na brata. Aby blisko miał ów wilk, kiedy zechce ją odwiedzić, i żeby z dala od wsi było. Wiedział, że tego pragnęłaby Anusia. – Nie patrząc nawet przez okno, wskazał w jego kierunku. – Nie wiem, czy znał prawdę o jej końcu. To nieważne. I tak śmierć Zatwarnickim i ich kompanom zapisał w swym sercu za to, co uczynili z jej ciałem. Ja tylko tyle powiem... – odwrócił się w kierunku Żegoty – ...iż proste jest w nim poczucie sprawiedliwości. Nie ma zaś wybaczenia i miłosierdzia, o którym nauczał Chrystus. Czy to oznaka, że kieruje nim diabeł? Sam sobie

odpowiedz, jako ten, który też pomsty szukał. Mówi nam pismo: „Nie daj się zwyciężyć złemu, ale zwyciężaj złe w dobrem”^[189]. Czy chciałeś tak postąpić, mości Nadolski, szukając tych, co zabili twoich bliskich? Miałeś w sobie zmiłowanie?

Spojrząwszy głęboko w oczy siwowłosemu szlachcicowi, bez trudu znalazł w nich odpowiedź. Uśmiechnąwszy się tryumfalnie, podszedł, opierając dłonie na stole. Pochylił się, zbliżając twarz do siedzącego. Wolno, chłodnym tonem, zakończył swą myśl:

– Skoro więc w człowieku trudno szukać prawdziwego win odpuszczenia, nie spodziewaj się go po nim. Bolesna reguła jest bowiem taka, mości Żegota, że bywamy dobrzy dla innych i miłosierni po to, aby się samemu sobie bardziej podobać. Jeśli jednak sięgniemy dna naszych odczuć, tego, co w nich najszczerze, nie znajdziemy tam absencji dla cudzych win. On zaś... – zerknął wymownie w kierunku kurhanu – ...jest tym, czym boją się być ludzie. Prawdą o nich samych. Tym bardziej więc chcą go zabić.

Żegota opuścił głowę, świadomy prawdziwości usłyszanych słów.

Herburt, siadając na powrót na krześle, bardziej do siebie niż do Nadolskiego rzucił pytanie:

– *Quid viro forti suavius quam vindicta manu querere?*^[190]

Zapadła ciężka cisza, pośród której czasem złowieszczo rozlegało się skrzypnięcie drewna umierającego dworzyszczka. Wosk ściekał ze świecy, skapując powolnie na blat stołu. Zastygał w różnokształtnej kałuży, niby nieodgadniona wróżba przyszłości.

Jakiś nagły dreszcz przebiegł po plecach szlachcicowi, który przypomniał sobie stare powiedzenie, iż to śmierć właśnie przeszła tuż obok. Wzdrygnął się na tę myśl, wyobraziwszy sobie Agnieszkę i Maćka. Przeszyła go nagła tęsknota za nimi i strach, że mógłby nie wrócić. Zacisnął w pięści leżące na kolanach dłonie. Odetchnąwszy głęboko, wyprostował się.

– Pojmuję, czemu mi powiedziałeś to wszystko, bo znam każde z opisanych przez ciebie uczuć. Miłość, gniew i nienawiść. A także rozpacz.

Zemsta zaś jest odmianą rozpacz, panie Herburt. Aż nazbyt dobrze wiem o tym. Lecz ty nie zapomnij, że przeszłości nie da się zmienić, a odwet nie tyle ulgę przynosi, ile tylko przywraca rzeczom właściwy porządek. Niech więc, jak rzekłeś, skończy się to tak, jak ma się skończyć. Pozwólmy dopełnić się przeznaczeniu. Kto jednak potem sił na nowe życie nie znajdzie, temu pozostanie jedynie jeszcze większa boleść i smutek bądź śmierć. Pustki nie wypełni się krwią.

Siedzący naprzeciw magnat poważnie pokiwał głową, powtarzając prawie bezgłośnie:

– Pozostanie tylko smutek bądź śmierć...

Jakby na dźwięk tych słów zza okna nagle dobiegł głuchy odgłos pojedynczego strzału, a kilka sekund później trzy kolejne, następujące po sobie, poniosły się echem nad polami. Zerwał się na równe nogi Żegota, chwytając za rękojeść pistoletu. Rzucił się ku drzwiom i wybiegł z izby. Przy stole pozostał pochylony nad świecą ojciec tego, którego los dopełniał się właśnie w ciemnościach.

ROZDZIAŁ XVIII

ŚMIERĆ

Konie stały nad wyraz spokojnie jak na tak późną porę i okoliczności. Niespiesznie skubiąc marną wiosenną trawę, potrząsały czasem łbami, wsłuchując się w mrok. Tylko blask ogniska odbity w ich wypukłych oczach wzbudzał jakiś niejasny niepokój, iż owa nocna cisza zwiastuje nadciągającą nieuchronnie burzę.

Ponure było milczenie trzech siedzących obok płonących polan mężczyzn. Ubrojeni po zęby, rozłożyli wokół siebie nabite srebrem półhaki i rusznice. Napięci, rzucali spojrzeniami w ciemność, szukając w niej nawet najdrobniejszych oznak nadchodzącej śmierci. Cisza tylko wzmagala ich niepokój, zdając się przedłużać w nieskończoność nadejście tego, co i tak musiało nadejść. Nikt z owej trójki nie miał co do tego wątpliwości.

Zatwarnicki dwakroć przeszedł przy wierzchowcach, na krótko zatrzymując się przy swoim srokaczu i klepiąc go po karku. Coś szeptał mu do ucha, palcami rozczesując grzywę. Z ociąganiem powrócił wreszcie na swoje miejsce i usiadł z ciężkim westchnieniem. Kijem podrzucił do ognia nadmiernie wysunięte drwa, sprawdził leżącą obok broń, odwrócił się w kierunku rysującego się za jego plecami pagórka z krzyżem. Na koniec, poprawiwszy ozdobną czapkę z czaplim piórem, niechętnie wycedził:

– Dziękuję waszmościom, że przyszliście. Jakoś nikt inny nie bardzo się kwapił.

Stiller, wzruszywszy lekko ramionami, mruknął:

– Nie dla waćpana tu jesteśmy, chociaż przy jednym ogniu siedzimy.

– Wiem – odparł natychmiast szlachcic z Sikawca i zacisnął usta.

Znów zawisła nad ogniem posepna cisza, którą przerywały tylko odległe leśne odgłosy i nieregularny trzask pękających od żaru polan. Drobne snopy

iskier unosiły się od czasu do czasu ku rozgwieżdżonemu niebu, czarnemu i przytłaczającemu swym zimnym ogromem. Jedyne wiszący nisko księżyc w pełni dodawał otuchy swym srebrzystym blaskiem. Pozwalał w mroku dostrzegać kontury i kształty, nabierające teraz nowych, niepokojących znaczeń.

Młody szlachcic poprawił kolorowy żupan, strząsnął z buta jakieś niedostrzegalne źdźbło. Łypnąwszy ku swoim współtowarzyszom, burknął:

– Niesporo w takim razie siedzieć tu waszmościom ze mną. Jeśli tak, wciąż wolna droga. Do swego towarzysza zawsze możecie dołączyć we wsi.

– Co możemy, sami wiemy, panie Zatwarnicki – skwitował nieuprzejmie Murray, ani myśląc silić się na grzeczność.

Blondwłosa mężczyzna parsknął, lecz powstrzymał gniewną odpowiedź. Zadręgały mu szczęki, splunął nerwowo przez ramię. Otarłszy usta wierzchem rękawicy, wycedził:

– Za złoczyńcę mnie macie. Potwora takiego jak ten, co na mnie poluje, kryjąc się gdzieś w mroku. Łatwo wam sądy przychodzą, mości panowie oficerowie. – Wydał wzgardliwie usta. – Bardzo łatwo!

– Nie pora na żale, panie Zatwarnicki. – Stiller pochylił się i podrzucił do ognia. – Bacz lepiej na konie i słuchaj, zamiast gadać. O twoje życie tu idzie, nie zapominaj o tym.

– Życie? – podchwycił sarkastycznie ostatni z braci z Sikawca. – Tak się o nie troszczycie, waszmościowie? Pewnie sami byście mnie na sznurze przed sąd zawlekli, gdyby nie to. – Wymownie wskazał głową za plecy. – Przynęty potrzebujecie. Jestem jak kura na sznurku wystawiona dla jastrzębia.

Niemiec znieruchomiał, łypnąwszy zmrużonymi oczami na siedzącego naprzeciw mężczyznę. Po dłuższej chwili machnął obojętnie ręką.

– Co chcesz, myśl sobie. To wiedz, że tak samo jak ty chcemy zabić potwora. A potem? – Palcem wskazał na rysujący się na tle nieba krzyż. – Nagrzeszyłeś waćpan, więc i odpokutować przyjdzie. Ale nie nasza to

rzecz. W Sądowej Wiszni będziesz się tłumaczył. Bo zdaje się, że ci pan Herburt nie odpuści.

– Tak? A czymże to nagrzeszyłem? W czym inny jestem od okolicznej szlachty? Co?

– Sam dobrze wiesz, panie Zatwarnicki – odpowiedział krótko Murray, wyręczając przyjaciela.

Blondwłosa mężczyzna sapnął kilkakrotnie gniewnie. Ze złością kopnął dopalające się polano, wzbudzając tysiące iskier gasnących na wietrze. Hamując gniew, wolno wycedził:

– Może i nagrzeszyłem w życiu. Ale też karę srogą poniosłem. Jednego brata już pochowałem, drugi we dworze leży, czekając na pogrzeb. Ludzie się ode mnie jak od trędowatego odwrócili. Nawet chłopci jak ognia się mnie strzegą. A przecież nie zabiłem nikogo, raptu nie uczyniłem, zajazdu ani też kradzieży. Więc za cóż to wszystko mnie spotkało? Co?

– Nie zabiłeś? – Szkot znacząco machnął głową ku czerniejącemu w oddali dworowi. – A oni?

– Oni? – Zatwarnicki się skrzywił. – Dziewka z choroby zmarła, a stary się obwiesił. Moja to wina?

– Dobrze wiesz, że tak – mruknął Stiller.

– Prawda! – Szlachcic się zaśmiał. – Ludzie o zarażonej babie mówią! Gotowi pewnie uwierzyć i w to, że ja morowe powietrze sprowadziłem! – Pochylił się nad ogniem ku oficerom. Jego twarz przybrała złowieszczy grymas. – Tyle że to żadna zaraza była. Ledwie paru ludzi, głównie dzieci, pomarło we wsi i w przysiółkach. Więc co ja niby mam z tym wspólnego? – Odchylił się, rozkładając ręce. – Nie przeczę, że chciałem Bałwańskiego. Ale to Opatrzność, nie ja, zdecydowała!

– To samo rzekł jeden mąż, wpuszczając żmiję do łóża swej żony – odparował kpiąco Murray. – Niech Bóg zdecyduje, czy wąż ją ukąsi. W tym kłopot, panie Kacprze, że i tak go potem za to powiesili.

– Tak samo i ja mogę odpowiedzieć, że całe zło z Rudyłowskimi tu przyszło! – warknął Zatwarnicki. Szybko jednak stonował słowa. – Po co tu

osiedli? Byłoby wszystko po staremu bez nich. Winnicki zarządzałby wsią i Bałwańskim, my za Sanem. Jakoś nie wadziliśmy się wcześniej.

– Bo pan Jeremi we wszystkim ulegał waszmości. Znasz go, wiesz, że do zwady nieskory – skwitował Saksończyk. – Solą ci w oku był Rudyłowski, że plany twoje pokrzyżował, chłopów nie cisnął i łaską Herburta się cieszył. Tego znieść nie mogłeś. Zresztą... – machnął ręką – ...nie czas na wypominki i zbędne gadanie o tym. Patrz lepiej waćpan dokoła i słuchaj, zamiast po próżnicy się tłumaczyć. Ty swoje wiesz, my swoje.

– Taaak... – syknął przeciągle właściciel Sikawca. – Przekabacili już was Herburt i ów szlachetka, ten tam, jak mu jest... Nadolski. A jedno słowo pana Eryka wszystko zmienić mogło. Starczyło, żeby Rudyłowskiego gdzie indziej przeniósł. Skoro mej winy w zamiarach upatrujecie, to dostrzeżcie też ją w jego zaniechaniu. Wiedział o wszystkim i nic nie uczynił. Czy to nie grzech większy od mojego? Co?

– O swoim majątku Herburt decyduje, nie waszmość – uciął Niemiec. – A jak wybaczenia szukasz, to do spowiedzi idź, nam głowy nie zawracaj. Tylko naszą uwagę niepotrzebnie odwracasz od tego, co teraz ważne.

Powstał, odchodząc ku koniom, dając tym znak, że nie zamierza dłużej słuchać zbędnych tłumaczeń. Murray uśmiechnął się cierpko pod nosem. Ostentacyjnie niemal podniósł pistolet, z zajęciem sprawdzając zamek.

Zatwarnicki założył ręce na piersiach, tępo wpatrując się w ogień. Migotliwe światło pogłębiało zmarszczki na jego nagle postarzałej twarzy. W zamyśleniu palcami przejechał po pobrużdżonym czole.

Dobrych kilka minut minęło w ciszy, nim wrócił Saksończyk. Sadowiąc się na miejscu, rzucił krótko:

– Spokój.

Szkot tylko skinął głową, wracając do poprzedniego zajęcia. Czas niespiesznie mijał, łudzając zmysły pozorną martwotą. Mrok uspokajał zwodniczo, jakby sprzymierzony z tym, co miało nadejść. Ciągnęło znad pól wilgotnym nocnym chłodem.

Zatwarnickim wstrząsnął nagły dreszcz, po którym rozejrzał się, jakby szukając czegoś do okrycia. Przysunął się bliżej ognia, pocierając dla rozgrzewki ramiona. Westchnąwszy ciężko, pomacał się po piersiach, by po chwili sięgnąć za pazuchę i wydobyć stamtąd niewielką metalową manierkę. Wyciągnął korek, przytykając naczynie do ust. Napiwszy się, otarł wąsy palcami. Rzucając wymowne spojrzenie ku oficerom, wyjaśnił:

– Zimno. Po plecach ciągnie.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Już sięgał po korek, aby zatkać manierkę, kiedy nagle zawahał się, zamarłszy na kilka sekund w połowie ruchu. Zerknąwszy na Murraya, wyciągnął ku niemu butelkę, ni to pytając, ni to proponując:

– Może na rozgrzewkę?

Szkot skrzywił się, spoglądając pytająco na Stillera. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Otyły oficer nie sięgnął po naczynie, znów pochylając głowę nad pistoletem. Jeszcze przez sekundę Zatwarnicki trzymał wyciągniętą rękę, nim cofając ją, mruknął:

– Wiem. Nawet napić się wam teraz ze mną niesporo. Za infamisa^[191] mnie macie.

Niemiec ściągnął brwi, mrużąc jedno oko. Zdawało się przez moment, iż bije się z myślami. Wreszcie, skinąwszy dłonią, przechylił się w stronę szlachcica.

– Daj waszmość, żebyś krzyw nie był. W końcu razem tu siedzimy i jeden cel mamy.

Blondyn uśmiechnął się, odsłaniając błyszczący rząd równych białych zębów. Bez słowa podał Saksończykowi manierkę.

Oficer pociągnął dwa głębokie łyki. Odejmując naczynie od ust, skinął głową, chwając tym gestem smak trunku. Podając butlę Szkotowi, dodał:

– Zaczyna cynamonówka^[192].

Murray nie omieszkał sprawdzić słów przyjaciela, bardziej niż tylko próbując. Oddając manierkę właścicielowi, uśmiechnął się i przyznał:

– Zaiste, dawno tak dobrej nie piłem.

Zatwarnicki się skłonił. Potrząsnąwszy flaszką, stwierdził:

– Pół zostało. To co? – Spojrzał znacząco. – Chyba nie zaszkodzi dopić?

Dostrzegłszy wahanie, wznosił naczynie, mówiąc:

– Zdrowie waszmościów!

Przytknął manierkę do ust, dwakroć grdyka mu się poruszyła, nim znów wyciągnął rękę w kierunku Saksończyka. Ten, rozumiejąc, iż niegrzecznością byłoby nie odwzajemnić toastu, uniósł butlę, mruknąwszy niechętnie:

– I waćpana zdrowie.

Murray nic nie rzekł, wypijając ostatni łyk nalewki. W milczeniu oddał naczynie, zły na siebie, że dał się namówić na gest, który ktoś mógłby poczytać za komitywę z Zatwarnickim. Tymczasem nic się nie zmieniło w jego ocenie postępków szlachcica. Przygryzłszy wargi, schylił się znów nad pistoletem, kluczem poprawiając napięcie sprężyny zamka.

Uśmiech nie schodził z twarzy ostatniego z braci z Sikawca, kiedy chował za pazuchę opróżnioną manierkę. Tak jakby alkohol dodał mu animuszu i złagodził obawę o życie. Dziwne zdało się to Stillerowi, gdyż przecież ledwie co wypili. Złożył to jednak na karb słabości głowy Kacpra Zatwarnickiego, wymęczonego długotrwałymi kłopotami. By nie zaprzętać sobie tym zbytnio umysłu, przysunął ku sobie półhaki, a na kolanach ułożył rusznicę. Opuścił oczy, aby szlachcica nie kusić spojrzeniem do dalszej pogawędki. Zatwarnicki wcale się jednak nie przejął tym wymownym gestem. Rozweselony nad wyraz, rzucił:

– Ręczę waćpanom, że takiej cynamonówki jak ta nigdy jeszcze nie piliście. Na specjalne okazje ją trzymam, a cóż może być bardziej wyjątkowego niż noc, w której głowę nadstawiam, za przynętę służąc? Nieprawdaż?

Zaśmiał się pod nosem, zerkając raz na Szkota, raz na Niemca. Znosił to cierpliwie przez chwilę Murray, nim w końcu syknął zirytowany:

– A cóż to waszmości tak wesoło? Zdradźże i nam powód swej radości. Razem się pośmiejmy.

Nie zbiły szlachcica z tropu złośliwe i zaczepne słowa. Lekkim tonem odpowiedział po chwili:

– A pośmiejemy się zaraz, panie oficerze, pośmiejemy. My tu w Rzeczypospolitej mamy takie przysłowie, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Tak sobie właśnie pomyślałem, że to właśnie nas się tyczy. Chcieliście, abym jak owa kura na sznurku czekał na jastrzębia. Ja jednak trochę inaczej sobie całą rzecz zaplanowałem...

Zawiesił głos, szczerząc zęby. Tylko w jego oczach nie było uśmiechu. Zimno wpatrywały się poprzez ogień w oficerów, jakby wyczekując na coś.

Przez plecy Stillera przebiegł nagły dreszcz. Już wiedział, że coś jest nie tak, jednakże nie potrafił pojąć co. Chciał się podnieść, próbując zawołać:

– Co też...!

Na próżno. Zarówno język, jak i kończyny rażone czymś nagle odmówiły mu posłuszeństwa. Tylko zmysły wciąż funkcjonowały, pozwalając jakby w zwolnionym tempie obserwować bieg zdarzeń. Szkot miotał się, na wpeł leżąc i usiłując podźwignąć pistolet. Zniewolone trucizną ręce ledwie szarpały żdźbła traw. Dopiero wówczas Saksończyk zrozumiał, iż Zatwarnicki podał im w nalewce jad, samemu tylko udając, że pije. Ostatni raz szarpnął się, przejęty zgrozą. Bez skutku. Szlachcic osiągnął swój cel.

Zatwarnicki wstał, by obejść niespiesznie ognisko. Z diabolicznym wyrazem twarzy pochylił się nad leżącymi bez ruchu oficerami i pokręcił głową. Cmoknąwszy z zadowoleniem, wycedził:

– Ale was ścięło, kurwie syny! I kto teraz górą?! Aaa?!

Wyprostował się i rozejrzał dokoła, jakby czegoś szukając. Wetknąwszy dwa palce w usta, gwizdnął cicho. Wciąż przytomny Stiller zrozumiał, iż pan z Sikawca nie jest sam. Niemiec mógł jednak tylko obserwować bieg zdarzeń, pozbawiony władzy nad ciałem. Na dodatek ogarniała go senność, której nie potrafił zwalczyć mimo gwałtownego otwierania i zamykania powiek. Leżący opodal Murray rzeził cicho. Ślina ściekała mu z ust lepka nicią. Nie poruszał się, choć pewnie także nadal jeszcze był przytomny.

Z ciemności dobiegł równomierny, powolny i głuchy stukot końskich kopyt. Wierzchowce parsknęły, czując, że ktoś się zbliża. Zatwarnicki, przekroczywszy leżącego Saksończyka, oddalił się na chwilę. Zza pleców oficerów dobiegły ściszone głosy, krótkie, urwane śmiechy i delikatny brzęk uprzęży. Potem zaszeleściły kroki kilku ludzi. Do uszu Niemca doszło wypowiedziane nie głośniejszym niż szeptem pytanie:

– Świadomi jeszcze?

Ktoś trącił go nogą, a potem padła odpowiedź Zatwarnickiego:

– Mówiła wiedźma, że w kwadrans zasną od momentu, jak padną. Jeszcze tylko chwilę będą wszystko widzieć i słyszeć.

Rozległ się ponownie zjadliwy śmiech, po którym nieznajomy zrobił kilka kroków, stanąwszy w końcu przed głową Stillera. Nie mogąc podnieść wzroku, Niemiec widział tylko eleganckie baczmagi w złotym kolorze. Kiedy przybysz po chwili przykucnął, Saksończyk poznał go natychmiast. Tym bardziej iż zakryta rękawicą dłoń brutalnie odwróciła mu twarz, aby mógł przyjrzeć się dobrze, z kim ma do czynienia. Był to dzierżawca Beniowej Piotr Pamiętowski.

Szlachcic, krzywiąc usta w złośliwym grymasie, zapytał:

– Pamiętasz mnie jeszcze, pludraku^[193]?

Odsłonił zęby, unosząc kąciki ust. Nie mogąc usłyszeć żadnej odpowiedzi, ze wzgardą odepchnął głowę Stillera i uderzył nią o ziemię.

– Noo... Żartów wam się ze mną zachciało. Biskupim złotem mnie mamiliście. To teraz ja z wami sobie pofigluję. Co? Miałeś mnie za hetkę-pętelkę^[194]? Przygłupa z Koziej Wólki? Było ze mną nie zadzierać, psi synu!

Powstał gwałtownie. Saksończyk znów widział tylko jego buty. Nadal słyszał jednak jadowity głos Pamiętowskiego.

– Powiedział mi pan Herbert prawdę. Zagotowało się najsampierw we mnie, ale potem pomyślałem, że skoro jego szukacie, to za nim mi w drogę trzeba. I przyjechałem tutaj, do Sikawca, gdzie mój serdeczny przyjaciel w biedę także przez was popadł. Znamy się dobrze z panem Kacprem

i nieraz radziłem mu, aby zwyczajnie Rudyłowskich potraktować, łby urzynając. Starczyło mi słowo rzecz, żeby rzecz skończyć. Ale on wolał po swojemu robić, zamiast mądrej rady posłuchać. W kłopoty przez to popadł, druhowie go opuścili, ale nie ja, stały w swojej przyjaźni ku niemu.

Pchnięciem nogi odwrócił bezwładnego Stillera na wznak. Obraz rozmywał się przed oczami Niemca. Gwiazdy i księżyc zaczynały wirować, a głuchy głos Pamiętowskiego dochodził jakby z oddali, cichnąc powoli:

– Śpij, zasrańcu. Śpij. Zaraz uczta się odbędzie. Kłopot w tym, że nie gościem na niej będziesz, ale jednym z dań. A ja z radością sobie popatrzę...

Nie słyszał już nic więcej. Zapadła ciemność. Nawet nie zdążył w myślach odmówić ostatniej modlitwy, choć był świadomy, że jego życie dobiega już kresu.

Zatwarnicki, stanąwszy obok dzierzawcy Beniowej, ruchem głowy wskazał na leżących cudzoziemców.

– Mówiłem, że lekko z nimi pójdzie. Szkoda tylko, że tego siwego nie ma. Jemu to od razu bym łeb urznął, tak mnie kurwi syn rozsierdził.

Pamiętowski machnął obojętnie ręką. Odwróciwszy się do dwóch ponurych pacholków oczekujących w półmroku, rozkazał:

– Dalej! Rozdziewać ich!

Spojrzał po tym na swego towarzysza z Sikawca.

– Czasu nie ma. Dawaj ubrania.

Zatwarnicki skinął głową. Odchodząc, usłyszał zza pleców rzucone mu na pocieszenie słowa kamrata:

– A tamtym się nie martw. Jego też zaraz dostaniemy, byleby się z twoim potworem czym prędzej rozprawić. Da Bóg, że i pyszałka Herburta dzisiaj ubijemy. Gdybyś mnie słuchał, dawno już miałbyś Bałwańskie i Winnickiego byś za jaja trzymał. A tak tylko roboty dodałeś niepotrzebnej. No, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Odślonił krzywe zęby w złośliwym uśmiešku. Ponaglił zarośniętych beskidników, a kiedy skończyli i nagie ciała mężczyzn zabielały obok

ognia, nakazał im zgasić płomień. Zapadła ciemność, do której powoli przyzwyczajają się oczy złoczyńców.

Ostatni z braci z Sikawca wrócił po omacku od koni. Cisnąwszy na ziemię zmięte stroje, burknął:

– Po co kazałeś stłumić ogień? Jak w dupie ciemno.

– Po to, żeby kto za dużo nie oglądał! – warknął Pamiętowski. – Księżyc jest... – wskazał na niebo – ...więc nie zrzedź!

– Dobrze już. – Zatwarnicki przyklęknął przy ciałach. Zmierzywszy je wzrokiem, zaklął, dodając: – Jeden jak tyka chudy, a drugi znowu do odkarmionego wieprza podobny.

– Nie gadaj, tylko swoje rób! – Skinąwszy na swoich ludzi, rozkazał: – A wy co stoicie? Dalej, pomóc ich odziać!

Dłuższą chwilę trwało naciąganie na bezwładne ciała spodni, koszul, szlacheckich żupanów i czap. Wszystkich dosyć znoszonych, choć strojnych i kolorowych. Kiedy wreszcie udało się to uczynić, wyprostował się pan Kacper, ocierając pot z czoła. Pokręciwszy głową na lewo i prawo, uśmiechnął się, zadowolony z dzieła.

– Może nie tak jak ja przystojni, ale ujdą.

– Ujdą, ujdą. – Pamiętowski pokiwał głową. – Ważne, żeby jak należy twoim zapachem tręcili.

Tym razem już sam przyszedł z pomocą, usadzając nieprzytomnych obok na nowo roznieconego ognia, tak jakby grzali się przy nim.

Odetchnąwszy, przyjrzał się swemu dziełu, a potem, nie patrząc, podał stojącemu obok Zatwarnickiemu niewielki nożyk wyciągnięty zza pasa.

– Na co to? – Pan z Sikawca uniósł brwi.

– Rękę tnij i krwi swojej trochę na nich utocz. Nic tak dobrze na drapieźnika nie działa jak woń świeżej juchy. Za nią będzie wietrzył.

Zawahał się pan Kacper, ale starczyło tylko spojrzenie Pamiętowskiego, by posłusznie wykonał polecenie.

Skropił posoką nowe ubrania cudzoziemców, a na koniec przejechał skaleczoną dłonią po ich twarzach i włosach. Uczyniwszy to, wskazał na

złożone na stertę stroje zdarte z oficerów.

– Co z tym?

– W ogień. Broń przy nich zostawić, jeśli takową mieli. Swoją tylko weź.

Gestem przywołał pachołków.

– Brać worki z mielonym pieprzem i sypać dokoła. No! Żywo!

Zdjęli z koni co trzeba, by niczym siewcy zacząć rozrzucać wokoło drobny szary proszek. Od razu zawiercił w nosach ostry zapach, sprawiając, że Zatwarnicki kichnął dwakroć. Zebrał trochę drewna, by dorzucić do ogniska, lecz nim to zrobił, spojrzał pytająco na dzierzawcę z Beniowej. Ten lekko skinął głową na znak zgody.

Zatliły się skórzane ubrania rozrzucone na żarzących się polanach. Płomyki ognia popęzły po wyschniętych gałęziach, łącząc się w coraz to większe języki. Zapach palonej skóry zmieszał się z drażniącą wonią zamorskiego zioła. Pamiętowski pociągnął kamrata za rękaw, aby odsunąć go od światła. Odchodząc, ostatni raz upewnił się, czy wszystko jest jak należy.

Przeszli w ciszy kilkadziesiąt kroków, nim zatoczywszy koło, zawrócili łukiem w kierunku kurhanu. Pachołcy otrzepywali ręce z resztek ostrej przyprawy, którą szeroko rozsypali po polach.

Zatwarnicki ściszym szeptem rzucił ku towarzyszowi:

– Dziękuję ci, Piotrze, bo bez ciebie...

– Ciii! – przerwał mu szlachcic z Beniowej. Później mi podziękujesz. – Na razie milcz i słuchaj, czy wilk nadchodzi.

Blondyn posłusznie zacisnął usta.

Ułożyli się na skraju pagórka, mając doskonały wręcz widok na ognisko. Kilka kroków jeden od drugiego, tak aby w razie niespodziewanego ataku, móc zareagować. Pistolety i rusznice w gotowości trzymali przy sobie, wpatrując się w ciemność.

Zapadła zupełna cisza, w której nawet nie słyhać było nocnych stworzeń. Tak jakby wraz z ukrytymi ludźmi cały okoliczny świat zamarł w oczekiwaniu. Gdzieś w oddali, w oknie ponurego dworu w Bałwańskim,

ledwie majaczył migotliwy płomyk świecy. Przypominał Zatwarnickiemu o tej, którą zabił i pohańbił. Teraz jej ciało leżało w mogile ledwie kilkanaście kroków od niego. Myśl o tym mieszała szlachcicowi w głowie, a przez plecy przebiegał mu nieprzyjemny dreszcz zabobonnego strachu.

Czas mijał powoli. Wiszący na niebie księżyc zdawał się wcale nie poruszać. Mrok gęstniał, mieszając się z pojawiającą się już gdzieś mgłą. Wilgotne zimno ciągnęło od ziemi, wionąc niemal grobowym chłodem.

Długo był cierpliwy Zatwarnicki, mimo napięcia i lęku, które teraz odczuwał. Sądził, że już niemal trzy godziny leży bez ruchu, choć pewnie było to tylko złudzenie. Ścierpła mu zgięta ręka, poczuł nieprzyjemne, bolesne wręcz parcie na pęcherz. Mimo to, zacisnąwszy zęby, tkwił na swym posterunku. Na prawo miał Pamiętowskiego, na lewo zaś dwóch jego zbójceckich kompanów. To jakiś czas dodawało szlachcicowi z Sikawca nieco otuchy.

Kolejne minuty zdawały się przeciągać w nieskończoność. Dręczyły, skłaniając napięty umysł do najmroczniejszych wyobrażeń. Wzrok i słuch wyteżone do granic możliwości balansowały na granicy rzeczywistości i złudy. Tymczasem nadal nic się nie działo.

I największa cierpliwość ma swoje granice. Uległ w końcu Zatwarnicki pokusie, przesuając się bezszelestnie w prawą stronę. Musiał usłyszeć czyjś głos, choćby nawet własny, aby ukoić skołatane nerwy. Nie przejął się wściekłym grymasem na twarzy Pamiętowskiego, który gestem nakazywał mu przywrzeć do ziemi. Nawet rzucone ledwie słyszalnym szeptem przez szlachcica z Beniowej przekleństwo było lepsze niż grobowa cisza wokoło.

Pamiętowski jednym ruchem przysunął się do niepokornego kamrata. Do ucha wycedził mu głosem aż drżącym z gniewu:

– Leż, kurwa twoja mać!

– Nie przyjdzie. Czuję, że... – spróbował jakoś usprawiedliwić się Zatwarnicki.

Skutecznie przerwała mu dalsze wywody odziana w rękawicę dłoń, którą Pamiętowski zatkał mu usta. Przez zęby wysyczał przy tym:

– Nie ucz mnie wilków łowić. Setkę sam ubiłem. Jak ten wszarz choć trochę jest do wilka podobny, już po nim. Pieprz pomiesza mu zapachy, a tymi się basiory nocą kierują. Teraz wracaj na miejsce i nie waz się ruszać. Już!

Dziedzic Sikawca posłusznie skinął głową, wycofując się na dawne stanowisko. Choć była to ledwie chwila, ludzki głos go uspokoił. Przestał nawet odczuwać nagłą, dręczącą potrzebę cisnącą go jeszcze kilka minut wcześniej w podbrzuszu.

Mgła, która szła od strony potoku, nad polami łączyła się w bielejące pasma. Gęstniała, zapowiadając nadejście tej części nocy, w której chłód jest największy. Niebo zaczynały przysłaniać chmury, zakrywając czasem księżyc i pogłębiając mrok. Ognisko na dole ledwie się żarzyło, prawie już nie oświetlając dwóch nieruchomych postaci ze zwieszonymi głowami, wyglądających, jakby przysnęły na chwilę.

Zatwarnicki uspokoił oddech, ściskając zamek rusznicy. Nerwowo sprawdził dwa ułożone obok półhaki, prosząc w duchu Boga, aby proch nie zawilgotniał i poryt nie zawiódł^[195]. Wiedział, jak niepewna bywa taka broń, lecz innej nie sposób byłoby użyć^[196]. Wilgotną rękawicą przetarł klejące się mimowolnie oczy. Senność przychodziła mimo strachu w najmniej odpowiednim momencie.

Aby odegnać zmęczenie, zamrugał szybko powiekami i przygryzł boleśnie język. To pomogło na chwilę. Przywróciło przyzwyczajonym do ciemności źrenicom wyrazistość widzenia, a słuchowi czujność. Lekko uniósł się na łokciach, patrząc w lewo, w stronę pasma lasu na Działkowcu. Wtedy włos zjeżył mu się na głowie.

Powoli, ostrożnie, wśród mgły, oświetlany ledwie zimnym blaskiem przeświecającego przez chmury księżycy przesuwiał się polami straszliwy cień. Co rusz znikał w mroku, by za moment pojawić się w innym miejscu. Nie zdradzał jego ruchów żaden szelest ani najdrobniejszy nawet szmer. Przerazał swym przyczajonym kształtem i wielkością.

Zatwarnicki wyteżył wzrok do granic możliwości. Chłonał diabelski widok, na równi nim zafascynowany, jak strwożony. Nie mógł oderwać od

niego oczu. Bestia zaś, czając się i krążąc zwodniczo pomiędzy smugami mgły, zbliżała się ku kurhanowi.

Była ogromna, zdawała się wielkości konia, lecz przy tym masywniejsza, sękata od pokrytych futrem napiętych mięśni. Poruszała się na czterech kończynach, co chwila przywierając do ziemi. Kręciła łbem na lewo i prawo, łapiąc wiatr w nozdrza. Szpiczaste uszy chłoneły każdy, nawet najdrobniejszy dźwięk. Nagle zamarła, prawie stapiając się z mrokiem. Nie poruszyła się, gdy jedno z mglistych pasm okryło ją mleczną zasłoną. Kiedy wiatr przegnał je dalej, w miejscu, gdzie potwór był przed chwilą, pozostała pustka.

Szlachcic z Sikawca zdrzął na myśl, iż bestia wie o zasadzce. Poczul ściekające mu wzdłuż kręgosłupa krople potu. Dłonie zaciśnięte na rusznicy stały się lepkie. Ledwie mógł się powstrzymać przed pragnieniem zerwania się z ziemi i ucieczką. Wiedział jednak, iż nic by mu to nie dało. Sparaliżowany strachem nie wiedział, czy pozostali myśliwi widzieli to, co on. Do głowy cisnęły się dręczące pytania. A jeśli nie? Jeśli zasnęli albo nie dostrzegli zagrożenia? Sam nie wiedząc kiedy, Zatwarnicki zaczął w duchu odmawiać modlitwę. Brzęczała mu w głowie natrętnym błaganiem o miłosierdzie.

– *Swiatyj Boże, Swiatyj Kriepkij, Swiatyj Biezsmiertnyj, pomiłuj nas. Swiatyj Boże, Swiatyj Kriepkij, Swiatyj Biezsmiertnyj, pomiłuj nas. Swiatyj Boże, Swiatyj Kriepkij, Swiatyj Biezsmiertnyj, pomiłuj...* ^[197]

Pełne paniki oczy ostatniego z braci z Sikawca szukały w bezładnym tańcu jakiegokolwiek śladu tego czegoś, co jeszcze przed chwilą pełzło przez ciemność. Usta wyschły szlachcicowi tak gwałtownie, jakby panował upał, a nie chłodna wiosenna noc. Coś dławiło go w gardle, a żołądek kurczył mu się raz po raz, przyprawiając go o mdłości. Nie czuł nawet, jak zwilgotniały mu spodnie pomiędzy nogami, zmoczone bezwiednie. Nie panował nad drzeniem, które obejmowało każdy cal jego ciała.

Wydała mu się wiecznością chwila, po której z radosną ulgą odnalazł w mroku zwierzęcy kształt. Gdyby mógł, krzyczałby z radości. Poczul, że

otucha wraca mu do rozedrganego serca. Tym bardziej iż wilk przyczał się ledwie na krawędzi blasku bijącego od wciąż żarzącego się ogniska.

Potwór znieruchomiał czymś zaniepokojony. Zapachy mieszały się w jego nozdrzach, nie pozwalając odkryć tego, czego szukał. Drażniący pieprz nie tyle przykrywał inną woń, ile dezorientował, oszukując wyczulony zmysł.

Ogromny basior podniósł łeb, zadzierając pysk. W słabym świetle zarysowały się jego prostujące się przednie kończyny. Zatwarnicki zadrzał z przerażenia, dostrzegłszy, że są na równi zwierzęce, jak ludzkie. Porośnięte szarym futrem, a jednocześnie przypominające sękaty ramiona. Szlachcic przełknął ślinę, bojąc się nawet szmeru własnego oddechu.

Potwór cofnął się, znikając w mroku. Widać teraz było jedynie jego sylwetkę przemykającą w ciemności. Zataczał koło, starając się zejść siedzących przy ogniu mężczyzn od tyłu. Konie, które nagle zwietrzyły zapach drapieżnika, szarpnęły się gwałtownie, stukając kopytami o ziemię. Rozległo się ich krótkie, urwane parskanie. Wilk znieruchomiał, a potem cofnął się, aby nie niepokoić wierzchowców. Klucząc, przywarł do ziemi, pełzł teraz w kierunku kurhanu, aby skryć się w jego cieniu. Był ledwie jakieś trzydzieści kroków od przyczajonych mężczyzn. Pamiętowski jednak się nie poruszył. Wiedział, że strzał musi być pewny. Do tego potrzebował lepszego widoku.

Bestia znów ostrożnie przesunęła się w kierunku dogasającego ogniska. Bezruch siedzących przy nim ludzi najwyraźniej ją niepokoił. W jej umyśle najpewniej mieszał się zwierzęcy instynkt z resztką tego, co ludzkie. Nie potrafiła dokonać wyboru pomiędzy tym, co świadome, a intuicją. To zawahanie było jej największym błędem.

Nagły płomień uniósł się sponad żaru. Jakieś niewypalone do końca polano wystrzeliło ogniem, na moment rozświetlając ciemność. Granica światła przesunęła się w jednej chwili, odkrywając upiorny łeb wilkołaka. Błysnęły wyszczerzone kły, zadrgały naprężone gwałtownie mięśnie karku. Ułamek sekundy dzielił wilka od wykonania gwałtownego skoku. Za późno.

Pierwszy strzał rozdarł hukiem powietrze tak nagle, że szlachcicowi z Sikawca serce stanęło w piersiach. To Pamiętowski wypalił ze swej rusznicy. Celnie, o czym świadczył krótki jęk i szaleńcze miotanie się wilka. Bestia wiedziała już, gdzie czai się wróg. Choć ranna, odwróciła swój ziejący błyskającą bielą ogromnych zębów pysk ku kurhanowi. Ledwie sekundy trwało jej oszołomienie. Potem skoczyła w kierunku ludzi.

Zatwarnicki widział wszystko tak, jakby czas nagle zwolnił. Zrywających się z ziemi dwóch tołhajów, którzy strzelili niemal równocześnie. Płomienie błyskające w ciemności, obłoki iskier palącego się prochu. Biały dym niczym mgła zasnuł powietrze.

Potwór szarpnięty w locie kolejnymi kulami opadał na ziemię, machając bezradnie wyciągniętymi łapami. Ogromne pazury na palcach prawie ludzkich dłoni zaciskały się wściekle, nie osiągnąwszy celu. Szlachcic z Sikawca niemal bezwiednie poderwał rusznicę. Rozległ się nad polami ostatni strzał. Srebrna kula poszybowała ku wilczej głowie, trafiając wprost w kufę^[198]. Roztrzaskała kości, przeszywając czaszkę na wylot. Na koniec wyrwała z tyłu łba kawał skóry pokrytej futrem, rozbryzgując wokół kawałki mózgu. Stwór opadł bezwładnie na ziemię. Zdał się nieżywy.

Zatwarnicki zamarł w bezruchu, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to już koniec. Pomąku zaczęła go przepęlniać szaleńcza radość. Chciał zawyć ze szczęścia, ale gardło i usta wciąż ściśnięte niedawnym strachem odmawiały posłuszeństwa. Wpatrywał się w oplecione mgłą drgające ciało potwora, nie mogąc oderwać wzroku od straszliwego widoku. Niesiony wiatrem dym po wystrzałach na kilka sekund przysłonił ten obraz, by po chwili rozwiać się, pozostawiając po sobie zapach spalonej siarki i saletry. Teraz tylko wiły się pomiędzy trawą pasma nocnej mgły, liżąc ziemię wilgotnymi smugami.

Ostrożnie, nad wyraz powoli, czterej mężczyźni ruszyli ku miejscu, gdzie przed chwilą zaległa bestia. W dłoniach trzymali nabite pistolety, gotowi użyć ich w razie potrzeby. Nikt z nich bowiem nie wiedział, czy demon z piekieł jest naprawdę martwy, czy też w swej mocy podlega zwykłym prawom śmierci. Nie uspokajały Zatwarnickiego nawet powtarzane

w myślach słowa wypowiedziane ongiś przez baczę Babeja, iż potwór jest z tego świata i srebrna kula powinna mu poradzić.

Pamiętowski szedł przyczajony, choć niejednego przecież wilka w życiu ustrzelił. Takiego jednak jak ten, który podszedł pod kurhan, nigdy nie widział. Mimo że pewną miał rękę i wierzył w celność oka, bał się, iż jakowyś czar mógł zmienić drogę pędzącej w powietrzu kuli albo też basior zwiódł ich, aby wywabić z kryjówki. Nawet przywoływany w myślach obraz szarpanego kulami demonicznego ciała mógł być złudą magiczną, której użył diabeł, kpiąc sobie z ludzkich zmysłów. Wszystko zdarzyć się jeszcze mogło i wszystko przed sobą mogli zobaczyć. Lecz to, co ujrzeli u podnóża pagórka, sprawiło, iż zatelepały się nogi pod łowcami, a po plecach ściekły im zimne krople potu. W miejscu, gdzie zaległ potwór, nie było nic prócz zbryzganych świeżą krwią ziemi i trawy.

Skuleni, przypadli nisko, rozglądając się trwożliwie dokoła. Omiatali wzrokiem otaczający ich mrok, ledwie rozjaśniony mdłym światłem dogasającego ogniska. Serca waliły im gwałtownie, a z ust unosiły się obłoczki rozgrzanych strachem oddechów. Spotniałe dłonie ścisnęły nerwowo kolby pistoletów. Palce drżały na spustach.

Zamarli. Otoczyła ich złowroga cisza, przywołująca najgorsze wyobrażenia o tym, co może w sobie ukrywać. Była gorsza od widzianego jeszcze przed chwilą obrazu bestii, gdyż niosła niepewność tego, co zdarzyć się może za chwilę. Przycupnięci, odwrócenie do siebie plecami, spoglądali w cztery strony świata, starając się przeniknąć mrok i wyłowić z niego choćby najdrobniejszy szelest. Na próżno. Nic się nie działo. To właśnie budziło w nich największe przerażenie.

Żaden z łowców nie wiedział, ile trwała ta chwila. Może ledwie minuty, a może dużo dłużej. Czas płynął dla nich inaczej, raz spowalniając, a raz gnając gwałtownie, kiedy ich strwożony wzrok bezładnie szukał jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Zmuszone wręcz do nadludzkiego wysiłku oczy łzawiły, drażnione dodatkowo ostrą wonią pieprzu i spalenizny. Zalęknieni myśliwi rzadko mrugali powiekami, bojąc się, że

nawet ten nieskończenie mały moment nieuwagi mógłby kosztować ich życie. Nie działa się jednak nic.

Pierwszy rozluźnił nieco mięśnie Pamiętowski. Przykucnął, palcami zgarniając ze źdźbeł trawy rozbryzgi krwi. Roztarłszy lepkaż maż pomiędzy opuszkami, podsunął je pod nos. Powąchawszy, wytarł dłoń o ziemię. Powiódł wzrokiem kawałek dalej, za śladem ciągnącej się w ciemność posoki. Dojrawszy coś, w kucki przesunął się dwa drobne kroki przed siebie. Sięgnawszy ręką, uniósł po chwili strzęp oderwanej skóry pokrytej futrem. Nie większy niż pół dłoni krwawy ochłap, pod którym białał okrucz przylepionej do niego kości. Przyjrzał mu się uważnie, by po kilku sekundach milczenia rzucić cicho za siebie:

– W łeb dostał.

Jego głos wlał iskrę otuchy w serca pozostałych. Odczarował chwilę zawieszenia pomiędzy wolą walki a dręczącym pragnieniem ucieczki.

Odetchnawszy dwakroć głęboko, Kacper Zatwarnicki wyprostował się nieco. Niepewnym głosem wydusił:

– To gdzie jest ten pomiot Belzebuba? Żyje wciąż? Widzisz go?

Nie musiał czekać na odpowiedź. Ciskając strzęp kłaków na trawę, dzierzawca Beniowej wycedził:

– Nie! Ale nie ma prawa żyć! Widziałeś przecież, jak kula rozłupała mu łeb! O tu... – palcem wskazał na ziemię – ...masz resztę jego czaszki!

– To gdzie jest?! – powtórzył pytanie ostatni z braci z Sikawca. Jego słowa zabrzmiały nieprzyjemnie ostro, jakby z wyrzutem.

Nie przejął się tym Pamiętowski. Rozluźniając się, wzruszył ramionami.

– Pewnie w piekle! Wzięli go diabli do siebie, gdzie jego miejsce!

– Albo zaraz nam na karki wskoczy! – odwarknął Zatwarnicki, znów pochylając się przyczajony. Za jego przykładem poszło dwóch wystraszonych tołhajów.

Drugi ze szlachciców zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie. Dzierżącą broń dłonią zatoczył szerokie półkole, mówiąc:

– Nie bój się! Popatrz! Krwi tyle, jakby wieprza tu kto oprawiał! Żaden z nas nie chybił! Widziałeś przecież! Koniec z nim!

– To gdzie trup?! – syknął w odpowiedzi młody blondyn, wodząc wciąż lufą półhaka przed sobą.

– Chcesz, to szukaj! – odparł Pamiętowski. – Może dziesięć, a może sto stóp stąd! Leży gdzieś zdechły w mroku i tyle! Jak świt przyjdzie, sam zobaczysz!

– Był tu! Patrzyłem, gdzie padł!

– Aaa...! – Mężczyzna z Beniowej machnął ręką.

Dla dodania odwagi swym ludziom wyprostował się całkiem, ostentacyjnie wkładając pistolet za pas. Nie patrząc nawet w kierunku pozostałej trójki, mruknął głośno:

– Nawet ranny śmiertelnie zwierz zdolny jest zrobić jeszcze parę kroków! Jak kura bez łba gonić potrafi! Wiesz to dobrze, Kacper, bo sam polujesz! Nieprawdę mówię?!

Beskidnicy unieśli się wolno i ostrożnie, wciąż jednak spoglądając trwożliwie dokoła. Tylko Zatwarnicki nadal wpatrywał się nieufnie w mrok. Mieszała się w nim nadzieja, iż to już koniec, z lękiem, że za chwilę rozlegnie się ryk potwora zwiastujący śmierć.

Dobrze wiedział Pamiętowski, jakie uczucia dręczą teraz jego młodego towarzysza. Dlatego bez słowa ruszył ku tłącemu się ognisku. Tam sięgnął po wystające z paleniska polano i podsyciwszy nieco ogień, zawrócił, niosąc tę prowizoryczną pochodnię.

Zrobiło się jaśniej. Blask uspokajał otumanione mrokiem zmysły. Nawet rozgorączkowany wciąż szlachcic z Sikawca poczuł się raźniej, choć wciąż skupiony, w bezruchu lustrował otoczenie.

Stanąwszy kilka kroków przed nim, jego kamrat ostentacyjnie powiódł pochodnię nad trawą.

– Popatrz! – zawołał. Nie doczekawszy się reakcji, prawie rozkazującym tonem rzucił: – No chodź! Sam zobacz! Krew wszędzie, a tu... – żagwią wskazał na ziemię – ...zdaje mi się, że kawał mózgu leży!

Trącił coś niewidocznego butem, odsłaniając przy tym w drapieźnym uśmiechu zęby. Zaśniły złowrogo, dodając Zatwarnickiemu pewności. Uniósł się, zaklął pod nosem, a potem podszedł bliżej. W milczeniu poświęcił mu Pamiętowski, aby nasycił wzrok krwawym widokiem i ukoił tym lęk.

Ciemne krople i plamy były wszędzie. Lśniły świeżymi jeszcze rozbryzgami, znaczone gdzieniegdzie skrawkami mięsa i skudłanego futra. Brudziły trącające splamione źdźbła buty lepкими smugami. Blondwłosey łowca przyznać musiał w duchu, iż żadna istota, utraciwszy tyle krwi, nie mogłaby przeżyć. Mimo to wycedził:

– Nie uwierzę, póki trupa nie ujrzę!

– A ujrysz, ujrysz! – Jego druh machnął za siebie pochodnią. – Gdzieś tam pewnie leży! Tylko świtu doczekajmy, bo po omacku łązić nie zamierzam! Dość na tym, com się na górcę wyczekał w ciemności! Teraz zaś... – mocno ujął Zatwarnickiego pod łokieć – ...do ogniska podejdźmy, bo o naszych rozliczeniach pogadać trzeba! Przyjaźń przyjaźnią, mości Kacprze, ale sam wiesz, jak jest... – Nie dokończył, uśmiechając się krzywo.

Zatwarnicki westchnął, pokiwawszy głową. Wskazując na wciąż nieprzytomnych cudzoziemców ułożonych obok ognia, wycedził:

– A tamci?

– Aaa... – Machnął ręką jego kamrat. – Myślałem, że ich diabli syn poszarpie i koniec z nimi będzie... – Zmarszczył brwi, zastanowiwszy się nad czymś. – Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ja ich zabiorę. Mam z nimi do pogadania.

Widząc zaniepokojone, pytające spojrzenie właściciela pobliskiego przysiółka, dodał:

– Nie martw się. Ślad nie zostanie. Niejednego już tak sprawilem i w dół w lesie poszedł. Nawet ich lisy nie wygrzebią.

Pociągnął Zatwarnickiego, przymuszając prawie, aby ruszył się z miejsca. Podchodząc ku tołhajom dorzucającym gałęzi w palenisko,

cedził:

– Gdybyś mnie od razu posłuchał, to i Melchior z Baltazarem by żyli, a Bałwańskie dawno już byłoby twoje. Ale żal ci wtedy było dukatów. Tak to jednak jest, mości Kacprze, że jak kto z tańszej okazji nie skorzysta, potem drożej płacić musi. Zachciało ci się po swojemu robić, więc masz skutek. Dobrze, że chociaż teraz rozumnie do mnie się zwróciłeś, bo gdyby nie to, ani chybi... – pstryknął palcami – ...byłoby już po tobie. Na mszę daj, że za tymi skurwysynami... – machnął głową w kierunku leżących przy ognisku oficerów – ...tutaj przyszedłem. Inaczej sam jak palec byś ostał. A tak to i bohaterską chwałę zyskałeś, i mająteczek całkiem zdatny możesz mieć. Na Herburtowe knowania znajdzie się sposób, jeśli to nie jego ścierwo gdzieś tam... – znacząco wskazał ręką za siebie – ...leży. Ze mną trzymaj, a źle ci nie będzie. Znam ja bowiem różnych zdatnych ludzi, którzy zgrabnie potrafią rozwiązywać przeróżne problemy. A i sam, nie chwaląc się, trochę mogę. Bylebyś tylko słuchał, zamiast bez potrzeby knować...

Zatwarnicki milczał, idąc z pochyloną głową. Słowa perorującego Pamiętowskiego tylko drażniły go swym dźwiękiem i podsycaly ogarniający młodego szlachcica gniew. Palił go wstyd pomieszany z wściekłością. Nawet prawdopodobne uśmiercenie bestii nie było w stanie go uspokoić. Zaciskając zęby, kłął siebie w duchu, gdyż dobrze wiedział, że z jego winy stało się wszystko, co dotknęło jego i jego braci. Wszak Pamiętowski proponował mu kiedyś, iż przygotowuje napad beskidników na Bałwańskie, z którego nikt żywy nie wyjdzie. Uniesiony pychą Kacper odrzekł mu wtenczas, iż sam sobie poradzi. Teraz zaś słuchać musiał chełpliwego wywodu, przypominającego mu własną głupotę. Raniło to jego dumę, paląc każdą wypowiedaną zgłoską. Bezsilnie łypał ku dwóm beskidnikom, czując, iż gdyby nie oni, odwróciłby się, by bez słowa palnąć z półhaka w łeb nadto teraz gadatliwemu szlachcicowi. Myśl, że nie może tego zrobić, dławiała mu drgające ze złości gardło, tak iż nie był w stanie nic odpowiedzieć na wypływające z ust dzierzawcy z Beniowej nadęte pychą zdania. Wtedy właśnie, gdy zdało mu się, iż nie zdoła już dłużej zdzierżyć,

nagle, niczym wybawienie, od strony ruin dworku Rudyłowskiego uszu całej czwórki dobiegł tętent.

Zatwarnicki odetchnął głęboko, spoglądając na odskakującego w mrok Pamiętowskiego i dwóch skrywających się pachołków. Uśmiechnął się na myśl, że zaraz będzie mógł bezkarnie rozładować swój gniew. Czuł bowiem, kto zbliża się w ich kierunku. Niespiesznie wyciągnął zatknięte za pas naładowane półhaki.

Pełen złych przeczuć Nadolski pędził w kierunku oświetlonego blaskiem ogniska kurhanu. Nie wiedział, co tam zastanie, choć podsycony nagle odległy płomień uspokajał. To człowiek musiał dorzucić do niego drew. Tym samym wszystko wskazywało, iż syn Herburta najprawdopodobniej już nie żyje. Jednakże jego śmierć mogła zostać okupiona jakąś ofiarą. Trwożył się więc Żegota o swoich przyjaciół, ponagłając wierzchowca trąceniami ostróg.

Widział jakiś dziwny ruch wokół pełgających nad drwami płomieni, ale nie myślał o tym, chcąc jak najprędzej znaleźć się na miejscu. Im bliżej zaś był, tym więcej pytań rodziło się w jego głowie. Nie rozumiał tego, co dostrzegał. Dwóch dziwacznie odzianych mężczyzn z opuszczonymi głowami siedziało przy ogniu w całkowitym bezruchu. Trzeci stał w półmroku. Nadolskiemu wydało się przez chwilę, że jacyś inni skryli się w ciemności przy koniach. Kim byli? A może to skołatane myśli i nerwy oszukiwały wzrok? Im bliżej był siwowłósy szlachcic, tym silniej czuł znany mu z wojny odór palonej skóry i prochu. A także inny, drażniący i mdły zapach śmierci. Dreszcz zgrozy przebiegł mu po plecach. Instynktownie czuł, że coś jest nie tak, jak by pragnął.

Wjeżdżając w krąg światła, gwałtownie ściągnął wodze. Wiedziony przecuciem, nie zbliżał się do mężczyzn przy ognisku. Z trudem rozpoznał w siedzących przebranych w szlacheckie szaty cudzoziemców, którzy nawet nie poruszyli się na jego widok. Nie pojmował ich dziwaczного odzienia. Tym zaś, który stał w półmroku, okazał się Zatwarnicki.

Szlachcic z Sikawca wystąpił w przód, dzierżąc w dłoniach półhaki. Uśmiechał się złowieszczo, błyskając zębami. Stanąwszy w rozkroku,

wycedził:

– Przebóg! Łaskawa dziś dla mnie Opatrzność! Zły los się odwrócił! Jesteś, pokrzywniku^[199]!

Nim Żegota zdołał odpowiedzieć na obraźliwe słowa, ujrzał wycelowane w siebie dwie lufy. Odruchowo szarpnął konia, chcąc zejść z linii strzału. O ułamek sekundy za późno. Gruchnęły prawie jednocześnie pistolety. Jedna ze srebrnych kul uleciała w pustkę. Drugi z pocisków przeznaczony na wilkołaka był jednak celny. Pomknął ze złowrogim świstem, niemal natychmiast uderzając w lewe ramię Żegoty. Szlachcic odrzucony siłą bliskiego postrzału wygiął się w siodle do tyłu, a strwożony koń poderwał kopyta, stając na tylnych nogach. Bez trudu wysadził z kulbaki jeźdźca, który z łomotem spadł na ziemię.

Świat zawirował przed oczami Żegoty, który głową uderzył o grunt. Spróbował się podnieść, rozpaczliwie szukając pistoletu za pasem. Nie było go jednak. Wyleciał gdzieś podczas upadku. Jeszcze sięgnął do rękojeści szabli, pragnąc jakiegokolwiek obrony. Leżąc, nie mógł jej jednak wyciągnąć. Zresztą i tak nie zdałaby się na wiele. Z mroku nagle wypadli jacyś ludzie. Zadziwiony Nadolski ostatkiem przytomności rozpoznał w jednym z nich Piotra Pamiętowskiego z Beniowej. Gnał, unosząc kolbę rusznicy. Tuż za nim, wyszarpnąwszy karabelę, biegł Zatwarnicki. A obok dwaj zarośnięci zbóje z pałkami w dłoniach.

Dziwny, nieznany ból przeszył ciało rannego. Od dawna nie czuł nic lewym ramieniem. Tym większy był szok, którego zaznał. Ostatkiem sił spróbował się poderwać mimo wywichniętej nogi. Na próżno. Łokieć pośliznął się na błotnistej zbroczonej krwią ziemi. Głowa Żegoty opadła. Pojął, że nadchodzi jego koniec. Na niebie chłodnym blaskiem świeciły gwiazdy i księżyc. Obojętnie wpatrywały się w dół, oglądając znany im od tysięcy lat widok nadciągającej śmierci.

Gdzieś z tyłu rozległ się nagły szelest. Nim ulatujący w bezwład nieprzytomności mózg leżącego szlachcica ogarnął cokolwiek, jakiś cień przemknął tuż nad nim, na ułamek sekundy zasłaniając nieboskłon. Poczul ostry, niepokojący zapach drapieżnego zwierzęcia.

Powietrze przeszył potworny wrzask niewyobrażalnego strachu, który wydać z siebie mogli tylko ludzie stojący w obliczu nieubłaganej, straszliwej ostatniej chwili życia. A potem dziki ryk niepohamowanej wściekłości przetoczył się nad polami. Przeróżający tak, aż przeżegnali się czuwający w chałupach Bałwańskiego chłopci, padając na kolana.

Bluznęła krew z rozszarpywanych ciał, brocząc obficie ziemię i wiosenne źdźbła traw. Zastygły martwo szeroko rozwarte oczy tych, których dusze bestia posyłała do piekła. Mrozący krew w żyłach dźwięk szarpanego mięsa i łamanych kości wypełnił mrok. Tak właśnie zgasł ostatni z Zatwarnickich z Sikawca, a wraz z nim jego trzech towarzysze.

Jak przez mgłę widział Żegota niebo, migocące płomienie ogniska, kurhan i skrzywiony krzyż na nim. Było mu już wszystko jedno. Odetchnął głęboko, żegnając się w duchu z Agnieszką i Maćkiem. Niczego bardziej nie pragnął, niż znów ich zobaczyć. Nie tak miało być. Jego czas zdawał się jednak wypełniać.

Zamilkła nagle noc, zatrważając swą ciszą. Mgła gęstniała. Senność i bezwład ogarnęły rannego. Poczul się słaby jak nigdy wcześniej. Niezdolny, by uczynić cokolwiek. Nie wiedział, czy wciąż jeszcze jest przytomny, czy też mamią go zmysły przedśmiertnej maligny. Ostatnie, co zadawało mu się, że ujrzał, to schylający się nad nim straszliwy, zakrwawiony wilczy pysk bestii o ludzkich oczach. Znaczony po lewej stronie wyraźnymi bliznami od psich kłów. Potem zaś nie było już nic.

* * *

Nagły ból przywracał przytomność. Żegota aż syknął, szarpnąwszy się w czyichś ramionach. Jakiś poparzony jednooki mężczyzna opatrujący mu ramię uśmiechnął się, uspokajając:

– To nic. Czysto na wylot przeszła. Kości nienaruszone.

Nadolski zmrużył oczy, szepcząc z niedowierzaniem:

– Ionuc?

– Poznał mnie waszmość. – Dawny sługa Krasickiego się uśmiechnął. – Panu Herburtowi teraz służę.

– Gdzie... Gdzie on?

Ranny rozejrzał się, pojmując, że nadal jest u stóp kurhanu. Dziwny ruch zobaczył dokoła, choć panowała cisza, rozpraszana tylko szelestem butów trącających liście traw. Jacyś posępni mężczyźni krzatali się wokoło, zbierając resztki porozwlekanych ochłapów mięsa. Zadrzał Żegota, uświadomiwszy sobie, iż zwisały z nich skrwawione strzępy żupanów, pomiędzy nimi zaś błyskała czasem bielą ludzka skóra. Zaszło mu gwałtownie w gardle na myśl o Stillerze i Murrayu.

– O tam! – Wołoch pokazał głową, odpowiadając na zadane pytanie. – Stoi tak już z pół godziny w jednym miejscu, gdzie krew i wilcze kłaki były.

– A pozostali? – spytał zdławionym głosem, jako że dręczyła go niepewność, do kogo należeć mogą porozrzucane szczątki.

Wiążąc bandażę, Ionuc znieruchomiał na moment.

– Ci dwaj druhowie waćpana przy ognisku nieprzytomni leżą. Pewnie rychło się ockną, bo już się wiercić zaczęli. A reszta... – Zawiesił głos. Machnąwszy ręką, dokończył: – Szkoda gadać, waszmość, a jeszcze gorzej oglądać. Nie idzie rozeznaczyć, który kawałek do kogo należy. Kazał pan Eryk sługom na płachtę zebrać to, co zostało. Pewnie w jeden dół wszystko pójdzie, bo nijak ludzi z tego poskładać. Niedługo z Zatwarnicy podwoda przyjedzie, to na wóz się wszystko załaduje.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Żegoty. Zamrugnął zwilgotniałymi nagle oczami, szeptem wypowiadając:

– *Deo gratias...* [\[200\]](#)

Nagle przypomniał sobie ostatni obraz, który wrył mu się w pamięć, zanim stracił przytomność. Zdało mu się, że rozumie to, co wydarzyło się w chwili, kiedy opuszczały go zmysły i ulatywał w niebyt. Przymknął powieki. Niepojęty był zaiste wyrok Opatrzności, który sprawił, iż to bestia ocaliła mu życie. Bo jakże inaczej mógłby przeżyć?

Szelest kroków z tyłu oznajmił mu, że ktoś nadchodzi. Z pomocą Ionuca ranny usiadł, opierając się na sprawnej ręce. Uniósł głowę, spoglądając w bladą, zmęczoną twarz Herburta. Wołoch, skłoniwszy się, cofnął się w milczeniu. Zostali tylko we dwóch.

Długo patrzyli sobie w oczy w milczeniu. Wreszcie odezwał się odziany w jedwabną tunikę starzec:

– Ocknąłeś się. To dobrze. Pachołek zna się na ranach. Mówi, że wrócisz do sił. Odpoczniesz, ile trzeba, w Zatwarnicy. Winnicki sprowadzi medyka z Leska. Potem jedź do domu. Czekają tam na ciebie. Nic nie jest ważniejsze na świecie od bliskich, których się miłuje. Jak nikt inny teraz wiesz o tym. Prawda?

Nadolski skinął głową. Popatrzywszy wymownie ku leżącym oficerom, zapytał:

– A co z nimi?

– Z nimi? – Magnat wzruszył ramionami. – Śpią jeszcze. Gdy się obudzą, uczynią, co zechcą. Chyba już zakończyła się ich misja. Spokój teraz nastanie w tych stronach. Nie tego chciał biskup Próchnicki?

– Wiesz waszmość, o czym mówię. – Żegota długo i wymownie popatrzył w twarz Herburta. Po długiej chwili dokończył, pytając wprost: – Co mam im rzec?

Stary szlachcic zmarszczył czoło. Wolno, spokojnym głosem zaczął:

– Co rzec? – Westchnął, pocierając czoło szczupłymi palcami. – To, mości Nadolski, co trzeba. Zatwarnicki, pozbawiając ich przytomności, uczynił z nich przynętę dla bestii. Za kamrata miał Pamiętowskiego z Beniowej. Przyczajeni na pagórku postrzelili potwora nękającego tę okolicę. Raniony wilk zdołał jeszcze rozszarpać myśliwych, dokonując ostatecznie swej zemsty. Potem odszedł, by gdzieś tam, Bóg wie gdzie... – powoli zatoczył koło ręką – ...dokonać żywota. Już tu nie wróci. Ty zaś... – wbił wzrok w rannego – ...w chaosie, spiesząc na pomoc swym przyjaciom, otrzymałeś przypadkowy postrzał i zleciałeś z konia. Nic więcej więc nie pamiętasz.

Ostatnie słowa wyrzekł tak, iż dobrze pojął Żegota, co starzec ma na myśli. Przełknąwszy ślinę, ranny wyszeptał:

– A jeśli pytają, kim był ów potwór?

Herburt powoli rozłożył otwarte dłonie przed sobą.

– Bóg jeden raczy wiedzieć kim, nieprawdaż, panie Nadolski? To możesz powiedzieć. Czy to zbyt wiele z mej strony prosić cię o to?

Popatrzył na siwowłosego szlachcica. Ten, pochyliwszy głowę, odrzekł głucho:

– To nie jest zbyt wiele, panie Herburt. Niech więc tak się stanie, jak mówisz. Masz moje słowo.

Na chwilę zaległo ciężkie milczenie. By je przerwać, Żegota, kierując wzrok na kurhan, zapytał:

– Co teraz?

– Teraz? – Magnatowi głos zadrżał. Spuścił głowę. Z trudem zapanował nad głosem. – Teraz każę na nowo pochować Anusię Rudyłowską, a obok umieszczę pusty grób poświęcony jej ojcu. Krzyż solidny na górcie zostanie wzniesiony, księży z Leska sprowadzę, a chłopom zakazę nawet tu się zbliżać. Matjas w Bałwańskim weźmie administrację i mojego rozkazu dopilnuje. – Skinął wolno dłonią ku pagórkowi. – Niech ona i mój druh razem na wieki tu odpoczywają. Tylko to mogę dla niego... – przerwał na moment, oddychając ciężko – ...dla nich uczynić. Wówczas odjadę, bo tu już nic nie będę miał do zrobienia. Wszystko się skończyło.

Uniósł bladoniebieskie oczy, smętnie kiwając głową. Wąskie usta wykrzywił w smutnym półuśmiechu.

– Miałeś rację, panie Nadolski. W istocie na koniec pozostają tylko żal i śmierć. Nic więcej.

Żegota przełknął ślinę. Bolesnie zapiekło go wyschnięte gardło. Opuścił wzrok, nim z trudem wyszeptał:

– Dziękuję waszmości.

Herburt skłonił się lekko, kładąc prawą dłoń na piersi. Ledwie głóśniej niż szeptem odpowiedział:

– Wszak nie masz za co, panie Nadolski... Nie masz za co.

Nic więcej nie rzekł. Odwrócił się, odchodząc ku pokrytemu skrzepłą krwią miejscu, gdzie wypełniła się noc. Zgarbiony, przyciśnięty ku ziemi samotnością, na którą od lat był skazany. Świadomy, że utracił na zawsze ostatniego z tych, których kochał.

EPILOG

Ledwie kilka dni spędził jeszcze Eryk Herburt w Bałwańskim, nie przyjmując nikogo. W tym jednak czasie wiele się we wsi i w przysiółkach zdarzyło, co na długie lata w ludzkiej pamięci zostało. Sprowadzeni z Leska księża wyprawili na nowo pogrzeb Hieronimowi i Annie Rudyłowski, a potem stanął na kurhanie wysoki krzyż wyciosany z dębu. Objął swymi szerokimi ramionami dwa groby, na zawsze już strzegąc ich spokoju. Przyglądali się temu zgromadzeni włościanie, kornie chyląc głowy, świadomi swych grzechów. W myślach tak samo prosili Boga o odpuszczenie win, jak dziękowali Opatrzności za ocalenie. Czuli, że krwawy czas dla nich już się skończył. Rozniosła się bowiem po okolicy, nie wiedzieć skąd i jak, wieść, że to Zatwarniccy byli przyczyną wszelkiego zła, a nawet powiadano po kątach, iż najstarszy z nich diabłu duszę zaprzedał, a czart wydarł ją ze szlachcica, rozszarpując żywego na sztuki. Ponoć pop w cerkwi też słowo o tym rzekł, nie wiedzieć, czy za przyczyną własnego wnioskania, czy też z pouczenia przybyłego do wsi razem z leskimi księżmi surowego wysłannika metropolity Mohyły, przed którym w pas się kłaniał, drżąc o posadę. Poseł ten, ku pamięci gawiedzi i dla ostatecznego zakończenia waśni, także współuczestniczył w pogrzebie Rudyłowskich, modląc się za nich po rusku.

Spoglądał na żałobną uroczystość przyniesiony wraz z łóżem Nadolski, w myślach odmawiając modlitwę za zmarłych. Choć to nie on dopełnił swej obietnicy względem Anusi, wiedział, że teraz na pewno ulgę zyskały dwie znękanе dusze, którym życie nie szczędziło bólu. Mogły już odejść na wieki. Może zaś z nimi i ta trzecia, dręczona mrokiem swego przekleństwa, choć przecież nikt, prócz krwi, nie znalazł niczego, co pozostałoby po zatwarnickim potworze. Tak jakby był wytworem fantazji, albo też i wcale go nie było. Któż zresztą wiedział, co się naprawdę zdarzyło?

Po wizycie medyka z Leska cztery niedziele leczył się Nadolski pod opieką przyjaciół, nim, wciąż jeszcze obolały, mógł się do drogi zebrać. Choć nalegał pan Winnicki, by goście dłużej zostali, odmówili mu. Spieszno im było. Jednemu do jego Wygnanki, pozostałym do biskupa we Lwowie. Wszak przecież nic ich już w Zatwarnicy nie trzymało. Nastął spokój, a porządek został przywrócony.

Jadąc, niewiele mówili o tym, co się zdarzyło, bo też nikt z nich nie znał ostatecznej odpowiedzi na zadawane w duchu pytania. Może najwięcej Żegota wiedział, lecz milczał związany danym słowem. Ale i jego ogarniała niepewność, kiedy wracał myślami do owej strasznej nocy. Czy prawdę powiedział mu Herbut? A może wszystko to było jedynie bajaniem. Kłamstwem, za którym kryło się coś zupełnie innego, co można by rozumem wytłumaczyć. Siwowłosy szlachcic, dumając, nie był nawet pewny, czy to, co zdało mu się, że widział w mroku, widział naprawdę. Mieszały mu się wyobrażenia i słowa.

Została gdzieś tam, za ich plecami tajemnica ukryta na wieki. Ci, którzy znali odpowiedzi, albo byli już martwi, albo też nie chcieli powiedzieć nic więcej nad to, co rzekli. Odszedł nie wiadomo dokąd pan Herbut, wiedziony cierniową drogą swego żywota. Milczącą łzą pożegnał swych państwa stary Matjas, nasyciwszy swe serce śmiercią potworów z Sikawca. Życie zaś musiało toczyć się dalej. Pełne wszak jest niepotrzebnych już nikomu sekretów.

Trzej mężczyźni pożegnali się dopiero w Sanoku, gdzie Stiller z Murrayem odprowadzili Żegotę. Nie chcieli tym razem zajeżdżać do Wygnanki. Gnał ich czym prędzej obowiązek do Lwowa, gdyż wieść niosła, że podupadł na zdrowiu arcybiskup^[201]. Niepokój o protektora wyparł wszelkie pytania, które jeszcze niedawno rodziły się w głowach cudzoziemskich oficerów. Zatwarnicka tragedia stała się przeszłością.

Mijając mury Sanoka, siłą rzeczy Żegota bezwiednie przywołał wspomnienia dawnych zdarzeń. W tym to najbardziej go dręczące, o Rycie i jej córce. Paliła szlachcica myśl, iż wciąż nie wypełnił złożonej kiedyś obietnicy odszukania Miriam. Tym bardziej że splatała się ona teraz

z obrazem Anusi Rudyłowskiej. Dziewczynka z Bałwańskiego była już martwa, a on uczynił dla niej, co mógł. Tamta żyła zapewne gdzieś tam zniewolona i wyglądała pomocy, która nie nadchodziła. Opuszczona przez wszystkich niosła ból niezawinionego losu, szukając ukojenia we wspomnieniu dzieciństwa, które jej tak okrutnie odebrano. Zaciskał zęby Nadolski, klnąc się, iż ją odnajdzie. Zły głos szeptał mu wciąż do ucha, iż nic nie działo. Wszak był tylko zwykłym szlachetką z Wygnanki. Dręczył bardziej niż rany, które jeszcze nie całkiem się wygoiły. Tym większą złość wywoływał w upartym szlachcicu, którego piekło wstyd własnej bezsilności.

Czerwcowe słońce grzało mocno, kiedy Żegota stanął wreszcie na szczycie Wielkiej Góry, aby stamtąd przez chwilę popatrzeć na ojcowiznę. Serce ścisnęło mu się ze wzruszenia, gdy spoglądał na ciągnące się pola dojrzewającej pszenicy, jaśniejący w oddali dwór i bezkresne błękitne niebo nad tym wszystkim, co kochał najbardziej na świecie. Odegnął złe myśli. Nawet ból w ledwie zaleczonych ramieniu i nodze nie mógł zgasić wypełniającego go poczucia szczęścia. Już za chwilę zakończyć się miała tęsknota, której co dnia doświadczał w Zatwarnicy.

Trącił konia ostrogami, by jak najprędzej przekroczyć próg domu, pochwycić w ramiona żonę i ucałować maleńkiego syna. Całym sobą chłonąc to, co najważniejsze dla każdego człowieka. Spokojną, codzienną, zwyczajną miłość. Pewną i stałą. Niezmienną jak wschody i zachody słońca.

Gdzieś na dnie umysłu tliło mu się jeszcze nieubrane w słowa wspomnienie o Herburcie, który nigdy nie zaznał tego, co on. Skazany przez samego siebie i okrutny los na wieczną samotność tęsknił za zwykłym życiem, świadomy pustki, która go otaczała. Tym bardziej docenił Żegota to, co miał. Pojął, że szczęścia nie mierzy się ani majątkiem, ani też władzą, lecz tym, by każdego dnia mieć przy sobie kogoś, dla kogo chce się budzić co świt i mierzyć z losem.

Łza zakręciła się w kąciuku oka siwowłosego szlachcica, gdy przecinał drogę na Nadolany. Wyszeptał cichą modlitwę, dziękując Bogu za łaskę szczęśliwego powrotu. A potem, niezgrabnie otarłszy wilgotne krople

wierzchem twardej żołnierskiej rękawicy, pojechał przed siebie, by zniknąć za otwartą bramą folwarku. Zaraz dobiegły stamtąd radosne okrzyki i śmiech. Wszystkie głosy, które tak pragnął usłyszeć Żegota. Nareszcie był u siebie. W domu.

PRZYPISY

[1] Jerzy Stano z Nowotańca, herbu Gozdawa. Chorąży sanocki, stolnik sanocki, starosta sądecki, dwunastokrotny poseł na sejm, w roku 1632 elektor Władysława IV Wazy z województwa krakowskiego.

[2] Od roku 1614 arcybiskup lwowski. Człowiek wszechstronnie wykształcony, mecenas sztuki, bibliofil. Poseł, przez osiem lat rezydent królewski na dworze w Madrycie, senator, protektor Kawalerów Maltańskich. Zmarł w roku 1633.

[3] Wydarzenia prowadzące do tego opisanego zostały w powieści *Czas pomsty*, Wydawnictwo Dolnośląskie 2019.

[4] Żartobliwe określenie gospodarza samemu zajmującego się rolą, często ubogiego, zaściankowego szlachcica.

[5] Staropolskie określenie zabawki.

[6] Rodzaj umowy cywilnoprawnej ułożonej na sejmie elekcyjnym do akceptacji przez kandydata do korony. Podpisywane na sejmie koronacyjnym, zobowiązywały monarchę do określonych działań. W przypadku Władysława IV Wazy była to budowa czterech zamków, obwarowanie zamku w Kamieńcu, budowa floty oraz unowocześnienie armii.

[7] Jakub Maksymilian Fredro, stolnik lwowski, od 1633 roku podkomorzy przemyski, a od 1645 roku referendarz królewski. Wielokrotny poseł na sejm, a także marszałek sejmików ruskich.

[8] Muzułmański sznur modlitewny składający się z 33 paciorków lub trzech części po 33 paciorki każda. Służy do modlitwy polegającej na wymawianiu 99 imion Allaha.

[9] Muzułmański anioł nadzorujący w imieniu Allaha piekło zwane Gehenną.

[10] Jerzy Stano spotkał prowincjała paulińskiego Marcina Gruszkiewicza w roku 1631 w Nowym Sączu, kiedy to prosił go o wprowadzenie bractwa św. Aniołów Stróżów do kościoła Norbertanów.

[11] Obecnie Jędruszkowce.

[12] Rodzina Stanów wywodziła się najprawdopodobniej z mieszczaństwa krakowskiego.

[13] *Liber generationis plebeanorum* albo też *Liber chamorum*. Dzieło Waleriana Nekandy Trepki znane z rękopisu z 1626 roku. Głównym jego celem było zdemaskowanie osób nieprawnie przypisujących sobie przynależność do stanu szlacheckiego.

[14] Wieś w dolinie Sanu nad potokiem Głębokim.

[15] Prawosławny patriarcha Jerozolimy w czerwcu 1619 roku zatwierdził odrodzenie patriarchatu moskiewskiego i konsekrował metropolitę Filareta na jego zwierzchnika. W roku 1620 potajemnie wyświęcił w Kijowie trzech biskupów prawosławnych w Rzeczypospolitej, powołując Hioba na metropolitę kijowskiego, Melcjusza Smotryckiego na arcybiskupa połockiego i Izajasza na władykę przemyskiego.

[16] Izajasz Kopiński, biskup prawosławny, metropolita kijowski w latach 1631–1633.

[17] Jan Borecki, prawosławny metropolita kijowski niezatwierdzony przez polskiego króla.

[18] Piotr Mohyła, biskup prawosławny, od 1633 roku uznany przez króla metropolita kijowski (wybrany w Warszawie w 1632 roku). Dążył do zachowania spokoju pomiędzy różnymi wyznaniem, a nawet porozumienia pomiędzy prawosławnymi i unitami.

[19] Aleksander Oleksowicz Krupecki, unicki władyka przemyski wspierany przez biskupa przemyskiego Stanisława Siecińskiego, skrajnie nie lubiany przez prawosławnych.

[20] Za namową jezuitów książę Jeremi Wiśniowiecki przyjął katolicyzm w wieku 20 lat w roku 1632.

[21] Przywódca powstania kozackiego w latach 1595–1596.

[22] Obydwie postacie autentyczne. W roku 1629 jezuita Magnus Nijowski pozwał Jana Bala w imieniu kurii przemyskiej o zwrot zagarniętego z kościoła w Hoczwi mienia.

[23] Obecnie Sękowiec.

[24] Od ukraińskiego słowa *bowan* określającego kruszynę pospolitą. Autentyczny przysiółek Zatwarnicy, wchłonięty do wsi w pierwszej połowie XVII wieku.

[25] Wawrzyniec Terlecki herbu Sas, władyka przemyski do 1632 roku.

[26] Tak nazywano wszystkich chłopów we wschodniej Rzeczypospolitej niemających statusu Kozaków.

[27] Znana legenda o cudzie narodzin Bolesława Krzywoustego opisana już przez Galla Anonima.

[28] W rzeczywistości do sporu proboszcza Mateusza Kuszewicza z mieszkańcami Niebocka na tym tle doszło w roku 1749.

[29] Autentyczne nazwiska szlachty prawosławnej z województwa ruskiego.

[30] Autentyczna wypowiedź ostatniego z Jagiellonów wygłoszona do posłów, leżąca u podstaw tolerancji religijnej w Rzeczypospolitej.

[31] Osoby zajmujące się na Podkarpaciu odczynianiem uroków i eliminowaniem upiorów.

[32] Urzędnik ziemski odpowiedzialny za ogłaszanie dekretów, wręczanie pozwów oraz obdukcje przy zranieniach i zabójstwach.

[33] W rzeczywistości Piotr Mohyła wystarał się u Władysława IV Wazy o zabezpieczenie majątkowe kolejnego władcy przemyskiego Jana Romanowicza Popiela w postaci monasterów w Spasie, Ławrowie i Smolnicy, przyznając mu także część dóbr ziemskich. Kontrolę nad nimi wywalczył jednak zbrojnie dopiero jego następca Sylwester Hulewicz Wojutyński.

[34] Hetman polny, a potem wielki koronny, zmarł w 1646 roku.

[35] Wspomniane wypadki opisane zostały w tomie *Czas pomsty*.

[36] J. Kochanowski, *Pieśń XX*, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/piesni-ksiegi-pierwsze-piesn-xx.html>, dostęp 3.12.2019.

[37] Do napaści takiej doszło w 1630 roku.

[38] Powitanie przy pierwszym dziennym spotkaniu lub wejściu do domu (jeśli nie zaznaczono inaczej, słowa, wyrażenia i zdania tłumaczono z języka rusińskiego).

[39] Sława na wieki!

[40] Czemu nie?

[41] Po co?

[42] Wejdźcie.

[43] Wszystko w porządku.

[44] Siądźcie sobie.

[45] Może coś zjecie?

[46] Może coś wypijecie?

[47] Jak się nazywasz.

[48] A wy, panie?

[49] Nie jesteście Lachami (Polakami)?

[50] Proszę.

[51] W domu rozmawiamy tylko po naszemu.

[52] Nie słyszałem.

[53] Gdzie chcecie.

[54] Czego chcecie?

[55] Pierwsza krótka broń palna stworzona na potrzeby konnicy. Najczęściej z zamkiem kołowym.

[56] Stanisław Herbut, sygnatariusz Unii Lubelskiej, wielokrotny marszałek sejmików ruskich, zmarły w 1584 roku.

[57] Według źródeł porucznik husarii, starosta intruski. Brał udział w bitwie pod Kircholmem. Zmarł w 1615 roku.

[58] Okryta złą sławą lekka jazda polska utrzymująca się z łupów. Potępieni uchwałą sejmową za grabieże, rozwiązani w 1635 roku.

[59] Dawny pojazd zaprzęgowy z pudłem zawieszonym na skórzanych pasach.

[60] Pocztowi husarscy walczyli w szyku i zbrojach podobnych do towarzyszy. Ich rola była szczególna, ponieważ mieli nie tylko wspierać towarzyszy w walce, lecz także chronić swojego pana. Dlatego do pocztów husarskich dobierano ich bardzo starannie, gdyż często od nich zależało życie towarzysza husarskiego.

[61] Nieistniejąca już wieś należąca w XVII wieku do Herburtów.

[62] Niższy oficjalista w dworach szlacheckich nadzorujący chłopów odrabiających pańszczyznę. Nazwa pochodzi od kija (rabosza), na którym nacinał znaki rejestrujące ilość wykonanej pracy.

[63] Jedno z wierzeń ludowych na Podkarpaciu mówiło, iż dziecko poczęte w czasie menstruacji po śmierci staje się upiorem.

[64] Dawne określenie na „krosty” – najczęściej odra, ale też inne choroby, którym towarzyszy wysypka.

[65] Łomna, dawniej Łumna. Nieistniejąca już wieś w powiecie przemyskim.

[66] Oddziały wojskowe piechoty składające się z chłopów z dóbr królewskich. Żołnierz taki otrzymywał własne gospodarstwo zwolnione z powinności w zamian za służbę wojskową. Wybrańcem był jeden chłop z każdych dwudziestu łanów królewszczyzn.

[67] Piotr Fleszar, żołnierz wybraniecki, w roku 1595 odmówił dzierżawcy dóbr czorsztyńskich Janowi Łękawskiemu zapłaty bezprawnie nałożonego czynszu. Dzierżawca kazał zakuć go w kajdany i wystawił na mróz na dziedzińcu zamku w Czorsztynie, gdzie włościanin zmarł po dwóch tygodniach.

[68] Rodzaj białej broni o rozszerzającej się głowni i prostej oprawie.

[69] dla dobra publicznego (łac.)

[70] Drzwi dworów obronnych często nabijano gwoździami i ćwiekami żelaznymi, aby utrudniać ich wyrąbanie siekierami.

[71] Tatarzy zwykle poruszali się po Rzeczypospolitej trzema szlakami: „Czerwonym”, czyli ukraińsko-wołyńskim, prowadzącym między dorzeczami Dniepru i Bohu, „Podolskim”, czyli kuczmańskim, wiodącym między Bohem i Dniestrem, oraz „Wołoskim” przechodzącym Dniestr i omijającym Ukrainę, a dalej prowadzącym na Ruś Czerwoną.

[72] Czapka szlachecka z obszytego futrem aksamitu lub jedwabiu.

[73] Otwarte naczynie wykonane z drewnianych klepek; balia.

[74] Po pierwszej destylacji wódkę zwano brantówką, po drugiej szumówką, dopiero po trzeciej zyskiwała miano okowity.

[75] Osada leśna w dolinie Jabłonki.

[76] Historia przywoływana przez Oskara Kolberga w opracowaniu dotyczącym obszaru sanocko-krośnieńskiego. Zob. O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 51, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1973. W wersji podanej przez Kolberga sprawę upiora zakończyli nie baczowie, ale lokalny ksiądz, wraz z wójtem i „panem”, który kazał spalić wykopane zwłoki. Podczas kremacji z piersi upiora rzekomo wyskoczyło serce, które w locie zestrzelił z dubeltówki „pan”, rozrywając je na cztery kawałki.

[77] Miejscowość w województwie podkarpackim w powiecie krośnieńskim.

[78] Czerwona twarz według wierzeń ludowych Podkarpacia była jedną z oznak wampiryzmu.

[79] Według wierzeń lokalnych mówiono albo o dwóch sercach, z których jedno umiera, a drugie podtrzymuje życie upiora, albo też dwóch duszach, z których tylko jedna, dobra, została ochrzczona.

[80] Groby podejrzanych o wampiryzm obsadzano kolczastymi krzewami mającymi uniemożliwić powstanie trupowi spod ziemi albo też obsypywano wokół makiem. Wierzono bowiem, iż wampiry mają nieodparty przymus liczenia drobnych przedmiotów, dlatego zajęte ziarenkami nie zdążą przed świtem dotrzeć do wsi. Niektóre źródła podają także sposób polegający na sypaniu zmarłemu maku w usta. Wstającemu z grobu jako wampir nieboszczykowi mak wysypywał się z ust, co zmuszało go do zbierania ziaren, zapobiegając wyrządzeniu przez niego szkód.

[81] Dawna nazwa wampira.

[82] Postać z powieści *Czas pomsty*.

[83] Jeden z najwybitniejszych polityków i żołnierzy przełomu XVI i XVII wieku. Szlachcic, który własną wytrwałością i rozumem doszedł do ogromnego majątku, godności kanclerskiej i buławy hetmańskiej. Zmarł w 1605 roku.

[84] Bitwę pod Kircholmem stoczono 27 września 1605 roku. Zwycięskimi wojskami polskimi dowodził hetman polny litewski Jan Karol Chodkiewicz.

[85] Henryk Wrede, szlachcic inflancki, rajtar, który w czasie bitwy pod Kircholmem oddał konia rannemu szwedzkiemu królowi Karolowi IX, umożliwiając mu ucieczkę. Sam przez swoje poświęcenie zginął. W nagrodę wdowa po nim otrzymała w 1608 roku rozległe dobra w Elimäki w Finlandii z dworem Anjala, a królowa Krystyna przyznała jego potomkom tytuły baronów.

[86] Stanisław Herburt, magnat pochodzący z jednego z najznamienitszych rodów szlacheckich, właściciel dóbr: Suszicza, Linina, Strzelbicza, Wola Strzelbicza, Welosniowa Wolia, Smolna, Zalukiecz, Opaka, Stronna, Podbusz, Jaszienicza, Nohoiowicze, Niedwiadza, Luzek, Bronnicza, Jakubowa Wola, Drozow, Bikow, Bilina. Po siostrze Barbarze Kmicie odziedziczył Wetlinę, Jaworzec, Lutowiska, Beniową, Uherce, Ustianową i Zatwarnicę. Zmarł w 1584 roku.

[87] Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci. Niech spoczywa w pokoju (łac.)

[88] Ludowy obyczaj zalecał, aby ciało samobójcy spopielić, a prochy rozsypać. Tego rodzaju przypadki opisywane były na Podkarpaciu jeszcze na przełomie XIX i XX wieku.

[89] Zwykle żółte wywinięte klapy na cholewach butów.

[90] Stosowany od XVI wieku system zapłonu w broni palnej odprzodowej, gdzie proch odpalał się od iskier powstałych w wyniku ocierania się poruszanego sprężyną karbowanego koła o piryt.

[91] Szkocki odpowiednik angielskiego *fuck*, od którego zresztą niektórzy wywodzą brytyjskie przekleństwo.

[92] Na Bałwańskie! Zabić wampira! Łeb uciąć!

[93] W imię Jezusa Chrystusa! W imię Boga! Dobrzy ludzie! Zabić wampira!

[94] Odpowiednik „kurwa mać!” (niem.).

[95] Sami idźcie do domu!

[96] To kto go zabił?! Aa?!

[97] Nie wilki!

[98] W imię Boga!

[99] Chwała Bogu na wieki...

[100] Część wozu konnego w postaci drążków utrzymujących we właściwym położeniu drabiny lub pełne boki zwane gnojówkami.

[101] Odpowiedź był to szczególny rodzaj listu, w którym jeden szlachcic zapowiadał innemu, albo też innym lub nawet jakiejś większej zbiorowości (np. miastu, jak w 1623 roku Janusz Tyszkiewicz całemu Lwowowi), swe zamiary, nierzadko wprost grożąc śmiercią. Miała określoną formę i włączana była do akt sądowych.

[102] Stanisław Stadnicki, starosta zygwulski, znany w Rzeczypospolitej pieniacz i warchoł. Zginął z rąk Tatarów Persy w roku 1610, ścigany przez ludzi starosty leżajskiego Łukasza Opalińskiego.

[103] Potok w Beskidzie Niskim na Pogórzu Bukowskim przepływający przez Nadolany.

[104] Jacek Dydyński herbu Nałęcz był jednym z najbardziej znanych zajeźdników pierwszej połowy XVII wieku. Bohater kilku powieści Jacka Komudy.

[105] J. Kochanowski, *Pieśń IX*, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/piesni-ksiegi-pierwsze-piesn-ix.html>, dostęp 3.12.2019.

[106] Zwrot z łaciny oznaczający „jeszcze nienarodzony”. Termin prawny oznaczający poczęte już dziecko, które jeszcze nie przyszło na świat.

[107] Na Podkarpaciu za najlepsze dni na poród uważano czwartek, sobotę i niedzielę oraz dzień targowy. Najgorszym dniem na rozwiązanie był piątek.

[108] Kobieta, która urodziła dziecko, po sześciu tygodniach otrzymywała błogosławieństwo w kościele, zwane wywodem. Miało ono charakter oczyszczający i przywracało jej możliwość powrotu do wszelkich zajęć, w których ograniczona była położnica.

[109] Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu (łac.)

[110] Obyczajem było, iż tuż po narodzinach dziecka ojciec brał je na ręce i całował bądź podnosił, tym gestem uznając je za swoje.

[111] Skórzane buty sięgające kolan, charakteryzujące się ściętymi ukośnie z tyłu cholewami, płaską podeszwą i lekko zadartym nosem.

[112] Obyczaj przeciw złym urokom stosowany bezpośrednio po narodzinach dziecka. Dodatkowo matka w połogu zwykle nosiła przy sobie ostre żelazne przedmioty.

[113] Rodzaj szabli o otwartym jelcu z rękojeścią najczęściej w kształcie głowy ptaka. W XVII wieku miała zwykle głownię o zmiennej krzywiźnie, szerokie pióro z młotkiem i rękojeść anatomiczną, rozszerzającą się ku głowicy.

[114] Herb szlachecki zwany także Ślepowron lub Korwin.

[115] Stanisław Lubomirski, wojewoda ruski w latach 1629–1638.

[116] Franciszek Bernard Mniszech, starosta sanocki w latach 1613–1659.

[117] Wpisać do akt.

[118] Zdarzały się takie przypadki w rzeczywistości. Mieszkańcy wsi zabraniali przewożenia zwłok samobójców przez osady oraz odmawiali jakiegokolwiek pomocy w pogrzebie.

[119] Mowa o konflikcie religijnym zwanym wojną trzydziestoletnią, jaki ogarnął w latach 1618–1648 kraje niemieckie, gdzie walczyli protestanci z rzymskimi katolikami.

[120] Spis Kozaków, których Rzeczpospolita wykorzystywała jako żołnierzy zaciężnych do ochrony granicy. Wpis do rejestru gwarantował wolność osobistą, podległość jurysdykcji wojskowej i żołd.

[121] Wieś w okolicach Ustrzyk Dolnych.

[122] Założenie wsi na pniu oznaczało zagospodarowanie obszaru leśnego przez karczowanie i tworzenie nowych pól, tam gdzie dotychczas nie istniały.

[123] Zbójnicy karpaccy.

[124] Od węgierskiego *tolvaj*, inna nazwa beskidników.

[125] Urzędnik królewski zarządzający jednostką administracyjną zwaną żupą.

[126] W roku 1618.

[127] Właściciel Hoczwi, podkomorzy sanocki w latach 1598–1620.

[128] Kres działalności beskidników położył dopiero w XVIII wieku cesarz austriacki, wpływając na żupanów węgierskich, aby nie udzielali im wsparcia.

[129] Historia opisana w tomie *Czas pomsty*.

[130] Wojciech Pamiętowski z Rozłucza siłą zmusił do ślubu Katarzynę Dwernicką z Boberki, czego nie uznała rodzina kobiety, wydając ją za Remigiana Tyszkowskiego. W odwecie Pamiętowski porwał Dwernicką do siebie, zamordował Tyszkowskiego, odciął mu głowę, a następnie strzelał do niej z łuku jak do celu.

[131] Rodzina Szolc-Wolfowiczów była jednym z najbardziej znanych rodów kupieckich Lwowa.

[132] Po śmierci Stanisława Herburta do zamku pod Dobromilem przybył Jan Szczęsny Herburt, który podstępnie opanował zamek oraz należące do niego wsie, przepędzając wdowę po kasztelanie lwowskim. Prócz siedziby rodowej Jan Szczęsny Herburt przejął także znajdujące się na zamku klejnoty, kosztowną broń, szable i buławy oraz wielkie zapasy soli nagromadzone w żupach.

[133] W rzeczywistości zajęcie zamku odbyło się w 1601 roku po śmierci Stanisława Herburta, syna także Stanisława, kasztelana lwowskiego, podanego w powieści jako ojciec fikcyjnego Eryka Herburta.

[134] W rzeczywistości żoną Stanisława Herburta była Katarzyna z Barzich.

[135] Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, starosta lanckoroński, starosta marienburski. Magnat i polityk zmarły w 1604 roku.

[136] Zbroja ochraniająca korpus składająca się z dwóch części w postaci napierśnika i naplecznika połączonych za pomocą rzemieni i klamer w pasie, po bokach i na ramionach.

[137] Olbracht Łaski wrócił z Londynu w towarzystwie alchemików Johna Dee i Edwarda Kelleya, którzy w Polsce przebywali do 1585 roku.

[138] instynkt (łac.)

[139] Komplementy, pochlebstwa, słodkie słówka.

[140] Łabędzie były symbolem wierności na całe życie.

[141] Budynek, gdzie folowano sukno wełniane – obróbka polegała na zgniataniu wilgotnej tkaniny w celu spłśnienia i zagęszczenia struktury. Maszyny folujące miały zwykle napęd wodny, a folusze budowano nad rzekami.

[142] W wierzeniach ludowych zabójczy demon w postaci kobiecej, uśmiercający w słoneczne dni ludzi przebywających na polach. Niektórzy wierzenia te utożsamiają z udarami cieplnymi.

[143] Fulsztyn, Felsztyn, obecnie Skeliwka. Wieś położona około 2 km od Starego Sambora, gdzie znajduje się kościół św. Marcina, zbudowana w XVI wieku świątynia, będąca nekropolią rodziny Herburtów. Ostatnim Herburtem na Felsztynie był zmarły w roku 1631 Jan Lew.

[144] Jurodiwyj, święty szaleniec, jeden z wzorów świętości w dawnej Rosji (wśród wyznawców prawosławia).

[145] Turecką miłością w staropolskim języku nazywano homoseksualizm.

[146] Panie Jezu Chryste, Synu Boży, przez modlitwy Przczystej Twej Matki i wszystkich świętych, zmiłuj się nad nami. Transliteracja z cerkiewnosłowiańskiego.

[147] Wieszcz, jasnowidz.

[148] W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, amen.

[149] Dawniej wydzielony budynek przeznaczony do przechowywania cennych przedmiotów lub narzędzi.

[150] Wskazanie, iż ktoś nieprawnie posługuje się nazwiskiem szlacheckim i herbem. Sprawy takie najczęściej rozstrzygane były na sejmikach szlacheckich, a wywołany musiał przedstawić kilku świadków potwierdzających jego przynależność do braci szlacheckiej. Udana nagana szlactwa wiązała się z konfiskatą majątku, którego połowę przejmował delator, a drugą skarb królewski.

[151] Obecnie miasto w obwodzie lwowskim na Ukrainie. Za czasów I Rzeczypospolitej miejscowość w powiecie przemyskim, gdzie od 1545 roku odbywały się sejmiki generalne województwa ruskiego.

[152] zmiennokształtny (łac.)

[153] bakałarz, nauczyciel, uczony niższego stopnia (łac.)

[154] nauczyciel (węg.)

[155] Według szkoły szermierki, opartej na radach z *Traktatu o nauce szermierczej z filozoficznym dialogiem* Camilla Agrippy, pierwszą zasłonę zwaną *primą* należało przyjmować zaraz po wyjęciu broni z pochwy, by nie dać się zaskoczyć przeciwnikowi.

[156] W walce rapiерem zwykle w nieuzbrojonej (najczęściej lewej) ręce fechtujący trzymał małą tarczę, lewak, płaszcz, kapelusz czy nawet bandolier, którymi parował ciosy. Najwięksi mistrzowie walki na rapiery walczyli w systemie *spada sola*, w którym zbijali ciosy nieuzbrojoną dłonią odzianą w rękawicę.

[157] Inna nazwa osób pochodzących z Siedmiogrodu w I Rzeczypospolitej zwanych Sabatami.

[158] Historia z tomu *Czas pomsty*.

[159] Adwokat diabła. Potoczne określenie na promotora wiary (*promotor fidei*), urzędnika występującego w procesie kanonizacyjnym, wprowadzonego przez papieża Sykstusa V w roku 1587.

[160] Zbrodni dokonano 11 kwietnia 1079 roku.

[161] Zdrajca w rozumieniu kogoś nieposłusznego rozkazom władcy (w średniowiecznej łacinie na paktującego z obcymi siłami autorzy używali raczej słowa *proditor*).

[162] Historia ta rzekomo wydarzyła się w zamku Černá Hora podczas kampanii przeciw Turkom w 1683 roku.

[163] Prowadząc własną politykę, prawdopodobnie marząc o gospodarstwie mołdawskim dla siebie, lub choćby wprowadzeniu tam swojego człowieka, Olbracht Łaski, wbrew woli króla Zygmunta Augusta, postanowił obalić tamtejszego władcę Aleksandra IV Lăpușneanu. Cel czasowo udało mu się osiągnąć, jednak bez osobistego zysku (oprócz tytułu mołdawskiego tytuł Wielkiego Hetmana i zamku w Chocimiu). Tłumaczyć się z tego musiał na sejmie egzekucyjnym w latach 1562–1563.

[164] Adam Schröter był śląskim humanistą, poetą i alchemikiem, a także znanym tłumaczem dzieł Paracelsusa.

[165] Mowa o wspomnianych już wcześniej Johnie Dee i Edwardzie Kelleyu.

[166] Wada dziedziczna w rodzie Habsburgów będąca objawem prognatyzmu (dolna warga przerasta w rozmiarze górną, a żuchwa jest często nazbyt rozwinięta).

[167] tumor – guz (łac.)

[168] Wszystko zamglone. Zmiłuj się, Jezu Chryste!

[169] Przebacz mi, Boże!

[170] Zmiłuj się, Boże!

[171] W kulturze polskiej diabeł zwykle ubierał się z cudzoziemska i mówił w obcym języku lub przynajmniej z obcym akcentem.

[172] W roku 1626 ludność wsi podsanockich zbuntowała się z powodu krzywd doznawanych od administratorów dóbr starosty krośnieńskiego Stanisława Kazanowskiego. Pod wodzą zbójnika Konyka i wspierana przez beskidników uderzyła na folwark Posada, zabijając rządcę Herbertowskiego, a następnie spaliła Olchowce. Zdobytna armata przez lata była ukryta, a pojawiła się ponownie dopiero w latach trzydziestych XX wieku, jako wiejski słup graniczny. W 1932 roku proboszcz parafii greckokatolickiej z Odrzechowej przekazał armatę do łemkowskiego muzeum. Znajduje się ona obecnie w zbiorach Muzeum Historycznego w Sanoku, a została sklasyfikowana jako XVI-wieczny falkonet lub serpentyna.

[173] powiedzenie (łac.)

[174] Nienaturalnie, w przesadny sposób.

[175] Zwłoki zamordowanego rodzina okazywała woźnemu sądowemu, który opisywał rany i przyczynę śmierci. Był to ważny dowód w sprawach o morderstwo. Znaczące jest, iż jeśli ciało pozbawione było głowy, której nie odnaleziono, stanowiło to istotną trudność w ustaleniu tożsamości denata. To zaś mogło być przyczyną komplikacji przy ściganiu morderców, ponieważ nie można było jednoznacznie wskazać, kto został zamordowany.

[176] Pokój między chrześcijanami (łac.)

[177] Heinrich Kramer, jeden z autorów dzieła *Malleus Maleficarum* (*Młot na czarownice*) wydane w 1487 roku.

[178] Moja wina (łac.)

[179] Myśl przypisywana św. Augustynowi.

[180] Myśl przypisywana św. Augustynowi, ale również papieżowi Hadrianowi VI czy cesarzowi Ferdynandowi I: „Niech zginie świat, byleby sprawiedliwości stało się zadość”.

[181] Rodzaj nieprzepasywanego płaszcza.

[182] Samuel Łaszcz został skazany 236 razy na banicję i 47 razy obłożony infamią. Jako znany żołnierz i zagończyk unikał egzekwowania wyroków aż do śmierci w 1649 roku.

[183] 1 List do Tymoteusza (Rozdz. VI; 10), cytat ten i następne za Biblią Wujka, <http://www.madel.jezuici.pl/biblia/>, dostęp 3.12.2019.

[184] „I dziwowali się wszyscy, tak iż się między sobą pytali, mówiąc: Cóż to jest? cóż to za nowa nauka? iż z władzą i duchom nieczystym rozkazuje, a są mu posłuszni?”, Ewangelia wg św. Marka (Rozdz. I; 27).

[185] Pętla przymocowana do końca rękojeści broni, zapobiegająca jej utracie po wytrąceniu. Stosowana najczęściej podczas szarż kawaleryjskich, gdzie ryzyko upuszczenia szabli było największe.

[186] Szczyt we wschodniej części Beskidu Niskiego. Jest najbardziej na północ wysuniętym wzniesieniem Pasma Bukowicy.

[187] Nawiązanie do *Pieśni III* Horacego *Exegi monumentum aere perennius*.

[188] *Ei* – nie, *meie* – nasz (z języka estońskiego).

[189] List do Rzymian (Rozdz. XII; 21).

[190] Rzekome słowa Attyli: „Czyż jest coś bardziej rozkosznego dla silnego męża niż zemsta?”.

[191] Człowiek, który utracił cześć i dobre imię.

[192] Nalewka na bazie cynamonu, rzekomo lubiana już przez Stefana Batorego.

[193] Pogardliwe określenie Niemca pochodzące od charakterystycznych krótkich spodni z bufiastymi nogawkami.

[194] Hetka-pętka – ktoś mało znaczący, kogo się lekceważy.

[195] W zamku kołowym odpalenie ładunku następuje w wyniku pocierania karbowanego koła o pirynt zamocowany w szczękach kurka.

[196] W XVII wieku powszechna była jeszcze broń lontowa, która, siłą rzeczy, ujawniała pozycję strzelca ognikiem płonącego lontu.

[197] Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.

[198] Kufa – przednia część głowy psa lub wilka, wyraźnie oddzielona od mózgowcaszki.

[199] Pokrzywnik – ktoś znaleziony jako niemowlę w pokrzywach, staropolskie obraźliwe określenie oznaczające bękarta.

[200] Bogu niech będą dzięki (łac.)

[201] Jan Andrzej Próchnicki, arcybiskup lwowski, zmarł 13 maja 1633 roku.

DZIKIE
POLA

MROCZNA TAJEMNICA
SZLACHECKA FANTAZJA
KRWAWE ZBRODNIE
KLĄTWA RODOWA



TYTUŁ *Mroczny zew*

AUTOR Maciej Liziniewicz

GATUNEK powieść historyczna z elementami fantasy

DLA FANÓW książek: *Wilcze gniazdo* Jacka Komudy, *Charakternik* Jacka Piekary, *Crimen* Józefa Hena, *Pies Baskerville'ów* Arthura Conana Doyle'a; filmów: *Wij*, *Skowyt*, *The Company of Wolves*; seriali: *Bitten*, *Piękna i bestia*.

JEDNYM ZDANIEM Gdy w cichej wiosce wśród bieszczadzkich ostępów zagoszczą zło i śmierć, szlachcic Żegota Nadolski wraz z kompanią będzie musiał odkryć prawdę oraz ukarać winnych, żeby położyć kres przerażającym zbrodniom.

Patronaty

FAHRENHEIT
WWW.FAHRENHEIT.NET.PL

BESTIARIUSZ

POPCORNER

**ZAPOMNIANA
BIBLIOTEKA**

W

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-245-8456-7

EAN 9788324584567

U.WD.FAN047.1.01.01
